

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

ROMANŚ

NORA ROBERTS

NIEBEZPIECZNA
MIŁOŚĆ

NORA ROBERTS

**Niebezpieczna
miłość**

Spis treści

Magiczna chwila.....	5
ROZDZIAŁ PIERWSZY.....	6
ROZDZIAŁ DRUGI.....	12
ROZDZIAŁ TRZECI.....	21
ROZDZIAŁ CZWARTY.....	29
ROZDZIAŁ PIĄTY.....	36
ROZDZIAŁ SZÓSTY.....	45
ROZDZIAŁ SIÓDMY.....	52
ROZDZIAŁ ÓSMY.....	62
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.....	72
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.....	80
ROZDZIAŁ JEDENASTY.....	91
ROZDZIAŁ DWUNASTY.....	100
ROZDZIAŁ TRZYNASTY.....	115
ROZDZIAŁ CZTERNASTY.....	126
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.....	142
ROZDZIAŁ SZESNASTY.....	150
Kuzyn z Bretanii.....	162
ROZDZIAŁ PIERWSZY.....	163
ROZDZIAŁ DRUGI.....	177
ROZDZIAŁ TRZECI.....	191

ROZDZIAŁ CZWARTY.....	202
ROZDZIAŁ PIĄTY.....	217
ROZDZIAŁ SZÓSTY.....	229
ROZDZIAŁ SIÓDMY.....	241
ROZDZIAŁ ÓSMY.....	264
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.....	277
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.....	288
Grecki honor.....	301
ROZDZIAŁ PIERWSZY.....	302
ROZDZIAŁ DRUGI.....	312
ROZDZIAŁ TRZECI.....	322
ROZDZIAŁ CZWARTY.....	334
ROZDZIAŁ PIĄTY.....	348
ROZDZIAŁ SZÓSTY.....	360
ROZDZIAŁ SIÓDMY.....	372
ROZDZIAŁ ÓSMY.....	385
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.....	400
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.....	408
ROZDZIAŁ JEDENASTY.....	421
ROZDZIAŁ DWUNASTY.....	436
ROZDZIAŁ TRZYNASTY.....	443

MAGICZNA CHWIŁA

Tytuły oryginału: Magic Moment

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ryan wmawiała sobie, że wcale nie jest zdenerwowana, ale czekając na otwarcie drzwi, przekładała aktówkę z ręki do ręki. Jej ojciec wściekłby się, gdyby odeszła stąd bez podpisu Pierce'a Atkinsa pod kontraktem. Nie, nie byłby wściekły - poprawiła się w myśli. Po prostu by milczał. Nikt nie potrafi milczeć tak wymownie jak Bennett Swan.

Nie odejdę stąd z pustymi rękami - wmawiała sobie.
- Przecież potrafię dawać sobie radę z ekstrawaganckimi gwiazdami show - biznesu.

Jej myśli urwały się, gdy otworzyły się drzwi, w których stanął największy człowiek, jakiego kiedykolwiek widziała. Miał ze dwa metry wzrostu, a jego plecy wypełniały całą szerokość drzwi. No i ta twarz... Ryan pomyślała, że ten facet jest bezdyskusyjnie brzydki.

- Dzień dobry - udało jej się odzyskać głos. - Nazywam się Ryan Swan.

- Proszę wejść - rzucił lakonicznie. - Pan Atkins przyjmie panią na dole.

Ryan rzuciła mężczyźnie gniewne spojrzenie i zaczęła schodzić po słabo oświetlonych schodach. To jakieś wariactwo - pomyślała.

Olbrzymie pomieszczenie na dole wypełniały skrzynie, walizy i rekwizyty sceniczne.

Obserwował ją. Potrafił stać całkowicie bez ruchu, absolutnie skoncentrowany. To było niezbędne w jego profesji. Posiadał także zdolność błyskawicznego rozszyfrowywania ludzi. To też należało do jego fachu. Była młodsza niż się spodziewał, drobnej postury, o delikatnych rysach i jasnych włosach.

Nie poruszył się nawet gdy zaczęła obchodzić pokój.

- Pani Swan.

Ryan zadrżała.

Wtedy się poruszył i zauważyła, że stał na niewielkiej scenie.

- Dzień dobry. - Podeszła do niego. - Ma pan bardzo ładny dom.

- Dziękuję.

Nadal stał na scenie, więc musiała podnieść wzrok. Jeszcze nigdy nie widziała oczu o tak głębokim spojrzeniu. Czują, jakby czytał w jej myślach.

Uznawano go za najlepszego iluzjonistę ostatniej dekady. Jego iluzje i ucieczki były brawurowe, efektowne i niewytłumaczalne. Często mówiono o nim - czarodziej. Patrząc w jego oczy, Ryan zaczynała rozumieć dlaczego.

- Panie Atkins, mój ojciec bardzo przeprasza, że nie mógł przybyć osobiście. Mam nadzieję, że...

- Już czuje się lepiej.

Zaskoczyła ją ta odpowiedź.

- To prawda. - Zaczęła mu się intensywnie przyglądać. Schodząc z podestu, Pierce uśmiechnął się do niej.

- Dzwonił godzinę temu, panno Swan. I to była rozmowa międzymiastowa, a nie telepatia.

Nie mogąc się powstrzymać, Ryan popatrzyła na niego wyzywająco, a jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Jak minęła podróż?

- Dobrze, dziękuję.

- Proszę usiąść.

- Panie Atkins, mój ojciec omówił z pana przedstawicielem ofertę Swan Productions, ale może pan chciałby jeszcze odnieść się do kilku szczegółów.

- Długo pracuje pani w Swan Productions?
- Pięć lat. Zapewniam, że posiadam odpowiednie kwalifikacje, by odpowiedzieć na wszelkie pytania.

Nadal jest podenerwowana.

- Jestem pewien, że posiada pani kwalifikacje. Pani ojca trudno usatysfakcjonować.

Zdziwienie pojawiło się w jej oczach.

- To prawda. Dlatego otrzyma pan najlepszą reklamę, najlepszy zespół produkcyjny oraz najlepsze warunki umowy. Trzy godzinne programy telewizyjne w porze najwyższej oglądalności. To korzystne rozwiązanie dla pana i dla Swan Productions.

- Możliwe.

Przyglądał się jej.

- Pan do tej pory głównie występował przed publicznością w klubach i salach widowiskowych...

- Iluzja na taśmie nie ma znaczenia, panno Swan. Taśmę można retuszować.

- Żeby zrobić odpowiednie wrażenie, trik musi być zrobiony przed żywą publicznością.

- Iluzja. Ja nie robię trików.

- Tak, iluzja - powtórzyła po chwili. - Programy będą emitowane na żywo z publicznością w studiu.

- Pani nie wierzy w magię, prawda?

- Panie Atkins, jest pan bardzo utalentowanym człowiekiem - odpowiedziała ostrożnie. - A ja szczerze podziwiam pana kunszt.

- Jest pani dyplomatyczna i zarazem cyniczna. To robi wrażenie.

- Czy moglibyśmy przejść do warunków umowy?

- Nie robię interesów z ludźmi, których dobrze nie poznam.

Ryan westchnęła.

- Mój ojciec...

- Nie rozmawiam teraz z pani ojcem.

- Nie wzięłam dziś ze sobą życiorysu - odparowała i ugryzła się w język. Cholera! Nie powinna sobie na to pozwolić. Ale Pierce uśmiechał się, najwyraźniej rozbawiony.

- Życiorys nie będzie potrzebny. - Wziął ją za rękę, zanim zdążyła zaproponować.

- Nigdy więcej.

Podskoczyła, słysząc głos za swoimi plecami.

- To Merlin - uspokoił ją Pierce. W klatce zobaczyła czarnego ptaka.

- Bardzo pomysłowe - wykrztusiła. - Nauczył pan go mówić?

- Uhm.

- Postawić ci drinka, złotko?

Ryan próbowała stłumić śmiech, odwracając się do Pierce'a.

- Nie nauczyłem go dobrych manier.

- Panie Atkins, czy moglibyśmy...

- Pani ojciec chciał mieć syna. - Ryan zapomniała, co chciała powiedzieć. - I teraz pani jest trudniej. - Pierce patrzył jej prosto w oczy; jej dłoń luźno spoczywała w jego ręce. - Mieszka pani sama. Jest pani realistką. Trudno jest pani kontrolować swoje zmienne nastroje, ale pracuje pani nad tym. Jest pani bardzo ostrożna. Nie ufa pani nikomu od razu, nie zaprzyjaźnia się zbyt szybko.

Jest pani też trochę niecierpliwa, bo ciągle chce pani coś udowodnić sobie i swojemu ojcu. - Jego oczy przestały się tak intensywnie w nią wpatrywać. Uśmiechnął się.

- Gra salonowa czy telepatia? Uwolnił jej dłoń.

- To tylko amatorska psychologia - wyjaśnił swobodnym tonem. - Podstawowa wiedza dotycząca Bennetta Swana i znajomość języka ciała. To żadna sztuczka, panno Swan, jedynie domysły wynikające z mojego doświadczenia życiowego. Nie minąłem się z prawdą?

- Nie przyszłam tutaj bawić się w zgadywanki, panie Atkins.

- To prawda - odparł czarującym głosem. - Przyszła pani dopilnować interesów, ale ja robię wszystko w swoim własnym czasie i na swój własny sposób. Moja profesja wymaga odrobiny ekscentryczności. Proszę mnie czymś zabawić.

- Staram się, jak mogę. Myślę, że można bezpiecznie stwierdzić, że oboje bardzo poważnie podchodzimy do swojej pracy.

- Zgadza się.

- Więc rozumie pan, że moim celem jest doprowadzenie do podpisania umowy.

Nagle Merlin wy dostał się z klatki i usiadł jej na ramieniu. Ryan zamarła.

- O Boże.

Pierce zmarszczył czoło.

- To dziwne, on jeszcze nigdy tak się nie zachował.

- Czyż nie jestem szczęściarą? - mruknęła Ryan.

- Może jednak spróbowałby go pan przekonać, by usiadł gdzie indziej?

Lekki ruch ręki Pierce'a i ptak usiadł na jego ramieniu.

- Panie Atkins, rozumiem, że człowiek pana profesji lubi specyficzną atmosferę. Bardzo trudno jest rozmawiać o

biznesie w... w lochach. Ze zwariowanym krukiem i... Pierce wybuchnął śmiechem. - Chyba panią polubię. Ja pracuję w tym lochu - wyjaśnił. - Mam tu ciszę i spokój. Iluzja to coś więcej niż umiejętności; wymaga skrupulatnego planowania i wielu przygotowań.

- Doskonale to rozumiem, ale...

- Omówimy sprawy biznesowe podczas kolacji - przerwał.

Ryan wstała, Pierce również. Nie planowała zostać tu dłużej niż godzinę.

- Zostanie pani tutaj na noc.

- Doceniam pańską gościnność, panie Atkins, ale...

- zaczęła, idąc za nim w kierunku schodów.

- Idzie burza. Nie chciałbym, żeby pani jeździła po górach w taką pogodę.

Jakby na potwierdzenie jego słów rozległ się grzmot. Ryan nie była przekonana o tym, że spędzenie nocy w tym domu to dobry pomysł.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Link jest doskonałym kucharzem - oświadczył Pierce, gdy olbrzym stawił przed Ryan talerz.

- Z pewnością jest małomówny.

Pierce uśmiechnął się i nalał jej białego wina.

- Od urodzenia mieszka pani w L.A?

- Oprócz okresu edukacji.

Pierce zauważył lekką zmianę jej tonu.

- A gdzie chodziła pani do szkoły?

- W Szwajcarii.

- I potem zaczęła pani pracować w Swan Productions?

- Ojciec zgodził się na to dopiero, gdy zrozumiał, jak bardzo mi na tym zależy.

- Więc z uporem dąży pani do realizacji swoich celów?

- Tak. Przez pierwszy rok tylko przerzucałam papiery, nie pozwolono mi rozwinąć skrzydeł. - Ryan nagle się rozjaśniła. - Pewnego dnia na moim biurku pojawiły się dokumenty, pewnie przez pomyłkę. Ojciec dążył do podpisania umowy z Mildred Chase. Ale ona nie chciała się zgodzić. Znalazłam kilka informacji o niej i umówiłam się na spotkanie. - To dopiero była przygoda. Mildred Chase mieszka w bajkowej rezydencji na wzgórzach.

- Jak ją pani ocenia? - zapytał Pierce.

- Była cudowna. Prawdziwa wielka dama kina. - Przez jej twarz przemknął promień tryumfu. - Dwie godziny później wyjeżdżałam z podpisanym kontraktem.

- Jak zareagował na to pani ojciec?

- Był wściekły. Ale następnego dnia dostałam podwyżkę i swój gabinet. Bennett Swan umie doceniać

ludzi, którzy potrafią dopiąć swego.

- I pani potrafi dopinać swego, panno Swan?

- Zwykle tak. Jestem dobra w uzgadnianiu szczegółów.

- A jak sobie pani radzi z ludźmi?

- Z większością mi się udaje.

Pierce uśmiechnął się.

- Jak smakuje pani kolacja?

- Doskonała. Pański... - Nie wiedziała, jak nazwać

Linka.

- Przyjaciel - odpowiedział jej Pierce.

- Pański przyjaciel jest wspaniałym kucharzem.

- Wygląd człowieka często jest mylący - stwierdził Pierce. - Nasze profesje przedstawiają publiczności coś, co nie jest rzeczywiste. Swan Productions zajmuje się iluzją, podobnie jak ja. - Wyciągnął do niej rękę, w której trzymał czerwoną różę.

- Och! - Zaskoczona przyjęła kwiat.

- Piękne kobiety i kwiaty należą do siebie. - Zaintrygowała go nieufność w jej oczach. - Jest pani piękną kobietą.

- Dziękuję.

- Wina?

- Nie. A pan długo już tu mieszka?

- Od kilku lat. Nie lubię tłumów.

Gdy wstali, by przejść do salonu, do Ryan wreszcie dotarło, że nadal nie zamienili ani słowa o kontrakcie.

- Panie Atkins... - zaczęła i momentalnie przerwała.

- Jak tu pięknie!

To było jak cofnięcie się do dziewiętnastego wieku.

- Cieszę się, że się pani podoba - oświadczył Pierce, stając obok niej. - Wydaje się pani być tym zaskoczona.

- Tak. Z zewnątrz dom wygląda jak z horroru, a...
- Ryan przerwała, przerażona swoją śmiałością. -

Przepraszam...

Ale Pierce tylko się uśmiechał.

- Właśnie dlatego go kupiłem. - Podeszedł do stolika, na którym przygotowano filiżanki. - Nie mogę zaproponować pani kawy, bo nie lubię kofeiny. Mam za to doskonałą herbatę ziołową.

- Chętnie się napiję. - Podeszła do pianina i zaczęła czytać ręcznie napisane nuty. Melodia była niezwykle romantyczna. - Jakież to piękne! - Odwróciła głowę do Pierce'a. - Nie wiedziałam, że komponuje pan muzykę.

- To nie ja, to Link. - Obserwował zdziwienie Ryan. Spuściła wzrok.

- Wstyd mi...

- Nie to było intencją moich słów. - Pierce podeszedł i wziął ją za rękę. - Większość z nas przyciąga piękno.

- A pana nie?

- Powierzchowne piękno bardzo na mnie oddziałuje, panno Swan. Ale później szukam głębi.

- A jeśli pan jej nie znajduje?

- To odrzucam powierzchowne piękno. Chodźmy, herbata stygnie.

- Nie chcę pana obrazić, ale... - westchnęła głośno.

- Myślę, że jest pan bardzo dziwnym człowiekiem.

Uśmiechnął się zniewalająco.

- Nie mam najmniejszego zamiaru być zwykłym człowiekiem.

Zaczynał ją fascynować. Ryan zawsze była ostrożna i starała się korzystać ze swojego profesjonalnego obiektywizmu w relacjach z utalentowanymi artystami. Nie należało się nimi zbyt zachwycać. W przypadku

zachłyśnięcia się ich talentem, łatwo można było ugiąć się pod presją ich dodatkowych warunków i specjalnych życzeń.

- Panie Atkins, chciałabym wrócić do naszego kontraktu.

- Bardzo uważnie się z nim zapoznałem. - Odgłos grzmotu zatrzęsł szybami. - Jazda samochodem będzie dziś paskudna. Boi się pani burzy?

- Nie, nie bardzo. Dziękuję za gościnność. - Podnosząc filiżankę z herbatą, starała się nie reagować na błyskawice rozświetlające niebo. - Jeśli miałby pan jakieś pytania dotyczące kontraktu, to bardzo chętnie na wszystkie odpowiem.

- Wszystko jest jasne. Mój agent nie może się doczekać chwili, gdy go podpiszę.

- Naprawdę?

- Nigdy nie angażuję się w żaden projekt, dopóki nie jestem przekonany, że mi się podoba.

Skinęła głową. Nie grał z nią w żadne gierki. Sam decydował o sobie. Od początku do końca.

- Czy gra pani w szachy?

- Tak, oczywiście.

- Chciałaby pani ze mną zagrać?

- Chętnie.

Zaprowadził ją do stolika pod oknem. Gdy Ryan zobaczyła szachownicę, natychmiast zapomniała o burzy.

Pierce był przebiegłym i milczącym graczem. Ryan złapała się na tym, że obserwuje jego ręce. Słyszała, że potrafią otworzyć każdy zamek i rozwiązać każdy supeł.

Patrząc na nie, pomyślała, że lepiej nadawałyby się do strojenia skrzypiec. Gdy podniosła wzrok, zauważyła, że Pierce przygląda się jej z uśmiechem, jakby doskonale

rozumiał, o czym myśli. Skoncentrowała się na strategii.

Ryan atakowała, on się bronił. On posuwał się do przodu, ona blokowała. Pierce był zadowolony, że ma przeciwnika na swoim poziomie. Podziwiał jej bystrość umysłu i wewnętrzną siłę, którą w niej wyczuwał. Jej uroda jeszcze bardziej na tym zyskiwała.

Miała miękkie dłonie. Gdy wzięła do ręki gońca, zastanawiał się leniwie, czy jej usta też są tak miękkie i kiedy się o tym przekona. Już podjął decyzję; kwestią był tylko czas.

- Szach i mat - powiedział niemalże szeptem. Przez chwilę wpatrywała się w szachownicę.

- Do licha! Nie przewidziałam tego ruchu. Na pewno nie ma pan kilku figur ukrytych w rękawie?

- Nie wykorzystuję magii, gdy wystarczą zwykłe umiejętności - odparł Pierce. - Słyszała pani o kartach tarota? - zapytał, podchodząc do drugiego stolika.

- Służą do przepowiadania przyszłości albo czegoś takiego.

- Raczej tylko do „czegoś takiego” - uśmiechnął się i powoli tasował karty.

- Pan nie wierzy w karty - stwierdziła Ryan i podeszła do Pierce'a.

- To tylko narzędzie, sposób na odwrócenie uwagi. To taka gra. A gry pozwalają się odprężyć. - Pierce rozwinął karty w wachlarz i rozłożył je na stole.

- Ładnie - mruknęła Ryan.

- To podstawowa umiejętność - wyjaśnił. - Mógłbym szybko panią tego nauczyć. Ma pani sprawne palce. - Ujął jej dłoń. - Mam wyjąć jedną kartę?

Ryan cofnęła rękę.

- To pana gra.

Wyciągnął kartę. To był Magik.

- Pewność siebie, kreatywność - mruknął Pierce.

- To pan?

- Na to wygląda. - Pierce położył palec na kolejnej karcie i przewrócił na drugą stronę. Najwyższa Kapłanka.

- Pogoda ducha. To pani?

Ryan wzruszyła ramionami.

- Łatwo może pan wyciągnąć taką kartę, jaką pan tylko chce, szczególnie, że sam pan je przetasował.

Pierce uśmiechnął się.

- Cynik wybrałby sąsiednią kartę, żeby zobaczyć, co może łączyć tych dwoje. Proszę wybrać kartę, panno Swan. Jakąkolwiek.

Zirytowana, wyciągnęła kartę. Kochankowie.

- Fascynujące - mruknął Pierce. Już się nie uśmiechał, ale przyglądał karcie, jakby nigdy wcześniej jej nie widział.

Ryan cofnęła się o krok.

- Nie podoba mi się pańska gra.

Podniósł rozkojarzony wzrok i skupił na niej uwagę.

- No cóż... - Nonszalanckim ruchem złożył karty. - Zaprowadzę panią do pokoju.

Pierce był tak samo zdziwiony wyciągniętą przez Ryan kartą jak ona sama. Wiedział jednak, że rzeczywistość często była dziwniejsza niż iluzje. Miał dużo pracy, jednak siedząc w swojej sypialni myślał o Ryan.

Gdy się uśmiechała, widział w niej jakąś promienną siłę życia.

Ryan Swan. Pierce zdjął koszulę i odrzucił na bok. Nie był jej do końca pewien. Miał szczerą intencję podpisać wszystkie dokumenty, dopóki jej nie zobaczył. Instynkt nakazał mu wstrzeźliwość. Pierce ufał swojej

intuicji. A teraz musiał to wszystko przemyśleć.

Karty nie miały na niego najmniejszego wpływu. Jednak zbiegi okoliczności na niego oddziaływały. To było niezwykle, że Ryan chwyciła za kartę z wizerunkiem kochanków, kiedy on właśnie myślał o tym, jakby to było mieć ją w ramionach.

Może i mądrze byłoby podpisać dokumenty i odesłać ją rano do L. A. Kobieta nie była mu potrzebna, ale Pierce nie zawsze robił to, co było mądre. Jeśli tak by było, to nadal występowałby w małych knajpach. Teraz zmieniał kobiety w pantery i przechodził przez mury z litej cegły.

Hokus - pokus! Czary - mary! I nikt nie pamiętał lat poświęconych na budowanie kariery, wypełnionych frustracją i niepowodzeniami. Wszystko jednak toczyło się tak, jak zaplanował. Niewielu ludzi pamiętało, skąd pochodził i kim był w młodości.

Ryan Swan go niepokoiła. Postanowił zejść na dół i trenować, dopóki nie oczyści umysłu. I wtedy właśnie usłyszał jej krzyk.

Przekłete salonowe sztuczki - myślała. Artyści. Powinna była już przywyknąć do ich wybryków. Nie mogła jednak się zgodzić z własnymi wnioskami. Pierce Atkins nie był niepewnym siebie człowiekiem, zarówno na scenie jak i w życiu prywatnym. I przysięgłaby, że widziała jego zdziwienie, gdy wyciągnęła kartę. W końcu ten facet to aktor.

Pierce napawał ją niepokojem, nawet zanim zaczął bawić się kartami.

Wytłumaczyła sobie wszystko jego silną osobowością. Tak, był zdecydowanie pociągający i bardzo przystojny.

Ryan aż podskoczyła, gdy rozbłysła błyskawica. Nie

powiedziała Pierce'owi całej prawdy - burze z piorunami przerażały ją. Nienawidziła tej słabości. A Pierce miał rację - Bennett Swan chciał mieć syna. Przez całe swoje życie Ryan musiała ciężko pracować, żeby spełnić oczekiwania ojca.

Podeszła do okna. Za szybą coś się w nią wpatrywało. Krzyknęła z przerażenia. Jednym susem pokonała pokój. Spocona dłoń ślizgała się na gałce do drzwi. Gdy Pierce je otworzył, rzuciła się mu w ramiona.

- Co jest? - Czuł jej ciało przyciskające się do niego z całej siły. Mimo troski i ciekawości, Pierce poczuł przypływ pożądania. Zirytowany odsunął ją i zapytał: - Co się stało?

- Okno. Coś za oknem koło łóżka.

Podszedł do okna. Ryan zasłoniła usta dłońmi i cofnęła się, zatrzasnąwszy plecami drzwi.

Usłyszała ciche przekleństwo Pierce'a, kiedy sięgał za okno.

- O Boże, a to co?

- To Circe. - Postawił kota na podłodze. - Nie wiedziałem, że została na dworze. - Odwrócił się do Ryan. Gdyby teraz się roześmiała, nigdy by mu tego nie wybaczyła. W jego oczach pojawiły się przeprosiny, a nie rozbawienie. - Musiała cię bardzo przestraszyć.

- Mogłeś mi powiedzieć, że masz jakieś inne zwierzęta domowe. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

Pierce milczał. Ryan dostrzegła, że jego oczy sunęły w dół jej ciała. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ma na sobie tylko cieniutką jedwabną halkę. Wyprostowała się, ale gdy jego spojrzenie napotkało jej oczy, nie potrafiła się poruszyć ani nic powiedzieć.

Powiedz mu, żeby sobie poszedł! - krzyczał jej

umysł, ale z jej ust nie popłynęły żadne słowa. Nie potrafiła przestać wpatrywać się w jego oczy. Gdy się przed nią zatrzymał, odchyliła głowę do tyłu, by nie zerwać kontaktu wzrokowego.

Pragnę go. Przeraziła ją ta myśl. Pierce położył palec na jej ramieniu i zsunął ramiączko halki. Wpatrywał się w nią intensywnie, gdy opuszczał drugie ramiączko. Halka zsunęła się do wysokości jej piersi i przylgnęła do ciała. Nieuważny ruch dłonią mógłby zsunąć ją na podłogę. Ryan stała jak sparaliżowana.

Pierce przysunął się bliżej, ale z wahaniem. Wargi Ryan drżały.

Ledwie dotknął jej ust, tylko posmakował. Później przedłużył pocałunek. To była obietnica czy groźba? Ryan nie była tego pewna. W odruchu samoobrony objęła palcami jego ramiona. Teraz myślała tylko o jego ustach.

Powoli pogłębiał pocałunek. Językiem leciutko dotykał jej języka. Załedwie dotknął jej włosów, a jej całe ciało kusiło. Z pocałunku wysysał każdy gram rozkoszy.

Tak mocnego, wręcz bolesnego pożądania nie czuł już od wielu lat. A chciał ją tylko posmakować. Była jednocześnie słodka i cierpka. Wiedział, że przyjdzie czas na więcej, ale teraz musiały mu wystarczyć tylko jej usta.

Podniósł głowę. Czekał, aż Ryan otworzy oczy.

Jej zielone oczy pociemniały z przejęcia. Wiedział, że jest tak samo zaskoczona co podniecona tą sytuacją. Wiedział, że mógłby ją mieć całą, tu i teraz. Wystarczyło, że jeszcze raz ją pocałuje. Wystarczyło tylko zsunąć odrobinę jedwabiu z jej ciała. Ale nie zrobił tego. Ryan opuściła ramiona. Pierce odsunął się bez słowa i otworzył drzwi. Kot zeskoczył z łóżka i zniknął w drzwiach, zanim Pierce zdążył je zamknąć.

ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego ranka ubierała się starannie. Wiedziała, że gdy zejdzie na dół, powinna być opanowana. Byłoby jej o wiele łatwiej, gdyby mogła sobie wmówić, że to wszystko jej się tylko śniło. Ale to nie był sen.

Ryan była zbyt wielką realistką, by udawać, że to się nie wydarzyło lub szukać sobie jakichś usprawiedliwień. Zachowała się jak głupiec. Do tego rzuciła się w ramiona Pierce'a. No i nie zaprotestowała ani słowem na dalsze wydarzenia. Chciała tego pocałunku. I poszłyby z nim do łóżka. Nie mogła temu zaprzeczyć. Gdyby tylko został, kochałaby się z nim.

Wzięła głęboki oddech i postanowiła się odprężyć. Kobiecie, która ceniła się za zdrowy rozsądek i praktyczność, trudno było stanąć twarzą w twarz z prawdą, że okazała słabość. Przyjechała do Pierce'a Atkinsa podpisać kontrakt, a nie się z nim przespać.

Teraz nadszedł czas skoncentrować się na tym pierwszym i odrzucić to drugie. Otworzyła drzwi i zeszła po schodach.

W domu było cicho. Zajrzała do pustego salonu i poszła dalej korytarzem. Otwarte drzwi przyciągnęły jej uwagę. Zajrzała do pokoju i omal nie zabrakło jej tchu.

Wszystkie ściany były wypełnione półkami z książkami. Weszła do środka.

„Tajemnice Roberta Houdiniego”, „Na krawędzi nieznanego”, „Les Illusionnistes et Leur Secret”, te i mnóstwo innych książek o iluzji i iluzjonistach, których można się było spodziewać. Ale były tam jeszcze książki T. H. White'a, Szekspira, Chaucera, poematy Byrona i Shelleya.

Bardzo eklektyczny zbiór - pomyślała Ryan. Kim jest ten człowiek? - zastanawiała się. Kim jest naprawdę?

- Pani Swan?

Ryan odwróciła się i zobaczyła Linka.

- Dzień dobry.

- Pan Atkins powiedział, że po śniadaniu może pani poczekać na niego na dole.

- Gdzieś wyjechał?

- Nie, biega. Zrobię pani śniadanie.

- Wystarczy mi herbata. - Nie wiedziała, jak się do niego zwrócić, więc żeby się nie zasapać goniąc za nim, złapała go za ramię i Link zatrzymał się. - Widziałam wczoraj twoje kompozycje na pianinie. To naprawdę piękna melodia.

Ku jej zdziwieniu Link zarumienił się.

- Jeszcze nie jest skończona - mruknął.

- Masz wielki talent.

Choć specjalnie przedłużała śniadanie, to Pierce się nie pojawił. W końcu nie wytrzymała, westchnęła, wzięła aktówkę i zeszła po schodach.

Ktoś włączył wszystkie światła.

Ryan dostrzegła Merlina w klatce i podeszła do niego. Drzwiczki były otwarte, więc stanęła z boku, by mu się przypatrzeć.

- Dzień dobry - powiedziała do kruka.

Merlin popatrzył na nią.

- Postawić ci drinka, złotko?

Ryan roześmiała się.

- Co jeszcze umiesz powiedzieć? - zastanawiała się na głos. - Założę się, że on nauczył cię kilku zwrotów.

- Alas, biedny Yorick!

- O rany, ptaszysko cytuje „Hamleta”.

Kręcąc z niedowierzaniem głową Ryan odwróciła się w stronę sceny. Stały na niej dwie wielkie skrzynie, wiklinowy kosz i długi stół. Ciekawe - pomyślała. Odstawiła aktówkę i weszła po schodkach. Na stole leżała talia kart, dwa puste cylindry, butelki z winem, kieliszki i kajdanki.

Ryan zbadała kajdanki. Szukała wzrokiem kluczyka, ale go nie znalazła.

Czytała dużo o swoim gospodarzu. Ponoć nie istniały zamknięcia, z których nie potrafiłby się wydostać.

- Dzień dobry.

Ryan upuściła kajdanki i odwróciła się. Pierce stał tuż za nią. Ale nie słyszała, żeby schodził.

- Dzień dobry.

- Mam nadzieję, że dobrze pani spała? Czy burza już pani nie niepokoiła?

- Nie.

Pierce uśmiechnął się i wykonał ruch ręką.

- Co tu pani widzi?

- Pana narzędzia pracy.

- Ach, pani zawsze twardo stąpa po ziemi.

- A co niby miałabym widzieć?

Wydawał się być zadowolony z odpowiedzi i nalał odrobinę wina do kieliszka.

- Imaginacja, panno Swan, to niezwykle dar. Chyba musi się pani z tym zgodzić?

- Tak, oczywiście. - Dokładnie przyglądała się jego dłoniom. - Ale tylko do pewnego momentu.

- Do pewnego momentu. - Uśmiechnął się i wskazał na puste cylindry. - Czy imaginacja może podlegać jakimś ograniczeniom? - Wsunął jeden cylinder w drugi. - Czyż nie jest interesujące, że siły umysłu są potężniejsze od sił

natury? - Pierce okrył butelkę wina cylindrami.

Ryan skupiła się na jego dłoniach.

- W teorii.

- Ale tylko w teorii. - Pierce wysunął jeden cylinder i okrył nim kieliszek. Podniósł pierwszy cylinder pokazując, że nadal jest w nim butelka. - Nie w praktyce.

- Nie. - Ryan cały czas patrzyła na jego dłonie.

- Gdzie jest kieliszek, panno Swan?

- Tutaj. - Wskazała na drugi cylinder.

- Naprawdę? - Pierce podniósł cylinder. Pod nim stała butelka.

Ryan westchnęła zdziwiona i spojrzała na drugi cylinder. Pierce uniósł go, odsłaniając częściowo napełniony winem kieliszek.

- Jak widać teoria przemieniła się w praktykę - oświadczył i opuścił cylinder.

- Niezłe - skomentowała poirytowana, że stała tak blisko i nie zauważyła triku.

- Napije się pani wina?

- Nie, ja...

Zanim skończyła zdanie, Pierce podniósł cylinder i tam, gdzie wcześniej Ryan widziała butelkę, stał kieliszek. Roześmiała się.

- Jest pan bardzo sprytny.

- Dziękuję.

Powiedział to tak poważnie, że Ryan spojrzała mu w oczy. Wyrażały spokój i zamyślenie. Zaintrygowana zapytała:

- Nie podejrzewam, żeby chciał mi pan wyjawić sekret, jak pan to zrobił?

- Nie.

- Tak myślałam. - Podniosła kajdanki. - Czy

kajdanki też będą częścią pańskiego występu? Wyglądają na prawdziwe.

- Bo są prawdziwe. - Znowu się uśmiechał, ciesząc się, że się śmiała. Wiedział, że zawsze będzie słyszał ten śmiech, gdy tylko o niej pomyśli.

- Nie ma kluczyka - zauważyła Ryan.

- Bo nie jest potrzebny.

- Jest pan bardzo pewny siebie.

- Tak. Proszę mi je założyć. Ryan zawahała się przez chwilę.

- Jeśli nie będzie pan mógł ich zdjąć, to przynajmniej posiedzimy i porozmawiamy o kontrakcie - oświadczyła, zaciskając mu kajdanki na nadgarstkach. - Gdy już pan podpisze dokumenty, pošemy po ślusarza.

- Chyba nie będę go potrzebował. - Pierce wyciągnął rękę z otwartymi kajdankami.

- Ale jak pan... - zamilkła. - Nie, to było za szybko - stwierdziła, zabierając mu kajdanki. Pierce'owi podobało się, jak zmieniał się wyraz jej twarzy. - Musiał pan je jakoś przerobić. Tu musi być jakiś guziczek albo mechanizm zwalniający.

- To proszę samej spróbować - zaproponował i zacisnął jej kajdanki na nadgarstkach, zanim zdołała zaprotestować.

Manipulowała palcami i wykręcała nadgarstki we wszystkie strony, ale kajdanki nadal były zaciśnięte. Szarpała się przez chwilę, a potem próbowała wysunąć dłoń.

- No dobrze. Wygrał pan. To są prawdziwe kajdanki.

- Ryan uśmiechnęła się. - Może je pan zdjąć?

- Może - mruknął, ujmując jej nadgarstki.

- To pocieszająca odpowiedź - odparła lakonicznie,

ale obydwójce poczuli, jak przyspieszył jej puls.

Pierce patrzył na nią, dopóki nie poczuła tej samej słabości, co poprzedniego dnia. - Myślę, że powinien pan...
- zamilkła, gdy zaczął pocierać palcami wewnętrzną stronę jej nadgarstków.

Milcząc, Pierce uniósł jej ręce i przełożył sobie przez głowę. Stali teraz bardzo blisko siebie.

Ryan postanowiła, że tym razem mu się przeciwstawi.

- Nie - zdążyła mruknąć, ale tym razem jego usta i dłonie nie były już tak cierpliwe jak poprzednio.

Pierce oparł dłonie na jej biodrach, a jego język rozdzielał jej wargi. Jęknęła z rozkoszy, gdy jego dłonie ujęły jej piersi. Ryan przycisnęła się do niego, ssąc jego dolną wargę. Jego dłonie zawędrowały do jej włosów, a usta przejęły całkowitą kontrolę nad jej wargami.

Może to była magia. Nikt inny nie potrafiłby tak jej rozpalić samym pocałunkiem.

Ryan chciała go dotknąć, chciała, by poczuł głód taki sam jak ona. Pomyślała z niechęcią o kajdankach, ale nagle poczuła, że jej dłonie są wolne.

I wtedy, tak szybko, jak ją spętał, tak samo szybko uwolnił od siebie. Oparł dłonie na jej ramionach, odsuwając ją od siebie.

Zdezorientowana spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego?

Milczał jeszcze przez moment.

- Chciałem pocałować miss Swan. Wczoraj całowałem Ryan.

- Żartuje pan! - Chciała się wyrwać, ale ją przytrzymał.

- Nie. Pani Swan nosi tradycyjne garsonki i martwi

się kontraktami. Ryan nosi jedwabne halki i koronki, i boi się burzy. Fascynuje mnie to połączenie.

Jego słowa sprawiły jej przykrość.

- Nie jestem tutaj, by pana fascynować, panie Atkins.

- To taka dodatkowa premia. - Uśmiechnął się i pocałował jej palce. Ryan pospiesznie cofnęła dłoń.

- Powinniśmy zakończyć już sprawę umowy. W taki lub inny sposób.

- Ma pani rację, panno Swan.

Nie podobała jej się ta nutka rozbawienia, z jaką wymawiał jej nazwisko. Ryan uświadomiła sobie, że nie przejmuje się już tym, czy podpisze kontrakt, czy nie. Chciała mieć to za sobą.

- Dobrze. - Pochyliła się, by sięgnąć po aktówkę. Pierce położył swoją dłoń na jej dłoni.

- Jestem gotów podpisać umowę z pewnymi poprawkami.

- Chętnie omówię wszelkie zmiany, które chciałby pan wprowadzić.

- Chcę, żeby to pani zajęła się całą produkcją.

- Ja nie zajmuję się sprawami produkcji. Mój ojciec...

- Nie będę współpracował z pani ojcem ani z żadnym innym producentem. Chcę współpracować z panią.

- Bardzo doceniam...

- Będę potrzebował pani w Vegas za dwa tygodnie. Chcę, by przyjrzała się pani moim przedstawieniom z bliska. Nie ma nic cenniejszego dla iluzjonisty niż opinia cynika. Dzięki pani wyostrzę umiejętności. - Uśmiechnął się. - Bardzo mi się podoba, że jest pani taka krytyczna.

- Panie Atkins, ja zajmuję się negocjacjami umów, a

nie produkcją.

- Sama pani powiedziała, że jest skrupulatna i dba o szczegóły - przypomniał. - Jeśli mam złamać własne zasady i występować dla telewizji, to chcę, żeby to właśnie pani się wszystkim zajęła.

- Nie jest pan zbyt praktyczny. Jestem pewna, że pana agent powiedziałby to samo. W Swan Productions jest wiele osób, które mają odpowiednie kwalifikacje, by wyprodukować program z pana udziałem. Ja nie mam żadnego doświadczenia w tej dziedzinie.

- Panno Swan, czy chce pani, żebym podpisał tę umowę?

- Tak.

- To proszę wprowadzić zmiany - odparł. - I proszę przyjechać do Ceasar's Palace za dwa tygodnie. Mam występy przez cały tydzień. Nie mogę się doczekać współpracy z panią.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdy cztery godziny później weszła do swojego pokoju w siedzibie Swan Productions, nadal przepełniały ją emocje. Ależ on ma tupet - pomyślała. Czy on poważnie sobie myślał, że jest jedynym wybitnym nazwiskiem, które ona mogła pozyskać do współpracy ze Swan Productions? Co za zarozumiałość!

Czekała, aż się uspokoi, by spokojnie wszystko przemyśleć. Pierce nie znał Bennetta Swana, który lubił prowadzić biznes po swojemu. Przyjmował porady, przedyskutowywał je, ale nigdy nie udawało się wpłynąć na jego najważniejsze decyzje. Najczęściej robił zupełnie odwrotnie. Na pewno nie spodoba mu się to, że ktoś wtrąca się w wyznaczanie kandydata na szefa produkcji. Szczególnie, że chodziło o jego własną córkę.

Swan z pewnością wybuchnie, gdy przedstawi mu warunki Pierce'a. Żałowała jedynie, że nie będzie z nią iluzjonisty, żeby sam mógł poczuć siłę uderzeniową eksplozji. Ojciec znajdzie sobie inne słynne nazwisko do pozyskania do programu telewizyjnego, a Pierce wróci do swoich sztuczek ze znikającymi butelkami wina.

Ryan pogrążyła się w rozmyślaniach. Dotarło do niej, że ostatnią rzeczą, jaką chciałaby robić, było martwienie się o próby i terminy zdjęć, i tysiące innych irytujących detali związanych z produkcją programu telewizyjnego. A co ona wiedziała o kwestiach technicznych, podziale pracy i reżyserii planu? Produkcja to bardzo skomplikowana sprawa. Nigdy nie czuła chęci, by spróbować się w tej dziedzinie. Była zadowolona ze swojej pracy. Ale za to jak wspaniale byłoby nadzorować projekt od początku do końca.

Kiedy próbowała przekonać ojca, by dał jej szansę rozwinąć skrzydła, to jakby waliła głową w ścianę. Odmawiał, bo nie miała doświadczenia, bo była za młoda. Jakoś zapominał, że przecież przez całe życie kręciła się wokół biznesu ojca i że za miesiąc kończy dwadzieścia siedem lat.

Podobał jej się pomysł przeprowadzenia projektu produkcyjnego od podpisania umów po przyjęcie z okazji jego finalizacji. Ale nie chciała tego projektu. Tym razem radośnie przyzna się do porażki i rzuci dokumenty Atkinsa prosto na kolana tatusia. Miała dosyć dumy, by zebrać się w sobie i nie poddawać żadnemu ultimatum.

Zmienić warunki umowy. Uśmiechając się szyderczo, otworzyła aktówkę. Za dużo chciał od niej wydusić, a teraz... Na wierzchu dokumentów leżała róża. Jak on to zrobił? - Roześmiała się. Ten facet jest bystry - pomyślała. Co to za diabeł? Co go nakreca? Ryan zapragnęła poznać prawdę. Może nawet będzie to warte wybuchu ojca i odrobiny partyzanckich podchodów.

Człowiek, który mówił po cichu i potrafił wydawać komendy samymi oczami, z pewnością miał bogatą osobowość. Ile warstw tej osobowości będzie musiała odkryć, żeby dostać się do prawdy? To będzie ryzykowne, ale... Kręcąc głową, przypomniała sobie, że przypuszczalnie nie dostanie nawet szansy, by się o tym przekonać. Ojciec pewnie podpisze umowę tylko na własnych warunkach albo ją odrzuci. Pierce Atkins jest teraz jego problemem. A jej pozostała tylko róża.

Odezwał się brzęczyk na biurku.

- Tak, Barbaro?

- Szef chce panią widzieć.

- Już idę.

Bennett Swan kochał córkę i nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że jest doskonałym ojcem. Dawał Ryan wszystko, co tylko można kupić za pieniądze: najlepsze ubrania, irlandzką nianię po śmierci matki, kosztowne wykształcenie, stanowisko, gdy wyraziła chęć do pracy.

Był zmuszony przyznać przed samym sobą, że jego córka miała bystry umysł, potrafiła przebijać się przez biznesowy bełkot i docierać do sedna spraw. Bennett Swan był bardzo dumny ze swojej córki.

Ryan zapukała do drzwi i weszła do środka.

- Chciałeś się ze mną widzieć? - Ryan czekała na sygnał, czy może usiąść. Swan szerokim ruchem wskazał na fotel. Patrząc na niego, poczuła znajomą falę miłości i jednocześnie frustracji. Zdawała sobie sprawę z jego braku umiejętności okazywania uczuć.

- Jak oceniasz Atkinsa? - zaczął.

- Jest wyjątkowym człowiekiem. Ma niezwykle talent i bardzo silną osobowość.

- Ekscentryk?

- Poniekąd. Ale nie robi nic, żeby to ciągle udowodniać. Uważam, że to wartościowy człowiek, który żyje dokładnie tak, jak sobie zaplanował. Jego profesja jest dla niego czymś więcej niż tylko zarabianiem pieniędzy.

- Prawdziwa żyła złota.

- Tak, bo jest prawdopodobnie najlepszy w swojej branży, a do tego dynamiczny na scenie i tajemniczy w życiu prywatnym. Wygląda, jakby zamknął na kłódkę wczesne lata swojego życia i wyrzucił klucz.

- A co z umową?

- Jest gotów ją podpisać, ale stawia dodatkowe warunki.

- Wspomniał mi o tych warunkach - przerwał jej Swan.

- Powiedział ci?

- Zadzwoił kilka godzin temu. Powiedział, że jesteś cyniczna i przejmujesz się każdym szczegółem. I stwierdził, że kogoś takiego właśnie potrzebuje.

- Ja po prostu uważam, że ta iluzja to zwykłe sztuczki - odparła zirytowana. - Ma zwyczaj pokazywania swojej magii w codziennym życiu. To może jest efektowne, ale przeszkadza podczas rozmów o interesach.

- Obrażenie go przypuszczalnie go nakręciło.

- Nie obraziłam go! - Ryan wstała. - Zrobiłam wszystko, żeby zdobyć jego podpis, oprócz pozwolenia na przecięcie mnie piłą na pół! - Rzuciła papiery na biurko. - Są pewne granice, do których mogę zabawiać geniuszy!

- Powiedział też, że nie przeszkadza mu twoje usposobienie, bo przynajmniej się z tobą nie nudził.

Ryan usiadła.

- No dobrze, powiedziałaś mi, co on powiedział tobie. A co ty powiedziałaś jemu?

- Powiedziałem mu, że dopniemy interesu.

- Co? - Ryan omal się nie zakrzusiła. - Zgodziłeś się? Dlaczego?

- Bo go potrzebujemy. A on potrzebuje ciebie.

- Czy mam coś do powiedzenia w tej sprawie?

- Dopóki pracujesz u mnie, to nie. - Swan spojrział na umowę. - Coś takiego od dawna chodziło mi po głowie.

Chcę dać ci szansę. Tylko pamiętaj... Będę cię obserwował. Jeśli coś spieprzysz, odsunę cię od tego projektu.

- To będzie najlepszy program, jaki kiedykolwiek powstał w Swan Productions.

- Dopilnuj tego. I nie przekrocz budżetu. Wprowadź zmiany i wyślij nową wersję jego agentowi. Chcę, żeby podpisał papiery do końca tygodnia.

- Dobrze. - Ryan ruszyła do drzwi.

- Atkins powiedział, że będzie wam się dobrze razem pracowało - dodał Swan, gdy otworzyła drzwi. - Powiedział, że wyszło mu to z kart.

Ryan rzuciła mu przez plecy wściekłe spojrzenie i zatrzasnęła drzwi.

Kiedy sporządziła nowe umowy, zamyśliła się.

Pokonała już moment, gdy mogła powiedzieć, że osiągnęła to, czego chciała. Postanowiła spojrzeć na tę całą sprawę pod innym kątem. Swan Productions pozyska Pierce'a na trzy pełnometrażowe programy, których ona będzie producentem.

Ryan Swan - szef produkcji. Podobał jej się ten tytuł. Wyciągnęła swój terminarz i zaczęła kalkulować, kiedy uda jej się zakończyć bieżące projekty i całkowicie zająć się produkcją.

Od godziny grzebała w swoich papierach, gdy nagle zadzwonił telefon.

- Ryan Swan, słucham.

- Panno Swan, przepraszam, że przeszkadzam.

Nikt inny nie mógł zwrócić się do niej „panno Swan” w taki sposób.

- W czym mogę pomóc? - Roześmiał się doprowadzając ją do irytacji. - Co w tym śmiesznego?

- Ma pani piękny, biznesowy głos. Pomyślałem sobie, że z pani zamiłowaniem do szczegółów na pewno będzie chciała pani poznać daty, kiedy chciałbym mieć panią przy sobie w Vegas.

- Umowa nie jest jeszcze podpisana, panie Atkins.

- Zaczynam piętnastego - oświadczył niewzruszony.
- Ale próby rozpoczynają się już dwunastego. Chciałbym, żeby pani na nie przybyła. - Ryan zmarszczyła brwi, zapisując daty. - Występy kończę dwudziestego pierwszego. - Ryan zauważyła, że to data jej urodzin.

- W porządku. Moglibyśmy zacząć omawianie szkicu pierwszego programu w tygodniu zaraz po pana występach.

- Dobrze. - Pierce zamilkł na moment. - Zastanawiam się, czy mógłbym panią o coś prosić, panno Swan.

- Słucham.

- Mam coś do załatwienia w L. A. Jedenastego. Mogłaby mi pani towarzyszyć?

- O której?

- O drugiej.

- Dobrze. Gdzie się spotkamy?

- Przyjadę po panią o wpół do drugiej.

- Dobrze. I dziękuję za różę.

- Proszę bardzo, Ryan.

Pierce odłożył słuchawkę i pogrążył się w rozmyślaniach.

- Co o niej myślisz, Link?

Wielki mężczyzna układał książki na półkach.

- Ładnie się śmieje.

- Też tak uważam. - Pierce doskonale go pamiętał. Jej śmiech i namiętność były zadziwiające.

- Powiedziała, że podoba jej się moja muzyka - mruknął Link.

Pierce podniósł wzrok, wracając do rzeczywistości. Znał wrażliwość Linka na muzykę.

- Bardzo jej się podobała. Powiedziała, że utwór,

którego nuty zostawiłeś na pianinie, jest piękny.

Link skinął głową, wiedząc, że Pierce zawsze mówi prawdę.

- Spodobała ci się, prawda?

- Tak - odparł Pierce automatycznie.

- Więc chyba zrobisz ten program dla TV?

- To dla mnie wyzwanie.

Link odwrócił się.

- Pierce?

- Hm?

- Zrobisz ten nowy numer z ucieczką w Las Vegas?

- Nie. Jeszcze wszystkiego nie opracowałem. Ale zrobię go podczas nagrania.

- Nie podoba mi się ten numer - odpowiedział szybko Link. - Zbyt wiele rzeczy może się nie udać.

- Wszystko pójdzie dobrze. Po prostu będę musiał dłużej nad tym popracować.

- Masz za mało czasu. Mógłbyś wprowadzić kilka zmian albo odłożyć to na później. Nie podoba mi się ten numer.

- Nie przejmuj się - uspokajał go Pierce. - Wszystko będzie dobrze. Muszę tylko dopracować kilka detali.

Ale nie myślał o szczegółach swoich iluzji. Myślał o Ryan.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ryan co chwilę spoglądała na zegarek. Piętnaście po pierwszej. Dni minęły dość szybko, za to ostatnie minuty wlokły się okropnie. Siedemnaście po pierwszej. Spoglądała na zegarek, jakby czekała na randkę, a nie na biznesowe spotkanie. Gdy usłyszała pukanie do drzwi, aż podskoczyła.

- Proszę.

- Cześć, Ryan.

Była niezadowolona, widząc Neda.

- Witaj, Ned.

Ned był drugim asystentem jej ojca. Przez wiele miesięcy był także jej sympatią. Przeżyła bolesne rozczarowanie, gdy odkryła, że bardziej był zainteresowany kultywowaniem znajomości z córką Bennetta Swana niż z samą Ryan.

- Skończyłam porządki w papierach - oświadczyła, odkładając teczkę z dokumentami. Nadal trudno było jej uwierzyć, że ta ładna, opalona twarz i przyjemny uśmiech maskowały ambitnego kłamcę. - Zamierzałam sama poinformować ojca o moich działaniach.

- Jest zavalony pracą. - Ned wziął teczkę do ręki i przewertował dokumenty. - Właśnie wyleciał do Nowego Jorku obejrzeć miejsce kręcenia programu. Wróci pod koniec tygodnia.

- Aha. - Ryan spuściła wzrok. - No dobrze, możesz mu powiedzieć, że wszystko zrobiłam, jak trzeba. - Wyjęła mu teczkę z ręki.

- Jak zwykle efektywna. - Ned uśmiechnął się, ale nie zrobił żadnego ruchu w stronę drzwi. - I jak się czujesz jako przyszła producentka?

- Nie mogę się tego doczekać.

- A ten Atkins... To jakiś dziwak, co?

- Nie znam go - odparła wymijająco Ryan. Nie chciała z nim dyskutować na temat Pierce'a. - Ned, mam spotkanie za kilka minut, muszę cię przeprosić... - oświadczyła, wstając z fotela.

- Ryan. Tęskniłem za tobą przez te kilka tygodni. Złóścisz się za tę głupią prośbę.

- Za to, żebym użyła mojego wpływu na ojca, by zrobił cię szefem produkcji O'Mara? - Ryan uniosła brwi. - Nie, Ned - kontynuowała spokojnym tonem. - Nie gniewam się na ciebie. Słyszałam, że Bishop dostał tę robotę. Mam nadzieję, że nie jesteś zawiedziony?

- To nie ma znaczenia. Chodźmy dziś na kolację. Może do tej małej francuskiej knajpki, którą tak lubisz? Moglibyśmy pojechać gdzieś na plażę i pogadać.

- A nie pomyślałeś, że ja mogę mieć w tym czasie randkę?

Faktycznie, nie pomyślał o tym, że ona może się z kimś spotykać. Był pewien, że cały czas szaleje tylko za nim. Dużo czasu i wysiłku poświęcił, żeby tak właśnie czuła.

- Zerwij z nim - mruknął i pocałował ją w usta, nie zauważając, że jej oczy są zimne.

- Nie.

Nie spodziewał się tak zdecydowanej odmowy.

- Ryan, przestań, nie bądź taka...

- Daj mi spokój.

- Dzień dobry, panno Swan. - Pierce uklonił się uprzejmie.

- Dzień dobry, panie Atkins. - Ryan spąsowiała.

- Dzień dobry, panie Ross. - Pierce wszedł do

gabinetu, ale nie wyciągnął do Neda ręki.

- Miło pana widzieć. Jestem pana wielkim fanem.

- Naprawdę? - Pierce uśmiechnął się uprzejmie, ale w taki sposób, że Ned musiał poczuć się, jakby został wrzucony do bardzo zimnej i ciemnej piwnicy.

- Baw się dobrze w Vegas - zwrócił się Ned do Ryan.

- Do widzenia, panie Atkins - powiedział i wyszedł.

- Co pan mu zrobił?

- A jak pani myśli?

- Nie wiem. Ale cokolwiek to było, proszę nigdy mi tego nie zrobić.

- Masz zimne ręce, Ryan. - Pierce ujął jej dłonie.

- Dlaczego nie powiedziałaś mu po prostu, by sobie poszedł?

- Zrobiłam to... to znaczy... byłam... Lepiej już chodźmy, jeśli ma pan zdążyć załatwić swoją sprawę.

- Panno Swan. - Oczy Pierce'a były rozbawione, gdy podniósł jej dłonie do ust. Nie były już zimne. - Brakowało mi tej poważnej miny i profesjonalnego tonu. - W milczeniu opuścili siedzibę firmy Swan Productions.

Gdy wsiedli do samochodu Pierce'a i włączyli się do ruchu, Ryan próbowała nawiązać luźną rozmowę. Jeśli mieli współpracować, musiała mieć z nim poprawne relacje.

- Co to za sprawa do załatwienia?

- Długo by mówić - odparł enigmatycznie. - Nie lubisz asystenta swojego ojca?

Ryan zeszywniała. On zaatakował, a ona musiała się bronić.

- Dobrze wypełnia swoje obowiązki.

- Dlaczego go okłamałaś? - zapytał. - Mogłaś mu

powiedzieć, że po prostu nie chcesz z nim zjeść kolacji, zamiast udawać, że masz randkę.

- A skąd pan wie, że udawałam? - odparła impulsywnie.

- Po prostu zastanawiałem się, dlaczego uważałaś, że musisz tak powiedzieć.

- To moja sprawa, panie Atkins.

- Moglibyśmy skończyć z tym „panem Atkinsem” choćby na dzisiejszy wieczór? - zapytał Pierce, wjeżdżając na parking i uśmiechając się do niej czarująco.

- Możemy - odparła, wyginając usta w podkówkę. - Ale tylko na ten wieczór.

Gdy wyszli z samochodu, Ryan zdała sobie sprawę, że znaleźli się na parkingu szpitala miejskiego Los Angeles.

- Po co tutaj przyjechaliśmy?

- Mann tu mały występ.

Ryan nie spodziewała się, że spędzi popołudnie na oddziale pediatrycznym miejskiego szpitala. Nie spodziewała się także, że Pierce Atkins ma tak dobry kontakt z dziećmi. Po pierwszych pięciu minutach przedstawienia zauważył a, że oprócz iluzjonistycznych sztuczek dał dzieciom całego siebie.

Przebiegł po niej dreszcz, gdy wreszcie dotarło do niej, że jest wspaniałym mężczyzną. Bilety na jego przedstawienia w Vegas kosztują po trzydzieści pięć dolarów, publiczność wypełnia cały Covent Garden, a tutaj przyjechał ucieszyć swoim występem chore dzieci. Nie było żadnych reporterów. Poświęcał swój czas i talent, by dać dzieciom trochę radości.

Choć nie zdawała sobie z tego sprawy, właśnie wtedy się w nim zakochała.

Obserwowała jego sztuczki ze znikającymi piłeczkami, wyciąganymi później z ucha piszczącego z radości chłopca.

Cały oddział klaskał. Musiało to znaczyć więcej dla Pierce'a niż burza oklasków na scenie po jakiejś skomplikowanej iluzji. Jego korzenie były tu, wśród dzieci. Nigdy tego nie zapomniał. Aż za dobrze pamiętał antyseptyczny i kwiatowy zapach izolatek i szpitalnego łóżka.

- Zauważyłyście, że przyprowadziłem ze sobą piękną asystentkę. - Pierce wskazał na Ryan. Zdziwiła się, a on tylko się uśmiechnął. - Żaden magik nie podróżuje bez swojej asystentki. To jest Ryan. - Wyciągnął do niej rękę. Ryan nie miała innego wyjścia, musiała wśród oklasków do niego dołączyć.

- Co ty wyczyniasz? - zdążyła zapytać szeptem.

- Robię z ciebie gwiazdę - odparł, zanim odwrócił się znów do dzieci na łóżkach i wózkach inwalidzkich. - Ryan zapewne powie wam, że ma taki miły uśmiech dzięki picciu mleka, prawda?

- Ooo... tak!

Co on robi? - zastanawiała się, patrząc na buzie dzieci.

- Jestem pewien, że wszyscy wiecie, że mleko jest bardzo ważne dla waszego zdrowia.

Sądząc po rozlegających się jękach, to stwierdzenie nie spotkało się ze zbyt entuzjastycznym przyjęciem małej publiczności. Pierce zrobił zdziwioną minę, gdy sięgnął do torby i wyciągnął z niej szklanekę wypełnioną do połowy białym płynem. Nikt nie zapytał, dlaczego się zupełnie nie wylało.

- Chyba wszyscy pijecie mleko? - Tym razem

usłyszał więcej śmiechu, ale też więcej jęków. Kręcąc głową, Pierce wyciągnął gazetę i zaczął składać ją w rożek. - To jest bardzo trudna sztuczka. Nie wiem, czy mi się uda, jeśli nie obiecacie, że wypijecie dziś wieczorem po szklance mleka.

Natychmiast rozległ się chór obietnic.

- Och, ja też obiecuję - przyznała Ryan i uśmiechnęła się. Dała się ponieść zabawie tak jak dzieci.

- Zobaczmy, co się teraz stanie. Jak myślisz? Uda ci się przelać mleko ze szklanki do gazety? - Zwrócił się do Ryan, podając jej szklankę. - Przelewaj powoli - ostrzegł, robiąc oko do publiczności. - Chyba nie chcemy wylać mleka. To jest magiczne mleko. Takie, które tylko magicy mogą pić. - Pierce przytrzymał jej dłoń na skraju rożka z gazety, tuż powyżej jej linii wzroku.

Jego dłoń była ciepła i silna. Pachniał wspaniale, jak świeże powietrze, może las. Ale nie sosnowy, tylko jakiś ciemniejszy. Jej reakcja na zapach była nieoczekiwana. Próbowwała skoncentrować się teraz na trzymaniu szklanki bezpośrednio nad szczytem rożka. Kilka kropel mleka wykapało ze szklanki.

- A gdzie można kupić magiczne mleko? - zapytał jakiś chłopiec.

- Nie można go tak normalnie kupić - odparł tajemniczym głosem Pierce. - Muszę sam bardzo wcześnie rano wstać i rzucić zaklęcie na krowę. Ooo, dobrze. - Pierce wrzucił pustą szklankę do torby. - A teraz... jeśli wszystko dobrze się udało... - Zatrzymał się i spojrzał zdumiony do rożka. - To było moje mleko, Ryan - wyznał z naganą w głosie. - Ty mogłaś napić się później.

Gdy tylko otworzyła usta, by odpowiedzieć, Pierce z zamachem rozpostarł gazetę. Rożek był pusty.

Dzieci krzyczały ze śmiechu i radości, a Ryan patrzyła zdziwiona na Pierce'a.

- Widzicie, nadal jest piękna - oświadczył i pocałował ją w rękę. - Mimo swojego łakomstwa.

- Przecież sama przelewałam to mleko - powiedziała później, kiedy po występie szli do windy. - Przecież przeciekało przez gazetę. Sama to widziałam.

- Niektóre rzeczy się wydają, inne istnieją. Czyż to nie jest fascynujące, Ryan? - zapytał, wchodząc do windy.

- Ty też nie jesteś całkowicie tym, kim wydajesz się być.

- Nie. Ale któż jest?

- Zrobiłeś dla tych dzieci więcej dobrego w jedną godzinę niż tuzin lekarzy. I wydaje mi się, że nie jest to twoja pierwsza wizyta w tym miejscu.

- Nie.

- Dlaczego to robisz?

- Szpitale dla dzieci są paskudnym miejscem.

- Ale dzisiaj wcale tak nie było.

Pierce ujął jej dłoń, gdy winda zatrzymywała się na parterze.

- Nie ma trudniejszej publiczności niż dzieci. One myślą bardzo precyzyjnie.

- Chyba masz rację. - Roześmiała się. - Który dorosły zapytałby cię, gdzie kupujesz magiczne mleko? Twoja odpowiedź była świetna.

- Mam już trochę doświadczenia. Z dziećmi trzeba bardzo uważać. Dorosłych łatwiej zwieść jakąś błyskotliwą sztuczką. Nawet ciebie mi się udało, choć obserwowałam mnie tymi bardzo intrygującymi, zielonymi oczami.

- Pierce, dlaczego mnie tu zabrałeś?

- Potrzebowałam twojego towarzystwa.

- Chyba nie do końca to rozumiem.

- A musisz zawsze wszystko rozumieć? - Pierce przeczesał dłońmi jej włosy i objął twarz, jak to zrobił pierwszej nocy.

Serce Ryan biło jak oszalałe.

- Tak...

Nie dokończyła, bo jego usta już dotknęły jej ust i przestała myśleć. Było tak samo jak za pierwszym razem. Ten delikatny pocałunek wyssał z niej wszelkie siły. Czowała ciepłe drżenie, gdy jego palce pogładziły jej skronie i opadły niżej, aż pod jej serce. Jacyś ludzie przechodzili obok, ale nie zwróciła na nich uwagi. Byli jak cienie, duchy... Jedyłą materię stanowiły usta i dłonie Pierce'a.

Czy to był powiew wiatru, czy tylko dotyk jego palców na jej skórze? Czy to on mruczał, czy ona?

Walczył z sobą, żeby nie przycisnąć jej do siebie z całych sił. Była stworzona do delikatnego dotyku. Musiał pokonać rozrywające go pożądanie. Wiele razy przeżywał takie chwile, gdy był zamknięty w ciemnej, hermetycznej skrzyni i musiał zwalczyć pokusę nagłego wydostania się z pułapki. I teraz poczuł ten sam rodzaj paniki. Co ona z nim zrobiła? Czuł, że pragnął jej z desperacją, o jaką siebie nigdy nie podejrzewał. Pragnął się z nią kochać przy świetle świec albo na łące w świetle pieszczącego słońca.

- Ryan, chcę być z tobą. Muszę być z tobą. Chodź ze mną, teraz. - Znowu ją pocałował. - Teraz, Ryan. Pozwól mi cię kochać.

- Pierce. - Wtuliła się w niego. - Ja cię nawet dobrze nie znam.

Pierce powstrzymał nagłą chęć zaciągnięcia jej do samochodu i zabrania do swojego domu. Do łóżka.

- Tak. To prawda. A pani Swan musi dobrze

najpierw kogoś poznać. - Nie lubił tego kapryśnego bicia swego serca. Spokój i kontrola były elementami jego pracy i przez to częściami jego samego. - Gdy mnie poznasz - wyznał cichym głosem - będziemy kochankami.

- Nie. - Zaprzeczenie Ryan było wynikiem jego rzeczowego tonu, a nie znaczenia jego słów. - Nie, Pierce, nie będziemy kochankami, dopóki ja tego nie będę chciała. Mogę negocjować kontrakty, ale nie negocjuję warunków własnego życia.

Pierce uśmiechnął się, czuł się bardziej uspokojony jej irytacją niż próbą przeciągania czasu. Sam nie lubił rzeczy, które przychodziły mu zbyt łatwo.

- Panno Swan - mruknął, biorąc ją za rękę. - Przecież już poznaliśmy nasze karty.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

To była jej pierwsza wizyta w Vegas. Przy głównym bulwarze stały najstynniejsze hotele z niezwyklejmi fontannami i wielkimi neonami. Wesole miasteczko dla dorosłych na pustyni okolonej łańcuchami górskimi.

Ryan odwróciła się i rzuciła wzrokiem na hotel i kasyno Ceasar's Palace. Nad głową dostrzegła olbrzymie litery ułożone w imię i nazwisko Pierce'a. Co czuł, widząc swoje nazwisko reklamowane tak wielkimi literami?

Skierowała się do recepcji.

- Nazywam się Ryan Swan. Mam rezerwację.

- Tak jest. Boy hotelowy weźmie pani walizki. Życzymy miłego pobytu.

- Dziękuję.

Winda zabrała ją na najwyższe piętro. Chłopiec hotelowy zaprowadził ją w głąb korytarza, otworzył drzwi i puścił ją przodem.

Pierwsze zdziwienie ogarnęło Ryan, gdy spostrzegła, że nie jest to zwykły pokój, lecz apartament. Po raz drugi zdziwiła się, gdy zauważyła, że nie jest pusty. Na kanapie siedział Pierce pochylony nad kartkami papieru rozłożonymi na stoliku.

- Witaj, Ryan. - Wstał i wręczył chłopcu hotelowemu banknot. - Dziękuję.

- Dziękuję, panie Atkins.

Ryan odczekała, aż bagażowy wyjdzie z apartamentu.

- Co ty tu robisz?!

- Mam próbę po południu. Jak minął lot?

- Świetnie - odpowiedziała, zirytowana jego odpowiedzią i podejrzeniami, które zaległy się w jej

głowie.

- Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję. - Rozejrzała się po przyjemnie umeblowanym pokoju, rzuciła okiem za okno i zwróciła się do Pierce'a.

- Co to jest, do licha? Pierce uniósł brwi.

- Nasz apartament - odpowiedział swobodnie.

- O, nie! To twój apartament. - Wzięła walizki i ruszyła do drzwi.

- Ryan.

W pół drogi zatrzymał ją wyważony i spokojny ton jego głosu.

- To bardzo podły trik. - Ryan upuściła walizki i odwróciła się do niego. - Naprawdę myślałeś sobie, że możesz zmienić moją rezerwację i...

- I co?

- I umieścić mnie w swoim apartamencie? Myślałeś sobie, że wskoczę do twojego łóżka, bo tak ładnie wszystko sobie zaplanowałeś? Jak mogłeś kłamać, że chciałeś, bym obejrzała twoje występy, jeśli tylko potrzebny ci jest ktoś do łóżka?!

Jej głos zmienił się od spokojnego oskarżenia w wybuch wściekłości, zanim Pierce zdążył złapać ją za nadgarstki. Zdziwiła ją siła jego palców.

- Ja nigdy nie kłamię - odparł spokojnym tonem, ale jego oczy były ciemniejsze niż zwykle. - I nie muszę korzystać z trików, żeby wziąć kobietę do łóżka.

Ryan nawet nie próbowała mu się wyrwać. Instynkt ją przed tym powstrzymał, ale bynajmniej nie zlagodził gniewu.

- Więc jak nazwiesz to wszystko?

- Wygodnym rozwiązaniem.

- Dla kogo?

- Będziemy musieli omówić wiele spraw w ciągu najbliższych kilku dni. Nie zamierzam lecieć do twojego pokoju za każdym razem, gdy będę chciał ci coś powiedzieć. To moje miejsce pracy. I ty też przyjechałaś tu do pracy.

- Powinieneś mnie o tym uprzedzić.

- To prawda - przyznał. - I pragnę wyjaśnić, że nie sypiam z kobietami, które tego nie chcą.

- Nie podoba mi się to, że zmieniasz ustalenia bez przedyskutowania ich ze mną.

- Już kiedyś cię uprzedziłem, że lubię załatwiać sprawy po swojemu. Jeśli się boisz, możesz zamykać swoje drzwi na klucz.

- Na wiele to by się nie zdało. Żaden zamek by cię nie powstrzymał.

- Prawdopodobnie nie. - Otworzył drzwi. - Ale zwykle „nie” z pewnością tak.

Wyszedł, zanim Ryan zdążyła odpowiedzieć. Dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Oparła się o drzwi i dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jest przerażona. Była przyzwyczajona do dawania sobie rady z teatralnymi wybuchami złości i ponurym milczeniem swojego ojca. Ale to?

W oczach Pierce'a dostrzegła lodowatą przemoc. Wolałaby wysłuchać krzyków wściekłości niż widzieć takie oczy.

Rozejrzała się po pokoju. Może tak silna reakcja nie była wcale potrzebna - pomyślała. Przecież mieszkanie w jednym apartamencie to prawie jak w dwóch pokojach obok siebie. Jeśli tak miało być, to faktycznie nie była to wielka sprawa. Jednak on też postąpił niewłaściwie.

Przecież mogli to ustalić wspólnie.

Przeraził ją też sposób jego wypowiedzi: „Nie sypiam z kobietami, które tego nie chcą”. Ryan zdała sobie sprawę, że obydwójce wiedzieli, że go pożąda.

I wystarczyłoby zwykle „nie”. A to ciekawe - pomyślała i schyliła się po walizki. Ryan zastanawiała się, jak długo będzie w stanie mówić „nie”.

Pokręciła z niezadowoleniem głową. Ten projekt był tak ważny dla Pierce'a, jak i dla niej. Awantura już na samym początku nie była niczym mądrym. Ryan westchnęła i poszła do swojego pokoju się rozpakować.

Gdy Ryan pojawiła się w sali widowiskowej, próba już się rozpoczęła. Pierce stał na środku sceny ze zjawiskową rudowłosą asystentką. Weszła po cichu i usiadła na środku widowni. Prawie nieświadomie Ryan zaczęła zastanawiać się nad scenografią i rozstawieniem kamer.

Zadziwiła ją iluzja, w której asystentka Pierce'a zaczęła odchyłać się do tyłu, aż unosiła się poziomo w powietrzu. Nie używał żadnej różdżki, robił tylko szerokie, zamaszyste gesty. Kobieta zaczęła się kręcić wokół własnej osi, najpierw wolno, potem coraz szybciej.

Ryan widziała ten numer na taśmie, ale oglądanie go na żywo to zupełnie inne doświadczenie. Nie było żadnych elementów odwracających uwagę od tej dwójki. Ryan przyglądała się dokładnie scenie, szukając linek albo jakichś urządzeń wspomagających.

Nie potrafiła powstrzymać jęku zachwytu, gdy kobieta, oprócz okręcania się w koło, zaczęła jeszcze obracać się wokół osi ciała. Nie zmienił się spokojny wyraz jej twarzy, zupełnie jakby spała, a nie wirowała i kręciła się metr nad ziemią. Jednym gestem Pierce powstrzymał ruch i

powoli przywracał ją do pozycji pionowej, aż jej stopy dotknęły sceny. Wtedy machnął ręką przed jej twarzą, a asystentka otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- Jak było?

- Dobrze - odparł zwyczajnie Pierce. - Ale jak dodamy muzykę, będzie lepiej. Potrzebne też będzie czerwone oświetlenie. Zaczniemy delikatnie, a wraz z prędkością będziemy zwiększać natężenie światła. - Te słowa skierował do kierownika oświetlenia.

Ryan przyglądała się iluzjom zafascynowana. To, co jej wydawało się perfekcyjne, według Pierce'a musiało być dopracowywane.

Ryan uznała go za perfekcjonistę.

Wcześniej zastanawiała się, jak będzie wyglądała ich współpraca. Teraz już wiedziała. Był nieugięty, niestrudzony i fanatycznie podchodził do szczegółów, tak jak ona. Z pewnością będą się kłócić i nie mogła się tego doczekać. Stworzą niezwykle przedstawienie.

- Ryan, możesz tu przyjść?

Zdziwiła się, gdy ją zawołał. Mogłaby przysiąc, że nie mógł widzieć, jak wchodzi na widownię. Gdy schodziła na dół, Pierce powiedział coś do swojej asystentki, a ona roześmiała się i pocałowała go w policzek.

- Przynajmniej tym razem nie przecinałeś mnie na pół - odparła i odwróciła się.

- To jest Ryan Swan - przedstawił ją Pierce. - A to Bess Frye.

Przyglądając się jej z bliska, Ryan odkryła, że nie była wielką pięknoscią. Za to jej włosy błyszcząły miedzią i opadały w puklach na twarz.

- Cześć! Pierce opowiadał mi o tobie.

- Tak? - Ryan rzuciła mu spojrzenie.

- O, tak. Pierce uważa cię za bardzo inteligentną osobę. Ale nie wspomniał, że jesteś taka ładna.

- Żebyś oskarżała mnie, że kobiety są dla mnie tylko rekwizytami?

- On też jest bystry - przyznała Bess. - A ty będziesz producentką tego programu telewizyjnego?

- Tak.

- Wreszcie mamy jakąś kobietę w zespole. Będziemy musiały wyskoczyć na drinka i dobrze się poznać.

- Z przyjemnością.

- No dobra. Idę zobaczyć, co porabia Link, zanim szef zaciągnie mnie z powrotem do roboty. Do zobaczenia.

- Bess zeszła ze sceny.

- Jest wspaniała - mruknęła Ryan.

- Też tak uważam.

- Długo z tobą pracuje?

- Tak.

Ciepło, które Bess wprowadziła między nich, szybko wyparowało.

- Próba wyglądała doskonale. Będziemy musieli przedyskutować, które numery będziesz chciał umieścić w programie telewizyjnym i jakie nowe będziesz chciał do nich dodać.

- W porządku.

- Oczywiście trzeba będzie wprowadzić drobne poprawki na potrzeby telewizji. Rozumiem, że będziesz chciał przedstawić skondensowaną wersję swoich występów scenicznych.

- Właśnie tak.

Przez ten krótki czas, odkąd знаła Pierce'a, uważała go za przyjaznego i miłego mężczyznę. Teraz spoglądała

na niego oczami bez emocji, niecierpliwie czekając, aż zejdzie ze sceny. Przeprosiny za wcześniejszy gniew, które chciała wygłosić, nie mogły być skierowane do tej jego wersji.

- Jesteś zajęty, więc już sobie pójdę - powiedziała sztywno i odwróciła się.

To bolesne być tak traktowanym, odkryła. Nie miał prawa tak jej krzywdzić. Wyszła, nie oglądając się za siebie.

Pierce nigdy nie musiał zdobywać żadnej kobiety siłą. I Ryan Swan nie będzie odstępstwem od tej reguły.

Mógł ją przecież mieć tej pierwszej nocy. I dlaczego tego nie zrobiłem? - zapytał sam siebie. Dlaczego nie wziął jej do łóżka i nie zrobił tego, czego tak desperacko pragnął? Bo ona patrzyła na niego przestraszonymi oczami? Zobaczył ją, jak wchodzi w szytej na miarę garsonce i zapomniał o wszystkim. Miała rozwiane wiatrem włosy, zupełnie jak za pierwszym razem, gdy ją zobaczył. Chciał ją tylko trzymać w swoich objęciach.

Może już wtedy jego gniew zaczął narastać i wybuchać na dźwięk jej słów i oskarżających oczu?

By spokojnie pracować, potrzebował pełnej koncentracji. Teraz musiał przywrócić relacje z Ryan do poziomu, który ona chciała utrzymać od samego początku. Nauczył się kontrolować ciało swoim umysłem. W ten sam sposób powinien kontrolować swoje potrzeby i emocje.

Po tej osobistej przysiędze Pierce podszedł do swojej ekipy, by omówić dobór rekwizytów.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Las Vegas było fascynujące. Będąc w kasynie, trudno było stwierdzić, czy jest noc, czy dzień. Ryan widziała ludzi, którzy grali całą noc. Obserwowała, jak przy stolikach do gry w oczko i bakarata tysiące dolarów zmienia właścicieli.

Lata spędzone w pruderyjnej szkole w Szwajcarii ochłodziły jej hazardowe zapędy, które odziedziczyła po tatusiu. Teraz po raz pierwszy poczuła chęć zagrania, ale zwalczyła ją, tłumacząc sobie, że wystarczy jej obserwowanie innych.

Widywała Pierce'a na próbach i prawie wcale poza nimi.

Próbuje mnie unikać - pomyślała Ryan w wieczór jego pierwszego przedstawienia. Jeśli tylko chciał udowodnić, że mieszkanie w jednym apartamencie nie musi godzić w niczyją intymność, odniósł wielki sukces.

Ryan postanowiła obejrzeć przedstawienie z boku sceny, skąd będzie mogła zobaczyć znacznie więcej niż publiczność i kamery. Od pierwszej fali aplauzu po wywołaniu go na scenę, Pierce miał publiczność w garści. Mój Boże, jaki on piękny! Sama jego dynamiczna i dramatyczna osobowość sceniczna wzbudzała zachwyt publiczności. Jego charyzma nie była iluzją, ale integralną częścią jego osoby.

Podczas przedstawienia Pierce rozmawiał z publicznością. Potrafił nią manipulować i olśniewać sztuczkami - wybuchem płomieni z pustej dłoni, pokazem wahadelka, które kręciło się zawieszone w powietrzu. Nie był już pragmatyczny jak na próbach, ale mroczny i tajemniczy.

Ryan obserwowała, jak Pierce wchodzi do worka marynarskiego, który jest zabezpieczony kłódkami, okręcony łańcuchami i włożony do drewnianego kufra. Na kufrze stanęła Bess, zaciągnęła kotarę i zaczęła liczyć do dwudziestu.

Gdy doliczyła do końca, opadła kurtyna i na skrzyni stał Pierce w nowym kostiumie. No i oczywiście w kufrze była Bess. Właśnie to Pierce nazwał wcześniej „transportem”. A Ryan nazwała to „niesamowitością”.

Bała się o jego iluzje związane z uwalnianiem się z więzów. Widziała, jak ochotnicy z widowni zabili gwoździami skrzynię, w której był zamknięty. Wyobrażała sobie, jak siedzi w ciemności, bez dostępu powietrza i sama poczuła się, jakby tam była. Nie minęły jednak dwie minuty i Pierce odzyskał wolność.

Na zakończenie zamknął Bess w klatce, którą zasłonił płachtą i uniósł lewitującą pod sam sufit. Gdy sprowadził klatkę na deski sceny, zamiast Bess w środku była pantera. Obserwując go, widząc intensywność jego spojrzenia, tajemniczość malującą się na jego twarzy, Ryan niemalże uwierzyła, że Pierce potrafi zmieniać prawa natury. Jawił jej się bardziej jako czarownik niż artysta sceniczny.

Gdy Pierce przyszedł za kulisy i na nią spojrzał, ugryzła się w język. Jego twarz świeciła od potu. Ku swojemu zdziwieniu chciała go dotknąć, zdając sobie nagle sprawę, że podnieciło ją obserwowanie jego występu. Wyobrażała sobie, jak bierze ją w ramiona. Gdyby teraz do niego podeszła - zaoferowała całą siebie, zażądała wzajemności - czy okazałoby się, że on też jej pragnie? A może by nic nie odpowiedział i zabrałby ją w swój wielki świat magii?

Pierce stanął przed nią. Ryan zrobiła krok do tyłu, przestraszona własnymi myślami. Świadoma swych instynktów niechętnie zachowała odpowiedni dystans.

- Byłeś cudowny - odrzekła, dostrzegając sztuczność komentarza.

- Dziękuję. - Pierce odszedł, nie mówiąc nic więcej. To musi się skończyć - powiedziała do siebie i odwróciła się, by za nim pobiec.

- Hej, Ryan! - Bess zawołała ją, wychylając głowę z garderoby. - Jak ci się podobało przedstawienie?

- Było wspaniałe. - Spojrzała w głąb korytarza. Pierce już był poza jej zasięgiem. - Podejrzewam, że nie zdradzisz mi tajemnicy ostatniego numeru?

Bess roześmiała się.

- Nie, jeśli mi życie miłe. Wejdz, pogadamy chwilę.

Ryan weszła i zamknęła za sobą drzwi.

- To musi być niezwykle, gdy człowiek zamienia się w panterę?

- O, matko! Pierce zmienił mnie już we wszystko, co potrafi chodzić, pełzać i latać - powiedziała Bess.

- Musisz mu ufać - skomentowała Ryan.

- Jest najlepszy w swojej branży. - Bess usiadła przy toalecie i zaczęła zmywać makijaż. - Przecież widziałas go na próbach.

- Tak. Jest niezwykle skrupulatny.

- On planuje swoje iluzje na papierze, potem trenuje je dziesiątki razy w tej swojej piwnicy, zanim w ogóle zdecyduje się pokazać je mnie albo Linkowi.

- A czy te jego ucieczki są niebezpieczne?

- Niektóre mi się nie podobają. Wydostawanie się z więzów i kaftanów bezpieczeństwa to drobiazg, ale nigdy nie podobała mi się jego własna wersja „Tortury wodnej”

Houdiniego albo numer „Tysiąc zamków”.

- Po co on to robi, Bess? Przecież same iluzje mogłyby wystarczyć.

- Nie Pierce'owi. To całe niebezpieczeństwo jest dla niego ważne. Zawsze tak było.

- Ale dlaczego?

- Bo on ciągle chce siebie testować. Nigdy nie satysfakcjonuje go to, co zrobił poprzedniego dnia.

Ryan sama się tego domyślała, ale nie potrafiła tego zrozumieć do końca.

- Jak długo z nim pracujesz?

- Od samego początku.

- Jaki on jest naprawdę? - zapytała Ryan, nie potrafiąc się powstrzymać.

- A dlaczego chcesz to wiedzieć?

- On... - Zamilkła, nie wiedząc co odpowiedzieć. - Nie wiem.

- Zależy ci na nim?

Ryan nie odpowiedziała od razu. Chciała powiedzieć „nie” i zakończyć temat.

- Tak - usłyszała swoją odpowiedź.

- Chodź na drinka, to pogadamy - zaproponowała Bess.

Bess zamówiła drinki.

- Ja stawiam. - Zapaliła papierosa. - Tylko nie zdradź mnie przed Pierce'em. On nie cierpi nikotyny. Wręcz fanatycznie dba o zdrowie.

- Link powiedział mi, że codziennie biega pięć mil.

- Biega od dawna. Zawsze uparcie dążył do celu. Nawet jako chłopiec.

- Znałaś Pierce'a jako dziecko?

- Dorastaliśmy razem - Pierce, Link i ja. Pierce

nigdy nie rozmawia o dawnych czasach ani z Linkiem, ani ze mną. Odciał się od przeszłości albo przynajmniej próbował to zrobić.

- Myślałam, że on się tylko tak lansuje - mruknęła Ryan.

- Wcale nie musi tego robić.

- To prawda. A miał trudne dzieciństwo?

- Był słabowitym dzieciakiem.

- Pierce? - zapytała z niedowierzaniem Ryan.

- Tak. Trudno w to uwierzyć, a jednak... Na swój wiek był mały i cherlawy. Większe dzieciaki go dręczyły. Dzieci nie cierpią sierocińców.

- Sierocińców? - Ryan powtórzyła ostatnie słowo i poczuła falę współczucia. - Wychowywaliście się w domu dziecka?

- Niestety. Ale nie było tam znowu tak fatalnie. Jedzenie, dach nad głową, dużo koleżanek i kolegów.

- A ty kiedy straciłaś rodziców, Bess?

- Gdy miałam osiem lat. Nie miał kto się mną zająć. Tak samo było z Linkiem. Ludzie zwykle adoptują małe dzieci, starsze trudno umieścić w rodzinach.

Ryan zamyśliła się.

- A co z Pierce'em?

- Z nim było inaczej. On miał rodziców, ale nie chcieli się zrzec praw rodzicielskich, więc nie podlegał adopcji.

- No, ale skoro miał rodziców, to co robił w domu dziecka? - zdziwiła się Ryan.

- Sądzę pozbawił ich opieki. Jego ojciec... - Bess zaciągnęła się papierosem. Rzykowała, opowiadając tak dużo, Pierce'owi z pewnością by się to nie spodobało. - Jego ojciec bił matkę.

- O Boże! Pierce'a też? - zapytała zszokowana Ryan.
- Od czasu do czasu - odpowiedziała chłodno Bess.
- Ale głównie bił matkę. Najpierw walił gorzałę, a potem swoją żonę.

Ryan poczuła ucisk w żołądku.

- Opowiedz mi o nim coś więcej. Chciałabym go lepiej zrozumieć.

To właśnie chciała usłyszeć Bess. Skinęła głową i opowiadała dalej.

- Gdy Pierce miał pięć lat, jego ojciec tak mocno pobił matkę, że zabrano ją do szpitala. Zwykle zamykał go w szafie, gdy chciał pastwić się nad żoną, ale tym razem najpierw poturbował jego, a potem wziął się za jego matkę.

Wtedy sprawą zajęli się pracownicy socjalni. Po zwykłych procedurach i rozprawie sądowej umieszczono go w domu dziecka.

- Bess, a co z jego matką? Która kobieta pozwoliłaby na coś takiego...

- Nie jestem psychiatrą. - Przerwała jej Bess. - Pierce pamięta jedynie, że ona została z ojcem.

- I porzuciła swoje dziecko - mruknęła Ryan. - Musiał czuć się całkowicie odrzucony.

Jakie szkody może to czynić młodemu umysłowi? - zastanawiała się Ryan. I jaki ma to wpływ na przyszłe życie dziecka? Czy te jego ucieczki i uwalnianie się z zakuć nie są właśnie kompensacją za zamykanie go w ciemnej szafie, gdy był dzieckiem? Czy ciągle dążył do wykonywania rzeczy niemożliwych, tylko dlatego, że kiedyś był tak bezsilny?

- Był samotnikiem - ciągnęła opowieść Bess. - Może to właśnie dlatego inne dzieciaki go dręczyły. Przynajmniej do momentu, gdy pojawił się Link. - Bess uśmiechnęła się

z rozrzewnieniem. - Nikt nie ośmielił się tknąć Pierce'a, gdy Link był w pobliżu. Był dwa razy wyższy od reszty dzieciaków. No i ta jego twarz! - Znowu się roześmiała. - Gdy Link pojawił się u nas, żaden dzieciak nawet się do niego nie zbliżał. Oprócz Pierce'a. Oni obydwaj byli takimi odrzutkami. I ja w sumie też. Link i Pierce stali się nierozłączni. Naprawdę nie wiem, co stałoby się z Linkiem albo ze mną, gdyby nie Pierce.

- Musisz go naprawdę kochać.

- Jest moim najlepszym przyjacielem. Wciągnęła mnie do swojego klubiku, gdy miałam dziesięć lat. - Uśmiechnęła się. - Widziałam, że zbliża się Link i ze strachu wdrapałam się na drzewo. Przeżywalismy go wtedy „brakującym ogniwem”.

- Dzieci potrafią być okrutne.

- Więc gdy on przechodził pod drzewem, złamała się gałąź i spadłam. A on mnie wtedy złapał. Widzę to, jakby wydarzyło się wczoraj. Spojrzałam na jego twarz i byłam gotowa zacząć wrzeszczeć. I wtedy on się roześmiał. Zakochałam się w nim natychmiast.

Ryan przełknęła drinka.

- Ty i... Link?

- Tak - odpowiedziała Bess. - Od dwudziestu lat szaleję za tym wielkim niezdarą. On ciągle myśli, że jestem tą małą Bess, mimo że mam metr osiemdziesiąt wzrostu. - Uśmiechnęła się i zrobiła oczko. - Ale pracuję nad nim.

- A ja myślałam, że ty i Pierce...

- Ja i Pierce? Żartujesz chyba - Bess wybuchła śmiechem. - Czy ja wyglądam na kogoś w typie Pierce'a?

- A skąd niby miałabym wiedzieć, kto jest w jego typie? - Ryan wzruszyła ramionami, skrępowana śmiechem Bess. - Wyglądasz na bystrzejszą niż udajesz. Ale mówmy

o nim. Zawsze był spokojnym dzieckiem, takim uczuciowym. No i porywczym. Oddawał każdemu, kto cokolwiek na niego powiedział. Później nauczył się powstrzymywać. Było oczywiste, że nie chciał iść śladami swojego ojca. Gdy Pierce już coś postanowi, to koniec. Ryan zaczynała wszystko rozumieć.

- Gdy miał dziewięć lat, uległ wypadkowi. Przynajmniej taka była wersja oficjalna. Spadł ze schodów. Wszyscy wiedzieli, że ktoś go popchnął, ale on tego nie przyznał. Chyba nie chciał, żeby Link zrobił komuś coś, za co mógłby mieć kłopoty z prawem. Pierce doznał wtedy poważnego urazu kręgosłupa. Lekarze bali się, że już nigdy nie będzie mógł chodzić.

- O, nie!

- Ale zawzjął się. Obiecał sobie, że będzie biegał po pięć mil dziennie.

- Pięć mil... - powtórzyła Ryan.

- Był zawzięty. Poddawał się rehabilitacji, jakby całe życie od tego zależało. W szpitalu spędził sześć miesięcy.

Ryan przypomniała sobie Pierce'a na oddziale dziecięcym szpitala miejskiego.

- Gdy był w szpitalu, jedna z pielęgniarek dała mu w prezencie zestaw do zabawy w magika. Chyba on czekał na to całe życie albo ten zestaw czekał na niego. Gdy wychodził ze szpitala, potrafił robić takie sztuczki, z jakimi niektórzy występujący prestidigitatorzy mieliby problemy. Miał do tego wrodzony talent.

Ryan wyobraziła sobie chłopca ćwiczącego sztuczki magiczne w szpitalnej sali.

- Pośłuchaj tego. - Bess pochylili się w stronę Ryan.

- Gdy pewnego razu odwiedziłam go w szpitalu, podpalił kołdrę. Przysięgam. Widziałam, jak się pali. I zgasił

plómiemie ręką. Poglaskał pościel i po ogniu nie było ani śladu. Ten mały dziwak przestraszył mnie na śmierć.

- Za Pierce'a! - Ryan wzniosła toast.

- Za Pierce'a! - powtórzyła Bess. - Pierce zniknął, gdy miał szesnaście lat. Tęskniłam za nim okrutnie. Myślałam, że już nigdy nie spotkam ani jego, ani Linka. To chyba były najsmutniejsze dwa lata w moim życiu. Pewnego dnia, gdy pracowałam w bistro w Denver, wchodzi Pierce. Nie wiem nawet, jak mnie odnalazł. Wchodzi i mówi, żebym natychmiast rzuciła pracę i zaczęła pracować dla niego.

- Co mu odpowiedziałaś?

- Nic. Przecież to był Pierce. Rzuciłam pracę i ruszyliśmy w trasę. Nawet nie wyobrażasz sobie, w jakich miejscach występowaliśmy przez pierwsze lata - opowiadała dalej. - Na imprezach dla dzieci, na wieczorach kawalerskich, w zakładach pracy. Nikt nie radzi sobie lepiej z nieznośnymi osobnikami niż Pierce. Tylko spogląda na głośnego faceta, wystrzeliwuje w niego kulę ognia z rękawa, i facet się zamyka.

- Wyobrażam to sobie. Równie dobrze poradziłby sobie nawet bez tej kuli.

- No właśnie. On czuł, że musi mu się powieść i dlatego wziął Linka i mnie ze sobą. Nawet nie musiał prosić. On taki po prostu jest. Nie dopuszcza ludzi zbyt blisko do siebie, ale gdy to już robi, to na zawsze. - Bess przez moment mieszała drinka w milczeniu. - Wiesz, że ciężko jest nam czasem za nim nadażyć? Ale to nie ma znaczenia. Jesteśmy jego przyjaciółmi.

- A on bardzo dokładnie dobiera sobie przyjaciół - stwierdziła Ryan.

- Jesteś miłą osobą. Prawdziwą damą. Pierce

potrzebuje damy.

- Dlaczego to powiedziałaś?

- Bo on ma klasę. I potrzebuje kobiety z klasą. Takiej cieplej jak on.

- On jest ciepły, Bess? Czasem wydaje się taki... odległy.

- A wiesz, skąd ma tego głupiego kocura? Ktoś go potracił i zostawił na poboczu. Zatrzymał się, wracając z San Francisco, i zabrał kota do weterynarza. Obudził go o drugiej w nocy i kazał operować. Ilu ludzi, których znasz, zrobiliby coś takiego?

- Pierce'owi nie podobałoby się to, że tyle mi o nim opowiedziałaś, prawda?

- Tak.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- To jest trik, którego nauczyłam się od Pierce'a. Trzeba spojrzeć komuś głęboko w oczy i wtedy już wiesz, czy możesz temu komuś ufać, czy nie.

- Dziękuję ci.

- A poza tym jesteś w nim zakochana.

Słowa ugrzęzły Ryan w gardle. Zaczęła kaszleć.

- Nie ma czego się krępować. Za miłość! Za powodzenie nas obu!

- Powodzenie?

- Z takimi dwoma facetami to będziemy musiały go sporo potrzebować.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ryan śmiała się, idąc przez kasyno z Bess.

- Coś świętujecie?

Obydwie dostrzegły Pierce'a i jednocześnie poczuły się jak złapane na gorącym uczynku. Pierce uniósł brwi. Bess pochyliła się i pocałowała go entuzjastycznie.

- Takie tam babskie pogaduchy, cukierasku. Ryan i ja mamy ze sobą wiele wspólnego.

- Naprawdę? - Pierce dostrzegł, że Ryan próbuje tłumić chichot.

- Czy nie jest wspaniały, gdy jest taki poważny i oschły? Nikt nie udaje tego lepiej niż Pierce. - Bess znowu go pocałowała. - Nie upiłam twojej pani, za to jest bardziej zrelaksowana. - Trzymając dłoń na ramionach Ryan, Bess rozejrzała się dookoła. - Gdzie jest Link?

- Ogląda grę keno.

- To do zobaczenia. - Bess mrugnęła do Ryan i odfrunęła.

- Ona ma bzika na jego punkcie, wiesz? - oznajmiła Ryan.

- Wiem.

Ryan zrobiła krok do przodu.

- Czy jest coś, czego pan nie wie, panie Atkins?

- Widziała, jak wyginają się jego usta na dźwięk swojego nazwiska. - Zastanawiam się, czy zrobisz mi to kiedyś jeszcze raz.

- Co?

- Uśmiechniesz się. Nie uśmiechnąłeś się do mnie od wielu dni.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Ani razu. Nie jest ci przykro?

- Jest. - Podtrzymał ją za plecy. Wolał, żeby nie patrzyła na niego w taki sposób. Udało mu się ujarzmić swoje pragnienia na czas zamieszkania w tym samym apartamencie. Ale teraz, otoczony zgiełkiem, ludźmi i światłami, poczuł rosnące pożądanie. - Nie chciałabyś, bym zaprowadził cię na górę?

- Nie, teraz chcę pograć w oczko. Od kilku dni miałam na to ochotę, ale cały czas przypominałam sobie, że hazard jest bezsensowny. A teraz na chwilę o tym zapomniałam.

Pierce trzymał ją za ramię, gdy ruszyła w stronę stolika.

- Ile masz przy sobie pieniędzy?

- Jakieś siedemdziesiąt pięć dolarów.

- To dobrze.

- Obserwowałam cię przez te wszystkie dni - szepnęła do niego, gdy usiedli przy stoliku, gdzie najwyższa stawka była ustalona na dziesięć dolarów. - I wszystkiego już się domyśliłam.

- To chyba wszyscy już wszystko wiedzą... - mruknął.

- Proszę żetony za dwadzieścia dolarów dla tej pani - zawołał do krupiera.

- Za pięćdziesiąt - poprawiła go Ryan, odliczając banknoty.

Krupier, widząc kiwnięcie głowy Pierce'a, wymienił jej pięćdziesiąt dolarów.

- A ty nie zagrasz?

- Nie lubię hazardu.

- A jak inaczej nazwać zamknięcie się w skrzyni zabitej gwoździami?

- To moja praca - odparł, uśmiechając się lekko.

- Czy pan nie toleruje hazardu i innych ludzkich słabostek, panie Atkins?

- Nie. Sam lubię obliczać własne szanse. Trudno pokonać stół i krupiera w ich własnej grze.

- Czuję, że dziś będę miała szczęście.

Ryan liczyła i zapamiętywała karty, ale Pierce za każdym razem doradzał jej pas lub dobranie karty.

- Wygrałam! - wykrzyknęła radośnie, widząc kupkę żetonów przesuwaną w jej stronę. - Skąd wiedziałeś, że należy dobrać?

Pierce tylko się uśmiechnął.

- Jak ty to robisz? Przecież to gra z trzema taliami i praktycznie nie ma szansy zapamiętania wszystkiego, co zeszło i domyślenia się, co pozostało? - Pierce nic nie odpowiedział. - A może jednak to potrafisz?

Pierce znowu się lekko uśmiechnął i pokręcił głową. Przy następnym rozdaniu znowu pomógł Ryan wygrać.

Przez następną godzinę przed Ryan urosły spore stosy żetonów. Pierce otworzył jej torebkę i zsunął do niej żetony.

- Poczekaj! Dopiero zaczęłam się rozkręcać!

- Tajemnica zwycięstwa polega na tym, żeby wiedzieć, kiedy przestać - odparł Pierce i pomógł jej zejść z wysokiego stołka. - Zamień je na gotówkę, Ryan, zanim przyjdzie ci do głowy stracić wszystko w bakarata.

- Ale ja chcę jeszcze pograć!

- Nie dziś.

Z westchnieniem opróżniła torebkę przy budce kasjera.

Razem z żetonami na blat wypadła szczotka do włosów, szminka i jeden penny rozplaszczony na torach przez pociąg.

- To na szczęście - wyjaśniła, gdy Pierce podniósł miedziaka.

- Jesteś przesadna, panno Swan - mruknął. - Zadziwiasz mnie.

- To nie przesąd. To amulet na szczęście - odpowiedziała, chowając wypłacone banknoty do torebki.

- No tak, teraz rozumiem.

- Lubię cię, Pierce - wyznała Ryan, ujmując go pod ramię. - Musiałam ci to powiedzieć.

- Naprawdę?

- Tak. - Mogła mu to bezpiecznie powiedzieć, gdy kierowali się do wind. To było bezpieczne i szczerze stwierdzenie. Na pewno nie powiedziałyby tego, o co od razu posądziła ją Bess. „Kocham cię”? Nie, to nie byłoby bezpieczne i nie do końca prawdziwe. Chociaż coraz bardziej bała się, że to mogła być prawda. - A ty mnie lubisz? - Ryan stanęła twarzą w twarz z Pierce'em, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi windy.

- Tak. Lubię cię - odpowiedział, głaszcząc ją wierzchem dłoni po policzku.

- Bo nie byłam tego pewna. Byłeś na mnie zły.

- Nie.

Patrzyła mu prosto w oczy. Pierce poczuł, jak powietrze wokół niego gęstnieje.

Ryan dostrzegła błysk w jego oczach. Pragnęła dotyku. Pragnęła kochać. Chciała coś mu ofiarować. Wyciągnęła dłoń, by pogłaskać go po policzku, ale Pierce złapał jej palce.

- Pewnie jesteś zmęczona.

- Nie. - Ryan roześmiała się, czując swoją moc oddziaływania. Pierce odrobinę się jej bał. Czowała to. Coś ją przemogło - może mieszanka alkoholu, wygranej i wiedzy,

którą posiadała. Poczwała, że go pragnie.

- A ty jesteś zmęczony, Pierce? - zapytała, gdy otwierał drzwi do ich apartamentu.

- Jest późno.

- W Las Vegas nigdy nie jest późno. Tutaj czas nie biegnie do przodu, nie wiedziałeś? Nie ma zegarów. Skąd wiesz, że jest późno, skoro nie ma tutaj zegarów? - Na stole zobaczyła jego papiery i przeszła przez pokój. - Pan Atkins za dużo pracuje. - Śmiejąc się, odwróciła się do niego.

- Pani Swan też tak ma, nieprawdaż?

Miała rozpuszczone włosy i zaróżowione policzki. Jej oczy tańczyły, błyszczały, uwodziły. Pożądanie męczyło go, ale nic nie odpowiedział.

- Ale pan lubi panią Swan - mruczała. - A ja nie zawsze. Opowiedz mi o tych szkicach. - Ryan opadła na sofę i wzięła kartkę z rysunkami i komentarzami, których kompletnie nie rozumiała.

Pierce poruszył się, wmawiając sobie, że robi to tylko po to, by nie zrobiła zbędnego zamieszania w jego papierach.

- To bardzo skomplikowane - oświadczył, wyjmując jej kartkę z ręki i odkładając na stół.

- Jestem dość bystra. A wiesz o tym, że gdy po raz pierwszy spojrzałam w twoje oczy, to moje serce przestało bić z wrażenia? - Przyłożyła dłoń do jego policzka. - Gdy pocałowałeś mnie pierwszy raz, wtedy właśnie to do mnie dotarło.

Pierce znowu złapał jej rękę i odciągnął na bok, czując, że sam jest na skraju możliwości kontroli samego siebie. Jej druga dłoń wspinała się po jego koszuli do szyi.

- Ryan, powinnaś się położyć.

Słyszała pożądanie w jego głosie. Pod opuszkami

palców poczuła raptownie przyspieszające tętno.

- Nikt jeszcze nigdy mnie tak nie pocałował - szepnęła i odpięła najwyższy guzik jego koszuli, patrząc mu prosto w oczy. - Nigdy przez nikogo tak się nie poczułam. Czy to była magia? - Rozpinała kolejne guziki.

- Nie. - Pierce sięgnął ręką, by powstrzymać palce, które doprowadzały go do szału.

- Chyba jednak tak. - Ryan przechyliła się i złapała zębami małżowinę jego ucha. - Wiem, że to była magia.

- Ten szept dotarł w głąb jego ciała, powodując potężny rozbłysk płomieni grożących wybuchem. Próbował ją od siebie odsunąć, ale jej dłonie były już na jego gołych piersiach. Jej usta ślizgały się po jego szyi.

- Ryan. - Choć bardzo się starał skoncentrować, nie potrafił uspokoić przyspieszonego tętna. - Co ty robisz?

- Próbuję cię uwieść - mruknęła, sunąc ustami po śladach swoich palców. - Dobrze mi idzie?

Pod koniuszkami palców poczuła drżenie ciała i nabrała jeszcze większej śmiałości.

- Tak, i to bardzo.

Pozwolił jej delikatnym palcom błądzić po swoim ciele.

- Jesteś pewien? - wyszeptwała, zsuwając mu koszulę.

- A może robię coś źle? - Powędrowała ustami do jego podbródka, lekko zahaczając językiem o usta. - A może nie chcesz, żebym cię tak dotykała? - Dotarła palcami do paska jego spodni. - Albo tak? - zapytała skubiąc ustami jego dolną wargę.

Jednak myliła się - on nie miał szarych oczu tylko czarne. Bała się, że ją pochłona. Czy to możliwe, że aż tak bardzo go pragnęła?

- Pragnęłam cię już dziś wieczorem, gdy schodziłeś

ze sceny - oświadczyła śmiało. - Właśnie wtedy, gdy prawie uwierzyłam, że jesteś czarownikiem. Teraz, widząc, że jesteś człowiekiem, pragnę cię jeszcze bardziej. Ale może ty mnie nie chcesz.

- Ryan. Za moment nie będzie już odwrotu.

- Obiecujesz?

Ryan radowała się potęgą pocałunku. Była pod nim szybciej, niż potrafiła się zorientować. Ściągał z niej bluzkę, niecierpliwie odpinając guziki. Dwa oderwały się i upadły gdzieś na wykładzinę, zanim jego dłoń dotknęła jej piersi.

Pożądanie rozpało ją do białości. Była naga, nie zdając sobie sprawy, jak do tego doszło. Jego nagość zlała się z jej nagością. Jego język tarł o sutek, aż zajęczała.

Pierce czuł, jak mocno bije jej serce; jej jęki i niecierpliwie dłonie doprowadzały go do szału. Pogrążył się w ogniu pragnień, z którego tym razem nie potrafił się wydostać. Wiedział, że jego ciało stopi się z jej ciałem. Podniecenie? Nie, to było coś więcej. To była obsesja.

Wsunął w nią palce. Była taka miękka, ciepła i wilgotna.

Wszedł w nią z dzikością, która wręcz zdziwiła ich oboje. Czuł ból niezwyklej rozkoszy, wiedząc, że to jego zaczarowano. Cały należał do niej.

Ryan słyszała jego rwący się oddech. Jego serce szalało. Jest mój - szepnęła w myśli i westchnęła. Skąd Bess mogła to wiedzieć, zanim ona sama się dowiedziała? Przymknęła powieki i pozwoliła się nieść myślom.

Pewnie to wszystko widać na mojej twarzy. Czy nie jest za wcześnie, żeby mu to powiedzieć? Poczekaj z tym jeszcze, podjęła decyzję. Muszę dać sobie więcej czasu na przyzwyczajenie się do tej miłości, zanim mu o niej

powiem.

Zamruczała w proteście, gdy Pierce uwolnił jej ciało ze swojego ciężaru. Powoli uniosła powieki. Spoglądał na własne dłonie.

- Czy zrobiłem ci krzywdę?

- Nie. Nie potrafiłbyś. Jesteś bardzo czuły.

Jego oczy omiotły ją spojrzeniem. Nie było w nim żadnej delikatności, gdy ją kochał. Tylko pożądanie i desperacja.

- Nie zawsze taki jestem - odparł i sięgnął po dzinsy.

- Co robisz?

- Idę do recepcji wynająć inny pokój. Przepraszam, że do tego doszło. Ja nie... - Zamilkł, gdy dostrzegł łzy w jej oczach. - Ryan, przepraszam. - Otarł sphywającą po jej policzku łzę. - Przysięgam, że nie chciałem cię dotknąć. Nie powinienem.

- Jesteś wstrętny! - Odepchnęła jego rękę. - Myliłam się. Jednak potrafisz zrobić mi krzywdę. No więc nie musisz wcale wynajmować innego pokoju. - Sięgnęła po bluzkę. - To ja znajdę sobie inny. Nie zostanę tutaj po tym, jak zamieniasz coś tak pięknego w pomyłkę.

Wstała, usiłując zapiąć koszulę, którą miała założoną na lewą stronę.

- Ryan, ja...

- Lepiej nic nie mów! - Zauważywszy, że brakuje jej dwóch środkowych guziczków, zerwała z siebie bluzkę i stanęła na wprost niego nago, twarzą w twarz, z oczami pełnymi płomieni. - Wiedziałam bardzo dobrze, co robię, słyszysz? Pragnęłam cię i myślałam, że ty też mnie pragniesz. A jeśli to był błąd, to tylko twój.

- To nie był błąd, Ryan. - Jego głos zmiękł, ale gdy wyciągnął rękę, by ją dotknąć, odsunęła się raptownie. -

Pragnąłem cię może aż za bardzo. I nie byłem wcale taki czuły, jak chciałem być. Trudno mi jest poradzić sobie z samym sobą, wiedząc, że nie potrafiłem się powstrzymać od tego, co się stało.

Przez chwilę przyglądała mu się badawczo i otarła łzy wierzchem dłoni.

- Chciałeś się powstrzymać?

- Próbowałem i nie potrafiłem. Nigdy nie kochałem się z kobietą z takim brakiem... - zawahał się - czułości - dokończył ścisząc głos. - Bo ty jesteś taka drobna, taka krucha...

Krucha? Nikt jeszcze nigdy tak o niej nie powiedział. Może innym razem takie określenie by ją ucieszyło, ale teraz czuła, że istnieje tylko jeden sposób, by okiełznać takiego faceta jak Pierce.

- Okay. Do wyboru masz dwie możliwości.

Zmarszczył brwi.

- Jakie?

Możesz sobie wynająć drugi pokój albo wziąć mnie do łóżka i jeszcze raz się ze mną kochać. Teraz.

Nie uchylił się przed jej wyzywającym wzrokiem i uśmiechnął się.

- To jedyny wybór, jaki mam?

- Podejrzewam, że mogłabym jeszcze raz cię uwieść, jeśli byłbyś uparty - odparła, wzruszając ramionami.

- Wszystko zależy od ciebie.

Przyciągnął ją do siebie.

- A gdybyśmy połączyli te dwie możliwości?

- Jakie?

- Ja wezmę cię do łóżka, a ty mnie uwiedziesz?

Ryan pozwoliła mu wziąć się na ręce.

- Jestem rozsądną osobą - oświadczyła, gdy niósł ją

- do sypialni. - Jestem gotowa przedyskutować te kwestie.
- Panno Swan - mruknął Pierce, kładąc ją na łóżku.
 - Uwielbiam negocjacje z panią.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zasnęli, gdy różowe odcienie wschodu słońca zaczęły pojawiać się na niebie. Dryfując w półśnie, Ryan odwróciła się, żeby przytulić się do Pierce'a.

Była sama.

Zaskoczona, powoli uniosła powieki. Przesunęła ramieniem po pościeli, która okazała się chłodna. Zniknął - pomyślała. Jak długo spała? Cała senna radość ulotniła się. Jeszcze raz dotknęła pościeli. Na pewno jest w drugiej sypialni - pomyślała. Przecież nie zostawiłby jej samej.

Dźwięk telefonu sprawił, że oprzytomniała.

- Tak, słucham.

- Pani Swan?

- Tak.

- Łączę z panem Bennettem Swanem. Proszę czekać.

Ryan usiadła prosto, automatycznie podciągając kołdrę, by zasłonić piersi.

- Ryan, masz nowe wiadomości?

Jakie wiadomości?

- Ryan!

- Tak, przepraszam. Codziennie oglądam próby Pierce'a - zaczęła wyjaśnienia. - Doskonale zarządza wsparciem technicznym i swoją ekipą. Wczoraj było pierwsze przedstawienie. Bezbłędne. Przedyskutowaliśmy pewne zmiany do programu telewizyjnego, ale nie mamy jeszcze nic konkretnego. On pracuje nad nowymi numerami, ale trzyma je w tajemnicy.

- Za dwa tygodnie chcę dostać konkretne ustalenia dotyczące produkcji programu. Terminarz nagrań może ulec zmianie. Omów wszystko z Atkinsem. Chcę dostać listę numerów i czas ich przedstawiania.

- To już z nim przedyskutowałam - odparła chłodno Ryan. - Przecież jestem producentem, zapomniałeś?

- To prawda - przyznał. - Do zobaczenia w moim biurze po powrocie.

Rozdrażniona odłożyła słuchawkę. Typowa rozmowa z Bennettem Swanem. Wyrzuciła ją z pamięci i założyła szlafrok Pierce'a.

- Pierce?! - zawołała. Podniosła z ziemi guziczki zgubione poprzedniego wieczoru i włożyła je do kieszeni.

Apartament był pusty. Ból niepokoju zaczął narastać. Po tej nocy nie mógł zostawić jej samej tak po prostu. Ale nic nie znalazła.

Pewnie tak już jest w moim życiu - pomyślała. Kogokolwiek obdarzyła miłością, zawsze szybko znikał. Tym razem miała nadzieję, że będzie inaczej. A jednak nic się nie zmieniło - pomyślała, patrząc w lustro.

Głupio było jej czuć się skrzywdzoną. Przecież pragnęliśmy siebie i spędziliśmy razem noc. Po co dodawać do tego jakieś romantyczne uniesienia?

Zdjęła szlafrok i weszła pod prysznic. Odkręciła gorącą wodę, pozwalając, by wychłostała jej ciało. Wiedziała, że jeśli oczyści umysł, to po chwili będzie już wiedziała co zrobić.

Sięgnęła po ręcznik. Jej ruchy znowu były zdecydowane.

Miała przecież do wykonania pracę. Ryan Swan - szef produkcji. Na tym właśnie powinna się skoncentrować. Miała przed sobą karierę w branży produkcji telewizyjnej. I tylko to się teraz liczyło.

Gdy się ubierała, była już zupełnie spokojna. Czekają ją dużo pracy - spotkania, konferencje, podejmowanie decyzji. Wystarczająco dużo czasu spędziła

w Vegas. Poznała już styl pracy Pierce'a. Gdy wróci do Los Angeles, wprowadzi wszystkie swoje pomysły w życie. To była jej pierwsza produkcja i zrobi wszystko, by nie ostatnia.

Wzięła do ręki szczotkę i przeczesała wilgotne włosy. Za jej plecami otworzyły się drzwi.

- Więc już jesteś na nogach? - Pierce uśmiechnął się i skierował w jej stronę. Spojrzenie jej oczu zatrzymało go w miejscu.

- Tak, jestem. Już od jakiegoś czasu. Dzwonił mój ojciec. Chciał mieć raport z postępów w pracy.

- Tak? - Jej negatywne emocje nie były wymierzone w ojca, domyślił się Pierce, obserwując ją bacznie. - Zamówiłaś śniadanie do pokoju?

- Nie.

- Więc zaraz coś zorganizujemy - powiedział, robiąc krok w jej stronę, ale nie posunął się dalej, czując mur, jaki postawiła między nimi.

- Nic nie chcę. Kawę wypiję na lotnisku. Wracam do L.A.

Zaskoczył go jej chłodny ton. Co się stało? Czy ta wspólna noc tak mało dla niej znaczyła?

- Teraz? Dlaczego?

- Myślę, że całkiem dobrze poznałam twój styl pracy. Powinnam zacząć już przygotowania, by zaplanować spotkanie, jak już wrócisz do Kalifornii. Skontaktuję się z twoim agentem.

Pierce przełknął słowa, które chciał powiedzieć. Nigdy nikogo nie wiązał łańcuchami, oprócz samego siebie.

- Jeśli tak chcesz...

- Obydwoje mamy pracę do wykonania. Moja jest w

L.A., twoja, w tej chwili, tutaj.

- Ryan, czy ja cię czymś skrzywdziłem?

- A jak mógłbyś mnie skrzywdzić?

- Właśnie nie wiem. - Ryan wyciągnęła z szafy naręczne ubrań. - Ale pewnie to zrobiłem. - Odwrócił ją, by spojrziała mu prosto w oczy. - Widzę to w twoich oczach.

- Zapomnij o tym, bo ja już to zrobiłam. - Chciała odejść, ale przytrzymał ją mocno.

- Nie potrafię zapomnieć o czymś, o czym nie wiem.

Ryan, powiedz mi, co się stało?

- Przestań, Pierce.

Ryan próbowała się wyrwać, ale on trzymał ją mocno. Próbowała zachować spokój.

- Zostawiłeś mnie! - wybuchnęła. Pierce'a zamurowało. - Obudziłam się, a ciebie nie było. Odszedłeś bez słowa! Ja nie jestem fanką na jedną noc!

Gdy to powiedziała, rozświetliły mu się oczy.

- Ryan...

- Nie chcę żadnych wyjaśnień! Oczekiwałam od ciebie czegoś więcej. I pomyliłam się. Ale mówi się trudno. Kobieta taka jak ja nie potrzebuje widocznie uprzejmości. Jestem ekspertem w dziedzinie miłosego survivalu. Puść mnie! Muszę się spakować.

- Ryan. - Przyciągnął ją do siebie. - Przepraszam.

- Puść mnie!

- Chcę, żebyś mnie wysłuchała.

- Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień.

Pierce poczuł się winny za to, co się stało. Dlaczego nie przewidział co może być dla niej takie ważne?

- Ryan, wiem bardzo wiele o jednorazowym seksie. Ale ostatnia noc, to nie było to, co myślisz.

- Nie musisz się tłumaczyć.

- Już raz ci powiedziałem, że nigdy nie kłamię. To, co wydarzyło się tej nocy, jest dla mnie bardzo ważne.

- Nie było cię, gdy się obudziłam. Łóżko było zimne. Gdybyś mnie tylko obudził...

- Nawet o tym nie pomyślałem - odparł cichym głosem. - Tak, nie pomyślałem o tym, jak się możesz czuć, gdy obudzisz się sama w łóżku. Słońce już wschodziło, gdy ty zasypiałaś.

- Przecież nie spałeś tak długo jak ja. - Znowu spróbowała się uwolnić. - Pierce, proszę! Puść mnie.

Opuścił ręce i patrzył, jak zbiera swoje ubrania.

- Ryan, ja nie potrzebuję więcej niż pięć, sześć godzin snu. Myślałem, że jak wrócę, jeszcze będziesz spała.

- Wyciągnęłam rękę, a... ciebie nie było.

- Ryan.

- To i tak nie ma znaczenia. Przepraszam. Zachowuję się jak idiotka. Ty nie zrobiłeś nic złego, Pierce. Tu chodzi o mnie. Zawsze za dużo się spodziewam. I zawsze popadam w depresję, gdy tego nie dostaję. Zapomnijmy o tym.

- Ja nie chcę o tym zapomnieć.

- Po prostu zrzuć to na brak snu i małą niedyspozycję. I tak powinnam już wracać.

Przeklął się w myśli, wyobrażając sobie, co musiała czuć, budząc się sama w łóżku po nocy, którą ze sobą spędzili.

- Ryan, nie odchodź! - Z trudem wypowiedział te słowa. Jeszcze nigdy nikogo o to nie prosił.

Ryan postawiła walizkę na podłodze i odwróciła się do niego.

- Pierce, nie jestem zła, naprawdę. Może trochę

skrepowana. - Udało jej się uśmiechnąć. - Ale naprawdę powinnam już wracać i brać się do roboty.

- Zostań, proszę.

- Dlaczego?

- Potrzebuję cię. Nie chcę cię stracić.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Tak.

Stała przez chwilę, nie mogąc się przekonać, by ruszyć do drzwi.

- Jakie?

Podszedł i przytulił ją. To było to, czego pragnęła. Obejmował ją silnymi ramionami, a jej policzek oparł się o jego pierś. Czowała, że jest otulona i trzymana jak coś cennego, kruchego.

- Zachowałam się jak idiotka!

- Wcale nie. - Pocałował ją. - Jesteś słodka. Będziesz narzekać, jeśli obudzę cię po pięciu godzinach snu?

- Nigdy. - Śmiejąc się zarzuciła mu ręce na szyję. - Albo może troszeczkę.

Było zupełnie tak jak za pierwszym razem - czułość, lekki jak piórko nacisk ust, który wzniecił w niej płomień. Była zupełnie bezradna, gdy ją tak całował; nie potrafiła się poruszyć ani żądać niczego więcej. Potrafiła tylko całkowicie mu się poddać.

Pierce wiedział, że w tej chwili ma nad nią moc.

- Pragnę cię - wyznała drżącym głosem. - Czy wiesz, jak bardzo cię pragnę?

- Tak - powiedział, delikatnie ją całując. - Wiem.

- Kochaj się ze mną - szepnęła Ryan.

- Przecież cię kocham - mruknął i przycisnął usta do jej szyi.

- Teraz - zażądała, zbyt słaba, by go do siebie

przyciągnąć.

Uśmiechnął się i położył ją na łóżku.

- Zwariowałem przez ciebie ubiegłej nocy. - Przesunął palcem od brzucha w dół jej ciała, zatrzymując się na miękkości między jej nogami. Po chwili ustami poszedł w ślad palców.

W nocy ogarnęło go szaleństwo. Pierce znał uczucie niecierpliwości. Brał ją wielokrotnie, ale nie potrafił się nasycić. Czuł, jakby opętał go jakiś głód. I choć teraz wcale nie pragnął jej mniej, to zdołał powstrzymać pragnienie natychmiastowego spełnienia. Chciał ją smakować, delectować się nią.

Ryan pozwalała mu się dotykać i pieścić. Siła, którą dał jej zeszłej nocy, wymieniła się miejscami z błogą poddańczością.

Bardziej ją podrażniał niż posiadał, podniecał niż zaspokajał.

Złapał zębami gumkę jej jedwabnych majtek i ściągnął kilka centymetrów niżej. Ryan jęknęła. Smakował skórę jej ud. Ryan szeptała jego imię. Bez odpowiedzi, bo jego usta były zajęte cudownym pieszczaniem jej ciała.

Jeszcze nigdy nie odczuwała tak mocno swojego ciała. Teraz dopiero nauczyła się wrażliwości na narkotyzujący, niebiański dotyk. Pokazywał jej magię, lecz trans, w jakim się znalazła, nie był żadną iluzją.

Obydwoje byli nadzy, otuleni sobą. Całował ją powoli, głęboko, aż stała się zupełnie bezwładna. Pieścił ją dłońmi i pobudzał palcami. Urywał się jej oddech, ale czekała cierpliwie, aż da jej wszystko, aż do ostatniej chwili rozkoszy. Muskał i ssał jej spuchnięte usta, czekając na ostatnie westchnienie całkowitej uległości.

- Teraz? Kochamy się? - zapytał rozsyłając

pocałunki po jej twarzy. - Teraz?

Nie miała siły odpowiedzieć. Była poza światem słów i rozumowania. Do takiego stanu chciał ją doprowadzić.

- Jesteś moja, Ryan. Powiedz, że jesteś moja.

- Tak, twoja - odpowiedziała resztkami sił. Ale jego usta połykały te słowa, gdy je wypowiadała. - Teraz. - Pomyślała, że jej przyzwolenie pojawiło się tylko gdzieś w mózgu, ale po chwili on był już w niej. Ryan jęknęła i wygięła się, by go powitać. A on poruszał się w niej z bolesną powolnością. Krew szumiała jej w uszach, gdy doprowadzał ją do skrajnej rozkoszy. Jego usta porywały każde drżenie jej ust, każdy szept.

Nagle jego usta zmiażdżyły jej usta - dosyć już tej delikatności, dosyć drażnienia. Krzyczała, gdy brał ją z dziką wściekłością. Pochłonął ich ogień namiętności, aż pomyślała, że umarli w jego płomieniach.

Pierce leżał, opierając głowę o jej piersi. Drżała. Chciał, żeby taka pozostała - sama, naga, tylko jego. Wstrząsnęło go pożądanie posiadania. A przecież nigdy nie był taki. Nigdy, zanim poznał Ryan. Nie potrafił się jej oprzeć.

- Powiedz to jeszcze raz - domagał się.

- Co?

- Powiedz, że jesteś moja, Ryan.

- Jestem twoja - westchnęła, zapadając w sen. - Na tak długo, jak tylko będziesz mnie chciał.

Pierce'a zdziwiła jej odpowiedź i zaczął coś mówić, ale jej oddech wyrównał się i zwolnił. Położył się obok i przytulił ją.

Tym razem będzie przy niej, gdy się obudzi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ryan nie spodziewała się, że czas może mijać tak szybko. Gdy skończyły się występy Pierce'a w Las Vegas, mogli zacząć przygotowania do programu telewizyjnego. Zdawała sobie sprawę, że to mógł być zwrotny punkt w jej karierze.

Jednak czuła, że wolałaby, by dni i godziny nie umykały tak szybko. Vegas miało w sobie coś niezwykłego. Tutaj, jakby za dotknięciem magicznej różdżki, naturalnym było kochanie go i dzielenie się z nim życiem.

Cieszyli się każdym dniem. Nie rozmawiali o przyszłości. Wybuch chęci posiadania Pierce'a nigdy się już nie powtórzył. Ryan zastanawiała się, czy czasem jej się to nie przyśniło - te wypowiedziane głębokim tonem natarczywe słowa: „Jesteś moja. Moja.”

Był czuły, aż do znużenia - okazywał to słowami, spojrzeniami czy gestami. Ale nigdy nie był z nią zupełnie wolny. Ani Ryan nie czuła się z nim zupełnie wolna. Pełne zaufanie jednak na nich nie spłynęło.

Na ostatni występ Pierce'a Ryan ubrała się wyjątkowo elegancko. Chciała, żeby to był szczególny wieczór. Zamówi szampana do ich apartamentu. Mieli przed sobą jedną długą noc, którą spędzą ze sobą, zanim skończy się ta miłosna idylla.

Ryan przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Sukienka była o wiele bardziej błyszcząca i wyzywająca niż zwykle. Pierce pewnie powie, że wygląda bardziej na Ryan niż pannę Swan - pomyślała i roześmiała się serdecznie.

- Ryan, jeśli chcesz zjeść kolację przed występem,

musisz się pospieszyć. Jest już prawie... - Pierce zamilkł, gdy wszedł do pokoju i zaczął się jej przyglądać. - Wyglądasz uroczo, jak zjawisko, jakie mogłem sobie tylko wyśnić.

- Jak marzenie? A jakie miałyby to być marzenie? - Podeszła do niego i pocałowała w policzek. - Czy wyczarujesz dla mnie marzenie, Pierce?

- Pachniesz jaśminem. Zwariuję przez ciebie.

- To kobiecy czar. - Ryan przechyliła głowę, żeby było mu łatwiej ją całować. - Którym można zaczarować czarodzieja.

- I to działa.

- Czy to nie były kobiece czary, które Merlin musiał odczarować?

- Widzę, że przeprowadziłaś badania naukowe - szepnął jej do ucha. - Ale musisz być ostrożna, bo ja dłużej tkwię w tym biznesie. Wiesz, że to niezbyt mądre zadawać się z magikiem?

- Ja wcale nie jestem mądra.

Poczuł falę siły i falę słabości. Zawsze czuł się tak, gdy trzymał ją w ramionach. Przyciągnął ją bliżej do siebie. Dawał jej z siebie tyle mocy i emocji. Ryan nie była do końca pewna, co dalej z nimi będzie. Kochała go, ale nie była w stanie tego wyznać.

- Czy dzisiaj też będziesz oglądała przedstawienie zza bocznych kulis? Chciałbym wiedzieć, czy tam będziesz.

- Tak. - Ryan przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się. Tak rzadko o cokolwiek ją prosił. - Pewnego dnia wreszcie coś zauważę. Nawet twoja ręka nie jest tak szybka jak wzrok.

- Nie? - Uśmiechnął się, rozbawiony jej

determinacją. - A kolacja? - Zaczął bawić się zamkiem sukni na plecach, zastanawiając się, co miała pod spodem.

- Co z kolacją? - zapytała z figlarnymi błyskami w oczach.

Zaklął, słysząc pukanie do drzwi.

- Zmień tego pukającego we wstrętną ropuchę - zasugerowała Ryan. - Nie, to chyba byłoby straszne.

- Podoba mi się ten pomysł.

- Ja otworzę drzwi. Nie mogę mieć tej osoby na sumieniu. Ale nie zapomnisz o czym myślałeś?

- Mam bardzo dobrą pamięć. - Obserwował ją, gdy szła do drzwi.

- Paczka dla pani Swan.

Ryan odebrała od boya hotelowego paczuszkę i list. Zamknąwszy drzwi, odstawiła paczkę i otworzyła kopertę. Wiadomość była krótka.

Droga Ryan,

Podobał mi się twój raport. Oczekuję dokładnego sprawozdania z realizacji projektu Atkinsa. Pierwszą konferencję planuję za tydzień. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Ojciec

On nigdy nie zapomni o moich urodzinach - pomyślała, omiatając wzrokiem wiadomość. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego nie poczekał i nie dał jej prezentu osobiście? Dlaczego tak zwyczajnie nie wysłał jej słów ojcowskiej miłości?

- Jakież złe wiadomości?

- Nie. - Ryan pokręciła głową i wrzuciła list do torebki. - Nic takiego. Chodźmy. Umieram z głodu.

Uśmiechała się, ale w jej oczach widać było smutek.

Spełniając prośbę Pierce'a, Ryan oglądała

przedstawienie z boku. Nie myślała już o ojcu. To była ostatnia noc całkowitej wolności i nie chciała, żeby cokolwiek ją zepsuło.

- Byłeś wspaniały - wyznała Pierce'owi, gdy zszedł ze sceny. - Kiedy mi opowiesz, jak robisz ten ostatni numer?

- Panno Swan, magii nie da się wyjaśnić.

- Tak się składa, że wiem, że Bess jest teraz w swojej garderobie i że ta pantera...

- Wyjaśnienia wszystko psują - przerwał jej wywody. Wziął ją za rękę i poprowadził do swojej garderoby. - Umysł sam w sobie jest paradoksem, panno Swan.

- Ale opowiedz mi.

- Umysł chce wierzyć w niemożliwe rzeczy - wyjaśniał. - Ale jednak nie wierzy. I w tym jest ukryta fascynacja magią. Jeśli niemożliwe nie jest możliwe, to jak może się to wszystko dziać pod twoim nosem?

- I właśnie tego chcę się dowiedzieć - marudziła Ryan, słysząc strumienie lejącej się wody. Gdy Pierce wrócił owinięty ręcznikiem, rzuciła mu bezkompromisowe spojrzenie i stwierdziła: - Jako twój producent powinnam...

- Produkować - dokończył za nią, zakładając czystą koszulę. - A ja zajmę się tymi niemożliwymi rzeczami.

- Oszaleję z ciekawości.

- Trudno.

- Wiem, że to tylko trik.

- Serio?

- Podejrzewam, że nawet torturami nie udałoby się z ciebie nic wydusić.

- A jakie tortury chodzą ci po głowie?

Roześmiała się i pocałowała go.

- To dopiero początek. Wezmę cię na górę i doprowadzę do szaleństwa, aż wreszcie zaczniesz mówić.

- Interesujące. - Pierce objął ją ramieniem i poprowadził przez korytarz. - To może trochę potrwać.

- Nigdzie mi się nie spieszy.

Wjechali windą na najwyższe piętro, ale gdy Pierce wsunął klucz do zamka ich apartamentu, Ryan złapała go za rękę.

- To jest twoja ostatnia szansa, zanim zacznę być ostra. I sprawię, że zaczniesz mówić.

On tylko się uśmiechnął i pchnął drzwi.

- Wszystkiego najlepszego!

Ryan zaniemówiła. Bess otworzyła szampana, a Link nadstawiał kieliszki.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! - Pierce pocałował ją lekko.

- Jak się dowiedzieliście?

- Proszę. - Bess podała jej kieliszek szampana. - Do dna, kochana. Urodziny obchodzi się tylko raz do roku. Ten szampan jest ode mnie. Jedna butelka na teraz, a druga na później. - Puściła oczko do Pierce'a.

- Dziękuję. Nie wiem, co mam powiedzieć.

- Link też ma dla ciebie prezent.

- Nie można obchodzić urodzin bez tortu.

- Jest cudowny!

- Musisz sama odkroić pierwszy kawałek - poinstruował ją Link.

- Tak, za momencik. - Pochyliła się i pocałowała go w usta. - Dziękuję ci.

Mężczyzna uśmiechnął się nieśmiało.

- Ja też mam coś dla ciebie. Pocałujesz mnie? - zapytał Pierce.

- Jak dostanę prezent...

Wręczył jej antyczne, drewniane, artystycznie rzeźbione pudełeczko.

- Jakie piękne - szepnęła. Podniosła wieczko i zobaczyła w środku mały srebrny wisiołek na łańcuszku.

- To krzyż ankh - wyjaśnił Pierce, wyjmując wisiołek i zakładając jej na szyję. - Egipski symbol życia. I żaden przesąd. Tylko amulet na szczęście.

- Pierce, czy ty nigdy o niczym nie zapominasz? - Ryan zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Nie. A teraz jesteś mi winna pocałunek.

Ryan zupełnie zapomniała, że oczy przyjaciół są na nich zwrócone.

- Hej, chętnie spróbowałabym tortu. A ty, Link?

- A smakuje tak, jak wygląda? - Ryan wzięła nóż i zaczęła kroić. - Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałam tort urodzinowy. Proszę, Link. Dla ciebie jest pierwszy kawałek. Ciekawa jestem, jak się dowiedzieliście. Sama zupełnie zapomniałam o moich urodzinach, dopóki... Przeczytałeś wiadomość! - oskarżyła Pierce'a.

- Jaką wiadomość?

- Zajrzałeś do mojej torebki i przeczytałeś list.

- Sądziysz, że naprawdę zrobiłbym coś tak prostackiego?

Zastanowiła się nad jego słowami i odpowiedziała.

- Tak. Zrobiłbyś.

- Magik nie potrzebuje grzebać w czyichś kieszeniach, by się czegoś dowiedzieć.

Link roześmiał się głębokim rechotem, co zdziwiło Ryan.

- Tak jak wtedy w Detroit, gdy gwizdnałeś temu facetowi kluczyki?

- Albo kolczyki tej paniusi we Flatbush? - wtrąciła Bess. - Nikt nie potrafi tego lepiej od ciebie, Pierce.

- Naprawdę? - spytała Ryan, a Pierce w milczeniu jadł swój kawałek tortu.

- Na koniec przedstawienia zawsze im wszystko oddaje - wyjaśniła Bess. - Całe szczęście, że Pierce nie zdecydował się na karierę kieszonkowca.

- Fascynujące - skomentowała Ryan, mrużąc oczy.

- Chciałabym czegoś więcej się o tym dowiedzieć.

- A pamiętasz, jak wydostałeś się z tego aresztu w Wichita, Pierce? - ciągnęła Bess. - No wiesz, wtedy, gdy zatrzymali cię za...

- Napij się szampana, Bess - przerwał jej Pierce, uzupełniając jej kieliszek.

Link znowu roześmiał się rubasznie.

- Chciałbym widzieć twarz tego szeryfa, gdy zajrzał na dół, a tam pusta cela i wszystko ładnie zamknięte na klucz.

- Ucieczka z więzienia - mruknęła Ryan zafascynowana.

- Houdini robił to bez przerwy. - Pierce podał jej kieliszek.

- Tak, ale najpierw dogadywał się z gliniarzami.

- Bess zachichotała na widok spojrzenia, które Pierce jej posłał.

- Czy są jeszcze jakieś inne małe tajemnice, o których powinnam wiedzieć? - zapytała wesoło Ryan.

- Wydaje mi się, że już wiesz zbyt wiele - skomentował Pierce.

- No tak. I to jest najlepszy prezent urodzinowy, jaki kiedykolwiek dostałam.

- Chodź, Link - odezwała się Bess. - Musimy

zostawić Pierce'a, by sam ze wszystkiego się wytłumaczył. Powinieneś opowiedzieć Ryan o tym handlowcu z Salt Lake City.

- Dobranoc, Bess - odezwał się Pierce dobrotliwym tonem.

- Wszystkiego najlepszego, Ryan. - Bess jeszcze raz uśmiechnęła się do Pierce'a i wyciągnęła Linka z apartamentu.

- Dziękuję wam. - Ryan odczekała, aż wyjdą i zwróciła się do Pierce'a. - Zanim przejdziemy do sprawy handlowca z Salt Lake City, powiedz, jak znalazłeś się w celi w Wichita?

- To było nieporozumienie.

- Tak mówią wszyscy zatrzymani. Może chodziło o zazdrosnego mężulka?

- Nie, wkurzyłem zastępcę szeryfa, kiedy okazało się nagle, że został przykuty do stołka barowego swoimi własnymi kajdankami. I wcale nie docenił mojej sztuczki, gdy go uwalniałem.

- Mogę sobie wyobrazić jego minę.

- To był drobny zakład. A on przegrał.

- I zamiast wypłacić ci wygraną, wrzucił cię do aresztu?

- Coś w tym stylu.

- A więc jesteś przestępcą desperatem. I ja teraz jestem na twojej łasce i niełasce. - Odłożyła kieliszek i podeszła do niego. - Bardzo to miłe, że urządziliście mi to słodkie przyjęcie. Dziękuję.

Pierce pogłaskał ją po włosach i pocałował.

- Nie otworzysz prezentu od ojca?

- Jutro otworzę. Już dostałam prezenty, które były dla mnie ważne.

- On o tobie nie zapomniał, Ryan.

- Nigdy nie zapomina. Ktoś zawsze zaznacza mu ważne daty w kalendarzu. Och, przepraszam. To było głupie. Zawsze chcę czegoś więcej. On naprawdę mnie kocha na swój własny sposób.

- Może to jedyny sposób, jaki zna?

- Nigdy tak nie pomyślałam. Ciągłe staram się, żeby był ze mnie zadowolony, żeby pewnego dnia zwrócił się do mnie słowami: „Ryan, Kocham cię. Jestem z Ciebie dumny. Cieszę się, że jestem twoim ojcem.” To głupie życzenie, prawda? Jestem dorosła, ale ciągle czekam.

- Nigdy nie przestajemy chcieć właśnie tego od swoich rodziców.

- Bylibyśmy innymi ludźmi, gdyby nasi rodzice byli inni, prawda?

- Z pewnością.

- Nie chciałabym, żebyś ty był inny, Pierce. Pragnę cię dokładnie takiego, jaki jesteś. Chodź do łóżka - szepnęła, całując go w usta.

W sypialni była ciemno i cicho. Ryan leżała skulona u boku Pierce'a. Palcami przeczesywał jej włosy. Sądził, że śpi. Nie był zły, że nie może zasnąć. Pozwoliło mu to cieszyć się dotykiem jej ciała i jedwabistością jej włosów. Gdy spała, mógł ją dotykać nie podniecając, cieszyć się bliskością. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że następnej nocy ona nie spędzi już z nim w jego łóżku.

- O czym rozmyślasz? - zapytała szeptem.

- O tobie.

- A ja myślałam o tobie. - Palcem przesunęła po jego bliźnie na podbródku. - Skąd masz tę bliznę?

- Upadłem ze schodów, gdy byłem dzieckiem.

Wstrzymała na moment oddech. Nie oczekiwała, że

opowie jej o swoim dzieciństwie.

- A ja kiedyś potknęłam się, upadłam twarzą na krzesło i poluzowałam sobie ząb. Ojciec wściekł się, kiedy się o tym dowiedział. Bałam się, że ząb wypadnie i ojciec się mnie wyrzeknie.

- Tak bardzo cię przeraził?

- Jego niezadowolenie mnie przestraszyło. To była głupota.

- Nie - odparł Pierce, patrząc w sufit. - My wszyscy ciągle czegoś się boimy.

- Nie wierzę, żebyś ty się czegoś bał.

- Boję się, że nie uda mi się uwolnić.

- Masz na myśli twoje ucieczki z zamknięcia?

- Co? - Pierce wrócił myślami do niej. Najwyraźniej nie zdał sobie sprawy, że wypowiedział na głos swoje myśli.

- Po co robisz coś, czego się boisz?

- Czy uważasz, że jeśli zignoruję strach, to on mnie opuści? - zapytał spokojnym tonem. - Gdy byłem małym chłopcem, bałem się szafy, z której nie mogłem wyjść. A teraz jest to skrzynia albo sejf i potrafię z nich wyjść.

- Przepraszam. Nie musisz mi o tym mówić. Ale on czuł taką potrzebę.

- Czy wiesz, że pamięć o zapachu zostaje w mózgu człowieka dłużej niż jakiegokolwiek inne wspomnienie? Pamiętam zapach mojego ojca. On śmierdzał dżinem. Ojciec był okrutnym człowiekiem. Przez wiele lat byłem pewien, że też mam tę chorobę.

Ryan przytuliła się do niego i pokręciła głową.

- Nie ma w tobie przecież żadnego okrucieństwa - szepnęła.

- Też byś tak pomyślała, gdybym powiedział ci z

jakiej rodziny pochodzę?

Ryan podniosła głowę, przelękając łzy.

- Bess powiedziała mi tydzień temu... i nadal tu jestem. - Pierce milczał. - Nie masz prawa złościć się na nią o to. Jest najbardziej lojalną i uwielbiającą cię kobietą, jaką znam. Opowiedziała mi o tobie, bo uznała, że mnie na tobie zależy. Wiedziała, że muszę cię zrozumieć.

- Kiedy to było?

- Tej nocy... - Ryan zawahała się. - Po pierwszym występie. Powiedziałeś wtedy, że staniemy się kochankami, gdy cię poznam. I miałeś rację. Żałujesz tego?

- Nie. - Pocałował ją w czoło. - Czy mogę żałować, że jestem twoim kochankiem?

- Więc nie żałuj, że cię poznałam. Jesteś najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam.

- Ryan, nie mogę uwierzyć w to, co powiedziałaś - wyznał, czując ulgę.

- To prawda, ale więcej tego nie powtórzę. Bo staniesz się zarozumiała. Ale dziś pozwolę ci się z tego cieszyć. A poza tym - dodała, ciągnąc go za ucho - podobają mi się twoje rozczapierzone na końcach brwi. - Pocałowała go w usta. - A tobie co się we mnie podoba?

- Twój smak - odpowiedział natychmiast. - Jest nieskazitelny.

- Wiedziałam, że staniesz się zarozumiała - wyznała zde gustowana. - Idę spać.

- Coś mi się nie wydaje - stwierdził przekornie i przyłgął do niej ustami.

Znowu miał rację.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Pożegnanie z Pierce'em było jednym z najtrudniejszych, z jakimi Ryan mierzyła się w życiu. Kusiło ją, żeby porzucić wszelkie zobowiązania i poprosić go, żeby zabrał ją do siebie. Jakie znaczenie miały ambicje zawodowe, jeśli jego nie było przy niej? Oświadczyłaby mu w końcu, że go kocha i że pragnie z nim być.

Żegnając go na lotnisku, Ryan zmusiła się jednak do uśmiechu. Musiała jechać do Los Angeles, a on na wybrzeże. Praca, która ich połączyła, teraz ich rozdzieliła.

Czas z pewnością pokaże, czy to, co było między nimi w Las Vegas wzmocni się czy wygaśnie.

Zaledwie godzinę temu pożegnała się z Pierce'em, a już cierpiała z tęsknoty za nim. Czy on też o niej myślał - właśnie teraz, w tej chwili? Gdyby bardzo mocno się skoncentrowała, to czy on wyczuje, że o nim myśli? Westchnęła i usiadła za biurkiem. Odkąd zaangażowała się uczuciowo w związek z Pierce'em, uwolniła swoją wyobraźnię. Przyznała się sama przed sobą, że zaczęła w niektórych przypadkach wierzyć w magię.

To musi być magia - pomyślała Ryan. Czowała to od pierwszej chwili, gdy skrzyżowali spojrzenia. Potrzebowała jednak odrobinę czasu, żeby to zaakceptować. A teraz należało jedynie czekać, by przekonać się, czy to będzie coś trwałego. Nie, zdecydowała w myśli, nie będzie czekać na ślepy los, sama postara się, żeby to było trwałe uczucie.

Kręcąc głową, rozsiadła się w fotelu. Nic jednak nie da się zrobić, dopóki on znowu nie pojawi się w jej życiu. Trzeba czekać cały tydzień. A teraz musiała wypełnić pracą dni oczekiwania. Zaczęła wklepywać w komputer odręczne notatki dotyczące występów Pierce'a Atkinsa. Niecałe pół

godziny później rozległo się bzyczenie interkomu.

- Tak, Barbaro?

- Szef chce panią u siebie widzieć.

- Natychmiast?

- Tak.

- Dzięki. - Ryan zebrała notatki. Mógł przynajmniej dać jej kilka godzin, żeby się porządnie zorganizowała - pomyślała. Ale prawda była taka, że pewnie przez całą realizację jej projektu będzie stał nad nią i kontrolował co robi. Była jeszcze daleko od udowodnienia Bennettowi Swanowi swojej wartości.

- Dzień dobry, panno Swan - przywitała ją sekretarka ojca. - Jak podróż?

- Bardzo dobrze, dziękuję. - Ryan zauważyła, że sekretarka przygląda się jej kolczykom z pereł. Celowo założyła je, żeby ojciec widział, że docenia jego prezent.

- Pan Swan wyszedł na chwilę, ale zaraz wróci. Prosił, żeby pani poczekała w jego gabinecie. Pan Ross już jest w środku.

- Witaj, Ryan. - Ned wstał i zamknął za nią drzwi.

- Cześć. Też bierzesz udział w tym spotkaniu?

- Szef chce, żebym współpracował z tobą nad tym projektem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie.

- Będę koordynatorem produkcji. Ale to nadal będzie twoje dziecko.

Z tobą jako nadzorcą Swan będzie pociągał za wszystkie sznurki - pomyślała.

- Jak Vegas?

- Niezwykle. - Ryan podeszła do okna.

- Miałaś szansę na spróbowanie szczęścia w hazardzie? Dotknęła krzyża ankh na szyi i uśmiechnęła się.

- Grałam w oczko i wygrałam.

- To świetnie!

- Mam solidne podstawy, by sądzić, że wiem, co będzie odpowiadało Pierce'owi, Swan Productions i sieci telewizyjnej...

- O sprawach służbowych porozmawiamy później - przerwał jej Ned. Podszedł do niej. - Tęskniłem za tobą, Ryan Wydawało mi się, że zniknęłaś na całe miesiące.

- To dziwne - mruknęła Ryan, obserwując samolot przecinający niebo. - Bo dla mnie ten tydzień minął wyjątkowo szybko.

- Kochanie, jak długo będziesz mnie tak karać? Gdybyś tylko dała mi jedną szansę...

- Za nic cię nie karzę, Ned. - Ryan odwróciła się do niego. - Przykro mi, że tak to odbierasz.

- Nadal jesteś na mnie zła.

- Nie. Powiedziałam ci już wcześniej, że nie jestem na ciebie zła. - Postanowiła wyrzucić z siebie wszystko, żeby zamknąć tę sprawę raz na zawsze. - Byłam zła i czułam się skrzywdzona, ale to nie trwało długo. Nigdy nie byłam w tobie zakochana, Ned.

- Przecież dopiero się poznawaliśmy.

- Nie, ty mnie w ogóle nie znasz, a poza tym, jeśli mamy być zupełnie szczerzy, to nawet ci na tym nie zależało.

- Ryan, ile razy mam cię przeproszać za tę głupią sugestię?

- Nie proszę cię o przeprosiny. Próbuję tylko jeszcze raz ci jasno wytłumaczyć, że popełniłeś błąd, zakładając, że mogłabym wpłynąć na ojca. Ty masz na niego więcej wpływu niż ja.

- Ryan...

- Wysłuchaj mnie do końca. Pomyślałeś, że skoro jestem córką Bennetta Swana, to on zważy na to, co mówię. Jego najbliżsi współpracownicy mają u niego większy posłuch niż ja. Zmarnowałeś czas. Ja nie jestem zainteresowana mężczyzną, który będzie mnie wykorzystywał jako trampolinę. Jestem przekonana, że nasza współpraca będzie owocna, ale nie mam potrzeby widywać cię poza biurem.

Obydwoje podskoczyli, gdy otwarły się drzwi.

- Witaj Ryan, witaj Ross. - Bennett Swan zasiadł za swoim biurkiem.

- Dzień dobry. - Ryan zastanawiała się, ile ojciec mógł usłyszeć. - Przygotowałam w punktach moje przemyślenia i pomysły dotyczące Atkinsa, ale nie miałam wystarczająco czasu, by przygotować pełny raport.

- Daj mi, co masz. - Machnął ręką na Rossa, by usiadł, i zapalił cygaro.

- On ma bardzo precyzyjnie opracowany każdy występ. Sam oglądałeś go na taśmach, więc wiesz, że zakres jego trików jest bardzo szeroki - od sztuczek manualnych przez skomplikowane iluzje po uwalnianie się z więzów i skrzyń, co trwa dwie, trzy minuty. Oczywiście zdajemy sobie sprawę z tego, że program musi być dopasowany do potrzeb telewizji, ale nie widzę w tym żadnego problemu. To jest niezwykle kreatywny człowiek.

Swan chrząknął i wyciągnął rękę po raport. Ryan zauważyła, że nie był w najlepszym nastroju.

- Cienki ten raport - skomentował, przeglądając skrupulatnie teczkę.

- Na koniec dnia na pewno będzie lepszy.

- Sam porozmawiam z Atkinsem w przyszłym tygodniu. Reżyserem programu będzie Coogar.

- To dobrze. Lubię z nim współpracować. Chciałabym, żeby Bloomfield zajął się scenografią - Ryan powiedziała to całkiem swobodnie, ale po chwili wstrzymała oddech.

Swan podniósł wzrok i zaczął się jej przyglądać. On też zdecydował o wyborze Bloomfielda jakąś godzinę temu. Ryan wytrzymała jego spojrzenie. Swan nie był do końca pewien, czy ma podziwiać córkę, czy zirytować się, że była o krok przed nim.

- Rozważę tę propozycję. - Wrócił do przeglądania raportu. Ryan odetchnęła.

- Atkins ma swojego reżysera dźwięku i cały zespół asystentów. Jeśli pojawią się jakieś problemy, to włączymy ich do współpracy z naszymi ludźmi z przygotowania produkcji i reżyserii planu.

- To też ustalimy - mruknął Swan. - Ross będzie twoim koordynatorem produkcji.

- Nie zamierzam podważać twoich decyzji, ale uważam, że skoro jestem producentem, to powinnam sama dobierać swój zespół.

- Nie chcesz pracować z Rossem?

- Myślę, że Ned i ja damy sobie radę - odparła spokojnym tonem. - Coogar zna operatorów kamer i dobierze ich sobie sam. Nie byłoby właściwe wtrącać się w jego działkę. Jednakże - dodała zdeterminowanym głosem - ja też wiem, z kim chciałabym współpracować. Swan rozparł się w fotelu.

- A co ty, do licha ciężkiego, tak naprawdę wiesz o produkcji?

- Wystarczająco wiele, żeby wyprodukować ten program i odnieść sukces. Tak jak sam powiedziałaś mi kilka tygodni temu.

Swan najwyraźniej żałował chwilowej słabości i zgodzenia się na warunki Atkinsa.

- Ty jesteś oficjalną producentką. Twoje nazwisko pojawi się w napisach końcowych. Ale masz robić tak, jak ja ci mówię.

- Jeśli to jest twoje zdanie, to możesz mnie zwolnić z tej funkcji już teraz. - Zaczęła powoli wstawać z fotela. - Ale jeśli zostaje, to mam zamiar zrobić więcej niż tylko patrzeć, jak moje nazwisko przelatuje w napisach końcowych. Wiem, jak ten człowiek pracuje i znam się na telewizji. Jeśli tobie to nie wystarcza, znajdź kogoś innego na moje miejsce.

- Siadaj! - krzyknął Swan. Ryan nadal stała. - Nie będę akceptował żadnego ultimatum. Jestem w tym biznesie od czterdziestu lat. A ty już znasz się na telewizji. Zrobienie programu na żywo to nie to samo, co negocjacje w sprawach kontraktów. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby jakaś mała histeryzująca dziewczynka przyleciała do mnie na pięć minut przed wejściem na antenę, skarżąc się, że jest jakiś problem techniczny.

Ryan stłumiła wściekłość.

- Nie jestem małą histeryzującą dziewczynką i nigdy nie przybiegłam prosić cię o cokolwiek.

Swan patrzył na nią kompletnie zaskoczony. Nieznaczące poczucie winy sprawiło, że jego złość wybuchła jeszcze silniej.

- Ty dopiero zaczynasz maczać w tym palce. I masz taką szansę, bo ja ci ją dałem. I masz przyjmować moje rady!

- Twoje rady? Zawsze respektowałam twoje rady, ale dziś nie usłyszałam żadnej. Tylko rozkazy. I nie chcę od ciebie żadnej łaski. - Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

- Ryan! - W jego głosie brzmiała wściekłość. - Wracaj i siadaj, młoda damo! - krzyknął, widząc, że ona ignoruje jego komendy.

- Nie jestem twoją młodą damą. Jestem twoim pracownikiem.

Kompletnie zaskoczony machnął ręką niecierpliwie, by usiadła z powrotem.

- Siadaj - zawołał, ale Ryan pozostała przy drzwiach.

- Siadaj - powtórzył, bardziej rozdrażniony niż wściekły. Ryan wróciła i spokojnie usiadła.

- Weź notatki Ryan i zacznij pracować nad budżetem - nakazał Nedowi.

- Tak, sir. - Ned wycofał się.

Swan odczekał, aż zamknął się za nim drzwi, i dopiero wtedy zwrócił się do córki.

- Czego ode mnie chcesz? - To pytanie zadał jej po raz pierwszy w życiu.

- Takiego samego szacunku, jaki okazujesz innym producentom.

- Ty nie masz w tym żadnego doświadczenia.

- Nie mam - przyznała. - I nigdy go nie zdobędę, jeśli będziesz wiązał mi ręce.

Swan westchnął.

- Stacja telewizyjna ma dla nas lukę w programie. To trzecia niedziela maja.

- To daje nam zaledwie dwa miesiące.

- Zdążysz?

Ryan uśmiechnęła się.

- Spokojnie. Chcę, żeby Elanie Fisher wystąpiła jako zaproszona gwiazda.

- Ona kręci coś w Chicago.

- Sprawdziłam, że zdjęcia kończą się w przyszłym tygodniu. Będziemy jej potrzebować w Kalifornii najwyżej na kilka dni.

- Zadzwoń do jej agenta.

- Dobrze. - Ryan wstała. - Umówię też spotkanie z Coogarem i odezwę się do ciebie. - Zamilkła i pod wpływem impulsu obeszła biurko i stanęła przed ojcem. - Obserwowałam wiele lat, jak pracujesz. Nie spodziewam się, że będziesz mi ufał tak, jak ufasz sobie albo komuś ze sporym doświadczeniem. A jeśli popełnię błędy, nie chciałabym, żeby je przeoczono. Ale jeśli zrobię dobrą robotę, a mam taki zamiar, to chcę być pewna, że to osiągnęłam sama, a nie że tylko mi to przypisano.

- No to wykaż się.

- Właśnie. Istnieje wiele powodów, dla których ten projekt jest dla mnie szczególnie ważny. Nie mogę obiecać, że nie popełnię błędów, ale mogę obiecać, że nie znajdziesz innej osoby, która pracowałaby nad tą produkcją tak ciężko, jak ja zamierzam.

- Nie pozwól sobie, żeby Coogar rozstawiał cię po kątach - mruknął po chwili. - On lubi doprowadzać swoich producentów do rozpaczy.

- Nie martw się. - Nagle sobie coś przypomniała. Po chwili wahania pochyliła się i dotknęła ustami policzka ojca. - Dziękuję za kolczyki. Są piękne.

Swan przyjrzał się kolczykom. Jubiler zapewnił jego sekretarkę, że będą odpowiednim prezentem. Ale co napisał w liście do Ryan? Zawstydzony postanowił poprosić sekretarkę o kopię.

- Ryan. - Swan chwycił ją za rękę. Zobaczył, że jest zaskoczona tym gestem. Słyszał całą rozmowę z Nedom. Rozzłościła go, zmartwiła, a teraz, gdy zobaczył zdumienie

córki, że wzięła ją za rękę, był wręcz sfrustrowany. - Dobrze się bawiłaś w Vegas?

- Tak. To był bardzo dobry pomysł, by tam pojechać. Obserwowanie Pierce'a podczas występów dało mi o wiele lepszy ogląd jego pracy niż samo obejrzenie nagrań. Poznałam też jego zespół. A to na pewno pomoże podczas realizacji programu. - Spojrzała na ich połączone dłonie ze zdziwieniem. Czyżby ojciec był chory, zastanawiała się i spojrzała ukradkiem na jego twarz. - Jutro rano przedstawię ci bardziej szczegółowy raport.

- Ryan, ile lat wczoraj skończyłaś?

- Dwadzieścia siedem.

- Gdzieś zgubiło mi się kilka lat - wymamrotał i puścił jej rękę. - Ustaw to spotkanie z Coogarem - powiedział i zaczął wertować papiery na biurku. - Prześlij mi notatkę z rozmowy z agentem Fisher.

- W porządku.

Zza stosu papierów Swan patrzył na córkę idącą do drzwi. Gdy wyszła, przechylił się na oparcie. Ze zdumieniem zdał sobie sprawę z tego, że się starzeje.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ryan przekonała się, że produkcja programu telewizyjnego, podobnie jak negocjacje kontraktów, trzymała ją całymi dniami za biurkiem. Swan nie dał jej zupełnie wolnej ręki, ale ich konfrontacja w jego biurze przyniosła pewne korzyści. Ojciec zaczął słuchać, co ma do powiedzenia i nawet zgadzał się z większością jej propozycji. Nie wetował despotycznie jej decyzji, czego się najbardziej bała. Swan znał biznes produkcyjny na wskroś, a Ryan słuchała i uczyła się.

Całe dni miała wypełnione pracą, ale nocami czuła się samotna. Zdawała sobie sprawę, że Pierce do niej nie zadzwoni. To nie było w jego stylu. Nie odczuwając pewnie przemijania czasu, całe dni spędzał w swojej piwnicy, planując, ćwicząc i doprowadzając do perfekcji swoją sztukę iluzji.

Ryan postanowiła do niego zadzwonić. Popatrzyła na aparat telefoniczny, ale potrząsnęła głową. Nie chciała rozmawiać o pracy ani traktować jej jako płaszczyzny do kontaktu.

Pierce, po raz trzeci, przeprowadził próbę iluzji z wodą.

Wychodziło mu prawie doskonale. Ale „prawie” mu nie wystarczało. Wiedział, że obiektyw kamery może wychwycić więcej niż ludzkie oko. Za każdym razem, gdy oglądał swoje wyczyny na taśmie, znajdował jakieś drobne uchybienia. Więc nadal ćwiczył iluzje do perfekcji.

Krytycznie kontrolował swoje działania w wielkim lustrze, gdy przez wiszącą w powietrzu tubę przepływała woda. W lustrze widział, że to on sam trzyma ją od góry i podpira od dołu, a woda przepływa między palcami jego

dłoni. Woda była jednym z czterech żywiołów, które zamierzał zaprezentować w programie telewizyjnym Ryan. Myślał o niej, zamiast skupić się na pracy.

Kilkanaście razy chciał do niej dzwonić. Pewnej nocy o trzeciej nad ranem chwycił za słuchawkę. Chciał tylko usłyszeć jej głos. Nie wykręcił numeru, bo przypomniał sobie swoją przysięgę - nigdy nikogo do niczego nie obligować. Nie chciał się jej narzucać.

W jego życiu nie było osoby, do której mógłby należeć. Pracownicy socjalni uczyli go zasad życia i oferowali współczucie, ale tak naprawdę był tylko zawartością teczki personalnej w systemie. Prawo stanowiło o jego umieszczeniu w domu dziecka i o wychowaniu. I to prawo połączyło się z dwoma osobami, które go nie pragnęły, ale też nie chciały go uwolnić.

Linka i Bess kochał i akceptował, ale nie żądał żadnego przywiązania. Może właśnie dlatego ciągle wymyślał coraz bardziej skomplikowane sposoby wyzwania się z więzów i zamkniętych skrzyń. Każdy jego sukces był dowodem, że nikogo nie można przytrzymać za zawsze.

Ciągle myślał o Ryan, choć powinien pracować.

Wziął do ręki kajdanki i przyjrzał się im z bliska. Ściśle pasowały do jej nadgarstków. Wtedy ją miał. Powoli założył jedną na swoją rękę i bawił się drugą, wyobrażając sobie, że jest zapięta na nadgarstku Ryan.

Czy tego pragnął? Przykuć ją do siebie? Przypomniał sobie, ile miała w sobie ciepła i jak potrafił się w niej pogрузić po jednym tylko dotknięciu. I kto byłby przykuty do kogo? - zastanawiał się. Zirytowany ściągnął kajdanki z nadgarstka tak swobodnie, jak je założył.

- Problemy, mistrzu? - zaskrzeczał Merlin ze swojej

grzędy w klatce.

- Chyba tak - mruknął Pierce. - Ale ty też nie potrafiłeś się jej oprzeć, prawda?

- Czary - mary.

- Prawdziwe czary - mary.

Tylko kto kogo zaczarował?

Ryan już miała wejść do wanny, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

- Cholera! - Poirytowana zarzuciła szlafrok i wyszła na korytarz. Otwierając drzwi, zastanawiała się jeszcze, jak pozbyć się intruza, zanim woda w wannie ostygnie.

- Pierce!

Zobaczył szeroko otwarte ze zdumienia oczy. A zaraz potem mieszankę ulgi, szczęścia i radości. Ryan rzuciła się w jego ramiona.

- To naprawdę ty? Prawdziwy? - zapytała, całując go. - Pięć dni - mruzczała przyciskając się do niego z całych sił. - Czy ty wiesz, ile to godzin?

- Sto dwadzieścia. Ale lepiej wejdźmy do środka. Sąsiedzi mogliby mieć niezłą zabawę.

Ryan wciągnęła go i zatrzasnęła drzwi.

- Całuj mnie! Mocno. Za te wszystkie sto dwadzieścia godzin.

Złączyli się w pocałunku, mocnym i głębokim.

- Więc to naprawdę ty - westchnęła. - Jesteś prawdziwy.

Ale czy ty jesteś prawdziwa? - zastanawiał się odrobinę oszołomiony.

- Co tu robisz? Nie spodziewałam się ciebie aż do poniedziałku.

- Chciałem cię zobaczyć... i dotknąć - odpowiedział zwyczajnie, podnosząc dłoń do jej policzka.

Ryan złapała ją i przycisnęła do ust. Poczwała w sobie ogień.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam.
- Bałam się, że nie jesteś sama.
- Pierce, czy ty naprawdę myślisz, że wolałabym być z kimś innym?
 - Przeszkadzasz mi w pracy - wyznał.
 - Ja? W jaki sposób? - zapytała zdziwiona.
 - Ciagle siedzisz w mojej głowie.
 - Przepraszam. Przeszkadzam ci się skoncentrować?
 - No właśnie.
 - Trudno. - Jej głos był uwodzicielski. - I jak zamierzasz rozwiązać ten problem?

Zamiast odpowiedzi, Pierce ściągnął ją delikatnym i zupełnie nieoczekiwanym ruchem na podłogę. Jęk Ryan został stłumiony przez jego usta, a szlafrok zerwany z jej ciała, zanim zdążyła złapać oddech. Pierce doprowadził ją do szczytu rozkoszy tak szybko, że całkowicie poddała się ich wspólnemu pragnieniu.

Ubranie Pierce'a zniknęło z niego w mgnieniu oka, a on sam nie dał jej szansy na odkrywanie swojego ciała. Obrócił się na plecy, uniósł ją za biodra, jakby była piórkiem, i posadził na sobie, by dotrzeć do jej głębi.

Ryan krzyczała, zaskoczona, oczarowana, pogrążona w szybkości zbliżenia. Żar uniesienia palił jej skórę.

Szerokimi z przeżywanej rozkoszy oczami patrzyła na twarz i przymknięte z podniecenia oczy Pierce'a. Słyszała każdy jego oddech, gdy wbijał się w jej biodra palcami, unosząc i opuszczając ją, by poddała się jego ruchom. Oczy przesłoniła jej mgła rozkoszy i musiała oprzeć się dłońmi o jego piersi, by nie zemdleć.

Gdy minęła ekstaza, odkryła, że jest w jego uścisku,

a on wtula twarz w jej włosy.

- Teraz wiem, że ty też jesteś prawdziwa - szepnął Pierce, całując jej usta. - Jak się czujesz?

- Jestem cudownie zamroczona.

Pierce roześmiał się, wstał i podniósł ją z podłogi.

- Wezmę cię teraz do łóżka i będę cię kochał, zanim zdążysz dojść do siebie.

- Mmm... tak. Ale najpierw powinnam wypuścić wodę z wanny.

Pierce odnalazł łazienkę, trzymając Ryan w ramionach.

- Byłaś w wannie, gdy zapukałem?

- Prawie. Miałam zamiar pozbyć się intruza i byłam bardzo zła.

- Nie zauważyłem tej złości - odparł Pierce i odkręcił gorącą wodę.

- Nie widziałeś, jak bardzo chciałam się ciebie pozbyć?

- Czasem bywam gruboskórny. A woda pewnie trochę ostygła?

- Z pewnością.

- Więc musisz rączkami sama zrobić sobie pianę.

- Mmm - uhm. O rety! - Ryan otworzyła przymknięte cały czas oczy, gdy zrozumiała, że Pierce opuszcza ją do wanny.

- Zimna?

- Nie. - Ryan zakręciła gorącą wodę. Przez chwilę napawała się widokiem jego wysmukłego, umięśnionego ciała i wąskich bioder. - Nie chciałbyś do mnie dołączyć? - zapytała uprzejmie, roztrzepując wodę palcami, by utworzyć pianę.

- Też na to wpadłem.

- Zapraszam. - Wskazała ręką wodę. - Ależ jestem okropna, nawet nie zaproponowałam ci drinka.

Pierce wszedł do wanny i usiadł naprzeciwko Ryan.

- Rzadko piję - przypomniał.

- Tak, wiem. Nie palisz, rzadko pijesz, prawie nie przeklinasz. Jesteś uosobieniem wszelkich cnót.

Rzucił w nią pianą.

- Jednakowoż... - ciągnęła Ryan, ocierając policzek z piany - chciałabym z panem przedyskutować kwestię scenografii. Podać panu mydło?

- Ach, dziękuję, panno Swan. Cóż chciała mi pani powiedzieć o scenografii?

- Mam nadzieję, że zaaprobujesz szkice, choć pewnie będziesz chciał wprowadzić drobne zmiany. Powiedziałam Bloomfieldowi, że chcę coś odrobinę fantastycznego, średniowiecznego, ale nie zagraconego.

- To nie będzie rycerskich zbroi?

- Nie, jedynie atmosfera średniowiecza. Coś nastrojowego, jakby... - zamilkła, gdy podniósł jej stopę i zaczął namydlać.

- Tak?

- Średniowieczna tonacja kolorystyczna. Stonowane kolory, jak u ciebie w salonie.

Pierce zaczął masować jej łydkę.

- I tylko jedna scenografia?

Ryan zadrżała, gdy posuwał się palcami w stronę uda.

- Tak, myślałam, że... mmm... myślałam, że ten podstawowy nastrój...

Pierce powoli poruszał palcami po wewnętrznych stronach jej ud i patrzył na jej reakcję.

- Jaki nastrój? - zapytał, podnosząc rękę, by

kolistymi ruchami namydlić jej piersi, podczas gdy drugą masował jej uda.

- Seks - wydusiła z siebie Ryan. - Jesteś bardzo seksowny na scenie.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Jesteś bardzo aktorski i tak swobodnie seksowny. Gdy obserwowałam cię na scenie... - Zamilkła, próbując złapać oddech. Piana i ręce Pierce'a pieściły jej ciało i nie mogła mówić z rozkoszy. - Twoje ręce...

- Co z moimi rękami? - zapytał, wsuwając w nią palec.

- Są magiczne. Pierce, nie mogę mówić, gdy mi to robisz.

- Mam przestać? - Ryan miała przymknięte powieki, a on patrzył na nią, pieszcząc ją palcami.

- Nie. - Ryan odnalazła jego dłoń pod wodą i przycisnęła do siebie.

- Ryan... jesteś taka piękna. - Wzburzył falę przysuwając się do niej, by całować jej usta i piersi. - Taka miękka. Wyobrażałem sobie ciebie w nocy, gdy leżałem sam. Marzyłem o tym, żeby cię dotykać. Nie mogłem żyć bez ciebie.

- To żyj ze mną. Tak długo na ciebie czekałam.

- Pięć dni - wymruczał i rozchylił jej uda.

- Całe moje życie.

Na dźwięk tych słów coś przeszło jego wnętrze. Musiał ją mieć.

- Pierce - szeptała Ryan. - Utoniemy.

- To wstrzymaj oddech - odpowiedział i zaczęli się kochać.

- Mój ojciec będzie chciał się z tobą spotkać - powiedziała do Pierce'a następnego ranka, gdy parkował

samochód przed kompleksem studyjnym Swan Productions.

- A ty pewnie będziesz chciał się spotkać z Coogarem.

- Skoro już tu jestem - zgodził się Pierce, wyłączając silnik. - Ale przyjechałem spotkać się z tobą.

- Bardzo się cieszę, że przyjechałeś. Możesz zostać na weekend czy musisz wracać?

- Zobaczymy - odpowiedział.

Ryan wysiadła z samochodu. Lepszej odpowiedzi nie mogła się spodziewać.

- Jasne. Pierwsze spotkanie producenckie wyznaczone jest na przyszły tydzień, ale myślę, że będą potrafili wykorzystać twój przyjazd.

Ryan poprowadziła go korytarzem, kiwając na powitanie głową, gdy ktoś ją pozdrowiał. Pierce zauważył, że gdy tylko weszła przez drzwi biurowca, zamieniła się w prawdziwą bizneswoman.

- Nie wiem, co robi i gdzie jest dziś Bloomfield - wyjaśniła, gdy nacisnęła guzik windy. - Ale nawet jeśli go nie ma, to mogę zdobyć szkice i sama je z tobą omówię.

- Czy zje pani ze mną kolację, panno Swan?

Ryan uśmiechnęła się i widząc uśmiech na jego twarzy momentalnie zapomniała, na czym skończyła. Pamiętała tylko, jak minęła im noc.

- Myślę, że mogę to uwzględnić w moim grafiku, panie Atkins - szepnęła, gdy otworzyły się drzwi windy.

- Sprawdzi to pani w swoim terminarzu? - zapytał i pocałował ją w rękę.

- Tak. Ale nie patrz tak na mnie, bo nie będę potrafiła dzisiaj funkcjonować.

- Czyżby? - Pierce pozwolił się jej wyciągnąć na

korytarz. - Mógłbym uznać to za odpowiedni rewanż za te wszystkie dni, gdy przez ciebie nie mogłem się skupić na pracy.

- Jeśli chcemy, żeby program dobrze nam wyszedł, to...

- Ja absolutnie ufam pani doskonałej organizacji, panno Swan.

Już w jej pokoju, Pierce przysunął dla siebie fotel i czekał, aż ona pierwsza usiądzie.

- Chyba będzie się z panem bardzo trudno pracowało?

- Całkiem możliwe.

Marszcząc nos, Ryan podniosła słuchawkę telefonu i wystukała numer.

- Mówi Ryan Swan, czy szef jest wolny?

- Proszę poczekać.

Chwilę później usłyszała niecierpliwy głos ojca.

- Tylko szybko. Jestem zajęty.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam... - zaczęła automatycznie. - Jest u mnie pan Atkins. Pomyślałam, że może zechcesz się z nim spotkać.

- A co on tu robi? - zapytał Swan, ale nie czekając na odpowiedź, dodał: - Przyrowadź go do mnie.

- Chce się z tobą zobaczyć.

Pierce skinął głową i wstał. Ta krótka rozmowa dała mu wiele do myślenia. Kilka minut później, gdy już znalazł się w gabinecie Swana, dowiedział się jeszcze więcej.

- Witam, panie Atkins. - Swan wstał i obszedł swoje wielkie biurko, wyciągając rękę na powitanie. - Co za miła niespodzianka. Spodziewałem się tutaj pana dopiero w przyszłym tygodniu.

- Witam, panie Swan. - Pierce uściśnił mu rękę i

zauważył, że Swan nie przywitał się z córką.

- Siadajmy. Czego się pan napije? Może kawy? -
Nie, dziękuję.

- Cieszymy się, że możemy współpracować z tak utalentowanym człowiekiem jak pan. Wkładamy w ten program wiele energii. Już zaangażowaliśmy nasze siły w promocję i reklamę w mediach.

- Wiem. Ryan o wszystkim mnie informuje.

- Oczywiście. - Swan skinął głową w jej stronę.

- Będziemy kręcić w studiu numer dwadzieścia pięć.

Ryan załatwi, by mógł je pan jeszcze dziś zwiedzić. I ewentualnie zobaczyć wszystko, na co jeszcze miałby pan ochotę. - Spojrzał w stronę Ryan.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Ryan. - Pomyślałam, że pan Atkins mógłby poznać Coogara i Bloomfielda, jeśli są na miejscu.

- Załatw to teraz - rzucił komendę, pozbywając się jej z pokoju. - Panie Atkins, otrzymałem list od pana przedstawiciela i chciałbym omówić kilka kwestii, zanim spotka się pan z szefami działów artystycznych.

- Zamierzam współpracować z Ryan, panie Swan. Podpisałem kontrakt z takim właśnie zastrzeżeniem.

- Naturalnie - odpowiedział Swan, lekko zbity z tropu. Zwykle każda gwiazda cieszyła się, że on sam poświęca jej swój czas. - Mogę zaświadczyć, że ciężko pracuje nad tym projektem.

- W to nie wątpię.

Swan skrzyżował z nim spojrzenia.

- Ryan jest producentem pana programu tylko na pana specjalne życzenie.

- Pana córka jest bardzo interesującą osobą. - Pierce odczekał chwilę, obserwując, jak zwięzają się oczy Swana. -

Mam do niej pełne zaufanie. Jest bystra, wrażliwa na wszystkie kwestie i bardzo poważnie podchodzi do swojej pracy.

- Cieszę się niezmiernie, że tak ją pan ocenia - odpowiedział Swan, nie do końca rozumiejąc, co kryje się za słowami Pierce'a.

- Jedyne idiota nie oceniłby jej w taki sposób - powiedział Pierce i mówił dalej, zanim Swan zdążył mu przerwać: - Czy pan nie podziwia prawdziwego talentu i profesjonalizmu, panie Swan?

Swan przyglądał się Pierce'owi przez chwilę i rozparł się w fotelu.

- Nie byłbym szefem Swan Productions, gdybym tego nie potrafił - odpowiedział przebiegle.

- Więc doskonale się rozumiemy - odparł Pierce łagodnym tonem. - A jakie to były kwestie, które chciał pan ze mną omówić?

Dopiero piętnaście po piątej zakończyło się spotkanie Pierce'a z Bloomfieldem. Ryan cały dzień realizowała swój plan dnia. Nie miała nawet chwili na *tête-à-tête* z Pierce'em. Idąc z nim teraz korytarzem, głęboko odetchnęła.

- No to mamy dzień z głowy. Nic tak bardzo jak niezapowiedziana wizyta magika nie doprowadza ludzi do trzęsawki. Mimo że Bloomfield jest bardzo obytym człowiekiem, to mam wrażenie, że cały czas czekał, aż wyciągniesz królika z kapelusza.

- Nie miałem kapelusza.

- Co za problem. Wyciągnąłbyś królika z czegoś innego. - Ryan roześmiała się z własnego dowcipu i spojrzała na zegarek. - Muszę jeszcze wpaść do mojego biura i sprawdzić kilka rzeczy, zadzwonić do ojca i powie-

dzieć mu, że nasza gwiazda wykorzystwała odpowiednio czas i potem...

- Nie.

- Nie? - Ryan spojrzała na niego zdziwiona. - Czy jest jeszcze coś, co chciałbyś zobaczyć? Nie podobały ci się szkice?

- Nie - powtórzył Pierce. - Nie wpadniesz już do swojego biura, by sprawdzić kilka rzeczy, ani nie zadzwonisz do ojca.

- To zajmie mi najwyżej dwadzieścia minut.

- Zgodziła się pani zjeść ze mną kolację, panno Swan - przypomniał.

- Jak tylko sprzątnę papiery z biurka.

- Możesz to zrobić w poniedziałek. Czy masz coś wyjątkowo pilnego?

- Nie, ale... - zamilkła, gdy poczuła coś na nadgarstku i zobaczyła kajdanki. - Pierce, co ty robisz?

- Zabieram cię na kolację.

- Pierce, zdejmij to - rozkazała rozbawiona. - To absurdalne.

- Później zdejmę - obiecał i pociągnął ją do windy. Cierpliwie czekał, aż przyjedzie winda. Dwie sekretarki spojrzały na niego, na kajdanki i na Ryan.

- Pierce - odezwała się półgłosem Ryan. - Zdejmij to natychmiast. Ludzie na nas patrzą.

- Jacy ludzie?

- Pierce, mówię poważnie! - Jęknęła sfrustrowana, gdy otworzyły się drzwi windy i zobaczyła kilku kolejnych pracowników Swan Productions. - Zapłacisz mi za to - mruknęła, próbując ignorować podejrzliwe spojrzenia.

- Proszę mi powiedzieć, panno Swan - odezwał się przyjacielskim i donośnym głosem Pierce. - Czy zawsze

trzeba w taki sposób zmuszać panią do dotrzymania obietnicy dotyczącej wspólnej kolacji?

Skuta kajdankami szła przez parking do samochodu.

- No dobrze, koniec żartów. Zdejmij je. Nigdy w życiu nie czułam się tak zawstydzona! Czy ty masz pojęcie...

Jego usta przerwały jej w pół słowa.

- Cały dzień o tym marzyłem - wyznał Pierce i pocałował ją jeszcze raz, zanim zdążyła zaprotestować.

Ryan starała się, jak mogła, żeby utrzymać w sobie złość, ale jego usta były takie miękkie. Jego dłoń była tak delikatna. Przysunęła się do niego bliżej i chciała objąć za szyję, ale kajdanki jej na to nie pozwoliły.

- O nie. Nie uda ci się z tego wywinąć - stwierdziła zdecydowanie i odepchnęła go, gotowa zaatakować. On tylko uśmiechnął się. - Cholera, Pierce! - jęknęła. - Pocałuj mnie jeszcze raz!

Pocałował ją delikatnie.

- Jest pani bardzo podniecająca, gdy się pani złości, panno Swan - szepnął.

- Byłam zła - mruknęła. - I jestem zła.

- I podniecająca - dokończył i pociągnął ją w stronę samochodu.

- No i co teraz? - Pokazała na połączone kajdankami ręce. Pierce otworzył drzwi i zaprosił ją do środka.

- Pierce! - Ryan potrząsała ręką. - Zdejmij te kajdanki. Nie będziesz mógł prowadzić w nich samochodu.

- Oczywiście, że będę mógł. Wsiadaj. Ryan usiadła na siedzeniu kierowcy.

- To jakiś absurd.

- Tak - przyznał. - I bardzo mnie bawi. Przesuń się. Pierce wsiadł i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Połóż rękę na dźwigni zmiany biegów i doskonale damy sobie radę.

Ryan posłuchała go. Jego dłoń spoczęła na jej dłoni i wrzucił wsteczny bieg.

- Jak długo będziesz nas trzymał złączonych kajdankami?

- Dobrze pytanie. Jeszcze o tym nie myślałem.

- Jeśli tylko powiedziałaś mi, że jesteś aż tak głodny, to sama grzecznie poszłabym za tobą.

- Nie jestem aż tak głodny. Pomyślałem, że zatrzymamy się gdzieś po drodze, by coś zjeść.

- Po drodze? Po drodze... dokąd?

- Do domu.

- Do jakiego domu? - Spoglądając przez szybę, zrozumiała, że jadą w przeciwną stronę niż jej mieszkanie.

- Do twojego domu? - zapytała z niedowierzaniem.

- Pierce, to ponad dwieście pięćdziesiąt kilometrów stąd.

- Mniej więcej. Nikt nie potrzebuje cię w L.A. do poniedziałku.

- Do poniedziałku?! Więc chcesz mi powiedzieć, że jedziemy do ciebie na cały weekend? Ale ja nie mogę. Nie mogę ot tak sobie wsiąść do samochodu i zniknąć na weekend.

- Dlaczego nie?

- Bo... Bo nie mogę. Po pierwsze, nie mam żadnych ubrań na zmianę, a po drugie...

- Nie będziesz potrzebowała żadnych ubrań.

- Ty mnie po prostu porwałeś!

- O właśnie!

- Ależ...

- Masz jakieś obiekcje?

- Wyłuszcę je w poniedziałek - odpowiedziała i spokojnie rozsiadła się w fotelu pasażera, przygotowana na przyjemności związane z byciem uprowadzoną przez Pierce'a.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ryan otworzyła oczy i została oślepiąca porannym słońcem. O świcie Pierce obudził ją, mruczając, że schodzi na dół popracować. Ryan wtuliła się w poduszkę, żeby poleżeć jeszcze przez chwilę.

Pierce był zadziwiającym człowiekiem - pomyślała. Nigdy nie podejrzewałyby go, że mógłby zrobić coś takiego, jak skucie kajdankami i porwanie jej na weekend. Powinna być zła. Ale jak mogłaby się złościć na mężczyznę, który każdym swoim spojrzeniem i dotykiem udowadnia, że jest pożądana i uwielbiana? Jak mogłaby być zła za to, że mężczyzna kocha się z kobietą, jakby była dla niego najcenniejszym stworzeniem na ziemi?

Ryan przeciągnęła się i spojrzała na zegarek. Dziewiąta trzydzieści! Tak późno! Jak to możliwe? Wydawało jej się, że zaledwie chwilę temu Pierce zostawił ją samą w sypialni. Wyskoczyła z łóżka i popędziła pod prysznic. Mieli dla siebie tylko dwa dni, więc nie mogła ich zmarnować na sen.

Gdy wyszła z łazienki owinięta ręcznikiem, przejrzała krytycznie swoje ubranie. Na pewno w byciu porwaną przez niezwykłego magika było coś romantycznego, tylko szkoda, że nie pozwolił jej wziąć jakichś ubrań na zmianę. Założyła na siebie garsonkę z poprzedniego dnia, ale pomyślała, że Pierce po prostu będzie musiał załatwić jej coś innego.

Skonsternowana zauważyła, że nie ma ze sobą torebki. Zostawiła ją w dolnej szufladzie swojego biurka. Zmarszczyła nos, spoglądając na siebie w lustrze. Westchnęła, widząc rozczochrane włosy. Pierce będzie musiał coś dla niej wyczarować.

Na dole powitał ją Link, zbierający się do wyjazdu.

- Cześć. - Link uśmiechnął się szeroko. - Pierce powiedział mi, że jesteś naszym gościem.

- No tak... zaprosił mnie na weekend.

- Cieszę się, że przyjechałaś. On bardzo za tobą tęsknił.

- Ja też za nim tęskniłam. Ale gdzie on teraz jest?

- W bibliotece. Rozmawia przez telefon.

Ryan dostrzegła nagle rumieńce na twarzy Linka.

- Co się dzieje, Link?

- Dokończyłem komponować to, co ci się podobało.

- To wspaniale. Bardzo chciałabym to usłyszeć.

- Nuty są na pianinie. - Skrępowany opuścił wzrok.

- Możesz sobie zagrać później, jeśli chcesz.

- A ciebie nie będzie? Nigdy nie słyszałam, jak grasz.

- Nie, ja... - Link splonął się jeszcze bardziej. - Bess i ja... ona chce jechać do San Francisco. - Chrząknął z przejęcia. - Ona lubi jeździć tramwajami.

- To świetnie. - Ryan postanowiła trochę pomóc Bess.

- To niezwykła dziewczyna, prawda, Link?

- Oczywiście. Bess jest jedyna na świecie - przyznał ochoczo i znowu zaczął przyglądać się czubkom swoich butów.

- Ona tak samo myśli o tobie.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Ryan bardzo chciała się uśmiechnąć, ale postanowiła się opanować. - Opowiedziała mi, jak się poznaliście. To było niezwykle romantyczne.

- Ona jest bardzo ładna. Zawsze, jak wyruszamy w trasę, kręci się wokół niej wielu facetów.

- Nic dziwnego. Ale ja myślę, że ona najbardziej lubi muzyków. A szczególnie tych, którzy grają na pianinie i do tego komponują piękne, romantyczne utwory. Więc nie marnuj czasu.

Link patrzył na Ryan, jakby chciał dobrać odpowiednie słowa.

- Tak? No tak. Muszę już po nią lecieć.

- Bawcie się dobrze. - Ryan ścisnęła go za rękę.

- Okay. - Uśmiechnął się i ruszył do drzwi. - Ryan, ona naprawdę lubi pianistów?

- Tak, Link, naprawdę.

- Do zobaczenia. - Link rozciągnął usta w uśmiechu i otworzył drzwi.

- Do widzenia, Link. Pozdrów ode mnie Bess.

Drzwi do biblioteki były otwarte i Ryan słyszała niski głos Pierce'a rozmawiającego przez telefon. Widząc ją, uśmiechnął się, zaprosił gestem do środka i rozmawiał dalej.

- Prześlę dokładne specyfikacje na piśmie - mówił do telefonu. - Nie, dostawa najpóźniej za trzy tygodnie. Muszę mieć czas, by upewnić się, że wykorzystam to w pracy.

Ryan przysiadła na fotela i obserwowała Pierce'a. Ubrany w dżinsy i bawełnianą bluzę, z włosami zaledwie przeczesanymi palcami jeszcze nigdy nie wydawał się jej bardziej pociągający. Ryan postanowiła zwrócić na siebie uwagę i odciągnąć go od rozmowy. Wstała i zaczęła chodzić po bibliotece, zrzuciła z nóg pantofle, wzięła z półki jakąś książkę, przejrzała i odłożyła na swoje miejsce.

- Proszę dostarczyć listę do mojego domu - powiedział Pierce do słuchawki i obserwował, jak Ryan zdejmuje marynarkę i wiesza ją na oparciu fotela. - Tak,

właśnie to jest mi potrzebne. Jeśli moglibyście... - zamilkł, gdy zobaczył, że Ryan zaczyna rozpinąć bluzkę. Spojrzała na niego, gdy przestał mówić i uśmiechnęła się. - ... skontaktujcie się ze mną, gdy dostaniecie... - Bluzka zsunęła się na podłogę i teraz Ryan rozpiniała zamek spodnicy. - Gdy dostaniecie... - Pierce próbował ciągnąć rozmowę. - ... te wszystkie... elementy, to ja zorganizuję transport.

Pochylając się, Ryan zaczęła ściągać pończochy.

- Nie, to... to nie będzie potrzebne.

Zarzuciła włosy na plecy i posłała Pierce'owi zalotny uśmiech.

- Tak. Tak. Świetnie.

Ryan odpięła znajdującą się z przodu między miseczkami haftkę stanika. Nadal patrzyła mu prosto w oczy, uśmiechając się, gdy jego wzrok opuścił się na miejsce, gdzie bawiła się rozluźnionym zapięciem biustonosza.

- Słucham? - Pierce pokręcił głową. Wydawało mu się, że coś brzęczy do telefonu. - Słucham? - powtórzył, gdy jedwab stanika bardzo powoli rozsuwał się na boki. - Oddzwonię do pana. - Odłożył słuchawkę.

- Już skończyłeś? - zapytała Ryan, podchodząc do Pierce'a. - Chciałabym porozmawiać z tobą o mojej garderobie.

- Podoba mi się to, co masz na sobie. - Pociągnął ją na fotel i ustami odnalazł jej usta.

- Czy to była ważna rozmowa? - zapytała, gdy całował jej szyję. - Nie chciałam ci przeszkadzać.

- Nie przeszkadzałaś. - Sięgnął dłonią do jej piersi.

- Boże, ja przez ciebie dosłownie wariuję! Ryan... - W jego głosie było silne pragnienie. - Teraz.

- Tak - szepnęła, gdy w nią wchodził.

Drżał, gdy na niej leżał. Pomyślał, że nikt jeszcze nie był w stanie tak bardzo pozbawić go kontroli nad sobą. To było przerażające. Część jego chciała wstać i odejść, by udowodnić, że potrafi odchodzić. Jednak został tam, gdzie był.

- Niebezpieczna - mruknął prosto w jej ucho, zanim czubek jego języka zaczął zataczać kręgi po małżowinie.

- Jesteś niebezpieczną kobietą.

- Dlaczego?

- Znasz moje słabości. Może to ty jesteś moją słabością.

- Jest aż tak źle?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem.

- Dziś i tak to nie ma znaczenia. Dziś jesteśmy tylko dla siebie.

Wpatrywał się w nią tak intensywnie, jak za pierwszym razem, gdy się spotkali.

- Gdy pocałowałeś mnie po raz pierwszy, cały świat przestał się dla mnie liczyć. Próbowałam sobie wmówić, że mnie po prostu zahipnotyzowałeś.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałem się z tobą kochać tamtego wieczoru. Nie mogłem pracować. Nie mogłem spać. Leżałem, myśląc o tobie i o tym, jak wyglądasz w skrawkach jedwabiu i koronek.

- Ja też cię pragnęłam - wyznała Ryan. - Sama byłam tym zszokowana. Znałam cię zaledwie od kilku godzin, a od razu tak cię pożądałam.

- Kochałbym cię wtedy zupełnie tak jak teraz.

Pierce skubał jej usta swoimi ustami do momentu, gdy stały się gorące i głodne. Wydawało się, że ten pocałunek będzie trwał w nieskończoność. Obydwoje

mruczeli z rozkoszy, gdy ich usta rozłączały się i znowu spotykały. Ich pocałunek stał się centrum wszechświata.

Dotykał ją i pieścił, ale pozostali złączeni ustami. Ryan objęła go, pragnąc tylko, by ten pocałunek trwał w nieskończoność.

Wiedział, że jej ciało należało teraz całkowicie do niego i dotykał jej tam, gdzie sprawiało jej to największą przyjemność. Głaskał ją delikatnie po wewnętrznych stronach ud, muskając miękki środek w drodze do drugiego uda, nie przerywając na moment namiętnego pocałunku.

Zaczepiał jej usta zębami, penetrował językiem, dociskał wargami. Jej mruczenie i powtarzanie jego imienia jeszcze bardziej go podniecało. Śledził dłońmi krągłości jej bioder, wcięcie talii; głaskał satynową gładkość skóry na ramionach. Była jego - pomyślał i znowu musiał się skoncentrować, żeby nie wziąć jej natychmiast. Wołał, by pocałunek powiedział o nim wszystko. O mrocznym pożądaniu spełnienia i nieskończonej czułości.

Gdy w nią wniknął, nie przerwał sycenia się jej ustami. Kochał ją wolnymi ruchami, wzbudzając stopniowo napięcie, powstrzymując swoją namiętność, dopóki nie wybuchła, nie dając się dłużej kontrolować. Byli połączeniu ustami aż do przebrzmienia jej ekstazy.

Nikt tylko ona - pomyślał w malignie rozkoszy, wdychając zapach jej włosów. Tylko ona. Objęła go mocno. Wiedział, że znalazł się w pułapce.

Kilka godzin później Ryan włożyła dwa steki do piekarnika. Miała na sobie dzinsy Pierce'a, ściągnięte paskiem, z kilkakrotnie podwiniętymi nogawkami. Sportowa bawełniana bluza wisiała jej do bioder. Rękawy podciągnęła do łokci.

- Czy ty też gotujesz tak dobrze jak Link? - zapytała

Pierce'a, obserwując, jak przygotowuje sałatę.

- Nie, panno Swan. Skoro jest pani porwana i przetrzymywana pod przymusem, nie może się pani spodziewać wyszukanych dań.

Ryan podeszła do niego i objęła od tyłu.

- Czy będziesz domagał się okupu? - Z westchnieniem oparła policzek o jego plecy. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak szczęśliwa.

- Możliwe. Kiedy z tobą skończę.

- Świnia - skomentowała słodkim tonem i wsunęła rękę pod jego koszulę.

- Rozpraszasz mnie, Ryan.

- Taką właśnie mam intencję. Ale to wcale nie jest takie łatwe.

- Jesteś mistrzynią w tej dziedzinie.

- Czy naprawdę potrafisz wybić ramiona ze stawów barkowych, żeby uwolnić się z kaftana bezpieczeństwa?

Rozbawiony, nie przestawał kroić sałaty.

- A gdzie to słyszałaś?

- Gdzieś tam - odpowiedziała niejasno, nie chcąc zdradzić się, że przeczytała o nim wszystko, cokolwiek było dostępne w mediach. - Słyszałam też, że masz pełną kontrolę nad swoimi mięśniami.

- A słyszałaś też, że zbieram zioła i korzonki w świetle księżyca? Albo że studiowałem sztuki magiczne w Tybecie w wieku dwunastu lat?

- Czytałam, że uczył cię duch Houdiniego.

- Naprawdę? Gdzieś mi to umknęło. To niezły komplement.

- Ale tobie podobają się te wszystkie nedorzeczności, które o tobie wypisują?

- Oczywiście. Miałbym kiepskie poczucie humoru,

gdyby mnie to nie bawiło.

- I oczywiście, jeśli fakty i fantazja przeplatają się ze sobą, to nikt nigdy nie wie, co jest prawdą, a co nie.

- O to właśnie chodzi. Im więcej o mnie piszą, tym więcej mam prywatności.

- A twoja prywatność jest dla ciebie niezwykle ważna.

- Gdybyś dorastała w takich warunkach jak ja, to nauczyłabyś się to cenić.

Podniósł jej podbródek i zobaczył, że jej oczy błyszczały od łez.

- Ryan, nie ma potrzeby, by ci było smutno z powodu mojego powodu.

- Wiem, ale trudno nie smucić się z powodu losów małego chłopca.

- Ten chłopiec był bardzo odporny. Lepiej przewróć steki na drugą stronę.

- Jakie steki lubisz?

- Średnio wysmażone.

Ryan upuściła widelec, gdy coś otarło się o jej łydki.

- To tylko Circe. Przyszła, bo poczuła mięso. - Pierce podniósł widelec i opłukał, a kot ocierał się o nogi Ryan i mruczał uroczo. - Ona zrobi wszystko, żeby przekonać cię, że zasłużyła na trochę dla siebie.

- Twoje zwierzaki mają zdolność wytrącania mnie z równowagi.

- Wybacz.

Ryan oparła rękę o biodra.

- Ty lubisz patrzeć, jak się boję, co?

- Ja w ogóle lubię na ciebie patrzeć. - Roześmiał się i objął ją. - Ale muszę przyznać, że jest coś rozbrajającego w tobie paradującej na bosaka po kuchni w moich

ciuchach.

- Serio? To nakryj do stołu. Umieram z głodu.

Jedli przy świecach pijąc wino. Mimo luźnej odzieży, czuła się bardziej kobieco niż kiedykolwiek dotąd. To jego oczy sprawiały, że czuła się piękna, interesująca i pożądana. Ryan po raz kolejny się w nim zakochała.

Patrzyli na siebie w świetle przygasających świec, wsłuchiwali się w dźwięk swoich słów, budowali pragnienie, które znowu wybuchnie namiętnością.

- Zaczekasz na mnie w salonie? - mruknął Pierce i ucałował jej dłonie.

- Pomogę ci sprzątać.

- Nie, idź do salonu.

Kolana drżały jej z podniecenia, ale wstała, nie potrafiąc oderwać od niego wzroku.

- Ale zaraz przyjdiesz?

- Tak.

To była zaczarowana noc - pomyślała, gdy weszła do salonu. Doskonała na bliskość i miłość. Ryan wyobraziła sobie, że są na małej wysepce na środku ciemnego oceanu. Noce były długie, nie było elektryczności i telefonów. Pod wpływem nagłego impulsu zaczęła zapalać świece porozstawiane w różnych miejscach po całym pokoju i rozpała drewno w kominku. Właśnie tak tajemniczego nastroju pragnęła - rozmytego światła i pływających cieni.

Pomyślała o muzyce i rozejrzała się za wieżą, ale nie wiedziała, gdzie szukać sprzętu stereo. Podeszła do pianina.

Nuty Linka czekały na półeczce. Świece rzucały wystarczające - światła. Usiadła i zaczęła odczytywać nuty. Po chwili potrafiła już zagrać utwór Linka.

Pierce przyglądał się jej, stojąc w drzwiach. Mimo

że skupiała się na nutach, miała rozmarzony wzrok. Nie widział jej jeszcze w takim stanie - tak pograżonej w zamyśleniu. Mógłby tak na nią patrzeć w nieskończoność.

Grała przy świetle świec, poruszona przez muzykę. Powietrze pachniało drewnem i topiącym się woskiem. Wiedział, że ten moment zapamięta na całe życie. Lata miną, a gdy tylko zamknie oczy, zobaczy ją właśnie w tej chwili, usłyszy muzykę, poczuje zapach świec.

- Ryan - wyszeptał jej imię.

Uśmiechnęła się, a w migoczącym świetle świec zobaczył łzy w jej oczach.

- To jest takie piękne.

- Tak. Zagraj to jeszcze raz, proszę.

Zaczęła jeszcze raz, ale on pozostał w tym samym miejscu. Chciał dokładnie zachować jej obraz w pamięci. Skończyła grać i spojrzała na niego. Pierce podszedł.

- Nigdy nie pragnąłem cię bardziej niż teraz, ale bałem się wcześniej podejść.

- Dlaczego?

- Bałem się, że moje palce mogłyby przejść przez ciebie i okazałyby się tylko snem.

Ryan ujęła jego dłoń i przytuliła do policzka.

- To nie jest sen - szepnęła.

- Jeśli miałabyś jedno życzenie, Ryan, tylko jedno, to czego byś chciała?

- Żebyś dziś myślał tylko o mnie.

Jej oczy błyszczały jak brylanty w półmroku rozświetlanym przez świece.

- Marnujesz swoje życzenie na to, co już masz.

Ucałował jej skronie, policzki, omijając jej drżące usta.

- Chcę być wszystkimi twoimi myślami - odparła

drżącym głosem. - Żeby w twoim umyśle nie było już miejsca dla nikogo innego. Dziś jestem w nim tylko ja. A jutro...

- Ciii... - Pocałował ją w usta, ale tak lekko, że poczuła to zaledwie jako obietnicę tego, co miało się wydarzyć później. - Nie ma nikogo innego w moich myślach poza tobą, Ryan. - Muskał delikatnie wargami jej przymknięte powieki. - Chodź - szepnął. - Udowodnię ci to.

Wziął ją za rękę i przeprowadził przez pokój, gasząc świece. Ostatnią wziął do ręki, by oświetlała im drogę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Znowu musieli się rozstać na jakiś czas. To było konieczne dla powodzenia programu telewizyjnego. Gdy Ryan czuła się samotna, wspominała ostatnią spędzoną razem magiczną noc. Musiało jej to wystarczyć do następnego spotkania.

W ciągu następnych tygodni spotykali się jedynie w pracy. Przyjeżdżał do niej na spotkania lub by dopilnować własnych spraw. Ryan nadal nie wiedziała, na czym polega tajemnica jego magii. Dostarczył jej pełną listę sztuczek i iluzji, które wykona na scenie, ale załączył do niech jedynie powierzchowne wytłumaczenie ich mechaniki.

Scenografię przygotowywano zgodnie z ustaleniami poczynionymi pomiędzy nią, Bloomfieldem i Pierce'em. Elaine Fisher zgodziła się wystąpić jako gość programu. Ryan udało się dopiąć wszystko po całej serii spotkań.

Pierce potrafił powiedzieć więcej milczeniem lub dwoma, trzema spokojnie wypowiedzianymi słowami niż kilka rozkrzyczanych głów szefów działów. Uprzejmie wysłuchiwał ich żądań i marudzenia, żeby na końcu zawsze zwycięsko wyjść ze spotkania.

Nie zgodził się na profesjonalny skrypt przedstawienia. Trzymał się swojej decyzji, bo wiedział, że ma rację. Miał swojego dźwiękowca, reżysera i własną ekipę asystentów. Nic nie odwiódłoby go od wykorzystania własnych ludzi na kluczowych funkcjach. Niedbałym ruchem głowy odmówił założenia sześciu przedstawionych mu projektów kostiumów.

Pierce robił wszystko po swojemu i kiwał zgodnie głową jedynie wtedy, gdy mu to odpowiadało. Jednak Ryan zauważyła, że przedstawiciele działów artystycznych,

mimo że sami ulegali emocjom, rzadko narzekali na Pierce'a. Zauważyła, że on ich po prostu oczarował. Potrafił współpracować z ludźmi.

Albo otaczał kogoś swoim wewnętrznym ciepłem, albo mroził samym tylko spojrzeniem.

Bess też miała prawo do własnych decyzji dotyczących kostiumów. Pierce odmówił przeprowadzenia jakichkolwiek prób przez ukończeniem montażu scenografii. Potem zabawiał techników sceny sztuczkami zręcznościowymi i karcianymi trikami.

Ryan trudno było funkcjonować w ramach restrykcji nałożonych przez Pierce'a na nią i jej zespół. Próbowwała negocjować, wyklócać się, błagać. Wszystko na nic.

- Pierce. - Ryan złapała go wreszcie podczas przerwy w jednej z prób. - Musimy porozmawiać.

- Hm? - mruknął, wydając dyspozycje swoim asystentom.

- Pierce, to ważne.

- Tak, słucham cię.

- Nie możesz wyrzucać Neda z prób.

- Owszem, mogę. I zrobiłem to. A co, poskarżył ci się?

- Tak. Jako koordynator produkcji ma prawo tu być.

- Tylko mi przeszkadza.

- Pierce!

- Słucham? - Zapytał uprzejmym tonem i odwrócił się do niej. - Czy już pani mówiłem, że wygląda dziś pani uroczo, panno Swan? - Przesunął palcami wzdłuż wyłogu jej marynarki. - Ma pani dziś na sobie bardzo elegancką garsonkę.

- Posłuchaj mnie, Pierce. Musisz pozwolić moim ludziom uczestniczyć w przygotowaniach. Twoja ekipa jest

bardzo efektywna, ale przy produkcji niestety musi pracować więcej ludzi. Twoi ludzie znają się na swojej pracy, ale nie na produkcji telewizyjnej.

- Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby twoi ludzie pchali łapy w moje rekwizyty, Ryan. Albo żeby kręcili się tutaj, gdy przygotowuję scenę.

- O rany! To mają podpisać własną krwią cyrografy, że nie zdradzą twoich tajemnych sztuczek? Moglibyśmy zaplanować ten ceremoniał na następną pełnię księżyca.

- Dobry pomysł, ale nie wiem, ilu z twoich ludzi by się na to zgodziło. Na pewno nie byłby to twój koordynator. - Wykrzywił usta w kpiącym uśmiešku. - On chyba boi się nawet widoku własnej krwi.

- Jesteś zazdrosny?

Pierce roześmiał się tak rozbawiony, że Ryan chciała go zdzielić podkładką na dokumenty.

- On nie jest dla mnie żadnym zagrożeniem.

- Nie o to mi chodzi - mruknęła. - On zna się na swojej pracy, ale nie może jej wykonywać, bo mu to uniemożliwiasz.

- Ryan, ja zawsze kieruję się rozsądkiem. Więc co mam zrobić?

- Chciałabym, żebyś pozwolił Nedowi robić to, co musi. I żebyś wpuścił moich ludzi do studia.

- Oczywiście - zgodził się Pierce. - Ale nie podczas prób.

- Pierce. Związujesz mi ręce. Telewizja rządzi się swoimi prawami i musisz zrobić pewne wyjątki.

- Jestem tego w pełni świadomy, Ryan. I zrobię wyjątki. - Pocałował ją w brwi. - Kiedy będę gotowy. Musisz pozwolić mi popracować z moją ekipą, aż będę przekonany, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik.

- Jak długo to potrwa?

- Tylko kilka dni. Twój najważniejsi ludzie i tak kręcą się w pobliżu.

- W porządku. Ale pod koniec tygodnia oświetleniowcy będą musieli wziąć udział w próbach. To ma kluczowe znaczenie.

- Zgoda. Jeszcze coś?

- Tak. Czas twojego pierwszego segmentu jest o dziesięć sekund dłuższy niż przewidywany. Będziesz musiał go skrócić, żeby był czas na reklamy.

- Nie. To ty będziesz musiała przesunąć reklamy. - Pocałował ją i odszedł, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Już chciała za nim krzyknąć, ale dostrzegła różę w kłapie swojej marynarki. Radość zmieszała się z wściekłością i za późno już było na reakcję.

- Niezłe z niego ziółko, prawda?

Ryan odwróciła się i zobaczyła Elaine Fisher.

- Tak - przyznała. - Mam nadzieję, że pani jest ze wszystkiego zadowolona. Czy garderoba pani odpowiada?

- Tak. Choć jedna żarówka wokół lustra jest przepalona.

- Dopilnuję, by ją wymieniono.

Elaine obserwowała Pierce'a i roześmiała się perliście.

- Muszę pani powiedzieć, że nie miałabym nic przeciwko temu, by ten facet znalazł się w mojej alce.

- Chyba nie uda mi się tego załatwić, panno Fisher.

- Och, kochana. Sama bym sobie to załatwiła, gdyby nie to, że chyba jest już zajęty. - Mrugnęła do niej przyjaźnie. - Oczywiście, jeśli nie jest pani nim zainteresowana, mogłabym spróbować go pocieszyć.

- Nie będzie to konieczne - odpowiedziała Ryan z uśmiechem. - To także moja rola jako producenta, by gwiazda estrady była zadowolona.

- To może chociaż załatwi mi pani jego klona? - Zostawiła Ryan i podeszła do Pierce'a. - Gotowy na mnie?

Obserwując, jak pracują razem, Ryan była wystawiona na ciężką próbę. Byli do siebie doskonale dopasowani. Pod puszystymi blond włosami i urokiem osobistym krył się prawdziwy talent aktorski i dar bawienia publiczności. O taki właśnie balans między nimi Ryan chodziło.

Ryan poczekała chwilę, wstrzymując oddech, gdy zapalono pochodnie. Po raz pierwszy mogła tak dokładnie przyjrzeć się iluzji od kulis. Pochodnie paliły się mocnymi płomieniami, dopóki Pierce nie uspokoił ich ruchem dłoni.

- Tylko nie spal mi sukni - zaskrzeczała. - Jest wypożyczona.

Elaine zaczęła lewitować i po chwili unosiła się nad płomieniami.

- Świetnie im to wychodzi - skomentowała Bess, która pojawiła się w pobliżu.

- Tak, mimo tych wszystkich problemów, które nam stwarza, Pierce faktycznie sprawia, że wszystko co niemożliwe staje się możliwe. Jest potwornie nieustępliwy.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwała się Bess, ściskając Ryan za rękę.

- Co?

- Chciałam najpierw powiedzieć to Pierce'owi, ale... - uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Link i ja...

- Gratulacje! - Przerwała Ryan i objęła ją serdecznie. Bess roześmiała się.

- Nie pozwoliłaś mi dokończyć.

- Chciałaś mi powiedzieć, że się pobieracie.
- No tak, ale...
- Moje gratulacje! - powtórzyła Ryan. - Kiedy to się stało?

- W zasadzie to... teraz. - Bess rozejrzała się i podrapała po głowie. - Byłam w mojej garderobie, szykując się do próby, gdy Link zapukał do drzwi. Nie chciał wejść, tylko stał w progu, przebierając nogami, no wiesz sama, jaki jest. I wtedy, zupełnie zniemacka, zapytał się, czy wyjdę za męża. - Bess potrząsnęła głową i znowu się roześmiała. - Byłam tak zdziwiona, że zapytałam za kogo.

- Bess, no coś ty?!

- No tak. No bo jak można spodziewać się takiego pytania, jak znasz kogoś od dwudziestu lat.

- Biedny Link. I co on ci odpowiedział?

- Stał przez minutę, patrząc na mnie i zmieniając kolory na twarzy, aż wreszcie odpowiedział: „No chyba za mnie”. - Bess zachichotała. - To było bardzo romantyczne.

- Tak się cieszę.

- Dzięki. Ale nie mów jeszcze nic Pierce'owi, okay? Chyba poproszę Linka, żeby mu sam o tym powiedział.

- Będę milczeć. A kiedy ślub? Bess uśmiechnęła się ironicznie.

- Kochanieńka, możesz wierzyć lub nie, ale czuję się, jakbym była zaręczona od dwudziestu lat, a to dość długo. Chyba poczekamy aż do nagrania telewizyjnego i wtedy wykonamy „wielki skok”.

- Będziesz nadal współpracować z Pierce'em?

- Jasne. Jesteśmy drużyną. Oczywiście będę mieszkała z Linkiem u siebie, ale będziemy pracować razem.

- Bess - zaczęła Ryan. - Jest coś, o co muszę cię

zapytać. Chodzi o tę ostatnią iluzję. Pierce nie chce powiedzieć o niej ani słowa. Wspomniał tylko, że to jest ucieczka i potrzebuje na nią cztery minuty i dziesięć sekund. Wiesz coś o tym?

Bess wzruszyła ramionami.

- On trzyma ten numer w tajemnicy, bo nie dopracował jeszcze wszystkich szczegółów.

- Jakich szczegółów?

- Naprawdę nie wiem, poza tym... - zawahała się, rozdarła pomiędzy własnymi wątpliwościami a poczuciem lojalności. - Poza tym, że Linkowi ona też się nie podoba.

- Dlaczego? Jest niebezpieczna? Naprawdę niebezpieczna?

- Posłuchaj, Ryan. Wszystkie ucieczki mogą być niebezpieczne, poza zwykłym kaftanem bezpieczeństwa, czy uwalnianiem się z kajdanek. Ale on jest w tym najlepszy.

- Spojrzała, jak Pierce opuszcza Elaine na deski sceny.

- Będę mu potrzebna za minutę.

- Bess, powiedz mi wszystko, co wiesz.

- Ryan, wiem, co do niego czujesz, ale to jest jego praca i jego tajemnica.

- Ja nie proszę cię o złamanie kodeksu iluzjonistów - odparła Ryan niecierpliwie. - On i tak będzie musiał mi powiedzieć na czym polega ta iluzja.

- Więc poczekaj - odpowiedziała Bess i wyszła na scenę.

Próba przeciągnęła się, jak wszystkie poprzednie. Po popołudniowym spotkaniu produkcyjnym Ryan postanowiła poczekać na Pierce'a w jego garderobie. Jego ostatni numer nie dawał jej spokoju przez cały dzień. Nie

podobało jej się przerażone spojrzenie Bess, gdy o nim wspomniała.

Garderoba Pierce'a była przestronna i luksusowa.

Ryan zajrzała do lodówki, znalazła sok pomarańczowy i zapadła się na miękkiej sofie. Wzięła ze stolika książkę o Houdinim i zaczęła ją przeglądać.

Gdy w garderobie pojawił się Pierce, była w połowie lektury.

- Badania naukowe?

- Czy ty naprawdę potrafisz te wszystkie rzeczy? - dopytywała się Ryan. - Na przykład ten numer z połykaniem igły i szpulki nici, i wyciągnięcia już nawleczonej igły z nicią? On nie zrobił tego naprawdę?

- Zrobił. - Pierce zdjął koszulę.

- A ty to potrafisz?

- Ja nie lubię kopiować iluzji. Jak minął ci dzień?

- Świetnie. Tu jest napisane, że niektórzy ludzie myśleli, że on ma kieszeń w ciele.

Tym razem Pierce się roześmiał.

- Nie sądzisz, że znalazłabyś jakąś u mnie do tej pory, gdybym ja taką miał?

Ryan odłożyła książkę.

- Musimy porozmawiać.

- Proszę bardzo. - Pierce objął ją i zaczął całować.

- Ale za kilka minut. Trzy dni bez ciebie to zdecydowanie za długo.

- To ty odszedłeś - przypomniała.

- Miałem kilka rzeczy do załatwienia. Tutaj nie da się poważnie pracować.

- Do tego właśnie służą ci te twoje kazamaty - mruknęła.

- To prawda. Dziś idziemy na kolację. Do jakiegoś

miejsca ze świecami i ciemnymi zakamarkami.

- W moim mieszkaniu mam świece i ciemne kąciiki.

Możemy być tam sami.

- Znowu próbujesz mnie uwieść.

Ryan roześmiała się i zapomniała, o czym chciała z nim porozmawiać.

- Oczywiście, że cię uwiodę.

- Ależ się pani zrobiła zarozumiała, panno Swan. - Odsunął się od niej. - Ja nie zawsze jestem taki łatwy.

- A ja lubię wyzwania.

- Podobał ci się kwiatek ode mnie?

- Tak, dziękuję. - Objęła go za szyję. - Powstrzymał mnie od czepiania się siebie.

- Wiem. Ciężko się ze mną pracuje, prawda?

- Bardzo ciężko. Ale jeśli zlecisz produkcję następnego nagrania komuś innemu, to przeprowadzę całą serię sabotaży.

- No dobrze. Więc zatrzymam cię, by się przed tym uchronić.

Delikatnie przycisnęła usta do jej ust, a fala miłostnego pożądania uderzyła w nią niezwykle mocno.

- Pierce, czytaj w moich myślach. - Przymknęła powieki i oparła głowę o jego bark. - Czy możesz odczytać, o czym myślę?

Zaskoczony powagą jej głosu, odsunął się, by dobrze się jej przyjrzeć. Otworzyła oczy i dostrzegł w nich lekkie przerażenie i odurzenie.

- Ryan? - Przyłożył dłoń do jej policzka, bojąc się, że zobaczył coś, co tylko on potrafił odczytać.

- Jestem przerażona - szepnęła. - Nie potrafię się wysłowić. Czy odczytasz moje słowa? Jeśli nie potrafisz, to zrozumieć. To niczego nie zmieni.

Odczytał te słowa.

- Ryan. - Zawahał się przez moment, ale wiedział, że już tego nie powstrzyma. - Kocham cię.

Jej westchnienie było wyrazem wielkiej ulgi.

- Och, Pierce, tak się bałam, że nie będziesz chciał tego odczytać. - Przytulili się do siebie mocno. - Kocham cię tak bardzo, tak bardzo... To dobrze, prawda?

- Tak. To dobrze.

- Nie wiedziałam, że mogę być taka szczęśliwa. Chciałam ci to powiedzieć już wcześniej, ale bałam się.

- Obydwoje się baliśmy. Marnowaliśmy czas.

- Ale ty mnie kochasz? - szepnęła, chcąc jeszcze raz usłyszeć te słowa.

- Tak, Ryan. Kocham cię.

- Jedźmy do domu, Pierce. Chcę się z tobą kochać.

- Dobrze. Ale teraz.

Ryan odchyliła głowę i roześmiała się.

- Teraz? Tutaj?

- Tutaj i teraz - odpowiedział z szatańskim błyskiem w oku.

- Ale ktoś może wejść.

Nic nie mówiąc, Pierce podszedł do drzwi i przekręcił klucz.

- Już nie.

- Wygląda na to, że ktoś chce mnie tu wziąć siłą.

- Możesz wołać o pomoc - zaproponował i zdjął z niej marynarkę.

- Pomocy - powiedziała po cichu, gdy odpinał jej bluzkę. - Chyba nikt mnie nie usłyszał.

- Więc wygląda na to, że się uda.

- No trudno - szepnęła Ryan. Jej bluzka zsunęła się na podłogę.

Dotykali się, pieścili i śmiali. Całowali się i przytulali, mruczeli do siebie czułe słowa i wzdychali z rozkoszy.

On mnie kocha - pomyślała Ryan, obejmując jego silne plecy. Należy do mnie. Oddała mu pocałunek pełen miłości.

Ona mnie kocha - pomyślał Pierce. Należy do mnie. Sycił się jej pocałunkiem.

Podдали się sobie nawzajem, biorąc i dając, aż stali się jednością w miłosnym uniesieniu, niekończącej się czułości i nowej wolności. Później leżeli, śmiejąc się i ciesząc, oszołomieni nową wiedzą, która była dla nich dopiero początkiem.

- Wiesz co? - Zaczęła Ryan. - Myślałam, że to producent zwykle zwabia gwiazdę na sofę.

- Naprawdę?

- A tobie miało się tylko wydawać, że to twój pomysł. - Zachichotała i sięgnęła po bluzkę.

- Wybierasz się dokądś?

- Posłuchaj, Atkins, musisz przejść odpowiednie testy. - Zapiszczała, gdy ugryzł ją w ramię. - Nie próbuj zmieniać mojego zdania - oświadczyła, wysuwając się z jego objęć. - Skończyłam z tobą.

- Ach tak?

- Tak. Dopiero jak będziemy w domu. - Ryan założyła halkę i zaczęła zakładać rajstopy. - Lepiej ubierz się, zanim zmienię zdanie. Bo zamkną nas w studio na całą noc.

- A ja potrafię nas stąd wydostać, kiedy tylko będę chciał.

- Alarmy będą włączone.

Roześmiał się.

- Naprawdę?
- Chyba dobrze, że nie zdecydowałaś się na karierę włamywacza.
- Łatwiej jest być ekspertem od zamków. Ludzie chętnie płacą, żeby na własne oczy oglądać, jak otwierane są najlepsze zamki. Nie bardzo się cieszą, gdy robi się to za darmo. - Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu.
- Trafieś kiedyś na zamek, którego nie udało ci się otworzyć?
- Każdy zamek da się otworzyć. Wszystko jest kwestią czasu.
- Bez narzędzi?
- Są narzędzia i narzędzia. Ryan zmarszczyła pytająco brwi.
- Chyba będę musiała sprawdzić, czy faktycznie nie masz tej kieszonki w ciele.
- Kiedy tylko zechcesz.
- Mógłbyś być tak miły i nauczyć mnie, jak otwierać kajdanki.
- Taaa, na pewno... - Pokręcił głową, zakładając dzinsy. - One znowu mogą się przydać.
- Ryan wzruszyła ramionami, jakby przestało ją to już obchodzić i zaczęła zapinać bluzkę.
- Prawie bym zapomniała. Chciałam porozmawiać z tobą o wielkim finale.
- Pierce wyciągnął czystą koszulę z szafy.
- Co cię gnębi?
- To, że nic o nim nie wiem.
- Już ci wspominałem, że to będzie ucieczka.
- Muszę wiedzieć więcej. Program kręcimy za dziesięć dni.
- Jeszcze nad tym pracuję.

- Ale to ja jestem producentem programu, Pierce. Chciałeś, żebym nim była. I o ile jakoś przełknęłam te dziwactwa z niedopuszczaniem mojej ekipy, to teraz muszę dokładnie wiedzieć, co pójdzie w eter. Nie możesz trzymać mnie w niepewności na mniej niż dwa tygodnie przed nagraniem.

- To będzie ucieczka z sejfów.

- Ucieczka z sejfów, tak? Na pewno jest coś jeszcze.

- Moje ręce i stopy zostaną spięte łańcuchami.

Jego niechęć do wyjawienia szczegółów wywołała w niej realny strach.

- Co jeszcze powinnam wiedzieć, Pierce?

Nie odpowiedział na pytanie, dopóki nie zapiął koszuli.

- To stara sztuczka ze skrzynią w skrzyni w kolejnej skrzyni.

Przestraszyła się jeszcze bardziej.

- Trzy sejfy? Jeden w drugim?

- Dokładnie tak. Każdy większy od poprzedniego.

- Czy te sejfy są hermetyczne?

- Tak.

- Nie podoba mi się to wszystko. Pierce spojrział na nią uspokajająco.

- Ryan, nie musisz się tym wcale przejmować.

- Ale jest coś jeszcze, prawda? Wiem, że jest. Więc lepiej powiedz mi od razu.

- Ostatni sejf ma zamek czasowy - wyjaśnił spokojnie. - Miałem już z nim do czynienia.

- Zamek czasowy? - zapytała przerażona. - Nie możesz tego zrobić. To po prostu idiotyczne.

- Niekoniecznie - odparł. - Przez wiele miesięcy studiowałem mechanizm tego zamka i jego wyłącznik

czasowy.

- Wyłącznik czasowy?

- Będę miał powietrze na trzy minuty.

Trzy minuty! Walczyła ze sobą, by kontrolować emocje.

- Jak długo trwa ta ucieczka?

- Jakies trzy minuty z hakiem.

- Z hakiem... - powtórzyła. - A jeśli coś się nie uda?

- Nie ma takiej możliwości. Ćwiczyłem to wielokrotnie i dobrze się przygotowałem.

- Nie pozwolę na to. To poza wszelką dyskusją. Wykorzystaj ten numer z panterą, ale nie to.

- Wykorzystam ten numer, Ryan. - Jego głos był spokojny i zdecydowany.

- Nie! - Wpadając w panikę, Ryan chwyciła go za ramiona. - Wyrzucam ten numer. Już go nie ma, Pierce. Możesz wykorzystać wszelkie inne iluzje albo nawet wymyślić jeszcze coś innego, ale ten wypada.

- Nie możesz tego zrobić. Ja mam ostatnie słowo. Mam to w kontrakcie.

Ryan zbladła i odsunęła się.

- Ty draniu! Nie obchodzi mnie ten kontrakt. Znam jego treść. Sama go napisałam!

- Więc wiesz, że nie możesz wyrzucić tej ucieczki - oświadczył spokojnym głosem.

- Nie pozwolę ci jej wykonać. - Oczy zaszyły jej łzami, ale osuszyła je ruchem powiek. - Nie możesz tego zrobić.

- Przykro mi, Ryan.

- Znajdę sposób, by unieważnić kontrakt. - Jej głos był pełen gniewu, strachu i bezsilności.

- Może ci się uda. - Położył dłonie na jej ramionach.

- Ale i tak zrobię tę ucieczkę, Ryan, w przyszłym miesiącu w Nowym Jorku.

- Boże! Pierce! - Zdesperowana uczepiła się jego ramion. - Możesz umrzeć. To nie jest tego warte. Dlaczego chcesz to zrobić?

- Bo potrafię to zrobić, Ryan. Musisz zrozumieć, że na tym polega moja praca.

- Rozumiem tylko tyle, że cię kocham. Czy to nie ma żadnego znaczenia?

- Wiesz, że ma. I wiesz, jak bardzo.

- Nie, nie wiem, jak bardzo. Wiem tylko tyle, że chcesz zrobić ten numer bez względu na to, jak bardzo cię błagam, byś z niego zrezygnował. I jeszcze oczekujesz, że będę stała z boku i patrzyła, jak ryzykujesz swoje życie dla oklasków i recenzji.

- To nie ma nic wspólnego z oklaskami i recenzją. - W jego oczach pojawiły się pierwsze iskierki złości. - Znasz mnie na tyle, żeby to wiedzieć!

- Nie, nie znam cię - odparła zdesperowana. - Nie potrafię zrozumieć, jak możesz chcieć robić coś takiego? Ten numer nie jest konieczny do powodzenia występu ani dla twojej kariery!

- Jest konieczny dla mnie - odpowiedział spokojnie.

- Dlaczego? Dlaczego konieczne jest ryzykowanie życia?

- To twój punkt widzenia, nie mój. To jest element mojej pracy i mnie. Będziesz musiała to zaakceptować, jeśli akceptujesz mnie.

- To nie fair.

- Przykro mi.

- A co teraz będzie z nami?

- To zależy od ciebie.

- Nie będę na to patrzeć. - Zaczęła wycofywać się w stronę drzwi. - Nie będę! Nie chcę zmarnować swojego życia, czekając kiedy przekroczysz barierę bezpieczeństwa i zajdziesz za daleko. Nie potrafię tak żyć. Mam dosyć tej twojej magii! - krzyknęła i wybiegła z garderoby.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Po opuszczeniu garderoby Pierce'a Ryan poszła prosto do gabinetu ojca. Po raz pierwszy w życiu weszła bez pukania. Zirytowany nagłym wtargnięciem, przerwał rozmowę telefoniczną w pół słowa i zmierzył ją wściekłym spojrzeniem. Jeszcze nigdy nie widział jej tak bladej, rozedrganej, z załzawionymi oczami.

- Oddzwonię za chwilę - rzucił w słuchawkę i zakończył rozmowę. - Co się dzieje?

Ryan opierała się o drzwi dopóki nie nabrała pewności, że się nie przewróci i podeszła do biurka ojca.

- Chcę, żebyś odwołał realizację programu Atkinsa.

- Co?! - Swan poderwał się na równe nogi. - Co to znaczy, do cholery?! Jeśli stwierdziłaś, że rozsypiesz się pod wpływem presji, to załatwię zastępstwo. Ross może to przejąć. - Uderzył pięścią w stół. - Nie powinienem zgadzać się, żebyś objęła funkcję producenta. - Już sięgał po telefon.

- Proszę. - Spokojny głos Ryan powstrzymał go od działań. - Proszę cię, żebyś mu zapłacił i odwołał nagranie.

Swan znowu zaczął przeklinać i przyglądać się jej twarzy. Po chwili podszedł do barku i nalał do kieliszka sporą ilość francuskiej brandy.

- Masz. Usiądź i wypij. - Nie był pewny, jak się zachować wobec trzęsącej się i bezsilnej córki, poklepał ją więc po ramieniu i usiadł za biurkiem.

- A teraz wyjaśnij mi, o co chodzi. Jakies problemy na próbach? - Usiłował uśmiechnąć się do niej ze zrozumieniem. - Dość już masz doświadczenia w branży, żeby wiedzieć, że to może się zdarzyć.

Ryan wzięła głęboki oddech i przełknęła brandy.

Pozwoliła jej wypalić w sobie strach i uspokoić zszargane nerwy.

- Pierce planuje numer z ucieczką na wielki finał.

- Wiem o tym - odpowiedział niecierpliwie. - Widziałem skrypt.

- To jest zbyt niebezpieczne.

- Niebezpieczne? - Swan złożył dłonie na blacie biurka. - Ryan, ten facet jest najwyższej klasy profesjonalistą i wie, co robi. - Swan przechylił głowę, by dyskretnie spojrzeć na zegarek. Postanowił poświęcić jej nie więcej niż pięć minut.

- Tu chodzi o coś innego. - Ryan powstrzymywała się od histeryzowania, bo wtedy ojciec na pewno jej nie wysłucha. - Ten numer budzi zastrzeżenia nawet jego własnych ludzi.

- No dobrze. A co to ma być?

- Trzy sejfy. Jeden w drugim. A ostatni ma zamek czasowy. Pierce będzie miał w środku powietrza zaledwie na trzy minuty. A powiedział mi, że ten numer trwa dłużej.

- Trzy sejfy - mruknął Swan. - Niezła zabawa.

- Będzie niezła, jak się udusi. Pomyśl, jak to wpłynie na oglądalność! A on dostanie swoją Nagrodę Emmy pośmiertnie.

- Uspokój się, Ryan.

- Nie uspokoję się. Nie można mu pozwolić na ten numer. Musimy zerwać kontrakt.

- Nie da rady.

- Nie chcesz tego zrobić - poprawiła go Ryan wściekłym tonem.

- Nie chcę tego zrobić - przyznał Swan. - Za dużo można stracić.

- Wszystko można stracić! - Wykrzyknęła Ryan. - Ja

go kocham.

Chciał wstać i zacząć na nią krzyczeć, ale jej wyznanie zatrzymało go w miejscu. Przyglądał się jej uważnie. W oczach miała łzy desperatki.

- Ryan. - Westchnął i sięgnął po cygaro. - Usiądź.

- Nie! - Wyrwała mu cygaro i rzuciła przez cały pokój. - Nie usiądę i nie uspokoję się! Proszę cię o pomoc. Dlaczego nie spojrzysz mi prosto w oczy?! Spójrz mi w oczy!

- Przecież patrzę! - wrzasnął w samoobronie. - I muszę przyznać, że wcale nie jestem zadowolony. A teraz usiądź i posłuchaj mnie.

- Nie, mam już dosyć słuchania ciebie i ciągłego starania się ciebie zadowalać. Robiłam wszystko, czego ode mnie żądałeś i nigdy nie było ci dosyć. Nie potrafię być twoim synem i nie zmienię się! - Schowała twarz w dłoniach i rozplakała się na dobre. - Jestem twoją córką i potrzebuję twojej pomocy.

Zamilkł z wrażenia. Jej łzy odebrały mu siłę działania. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział, jak płacze. A jeśli tak, to nigdy nie płakała tak emocjonalnie. Wstał i podał jej chusteczkę.

- Masz. Wytrzymaj łzy. - Wcisnął chusteczkę w jej palce i zastanawiał się, co dalej robić. - Ja zawsze... - Chrząknął i rozejrzał się bezsilnie po gabinecie. - Zawsze byłem z ciebie dumny, Ryan. - Gdy w odpowiedzi usłyszał jeszcze głośniejszy szloch, wsadził ręce do kieszeni i zamilkł.

- To już bez znaczenia. - Chusteczka tłumiała jej słowa. Poczowała fale wstydu za swoje słowa i płacz. - To już nie ma dla mnie znaczenia.

- Pomógłbym ci, gdybym tylko mógł - mruknął. -

Ale nie mogę go powstrzymać. Nawet gdybym zrezygnował z programu i wypłacił odszkodowania sieci telewizyjnej i Atkinsowi, to on i tak zrobi ten swój cholerny numer w innym miejscu.

Ryan odwróciła się od ojca, pojmując, że tak właśnie się stanie.

- Musi być coś...

- Czy on też cię kocha?

- To i tak nie ma znaczenia. Nie potrafię go powstrzymać.

- Porozmawiam z nim.

- Nie, to nic nie da. Przepraszam cię, tato. Nie powinnam przychodzić do ciebie w takim stanie. Przepraszam, że się tak histerycznie zachowałam.

- Ryan, przecież jestem twoim ojcem.

- Tak.

Swan chrząknął i nie wiedział, co zrobić z rękami.

- Nie chcę, żebyś mnie za to przepraszała. - Dotknął jej ramienia. - Zrobię wszystko, co będę mógł, żeby odwieść Atkinsa od zrobienia tego numeru, jeśli sobie tego życzysz.

Ryan westchnęła i załkała, zanim usiadł.

- Dziękuję ci, ale jednak masz rację. On i tak zrobi ten numer innym razem. Sam mi to powiedział. Po prostu ja nie potrafię sobie dać z tym rady.

- Chcesz, żeby Ross przejął produkcję?

- Nie - odpowiedziała kręcąc głową. - Skończę to, co zaczęłam. Ukrywanie się niczego nie zmieni.

- Dobra dziewczyna - odparł Swan z zadowoleniem kiwając głową. - A to między tobą i tym magikiem...

- Odkaslnął skrępowany. - Czy planujecie... to znaczy... czy powinienem porozmawiać z nim o jego

intencjach?

Ryan nawet nie sądziła, że w tej chwili może się uśmiechnąć.

- Nie, to nie będzie konieczne. - Dostrzegła ulgę w oczach ojca i wstała. - Będę ci wdzięczna za urlop po nagraniu programu.

- Oczywiście. Zasłużyłaś na to.

- Nie będę już zabierać ci czasu. - Zaczęła się odwracać, ale ojciec położył dłoń na jej ramionach. - Chodź, zjemy razem kolację.

Ryan patrzyła na niego oszołomiona. Zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatni raz zaprosił ją na kolację. Na bankiecie z okazji rozdania nagród? Na biznesowym party?

- Kolację?

- Tak. - Głos Swana spoważniał, jakby myślał dokładnie o tym samym co ona. - Przecież ojciec może zabrać swoją córkę od czasu do czasu na kolację, prawda?

- Objął ją ramieniem i poprowadził do drzwi. Jaka ona drobna! - zdał sobie sprawę. - Idź do łazienki, umyj twarz - mruknął. - Zaczekam na ciebie.

O dziesiątej rano następnego dnia Swan po raz drugi skończył czytać kontrakt Atkinsa. Ryzykowna gra - pomyślał. Trudno byłoby go zerwać. Jednak on nie miał wcale zamiaru zrywać tego kontraktu. To byłaby nie tylko głupia decyzja biznesowa, ale też zupełnie nieprzydatny gest. Sam załatwi tę sprawę z Atkinsem. Gdy odezwał się brzęczyk interkomu, odłożył umowę drukiem do dołu.

- Pan Atkins przyszedł na spotkanie, panie Swan.

- Niech wejdzie.

Swan wstał, gdy do gabinetu wszedł Pierce, tak samo, jak zrobił to za pierwszym razem. Przeszedł przez pokój i wyciągnął do niego rękę.

- Pierce - przywitał się jowialnie. - Dziękuję, że przyszedłeś.

- Witam, panie Swan.

- Proszę, zwracaj się do mnie po imieniu - Bennett.

- Bardzo mi miło. - Pierce przyciągnął sobie fotel i usiadł.

- Czy jesteś zadowolony z realizacji projektu?

- Jak najbardziej.

Swan sięgnął po cygaro. Ten facet jest wyjątkowo opanowany - pomyślał zazdrośnie. Postanowił podejść do niego z innej strony.

- Coogar wspomniał, że próby wychodzą idealnie. Aż się sam tym martwi. - Swan wyszczerzył zęby w chytrym uśmiešku. - To przesądny drań, uwielbia, jak występują jakieś problemy przed nagraniem. Powiedział, że mógłbyś prowadzić i reżyserować cały program.

- On jest doskonałym reżyserem - przyznał Pierce.

- Najlepszym - zgodził się Swan. - Ale trochę boimy się o twoje plany na finał przedstawienia.

- Tak?

- No wiesz, to jest telewizja. Cztery minuty i dziesięć sekund to sporo czasu.

- Tyle czasu właśnie potrzeba na ten numer. Jestem pewien, że Ryan ci o tym powiedziała.

- Tak. Wstąpiła do mnie wczoraj wieczorem. Była bardzo przejęta.

- Wiem o tym i przykro mi.

- Posłuchaj, Pierce. Jesteśmy rozsądnymi facetami. Ten numer to niezła sprawa. Zamek czasowy to wspaniałe wyzwanie, ale gdyby można było odrobinę go zmodyfikować...

- Ja nie modyfikuję moich iluzji. Swan zacietrzewił

się.

- Żaden kontrakt nie jest wryty w kamieniu - pogroził.

- Możesz spróbować go zerwać - przyznał Pierce.

- I będziesz miał przez to więcej kłopotów niż ja. A w efekcie końcowym i tak nic to nie zmieni.

- Do cholery! Ale ta dziewczyna strasznie cierpi! Powiedziała mi, że cię kocha.

- Kocha mnie - powtórzył Pierce po cichu.

- I co zamierzasz z tym zrobić?

- Pytasz mnie jako jej ojciec, czy jako prezes Swan Productions?

- Jako ojciec.

- Ja też ją kocham. - Wzrok Pierce'a zrównał się ze spojrzeniem Swana. - Jeśli ona mnie zechce, to jestem gotów spędzić z nią całe moje życie.

- A jeśli nie?

Oczy Pierce'a pociemniały, coś w nich błysnęło. Milczał. To było coś, czego jeszcze nie rozważał. Te kilka sekund wystarczyło Swanowi, żeby dowiedzieć się tego, co chciał. I wykorzystał swoją przewagę.

- Zakochana kobieta nie zawsze poprawnie rozumuje - stwierdził z dobrotliwym uśmiechem. - A jej męczyzna powinien dokonać pewnych poprawek.

- Prawie nie ma rzeczy, których bym nie zrobił dla Ryan - odparł Pierce. - Ale sam nie potrafię się zmienić w kogoś innego.

- Przecież rozmawiamy tylko o jednej iluzji - rzucił Swan, tracąc cierpliwość.

- Nie, rozmawiamy o całym moim życiu. Mógłbym porzucić wykonanie tej ucieczki, ale zawsze będzie jakaś następna, i po niej kolejna, równie trudna. Jeśli Ryan nie

potrafi zaakceptować wykonania tej ucieczki, to jak zaakceptuje następne?

- Stracisz ją - ostrzegł Swan.

Słyszając te słowa, Pierce podniósł się z fotela.

- A może nigdy jej nie miałem. - Poradzę sobie z bólem - powiedział do siebie. Wiedział, jak to robić. Kontynuował spokojnym tonem: - Ryan musi sama dokonać wyboru. A ja go zaakceptuję.

Swan wstał i uśmiechnął się szeroko.

- Do licha, gadasz jak prawdziwie zakochany facet.

Pierce spojrzał na niego przeciągle i chłodno, aż Swan zaczął nerwowo przetykać ślinę.

- W życiu wypełnionym iluzją ona jest dla mnie jedyną realną istotą. Odwrócił się i wyszedł z gabinetu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nagranie miało rozpocząć się o szóstej po południu. Do czwartej Ryan poradziła sobie ze zdenerwowanym kierownikiem administracyjnym i zakręconym fryzjerem. Nagranie na żywo zawsze wyzwalalo we wszystkich emocje. „Jeśli coś ma się zepsuć, to na pewno się zepsuje” - powtarzał jej asystent. Nie takich słów potrzebowała.

Była potrzebna wszędzie i nie miała żadnego wyboru, jak tylko pokazywać najwyższej klasy profesjonalizm.

Unikała Pierce'a przez dziesięć dni, utrzymując dystans emocjonalny. Spotykali się od czasu do czasu, ale jedynie jako producent i gwiazda estrady. Pierce nie podjął żadnych starań, żeby to zmienić.

Ryan cierpiała. Czasem nawet dziwiła się, jak bardzo. Ale akceptowała ten stan. Cierpienie pozwalało stłumić strach. Przywieziono trzy sejfy do występu finałowego. Gdy zmusiła się, żeby je obejrzeć, okazało się, że ten najmniejszy miał wysokość dziewięćdziesięciu centymetrów, a podstawa była kwadratem o bokach sześćdziesiąt centymetrów. Myśl o tym, że Pierce będzie musiał się zmieścić na tak małej powierzchni potwornie ją przeraziła.

Oglądała właśnie największy sejf o grubych ścianach z zamkiem czasowym, gdy wyczuła jego obecność za plecami. Gdy się odwróciła, popatrzyli na siebie w milczeniu. Zanim odeszła, poczuła wielką falę uniesienia, miłości i bezsilności. Ani słowem, ani gestem nie poprosił jej, by została.

Od tego spotkania Ryan trzymała się z daleka od sejfów, koncentrując się na najmniejszych detalach

produkcji, które musiały być wielokrotnie sprawdzone.

Należało sprawdzać garderoby. Nawet przepalona żarówka musiała być wymieniona „za pięć dwunasta”. Chory technik musiał być zastąpiony przez innego. A koordynacja czasowa, najważniejszy element, musiała być dopracowana co do sekundy.

Ciągle pojawiały się jakieś drobne problemy wymagające rozwiązania, z czego mogła się tylko cieszyć, bo nie miała czasu na zbędne rozmyślenia. Na widowni zaczęła pojawiać się publiczność.

Żołądek podszedł jej do gardła, ale na twarzy malował się spokój. Była w reżyserce, gdy dyrektor planu rozpoczął odliczanie.

Zaczęło się.

Pierce pojawił się na scenie, zrelaksowany i profesjonalny. Scenografia była doskonała: przejrzysta i lekko tajemnicza, celowo nieoświetlona. Ubrany w czerń, był czarownikiem z dwudziestego wieku, który nie potrzebował magicznej różdżki ani szpiczastego kapelusza.

Woda przepływała między jego rękami, ogień wybuchał z jego palców. Balansował Bess na ostrzu szabli, kręcąc nią w powietrzu, by wreszcie wyciągnąć spod niej szablę, aż pozostała w powietrzu, wirując bez żadnego podparcia.

Elaine unosiła się nad płomieniami pochodni, aż widownia wstrzymywała oddech. Pierce zamknął ją w przejrzystej kuli, przykrył czerwonym jedwabiem i wysłał w powietrze trzy metry ponad podłogę sceny. Gdy sprowadził kulę na ziemię, okazało się, że Elaine zamieniła się w łabędzia.

Przeziennicze wykorzystywał sztuczki prestidigitatorskie i skomplikowane iluzje - od prostych i

zabawnych, po te spektakularne, zapierające dech w piersiach.

- Idzie jak po maśle. - Ryan usłyszała czyjś podniecony głos koło siebie. - Ciekawe, czy nie dostaniemy kilku Nagród Emmy za ten program. Trzydzieści sekund, kamera numer dwa. Boże, ten gość jest fantastyczny!

Ryan wyszła z reżyserki i stanęła z boku kulis. Wytłumaczyła sobie, że jest jej zimno, bo klimatyzacja w reżyserce była nastawiona na maksymalne chłodzenie. Przy scenie na pewno będzie cieplej ze względu na oświetlenie.

On nie spojrział ani razu w jej kierunku, ale Ryan czuła, że wie, że ona jest blisko. Musiał to wiedzieć, bo jej myśli były całkowicie skoncentrowane na nim.

- Dobrze idzie, prawda? Obejrzała się i zobaczyła Linka.

- Tak, doskonale.

- Podobał mi się ten łabędź.

- Tak, był ładny.

- Może powinnaś iść do garderoby Bess i sobie odpocząć - zasugerował, widząc, że jest blada i drży z zimna. - Możesz tam oglądać występ.

- Nie, zostanę tutaj.

Na scenie pojawił się piękny, smukły tygrys w pozłacanej klatce. Pierce przykrył ją czerwonym jedwabiem. Gdy zerwał go jednym ruchem, w środku siedziała uwięziona Elaine, a tygrys zniknął. Wiedząc, że jest to już ostatni numer przed wielkim finałem, Ryan wzięła głęboki oddech.

- Link. - Złapała go za ramię, szukając wsparcia.

- Da sobie radę, Ryan - pocieszył ją, ściskając jej dłoń. - Pierce jest najlepszy.

Na scenę wniesiono najmniejszy sejf. Otwarto drzwiczki, by pokazać jego solidną budowę. Ryan poczuła paraliżujący strach. Nie słyszała, jak Pierce tłumaczył publiczności szczegóły. Kapitan policji Los Angeles skulił kajdankami jego ręce i nogi. Widownia skupiła wzrok na twarzy iluzjonisty. Ryan czuła, że myśli Pierce'a już są zamknięte w sejfie.

Pierce ledwie się zmieścił do najmniejszego sejfu. Przecież nie będzie mógł się nawet poruszyć - pomyślała w panice. Gdy zamknięto drzwi sejfu, chciała rzucić się w stronę sceny, ale Link ją powstrzymał.

- Nie, Ryan.

- Ale on nie może się tam nawet poruszyć! Nie ma czym oddychać! - Obserwowała scenę, gdy wniesiono drugi sejf.

- Już pewnie zdjął kajdanki - uspokajał ją Link, choć sam nie patrzył, jak uniesiono mały sejf i umieszczono wewnątrz drugiego. - Prawdopodobnie już otwiera drzwi pierwszego sejfu - powiedział, by uspokoić Ryan i siebie samego. - On jest szybki, sama wiesz, widziałas go na scenie.

- O, nie! - Trzeci sejf wywołał u niej potworny strach niemal poza wszelką kontrolą. Pewnie by upadła na podłogę, gdyby nie podtrzymywały jej silne ramiona Linka.

Największy sejf zamknął dwa pozostałe i człowieka uwięzionego w środku. Zegar czasowy ustawiono na północ. Nie istniała żadna możliwość otwarcia sejfu z zewnątrz.

- Ile czasu minęło? - szepnęła wbijając wzrok w zamek sejfu.

- Dwie i pół minuty. Ma mnóstwo czasu.

Link wiedział, że sejfy pasowały do siebie tak

dokładnie, że po otwarciu jednych drzwi jedynie dziecko mogłoby się prześlizgnąć przez szczelinę. Nie pojmował, jak Pierce może tak wygiąć swoje ciało, by się wydostać z mniejszego. Widział, że z nich wychodził, bo Pierce ćwiczył to setki razy. Mimo to czuł spływający mu po kręgosłupie pot.

Ryan trzęsa się jak liść na wietrze.

- Czas, Link!

- Dwa pięćdziesiąt. Prawie koniec. Teraz pracuje nad ostatnimi drzwiami.

Złączyła dłonie jak w modlitwie i odliczała ostatnie sekundy. Szumiało jej w głowie, nigdy w życiu jeszcze nie zemdląca, ale czuła, że teraz jest tego bardzo blisko. Gdy oczy zaszyły jej mgłą, ścisnęła mocno powieki, by odzyskać wzrok. Pierce nie miał już powietrza, a ona też nie mogła oddychać.

Zobaczyła wreszcie, że otwierają się trzecie drzwi, usłyszała westchnienie ulgi publiczności i potężny wybuch aplauzu. Magik stał na scenie, błyszczący od potu i wdychający mocno powietrze.

Ryan straciła przytomność na kilka sekund i odzyskała ją, gdy Link wołał jej imię.

- Ryan, Ryan! Wszystko w porządku. Wyszedł.

Uczepiona ramienia Linka, potrząsnęła głową, by oczyścić umysł.

- Tak, wyszedł. - Spojrzała na niego przez sekundę, odwróciła się i odeszła.

Gdy tylko wyłączono kamery, Pierce zszedł ze sceny.

- Gdzie jest Ryan? - pytał Linka.

- Wyszła. Była bardzo przejęta. - Podał Pierce'owi ręcznik. - Chyba nawet zemdląca na chwilę.

- Dokąd poszła?

- Nie wiem. Po prostu wyszła.

Nie mówiąc ani słowa, Pierce pobiegł jej szukać.

Ryan opalała się, leżąc bez ruchu na gorącym słońcu. Za zgodą ojca spędzała tydzień na pokładzie jego jachtu zacumowanego u wybrzeża Saint Croix w archipelagu Wysp Dziewiczych. Swan nie zadawał żadnych pytań. Wykonał kilka telefonów i po raz pierwszy w życiu sam odwiózł ją na lotnisko, zamiast, jak zwykle to czynił, wysłać ją w limuzynie z szoferem.

Opalała się, pływała i starała się o niczym nie myśleć. Nie wróciła do swojego mieszkania po nagraniu. Przyleciała na Saint Croix tylko z tym, co miała na sobie. Rozmawiała jedynie z członkami załogi jachtu i nikogo w kraju nie poinformowała, dokąd się wybiera.

Przekręciła się na plecy i założyła okulary przeciwsłoneczne. Uważała, że jeśli nie będzie się zmuszać do myślenia, to odpowiedź, której oczekiwała, sama do niej przyjdzie. Wtedy dopiero będzie czas na działanie.

Pierce siedział w swojej pracowni i tasował karty do tarota. Szukał odprężenia.

Po zakończeniu nagrania przeszukał całe studio i biurowiec w poszukiwaniu Ryan. Nie mógł jej znaleźć, więc włamał się do jej mieszkania. Czekał tam na nią aż do następnego ranka. Nie wróciła do domu. Był wściekły i sfrustrowany. Link znosił jego zachowanie w milczeniu.

Przez kilka dni dochodził do siebie. Ryan wyjechała i musiał się z tym pogodzić. Zasady, które wyznawał, nie dawały mu żadnego wyboru. Nawet gdyby wiedział, gdzie jest, to i tak nie sprowadziłby jej z powrotem.

Nie pracował przez cały tydzień. Nie miał ani siły, ani ochoty. Gdy próbował się koncentrować, przed oczami

pojawiła się Ryan. Zdawał sobie sprawę, że jeśli się z tego nie otrząśnie, jego kariera będzie skończona.

Był sam w domu. Link i Bess spędzali miesiąc miodowy w górach.

Przyszedł czas, żeby powrócić do jedynej rzeczy, jaka mu pozostała. Ale nawet tego się bał. Nie był już sam pewien, czy ma jeszcze w sobie odrobinę magii.

Odłożył karty i wstał, żeby przećwiczyć jedną z bardziej skomplikowanych iluzji. Nie chciał sprawdzać formy na czymś prostym. Zaczął rozciągać i napinać mięśnie ramion, i skupiać się na zadaniu. Podniósł wzrok i zobaczył ją.

Nigdy jeszcze tak wyraźnie jej nie widział w swojej wyobraźni. Nawet słyszał jej kroków, gdy przechodziła przez pokój do sceny. Gdy poczuł zapach jej perfum, krew zaczęła szybciej krążyć w jego ciele. Zaczął zastanawiać się, czy już nie postradał zmysłów.

- Cześć, Pierce.

- Ryan?

- Drzwi frontowe były otwarte, więc weszłam. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Patrzył na nią w milczeniu, gdy weszła na scenę.

- Przeszkodziłam ci w pracy.

Spojrzał na rekwizyty trzymane w rękach.

- W pracy? Nie... ja tylko... nie szkodzi.

- Nie zabiorę ci dużo czasu - oświadczyła z uśmiechem.

Nigdy nie widziała go tak roztrzęsionego, ale była pewna, że nigdy go już takim nie zobaczy. - Pojawił się nowy kontrakt do przedyskutowania.

- Kontrakt? - powtórzył nieco zdziwiony, nie odrywając od niej wzroku.

- Tak. Dlatego właśnie przyjechałam.

- Rozumiem. - Chciał ją dotknąć, ale nie miał odwagi. Nie mógł dotknąć kogoś, kto już nie był jego. - Świetnie wyglądasz - wykrztusił z siebie i przysunął jej krzesło. - Gdzie byłaś? - zapytał z rozpędu, zanim zdążył się powstrzymać; to pytanie było zbyt bliskie oskarżenia. W odpowiedzi Ryan tylko się uśmiechnęła.

- Wyjechałam - odpowiedziała swobodnie i zrobiła krok w jego kierunku. - Myślałeś o mnie?

Teraz to on zrobił krok do tyłu.

- Tak.

- Często? - Powiedziała to cichym głosem i zrobiła kolejny krok.

- Ryan, nie! - Zrobił jeszcze jeden krok do tyłu.

- A ja często o tobie myślałam - ciągnęła dalej, jakby on zupełnie się nie odezwał. - Cały czas, choć próbowałam nie myśleć. Czy ty rzucasz jakieś miłosne czary, Pierce? Czy rzuciłeś je na mnie? - Znowu zrobiła krok w jego stronę. - Bardzo starałam się cię znienawidzić i jeszcze bardziej zapomnieć o tobie. Ale twoja magia jest zbyt silna.

- Ryan, jestem zwykłym człowiekiem, a ty jesteś moją jedyną słabością. Nie rób mi tego. - Pierce pokręcił głową i przywołał ostatnią deskę ratunku. - Muszę popracować.

Ryan spojrzała na stół, pobawiła się kolorowym rekwizytem.

- To będzie musiało poczekać. Wiesz, ile godzin ma tydzień? - zapytała z uśmiechem.

- Nie. Przestań, Ryan.

- Sto sześćdziesiąt osiem - szepnęła. - Będzie trzeba je wszystkie nadrobić.

- Jeśli cię dotknę, to nie pozwolę ci już odejść.

- A jeśli ja cię dotknę? - Położyła dłoń na jego piersiach.

- Przestań - ostrzegł. - Powinnaś sobie pójść, dopóki jeszcze możesz.

- I zrobisz tę ucieczkę jeszcze raz, tak?

- Tak, do licha, zrobię. Ryan, rany boskie, idź sobie.

- Więc zrobisz ją jeszcze raz - mówiła dalej. - I pewnie inne także, jeszcze bardziej niebezpieczne albo przynajmniej bardziej przerażające, bo przecież jesteś mistrzem sztuk magicznych. Tak mi powiedziałeś, prawda?

- Ryan...

- I właśnie w kimś takim się zakochałam - oświadczyła spokojnie. - Nie wiem, dlaczego myślałam, że mogłam albo powinnam próbować to zmienić. Powiedziałam ci już kiedyś dokładnie, czego pragnę - prawdy. Ale chyba musiałam się dowiedzieć, co to naprawdę znaczy. Czy ty nadal mnie pragniesz, Pierce?

Nie odpowiedział, tylko pociemniały mu oczy, a serce zaczęło szybciej bić pod opuszkami jej palców.

- Mogę cię zostawić i wieść swoje spokojne, niewymagające życie. - Ryan zrobiła ostatni krok. - Czy tego dla mnie chcesz? Czy tak bardzo cię zraniłam, że życzysz mi takiej nieznośnej nudy? Powiedz, Pierce - szepnęła - wybaczysz mi?

- Nie mam czego ci wybaczać. - Pograżał się w jej oczach, choć walczył z tym. - Ryan, na miłość boską! - Zdesperowany, zdjął jej rękę z piersi. - Nie widzisz, co ty ze mną robisz?

- Widzę i cieszę się z tego. Bałam się, że może zupełnie się ode mnie odłączyłeś. - Westchnęła z ulgą.

- Zostaję z tobą, Pierce. I nic na to nie poradzę. - Zarzuciła mu ramiona na szyję. - Powiedz mi jeszcze raz,

że mam sobie pójść.

- Nie. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Wróciły wszelkie moce z potężnym, niemal bolesnym zarem namiętności. - Już za późno. O wiele za późno - wyszeptał. - Teraz nie zostawię otwartych drzwi, żebyś mogła przez nie uciec. Rozumiesz, Ryan?

- Rozumiem. - Odchyliła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. - Ale dla ciebie też będą zamknięte. Dopilnuję, żeby to był jedyny zamek, którego nie będziesz mógł otworzyć.

- Nie będzie już ucieczki, Ryan. Dla żadnego z nas.

- Pocałował ją i poczuł całym ciałem jej bliskość. - Kocham cię, Ryan - oświadczył, zasypując jej twarz pocałunkami. - Kocham cię. Wszystko straciłem, gdy mnie zostawiłaś.

- Już cię nie zostawię. Nie powinnam była stawiać żadnych żądań. Nie powinnam była uciekać. Nie ufałam ci wystarczająco.

- A teraz?

- A teraz kocham cię takiego, jaki jesteś, Pierce.

- Moja piękna, mała, mięciutka Ryan. Boże, jak ja cię pragnę. Chodź na górę, chodźmy się kochać.

Ryan wzięła głęboki oddech i kładąc dłonie na jego ramionach, odsunęła go od siebie.

- Ale została sprawa kontraktu.

- Do diabła z kontraktami - wymamrotał, próbując przyciągnąć ją do siebie.

- O, nie. - Ryan odsunęła się. - Musimy to załatwić.

- Ja już podpisałem twój kontrakt - przypomniał niecierpliwie. - Chodź do mnie.

- Ale mam nowy kontrakt - oświadczyła, ignorując jego słowa. - Na całe życie z pełną wyłącznością.

Pierce zmarszczył brwi, kompletnie zaskoczony.

- Ryan, ja nie mam zamiaru wiązać się ze Swan Productions do końca życia.

- Nie ze Swan Productions, ale z Ryan Swan.

Zirytowana odpowiedź na końcu języka nigdy nie wyszła poza barierę jego ust. Ryan dostrzegła, jak zmienia się wyraz jego oczu.

- Co to za kontrakt?

- Indywidualny z wyłącznością na całe życie. - Ryan przełknęła ślinę, tracąc odrobinę pewności siebie, która zawiodła ją aż do tego punktu.

- Mów dalej.

- Jego bieg ma się rozpocząć natychmiast z warunkiem przeprowadzenia ceremonii zgodnej z obowiązującym prawem w możliwie najbliższym terminie. Z klauzulą dotyczącą możliwości wystąpienia potomstwa. - Pierce podniósł brew, ale milczał. - Którego liczba może podlegać negocjacom.

- Rozumiem - odpowiedział po chwili. - A czy są przewidziane kary za uchylenie się od realizacji umowy?

- Tak. Jeśli złamiesz warunki umowy, to będę miała prawo cię zamordować.

- Bardzo rozsądne rozwiązanie. Pani kontrakt jest bardzo kuszący, panno Swan. A jaką będę miał z niego korzyść?

- Mnie.

- Gdzie mogę się podpisać? - zapytał, porywając ją w ramiona.

- Tutaj - odpowiedziała, unosząc do góry usta.

Pocałunek był delikatny, pełen obietnic.

- A ta ceremonia, panno Swan. - Pierce muskał jej usta swoimi. - Jakiś termin?

- Jutro po południu. - Ryan roześmiała się i

wyswobodziła z jego ramion. - Nie myślałeś sobie chyba, że dam ci czas na znalezienie wjazdu ratunkowego?

- Trafił swój na swego.

- Absolutnie. Mam kilka trików przygotowanych na tę okazję.

Wzięła do ręki talię do tarota i zadziwiła Pierce'a sprawnym tasowaniem, które ćwiczyła od kilku miesięcy.

- Świetnie ci idzie. - Uśmiechnął się i podszedł bliżej. - Jestem pod wrażeniem.

- Jeszcze nic nie widziałeś. A teraz wybierz jedną kartę - poprosiła, śmiejąc się radośnie. - Jakąkolwiek.

KUZYN Z BRETANII

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jazda ciągnęła się w nieskończoność. Serenity czuła zmęczenie. Do jej kiepskiej formy przyczyniły się też wczorajsza kłótnia z Tonym, długi lot z Waszyngtonu do Paryża, a teraz męczące godziny w dusznym pociągu. Zaciskała zęby, by nie jęczeć.

To właśnie wyprawa za Atlantyk stała się pretekstem do ostatecznego zerwania z Tonym. Tak naprawdę ich związek psuł się od wielu tygodni. Dochodziło do spięć, a nawet do gwałtownych sprzeczek, gdy po raz kolejny dawała mu kosza. Tony nie rezygnował, nadal jej pragnął, a jego cierpliwość zdawała się nie mieć granic. Dopiero gdy powiadomiła go o wyjeździe, wyrozumiałość Tony'ego ostatecznie się wyczerpała. Wstąpili na wojenną ścieżkę.

- Nie możesz ot tak sobie lecieć do Francji na spotkanie z jakąś rzekomą babką, o której istnieniu dowiedziałś się zaledwie dwa tygodnie temu! - Tony wielkimi krokami maszerował po pokoju, a widomą oznaką jego nadzwyczajnego podniecenia był sposób, w jaki przeczesywał starannie ostrzyżone, jasne włosy.

- Do Bretanii - powiedziała Serenity tonem wyjaśnienia. - I nie ma znaczenia, kiedy dowiedziałam się o jej istnieniu.

- Starsza pani pisze do ciebie list, w którym twierdzi, że jest twoją babką, a ty natychmiast lecisz! - Tony był naprawdę zniecierpliwiony. Swoim zrównoważonym, chłodnym umysłem nie mógł pojąć jej impulsywnego zachowania.

- Ona jest matką mojej matki - wyjaśniła Serenity.

- Jest jedyną krewną, która mi pozostała, i

zamierzam się z nią zobaczyć. Od razu gdy dostałam ten list, postanowiłam odbyć tę podróż.

- Nie odzywała się przez dwadzieścia cztery lata, a teraz nagle pisze list! - Nadal wielkimi susami chodził po dużym pokoju, a potem nagle się odwrócił. - Właściwie dlaczego twoi rodzice nigdy o niej nie wspominali? Dlaczego czekała, aż umrą, by się z tobą skontaktować?

Serenity wiedziała, że nie chciał być niegrzeczny ani okrutny. To nie leżało w jego naturze. Nie zdawał sobie do końca sprawy z rozmiarów ustawicznego bólu, jaki odczuwała od dwóch miesięcy po niespodziewanej, tragicznej śmierci rodziców. Wymiana zdań przerodziła się w gwałtowną kłótnię i wkrótce wzburzony Tony wyszedł, pozostawiając ją samą - wściekłą i rozżaloną.

Teraz jednak Serenity przyznawała w duchu, że sama również miała wątpliwości. Dlaczego jej babka, hrabina Francoise de Kergallen, milczała przez prawie ćwierć wieku? Dlaczego jej matka nigdy nie wspomniała o swojej matce z odległej Bretanii? Dlaczego jej ojciec - taki bezpośredni, gwałtowny, mówiący bez ogródek - nigdy nie napomknął o rodzinie za Atlantykiem?

A byli sobie tak bliscy... Serenity westchnęła na to wspomnienie. Nawet gdy była dzieckiem, rodzice wszędzie zabierali ją ze sobą - na wizyty do senatorów, kongresmanów, ambasadorów.

Jonathan Smith był bardzo popularnym artystą. Namalowany przez niego portret stanowił cenny nabytek. Przedstawiciele waszyngtońskiej elity przez ponad dwadzieścia lat na wyścigi składali mu zamówienia. Lubiano go i szanowano jako człowieka i jako artystę.

Gdy Serenity podrosła i w pełni dały znać o sobie jej uzdolnienia artystyczne, ojciec nie posiadał się z dumy.

Razem szkicowali, a potem malowali, razem przeżywali radość dzielenia się sztuką. To jeszcze bardziej ich do siebie zbliżyło.

Ich mała rodzina wiodła cudowne, pełne miłości i radości życie w eleganckim domu w Georgetown. Katastrofa samolotu lecącego do Kalifornii położyła temu kres. Serenity zawałił się cały świat.

Długo nie mogła uwierzyć, że rodzice zginęli. A potem nie mogła się pogodzić z faktem, że oni nie żyją, podczas gdy ona żyje nadal. Wydawało jej się nieprawdopodobne, że w wysokich pokojach nie rozlegnie się echem donośny śmiech ojca i perlisty śmiech jej matki. Dom bez nich był przeraźliwie pusty. W każdym kącie kładły się cieniem wspomnienia.

Przez pierwsze dwa tygodnie Serenity nie mogła znieść widoku płótna rozpiętego na sztalugach ani pędzli. Nie mogła nawet wejść na drugie piętro do pracowni, gdzie tyle godzin spędziła z ojcem.

Ale gdy w końcu zebrała się na odwagę i weszła do zalanego słońcem pomieszczenia, ze zdumieniem odkryła, że zamiast bólu ogarnął ją dziwny, łagodny spokój. Przez okna w dachu przenikały promienie i ciepło słoneczne, a ściany przechowały królujące tu zawsze miłość i radość.

Powoli odzyskiwała siły. Zaczęła znów żyć, zaczęła malować. Tony okazywał jej ogromną czułość i delikatność, pomagając zapełnić pustkę, która dręczyła ją po stracie rodziców.

A potem nadszedł ten list.

W rezultacie pozostawiła Georgetown oraz Tony'ego i udała się do Bretanii. Dziwny, oficjalny list, który wyrwał ją ze znajomych, zatłoczonych waszyngtońskich ulic i przeniósł do obcej krainy, leżał teraz bezpiecznie na dnie

torebki z gładkiej skóry. W liście zawarte były jedynie suche fakty oraz zaproszenie, które trochę przypominało królewski rozkaz, o czym pomyślała z odrobiną rozbawienia. Choć Serenity poczuła się nieco urażona, ciekawość zwyciężyła. Przyjęła zaproszenie.

Potem sprawnie i energicznie przystąpiła do organizowania podróży. Na koniec zamknęła dom w Georgetown i spaliła mosty za swym związkiem z Tonym.

Pociąg sapał i jęczał, wtaczając się na małą stację w Lannion. Podniecenie powoli wzięło górę nad sennością po długiej podróży. Serenity chwyciła podręczny bagaż i wyszła na peron. Rozejrzała się wokół. Na krótką chwilę urzekło ją proste piękno miękkich, przenikających się wzajemnie kolorów.

Na ustach mężczyzny, który ją obserwował, pojawił się nieznaczny uśmiech. Potem uniósł brwi i wolno mierzył od stóp do głów wysoką, smukłą postać w niebieskim kostiumie. Spódnica falowała wokół długich, kształtnych nóg dziewczyny, a lekki wiaterek rozwiewał oblane słońcem włosy. Zauważył, że jej oczy - duże i szeroko otwarte - mają jasnobrazowy kolor, a okalające je gęste rzęsy są znacznie ciemniejsze. Skóra przypominała alabaster, wyglądała na niewiarygodnie miękką i gładką. Ta kombinacja nadawała jej eteryczny wygląd. Niebawem miał się przekonać, że pozory często mylą.

Podszedł do niej wolno, niemal z ociąganiem.

- Panna Serenity Smith? - spytał po angielsku z lekkim obcym akcentem.

Serenity, pochłonięta podziwianiem krajobrazu, nie zauważyła, gdy się zbliżał. Nieco wystraszona tym niespodziewanym zapytaniem, odgarnęła włosy z czoła i odwróciła głowę.

- Tak - powiedziała, zastanawiając się, dlaczego pod wpływem spojrzenia tych ciemnych oczu poczuła się nieswojo. - Przyjechał pan z zamku Kergallen?

- Jestem Christophe de Kergallen. Przyjechałem po panią.

- De Kergallen? - powtórzyła Serenity z odrobiną zdziwienia. - Czyżby kolejny tajemniczy krewny?

- Można powiedzieć, że w pewnym sensie jesteśmy kuzynami.

- Kuzynami? - wyszeptała.

Proste, czarne włosy opadały mu na kołnierzyk, ciemne oczy wydawały się prawie czarne na tle śniadej skóry. Pociągał ją i odpychał zarazem. Pożałowała, że nie ma w rękach szkicownika i ołówka.

Jej długie, badawcze spojrzenie nie poruszyło go ani trochę. Nadal przyglądał jej się w ten sam chłodny, wyniosły sposób.

- Bagaże zostaną dostarczone do zamku - wyjaśnił. Pochylił się i podniósł podręczną torbę, którą postawiła na peronie. - Hrabina z niecierpliwością oczekuje naszego przyjazdu.

Zaprowadził ją do lśniącego, czarnego sedana, otworzył drzwi pasażera i położył torbę na tylnym siedzeniu, a wszystko to robił z chłodną nonszalancją. Serenity była jednocześnie zaintrygowana i rozzłoszczona. Gdy ruszyli w milczeniu, odwróciła do niego głowę i otwarcie mu się przyglądała.

- A więc jesteśmy kuzynami? - spytała. Jak powinna się do niego zwracać? Proszę pana? Po imieniu?

Christophe de Kergallen wybawił ją z kłopotu.

- Mąż hrabiny, ojciec twojej matki, zmarł, gdy twoja matka była dzieckiem - zaczął wyjaśnienia tak uprze-

dzająco grzecznym, a jednocześnie znudzonym tonem, że miała ochotę przerwać mu i powiedzieć, by się nie wysilał.

- Kilka lat później hrabina poślubiła mojego dziadka, hrabiego de Kergallen, którego żona zmarła, pozostawiając go z dzieckiem, moim ojcem. - Odwrócił głowę i obrzucił Serenity przelotnym spojrzeniem. - Twoja matka i mój ojciec byli wychowywani na zamku jak rodzeństwo. Mój dziadek zmarł, a ojciec ożenił się i żył dość długo, by doczekać moich narodzin, a potem postrzelił się podczas wypadku na polowaniu. Moja matka przez trzy lata usychała z tęsknoty za nim, po czym dołączyła do niego w rodzinnej krypcie.

Wyrecytował tę opowieść tonem całkiem pozbawionym emocji. Serenity nie poczuła do niego ani odrobiny współczucia, które należało się osieroconemu dziecku.

- To więc oznacza, że jesteś teraz hrabią de Kergallen i moim powinowatym.

Znów to przelotne, lekceważące spojrzenie.

- Tak.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt - oświadczyła, nie kryjąc sarkazmu. Gdy odwrócił się do niej, przez moment odniosła wrażenie, że dostrzega w jego oczach błysk rozbawienia. Ale mogła się pomylić... - Znałeś moją matkę? - spytała po długiej chwili ciszy.

- Tak. Miałem osiem lat, gdy opuściła zamek.

- Dlaczego wyjechała? - dociekała Serenity, patrząc mu prosto w twarz. Odwzajemnił jej spojrzenie z taką siłą, że musiała odwrócić wzrok.

- Hrabina ci wszystko powie. Wszystko, co uzna za stosowne - dodał.

- Co uzna za stosowne? - wybuchła Serenity, rozłoszczona tą wymijającą odpowiedzią. - Wyjaśnijmy sobie

od razu, kuzynie. Zamierzam dowiedzieć się, dlaczego moja matka opuściła Bretanię oraz dlaczego do tej pory nie wiedziałam o istnieniu babki!

Niespiesznym, nieco nonszalanckim ruchem Christophe zapalił krótkie cygare, a potem wolno wydmuchnął dym.

- Nic dodać, nic ująć.

- Czy to znaczy - zmrużyła oczy - że nic nie chcesz mi powiedzieć?

Z emfazą charakterystyczną dla Galijczyka wzruszył szerokim ramionami. Serenity odwzajemniła mu tym samym, a potem szybko odwróciła się, by popatrzeć przez okno.

Jechali prawie w milczeniu. Tylko od czasu do czasu Serenity zadawała pytania na temat krajobrazu, Christophe zaś odpowiadał monosylabami, nie starając się nawet podtrzymywać konwersacji. Choć złote słońce lśniące na czystym niebie mogło poprawić jej kiepski nastrój, chłód dziwnego kuzyna niwelował dobroczynne dary natury.

- Jak na hrabiego z Bretanii - odezwała się ze zwodniczą słodyczą w głosie - zadziwiająco dobrze mówisz po angielsku.

- Hrabina również całkiem nieźle mówi po angielsku. Ale służba mówi tylko po francusku lub bretońsku. Jeśli będziesz miała jakiegokolwiek trudności, wystarczy, że poprosisz mnie lub hrabinę o pomoc.

Serenity z dumą uniosła podbródek.

- Mówię dobrze po francusku.

- To świetnie. Będziesz się czuła swobodniej.

- Daleko jeszcze do zamku? - spytała po francusku.

Było jej gorąco, czuła się wymięta i zmęczona. Marzyła o orzeźwiającej kąpieli.

- Od pewnego czasu znajdujemy się już na ziemiach Kergallenow - odpowiedział, nie odrywając oczu od krętej drogi.

Samochód wolno wspinał się pod górę. Serenity zamknęła oczy; czuła narastający ból głowy i pulsowanie w lewej skroni. Ogromnie żałowała, że jej tajemnicza babka nie mieszka w mniej oryginalnym miejscu, na przykład w Idaho lub New Jersey. Gdy znów otworzyła oczy, całe jej zmęczenie, skargi czy bóle głowy zniknęły jak mgła w gorącym słońcu.

- Zatrzymaj się! - krzyknęła, przechodząc na angielski i nieświadomie kładąc dłoń na ramieniu Christophe'a.

Zamek stał na górze - dumnie i samotnie. Ogromna kamienna budowla pochodząca z dawnych wieków, z okrągłymi wieżami, blankami i spadzistym dachem pokrytym dachówką, lśniła jasną szarością na tle błękitnego nieba. W wysokich oknach odbijało się niezliczonymi barwami zachodzące słońce. Zamek był surowy, dostojny i zabytkowy. Serenity z miejsca się w nim zakochała.

Christophe obserwował zaskoczenie i podziw, które pojawiły się na jej twarzy. Kosmyk włosów opadł jej na czoło, Christophe chciał go odsunąć. Powstrzymał się w ostatniej chwili i ze złością popatrzył na swoją wyciągniętą rękę.

Serenity była tak pochłonięta widokiem, że nie zauważyła przerwane go w pół gestu. Szkicowała zamek w myślach, wyobrażając sobie fosę, która w przeszłości musiała go otaczać.

- Jest wspaniały - powiedziała w końcu. Pospiesznie cofnęła rękę, zastanawiając się, w jaki sposób tam się znalazła. - Zupełnie jak z bajki. Słyszę dźwięk trąb. Widzę

rycerzy w zbrojach i damy w szerokich sukniach i szpiczastych, wysokich czepcach. Czy macie w sąsiedztwie smoka? - Uśmiech rozświetlił jej twarz.

- Przychodzi mi na myśl wyłącznie Marie, nasza kucharka - odpowiedział, na chwilę burząc mur grzeczności i chłodu, który ich rozdzielał. Pozwolił sobie jednocześnie na szeroki, rozbrajający uśmiech, który czynił go młodszym i bardziej przystępnym.

Serenity z ulgą stwierdziła, że ma jednak do czynienia z istotą ludzką. Ale zarazem - gdy na widok tego uśmiechu puls jej przyspieszył - zdała sobie sprawę, że jako człowiek z krwi i kości był zdecydowanie bardziej niebezpieczny. Gdy ich oczy spotkały się i nie mogły się od siebie oderwać, uświadomiła sobie, że jest z nim sama, a cały świat wokół stanowi jedynie tło, i że Georgetown jest nieskończenie daleko.

Christophe szybko przeobraził się z powrotem w sztywnego, acz uprzejmego znajomego. Zapadło znów milczenie i jechali w jeszcze bardziej napiętej atmosferze.

Uważaj, Serenity! - ostrzegła się w duchu. Wyobrażenia znów wymyka ci się spod kontroli. To nie jest mężczyzna dla ciebie. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu on nawet cię nie lubi. Jeden przelotny uśmiech nie zmienia faktu, że nadal pozostaje chłodnym i wyniosłym arystokratą.

Christophe zatrzymał samochód na podjeździe okolonym kamiennym murkiem, z którego zwieszały się floksy. Szybkim, zwinnym ruchem wysiadł z samochodu, a Serenity, zachwycona bajkowym otoczeniem, zrobiła to samo, zanim zdążył obejść samochód dookoła. Niezadowolony zmarszczył brwi, po czym wziął ją pod ramię i po kilku kamiennych schodach podprowadził pod

masywne, dębowe drzwi. Nacisnął mosiężną klamkę i skinieniem głowy zaprosił Serenity do środka.

Hol wejściowy był ogromny. Na lśniącej jak lustro podłodze leżały rozrzucone wspaniałe, ręcznie tkane dywany, a pokryte boazerią ściany zdobiły ogromne, stare gobeliny. Duży dębowy wieszak oraz myśliwski stół, lśniące patyną wieków dębowe, ręcznie robione krzesła oraz zapach świeżych kwiatów wypełniający pomieszczenie wydały jej się dziwnie znajome.

- Coś się stało? - spytał Christophe, zauważając jej zmieszanie.

Lekko drżąc, pokręciła głową.

- Deja vu - wymamrotała. - To bardzo dziwne, czuję się tak, jakbym już kiedyś była w tym miejscu.

I zdumiona dodała: - Z tobą. - Wypuściła powietrze z płuc, nerwowo wzruszyła ramionami.

- Ach, więc przywiozłeś ją, Christophe. Serenity oderwała się od intensywnego spojrzenia brązowych oczu i popatrzyła na zbliżającą się kobietę, zapewne swoją babkę.

Hrabina de Kergallen nosiła się iście po królewsku. Była wysoka i prawie tak smukła jak Serenity. Uderzająco białe włosy falowały wokół jej kościstej twarzy, pokrytej siateczką zmarszczek. Wyraziste, jasnoniebieskie oczy patrzyły przenikliwie spod mocno zarysowanych brwi. Upływ z górą siedemdziesięciu lat nie pozbawił jej wielkiej urody.

Arystokratka w każdym calu, przemknęło przez głowę Serenity.

Hrabina wolno i uważnie przyglądała się wnuczce. Na chwilę na jej szczupłej twarzy pojawił się błysk emocji, zanim znów przybrała opanowany, obojętny wyraz. Wyciągnęła do niej wypielegnowaną, ozdobioną

pierścionkami dłoń.

- Witam, jestem hrabiną Françoise de Kergallen.

Serenity przyjęła wyciągniętą dłoń i przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna jej pocałować i dygnąć. Ale uścisk hrabiny był krótki i bardzo oficjalny - żadnej serdeczności, żadnego uśmiechu na powitanie. Przełknęła rozczarowanie i przemówiła równie oficjalnym tonem:

- Dziękuję za zaproszenie. Cieszę się, że panią poznałam.

- Musisz być zmęczona po długiej podróży - stwierdziła hrabina. - Sama zaprowadzę cię do twego pokoju. Odpochniesz i odświeżysz się przed kolacją.

Poprowadziła ją do obszernej, krętej klatki schodowej. Gdy Serenity zatrzymała się na podeście schodów i obejrzała za siebie, zauważyła, że Christophe obserwuje ją w zamyśleniu, marszcząc brwi. Nawet nie próbował tego ukryć. Nie odrywał od niej oczu, tak więc Serenity pospiesznie się odwróciła i szybko poszła za oddalającą się hrabiną.

Szły długim, wąskim i dość mrocznym korytarzem, mimo zapalonych mosiężnych kinkietów, które - jak domyśliła się Serenity - zastąpiły lichtarze. Hrabina zatrzymała się przy jakichś drzwiach. Odwróciła się do Serenity, omiotła ją wzrokiem, po czym otworzyła drzwi i gestem ręki zaprosiła do środka.

Pokój był duży, ale przytulny, wypełniony meblami z drewna czereśniowego. Wśród nich dominowało wielkie łóże z jedwabnym, kunsztownie haftowanym baldachimem. Naprzeciwko łóżka znajdował się kamienny, ozdobny kominek, a na nim kolekcja figurek z saskiej porcelany. Nad kominkiem wisiało duże lustro. Pod oknem w drugim końcu pokoju ustawiono zgrabną kanapkę.

Serenity od razu rozpoznała atmosferę tego eleganckiego wnętrza. Panowała tu aura spokoju, szczęścia i miłości - aura, jaką roztaczała jej matka.

- To pokój mojej matki - odgadła zdumiona.

Na twarzy hrabiny zapłonęło jakieś uczucie, ale równie szybko zgasło.

- Gaelle osobiście go urządziła, gdy miała szesnaście lat.

- Dziękuję, że mogę w nim zamieszkać. - Uśmiechnęła się słodko. - Będę tutaj czuła jej bliskość.

Hrabina skinęła głową i nacisnęła guzik znajdujący się przy łóżku.

- Bridget przygotowuje ci kąpiel. I rozpakuje bagaże, gdy przyjadą. Jemy kolację o ósmej. Chyba że chciałabyś teraz coś przekąsić...

- Nie, dziękuję, hrabino - odpowiedziała Serenity, czując się trochę jak gość w ekskluzywnym pensjonacie. - Poczekam do ósmej.

Hrabina podeszła do drzwi.

- Gdy już odpoczniesz, Bridget przyprowadzi cię do salonu. O wpół do ósmej pijemy koktajl. Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

Gdy wreszcie drzwi zamknęły się za hrabiną, Serenity odetchnęła z ulgą i ciężko usiadła na łóżku.

Po co tu przyjechałam? - zadała sobie pytanie, przymykając oczy. Nagle poczuła się ogromnie samotna. Powinna zostać w Georgetown, z Tonym. Tam było jej miejsce. Czego tutaj szuka?

Wzięła głęboki oddech i walcząc z ogarniającym ją przygnębieniem, dokładnie rozejrzała się po pokoju.

Pokój jej matki... Poczula się trochę lepiej. Pewniej.

Podeszła do okna i przez chwilę obserwowała zapa-

dający zmierzch. Słońce rzucało ostatnie lśniące blaski, zanim zaczęło się chować za horyzont. Popychane delikatnym wiatrem chmury przesuwały się po ciemniejącym niebie.

Nie do wiary! Zamek na wzgórzu w Bretanii. Serenity, kręcąc głową, ukłękła na kanapce i przyglądała się wieczornej scenerii. Czy było tu miejsce dla Serenity Smith?

Ściągnęła brwi. Gdzieś było. Czowała to w głębi serca. W jakiś sposób należała do tego miejsca. A przynajmniej część niej. Miała to uczucie od chwili, gdy zobaczyła te niewiarygodne kamienne mury. A potem drugi raz w holu...

Odsunęła te myśli i skupiła uwagę na swojej babce.

Hrabina nie wyglądała na zachwyconą z powodu tego spotkania, oceniła ze smutnym uśmiechem. A może to tylko europejskie zwyczaje albo arystokratyczne maniery?

Uniosła ramiona, a potem wolno je opuściła. Cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną. Och, być może gdyby powitanie na dworcu wypadło bardziej spontanicznie i serdecznie...

Zmarszczyła brwi na wspomnienie zachowania Christophe'a.

Twarz jej całkiem spochmurniała. Nie mogła już skupić się na obserwowaniu zachodzącego słońca.

To niepokojący mężczyzna, pomyślała. Może to typowy bretoński arystokrata?

Oparła podbródek na dłoniach. Christophe był inny od mężczyzn, których dotąd знаła. Pod wyszukanymi manierami skrywał nieco brutalną męskość, pewność siebie i siłę. To ostatnie słowo mocno utkwilo jej w głowie. Znów ściągnęła brwi.

Tak, przyznała z niechęcią, której nie potrafiła do

końca zrozumieć, jest w nim siła i nadmiar pewności siebie.

Dla artystki był niezwykle interesującym modelem. Prawdziwym wyzwaniem.

Podoba mi się jak malarce, pomyślała z nadzieją. A nie jak kobiecie. Musiałabym oszaleć, by zainteresować się kimś takim... Zupełnie oszaleć.

ROZDZIAŁ DRUGI

W owalnym lustrze w złotej ramie widniało odbicie szczupłej, jasnowłosej kobiety. Powiewna suknia pod szyję w odcieniu herbacianej róży podkreślała kremową skórę jej odkrytych ramion. Serenity spojrzała bursztynowymi oczami na swoją postać i westchnęła. Nadeszła pora kolacji. Czas zejść na dół i ponownie stanąć oko w oko z babką - władczą, sztywną hrabiną - i kuzynem, niedostępnym, dziwnie wrogo do niej nastawionym hrabią.

Bagaze przyjechały, gdy rozkoszowała się kąpielą przygotowaną przez krępą bretońską pokojówkę. Bridget rozpakowała jej rzeczy i po przełamaniu początkowej nieśmiałości, wieszając ubrania w dużej, antycznej szafie, zaczęła rozmowę. Jej przyjacielskie nastawienie do Serenity kontrastowało z przyjęciem, jakie zgotowała jej rodzina.

Serenity starała się odpocząć w chłodnej pościeli w wielkim łożu z baldachimem, ale usiłowania te spęły na niczym. Klębiło się w niej zbyt dużo emocji. Dziwne, niespokojne uczucie, jakiego doświadczyła od razu po wejściu do zamku, sztywne, bardzo oficjalne powitanie ze strony jej babki i silna, fizyczna reakcja na kuzyna Christophe'a splotły się razem i sprawiły, że czuła się nad wyraz zdenerwowana i niepewna siebie. Pożałowała, że nie posłuchała Tony'ego i nie została wśród ludzi i spraw, które dobrze знаła i rozumiała.

Odetchnęła głęboko, wyprostowała ramiona i uniosła podbródek. Nie była przecież naiwną nastolatką, która mogłaby przestraszyć się zamku i spieszyć nadmiarem ceremonialności. Nazywała się Serenity Smith, była córką Jonathana i Gaelle Smithów i potrafi z podniesioną głową

stawić czoła wszystkim hrabinom i hrabiom.

Bridget cicho zapukała do drzwi. Serenity poszła za nią wąskim korytarzem, a potem, dodając sobie pewności siebie, w dół po krętych schodach.

- Bonsoir, mademoiselle Smith. - Christophe powitał ją z pewną afektacją, gdy pojawiła się na dole.

- Bonsoir, monsieur le comte - odparła równie oficjalnym tonem Serenity. Raz jeszcze uważnie zmierzyli się wzrokiem.

Czarny smoking nadawał wyrazistym rysom Christophe'a nieco diaboliczny wygląd; błyszczące, ciemne oczy wydawały się czarne jak smoła, a skóra na tle czerni i ostrej bieli koszuli połyskiwała jasnym brązem. Jeśli wśród jego przodków byli piraci, rozważała Serenity, gdy on nie spuszczał z niej wzroku, musieli być niezwykle wytworni.

- Hrabina oczekuje cię w salonie. - Uśmiechnął się i z nieoczekiwanym wdziękiem podał jej ramię.

Hrabina obserwowała ich, jak wchodzili. Wysoki, dumny mężczyzna stanowił znakomite tło dla smukłej, eterycznej blondynki. Przystojna z nich para, pomyślała hrabina. Para przyciągająca uwagę.

- Witam was, Serenity i Christophe. - Sama też wyglądała olśniewająco w szafirowej sukni i brylantach, które błyszczały wokół jej szyi. - Mon aperitif, Christophe. A dla ciebie, Serenity?

- Poproszę wermut - odparła z uprzejmym uśmiechem Serenity.

- Mam nadzieję, że nieco odpoczęłaś - powiedziała hrabina.

- Tak, owszem. Ja... - Słowa uwięzły jej w gardle, ponieważ jej uwagę przykuł pewien portret na ścianie. Odwróciła się i zaczęła mu się otwarcie przyglądać.

Z portretu patrzyła na nią jasnowłosa kobieta o kremowej cerze. Gdyby nie długość złotych włosów, które opadały młodej damie do ramion, i niebieski kolor jej oczu, mógłby to być portret Serenity. Taki sam delikatny owal twarzy, te same pełne, kształtne usta. Artysta przed ponad dwudziestu pięciu laty doskonale uwiecznił na płótnie eteryczną, subtelną urodę jej matki.

Tym artystą był jej ojciec. Serenity wiedziała to od razu. Pociągnięcia pędzla, dobór kolorów, cała technika świadczyły wymownie, że to dzieło Jonathana Smitha. Nie musiała nawet odczytywać sygnatury w dolnym rogu obrazu.

Oczy Serenity wypełniły łzy. Mocno zamrugła powiekami. Znów poczuła niemal namacalną bliskość rodziców, owionął ją łagodny, kojący powiew rodzinnego ciepła, szczęśliwych, minionych lat.

Przyglądała się w niemym skupieniu dziełu swego ojca, zapamiętując wszystkie detale - fałdy srebrzystobiałej sukni, która jakby falowała poruszona wiatrem, czerwień rubinów w kolczykach i pierścionku. Ale coś dręczyło ją w głębi umysłu, jakiś szczegół, który był tu nie na miejscu. Nie mogła go sobie uzmysłwić...

- Twoja matka była prawdziwą pięknoscią - stwierdziła hrabina.

- To prawda... - wykrztusiła Serenity, poruszona do głębi wyrazem szczęścia i miłości widocznym w oczach matki. - To zadziwiające, jak niewiele się zmieniła od czasu, gdy ojciec ją malował. Ile wtedy miała lat?

- Zaledwie dwadzieścia - odparła hrabina uprzejmie, acz nadal chłodno. - Szybko rozpoznałaś pracę ojca.

- Oczywiście - odpowiedziała Serenity. Odwróciła się do hrabiny i uśmiechnęła do niej ciepło i szczerze. -

Jestem jego córką, ale również malarką. Rozpoznaję jego pędzel tak samo łatwo jak charakter pisma. - Znów odwróciła się i wyciągnęła smukłą dłoń o długich palcach w stronę obrazu. - Namalował ją ćwierć wieku temu, a nadal pulsuje życiem, jakby oboje tu byli, w tym pokoju.

- Jesteś bardzo podobna do matki - zauważył Christophe. Stał przy kominku i popijał wino, patrząc na nią tak intensywnym wzrokiem, że miała wrażenie, jakby jej dotykał rękami. - Uderzyło mnie to od razu, gdy wysiadłaś z pociągu.

- Prócz oczu - oświadczyła hrabina, zanim Serenity zdążyła odpowiedzieć. — Oczy masz jego.

- To prawda. Oczy mam po ojcu. Czy to pani sprawa przykrość?

Hrabina wymownie wzruszyła ramionami, potem uniosła kieliszek i zaczęła pić wino.

- Czy moi rodzice poznali się tutaj? - indagowała Serenity, starając się zachować kamienną twarz. - Dlaczego wyjechali i nigdy tu nie wrócili? Dlaczego nigdy mi o pani nie wspomnieli? - Gdy spojrzała na babkę i Christophe'a, napotkała dwie pozbawione wyrazu twarze.

Serenity otworzyła usta, by zadać kolejne pytanie, ale hrabina powstrzymała ją gestem dłoni.

- Wkrótce o tym porozmawiamy. - Słowa zabrzmiały jak królewski rozkaz. Hrabina wstała z fotela.

- A teraz pora na kolację - oświadczyła.

Jadalnia była ogromną komnatą. Wszystko w tym zamku było niezwykle okazałe, pomyślała Serenity. Belkowany sufit zawieszony był wysoko jak w katedrze, a wyłożone ciemną boazerią ściany przerywały sięgające aż do podłogi okna, udekorowane aksamitnymi draperiami w kolorze burgunda. Kominek tak wielki, że można było w

nim stanąć, zajmował całą ścianę. Ach, jakież piękny byłby widok, gdyby w nim rozpalono! Kryształki ciężkiego żyrandola rzucały połyskującą tęczę kolorów na majestatyczne meble z ciemnego dębu.

Na stole najpierw pojawiła się francuska specjalność - zupa cebulowa. Podczas jedzenia prowadzono uprzejmą rozmowę. Serenity zerknęła na Christophe'a, wbrew sobie zaintrygowana jego mroczną, tajemniczą urodą i dumnym sposobem zachowania.

Z pewnością mnie nie lubi... Ściągnęła brwi. Nie lubił mnie od chwili, gdy mnie zobaczył. Ciekawe dlaczego... Być może w ogóle nie lubi kobiet. Ale gdy podniosła wzrok, napotkała jego oczy i nagle serce zaczęło jej walić tak szybko, jakby chciało wyrwać się z klatki piersiowej.

Oderwała wzrok od hrabiego i zapatrzyła się w białe wino w kieliszku. On nie należy do mężczyzn stroniących od kobiet, pomyślała. Te oczy... W tych oczach odbija się wiedza i doświadczenie. Na Tony'ego nigdy nie reagowała w ten sposób...

Nerwowo uniosła do góry kieliszek. Dotąd na nikogo tak nie reagowała.

- Stevan! - odezwała się hrabina władcym tonem. - Du vin pour mademoiselle.

Rozkaz hrabiny wydany do stojącego z boku służącego oderwał Serenity od jej myśli.

- Mais non, merci. Cestbien.

- Jak na Amerykankę, mówisz znakomicie po francusku, Serenity - pochwaliła ją hrabina. - Cieszę się, że w tym barbarzyńskim kraju udało ci się zdobyć tak wszechstronne wykształcenie.

Pogarda w słowach hrabiny była tak rozbijająco

jawna, że Serenity z początku poczuła nawet rozbawienie.

- Ten barbarzyński kraj - odparła chłodno - to Stany Zjednoczone. Obecnie prawie całkiem ucywilizowane. Indianie atakują już bardzo rzadko.

- Nie musisz być zuchwałą, młoda damo.

- Doprawdy? - spytała Serenity ze szczerym uśmiechem. - A ja myślałam, że powinnam. - Gdy uniosła kieliszek, ku swemu zaskoczeniu zauważyła błysk białych zębów Christophe'a.

- Masz subtelną urodę swojej matki - zauważyła hrabina z przekąsem - ale cięty język po ojcu.

- Dziękuję. - Patrząc prosto w jasne, niebieskie oczy, Serenity skinęła głową. - Za oba komplementy.

Po kolacji wszyscy ponownie wrócili do salonu. Christophe rozsiadł się wygodnie w miękkim fotelu, sącząc poobiednie brandy, a Serenity i hrabina popijały herbatę z cienkich, chińskich filiżanek. Rozmowa wróciła na ogólne tematy. Pomimo chwilowego zawieszenia broni Serenity nadal zastanawiała się nad przyczynami wojny.

- Jean - Paul le Golf, narzeczony Gaelle, poznał Jonathana Smitha w Paryżu - zaczęła hrabina tak niespodziewanie, że Serenity zatrzymała filiżankę w połowie drogi do ust. - Zafascynował go talent twojego ojca i zamówił u niego portret Gaelle, który chciał podarować jej w prezencie ślubnym.

- Moja matka była zaręczona z innym, zanim poślubiła mojego ojca? - spytała Serenity, ostrożnie odstawiając filiżankę.

- Tak. Ten związek został ustalony pomiędzy naszymi rodzinami na wiele lat przedtem. Gaelle była z tego zadowolona. Jean - Paul był dobrym człowiekiem i pochodził z dobrej rodziny.

- A więc to byłoby zaaranżowane małżeństwo? Hrabina machnęła ręką, lekceważąc wyraźny niesmak w głosie Serenity.

- To u nas stary zwyczaj. I Gaelle, jak już powiedziałam, była z tego zadowolona. Dopiero pojawienie się w zamku Jonathana Smitha wszystko zmieniło.

Gdybym wykazała większą czujność, dostrzegłabym niebezpieczeństwo. Spojrzenia, jakie między sobą wymieniali, rumieniec na policzkach Gaelle, gdy słyszała jego imię. - Françoise de Kergallen głęboko westchnęła, zerkając na portret córki. - Nie przypuszczałam, że Gaelle może złamać dane słowo i przynieść hańbę rodzinie. Była takim słodkim, posłusznym dzieckiem. Ale twój ojciec tak ją omotał, że zapomniała o swoich powinnościach. Nie miałam pojęcia, że sprawy zaszły tak daleko. Nie zwierzyła mi się, nie poradziła, tak jak miała w zwyczaju wcześniej. W dniu, w którym jej portret został ukończony, Gaelle zemdląła w ogrodzie. Gdy nalegałam, by wezwać lekarza, oświadczyła, że nie ma takiej potrzeby, ponieważ nie jest chora, tylko spodziewa się dziecka.

Hrabina zamilkła. W dużym pokoju zapadła grobowa cisza. Serenity przerwała ją, odzywając się dźwięcznym, spokojnym głosem:

- Jeśli sądzi pani, że mnie zaszokuje, muszę panią rozczarować. Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Moi rodzice się kochali.

Hrabina wyprostowała się na krześle, splotła palce i uważnie przyglądała się Serenity.

- Jesteś bardzo szczerą w wyrażaniu swoich opinii, nieprawdaż?

- Owszem. - Spojrzała hrabinie prosto w oczy. - Tylko czasami powstrzymuję swą naturalną szczerłość, by

nie sprawić komuś przykrości.

Białe brwi hrabiny uniosły się odrobinę.

- Twoja matka wyszła za mąż na miesiąc przedtem, nim zostałaś poczęta - wyjaśniła, nie zmieniając wyrazu twarzy. - Wzięli ślub w sekrecie w małej kaplicy w sąsiedniej wiosce. Zamierzali zachować to w tajemnicy, zanim twój ojciec nie będzie w stanie zabrać Gaelle ze sobą do Ameryki.

- Rozumiem. - Serenity zdobyła się na uśmiech. - Tymczasem moje istnienie ujawniło sekret szybciej, niż oczekiwano. I jak pani zareagowała na wieść, że córka wyszła potajemnie za mąż i nosi dziecko jakiegoś mało znanego artysty?

- Wyrzekłam się jej. Kazałam im opuścić dom. Od tamtego dnia nie miałam córki. - Hrabina wypowiedziała te słowa szybko, jakby chciała zrzucić z siebie ciężar nie do zniesienia.

Serenity cicho jęknęła. Powędrowała spojrzeniem do Christophe'a, ale tam napotkała pustkę i mur. Z głębokim bólem w sercu powoli wstała, odwróciła się plecami do hrabiny i spojrzała na delikatną, uśmiechniętą twarz matki na portrecie.

- Nie dziwię się teraz, że wymazali panią ze swojego i mojego życia. - Odwróciła się znów i stanęła naprzeciwko babki, której twarz, choć nieco pobladła, pozostała niewzruszona. - Współczuję pani. Wyrzekła się pani ogromnego szczęścia. Pozostała pani samotna. Moi rodzice mieli siebie, kochali się głęboką, namiętną miłością, a pani odgrodziła się od nich murem dumy i zranionego honoru. Ona by pani wybaczyła. A mój ojciec wybaczyłby pani ze względu na nią, ponieważ nie potrafił jej niczego odmówić.

- Wybaczyłaby mi? Nie potrzebuję wybaczenia ze

strony złodzieja i córki, która lekkomyślnie zdradziła swoje dziedzictwo!

Bursztynowe oczy Serenity rozgorzały jak złote płomienie, ale opanowała wściekłość i spytała chłodno:

- Złodziej? Czy mam rozumieć, że ojciec coś pani ukradł?

- Tak, ukradł - odpowiedziała hrabina stanowczym, spokojnym tonem. - Nie dość, że ukradł moje dziecko, córkę, którą kochałam ponad życie, to na dodatek ukradł jeszcze „Madonnę” Rafaela, która należała do mojej rodziny od pokoleń. Obie bezcenne, obie unikatowe i obie zagrabione przez mężczyznę, którego wpuściłam pod swój dach i któremu zaufałam!

- Rafael? - powtórzyła Serenity. Kompletnie zmieszana, mocno przycisnęła dłonie do skroni. - Sugeruje pani, że mój ojciec ukradł obraz Rafaela? To szaleństwo!

- Niczego nie sugeruję - poprawiła ją hrabina, unosząc głowę jak królowa, która za chwilę ogłosi wyrok. - Oświadczam, że Jonathan Smith zabrał mi Gaelle i „Madonnę”. Był bardzo sprytny. Wiedząc, że zamierzam ofiarować ten obraz muzeum w Luwrze, zaproponował, że go oczyści. Zaufałam mu. - Jej koścista twarz ponownie przybrała posępną maskę. - Nadużył mojego zaufania, zawrócił w głowie mojej córce, tak że zapomniała o swoich obowiązkach, a potem mnie okradł.

- To kłamstwo! - krzyknęła Serenity. - Mój ojciec nigdy by niczego nie ukradł! A jeśli straciła pani córkę, to wyłącznie z powodu dumy i zaślepienia!

- A co z Rafaelem? - Pytanie, choć zadane półgłosem, zabrzmiało donośnie i echem odbiło się od ścian.

- Nie mam pojęcia, co się z nim stało. - Przeniosła wzrok ze sztywnej kobiety na obojętnego mężczyznę i

poczuła się bardzo samotna w tym towarzystwie. - Na pewno nie wziął go mój ojciec. Nie był złodziejem. - Wielkimi krokami zaczęła chodzić po pokoju, tłumiąc w sobie ochotę do głośnego okrzyku, który być może wyrwałby tych dwoje z nienaturalnego opanowania. - Jeśli była pani tak pewna, że zabrał cenny obraz, dlaczego nie kazała go pani ścigać?

- Twój ojciec był bardzo sprytny - powtórzyła hrabina. - Wiedział, że nie wciągnę Gaelle w taki skandal. Tak czy inaczej był jej mężem i ojcem jej dziecka.

Serenity zatrzymała się na środku pokoju i z niedowierzaniem spojrzała na hrabinę.

- Czy pani podejrzewa, że poślubił ją ze względu na swoje bezpieczeństwo? Och, nie ma pani pojęcia, co ich łączyło! Kochał ją ponad życie!

- Gdy odkryłam zniknięcie obrazu - ciągnęła hrabina, jakby Serenity w ogóle się nie odezwała - poszłam do twojego ojca i zażądałam wyjaśnień. Przygotowywali się już do wyjazdu. Gdy rzuciłam mu w twarz oskarżenie, zobaczyłam, że wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Zrozumiałam, że zabrał obraz, a Gaelle mimo to staje po stronie złodzieja! Zdradziła siebie, swoją rodzinę i swój kraj - dokończyła hrabina znużonym szeptem, a na jej doskonale kontrolowanej twarzy pojawił się jednak grymas bólu.

- Już dziś dość o tym powiedziałaś - wtrącił się Christophe, a potem nalał hrabinie brandy z karafki. Gdy podawał jej kieliszek, mruknął coś po bretońsku.

- Oni go nie zabrali. - Serenity zrobiła krok w stronę hrabiny, ale Christophe chwycił ją za ramię.

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

- Nie będziesz mi nakazywał, kiedy mam mówić, a

kiedy nie! Nie mogę tolerować tego, że mojego ojca nazywa się tu złodziejem! Proszę mi powiedzieć, panie hrabio, skoro zabrał ten obraz, to co z nim zrobił?

Christophe uniósł brwi i znacząco popatrzył jej w oczy. Serenity pobladła, a potem znów się zarumieniła i bezradnie otworzyła usta. Dopiero po chwili przełknęła ślinę i odezwała się spokojnie i z godnością:

- Gdybym była mężczyzną, zapłaciłbyś za obrażanie moich rodziców.

- Ale na szczęście nie jesteś - odparł bezczelnie, lekko skłaniając głowę.

Hrabina w milczeniu przysłuchiwała się tej wymianie zdań.

- Madame - zwróciła się do niej Serenity - jeśli każała mi tu pani przyjechać w nadziei, że wiem, gdzie się znajduje obraz Rafaela, to czeka panią rozczarowanie. Nic na ten temat nie wiem. Natomiast również ja przeżyłam rozczarowanie, ponieważ przyjechałam tu w nadziei, że odnajdę prawdziwą rodzinę.

Odwróciła się na pięcie i, nie patrząc na nich, wyszła z salonu.

Trzaśnięcie drzwiami do sypialni przyniosło jej odrobinę satysfakcji. Wyjęła walizki i rzuciła je na łóżko. W jej głowie kłębiły się niespokojne myśli, gdy z impetem zdejmowała ubrania z wieszaków i wrzucała je do walizki. Wkrótce wyrósł na niej bezładny, kolorowy stos.

- Odejdź! - zawołała groźnie, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

Odwróciła się i ze śmiertelną złością stanęła oko w oko z Christophe'em, który zignorował jej rozkaz, wszedł i cicho zamknął za sobą drzwi.

- A więc wyjeżdżasz - rzekł, unosząc brwi.

- Cóż za domyślność. - Z furią rzuciła różową bluzkę na stos.

- Mądra decyzja - oświadczył, gdy ostentacyjnie odwróciła się do niego plecami. - Lepiej byłoby, gdybyś w ogóle nie przyjeżdżała.

- Lepiej? - powtórzyła z jawną złością. - Lepiej dla kogo?

- Dla hrabiny.

Zbliżyła się do niego, mrużąc oczy.

- To hrabina mnie tutaj zaprosiła. Wezwała - poprawiła się ostrzejszym tonem. - Jak śmiesz mówić do mnie tak, jakbym była intruzem? Nie miałam pojęcia o waszym istnieniu, i bardzo dobrze.

- I byłoby lepiej, gdyby hrabina pozostawiła cię w twojej niewiedzy.

- Cieszę się, że tak uważasz. Ty zresztą chcesz, żebym wyjechała, prawda? - spytała oskarżycielsko. - Im szybciej, tym lepiej? Powiem ci coś, drogi hrabio. Wolałabym spać pod mostem, niż przyjąć waszą gościnność. A teraz... - rzuciła w niego szeroką spódnicą w kwiatki - może pomożesz mi się spakować?

Christophe spokojnie podniósł spódnicę i położył ją na fotelu, a jego chłód i opanowanie jeszcze bardziej rozwścieczyły Serenity.

- Przyślę Bridget - powiedział tak uprzejmie, że Serenity zaczęła rozglądać się za czymś cięższym niż spódnica. - Rzeczywiście potrzebujesz pomocy.

- Ani mi się waż kogoś przysyłać! - krzyknęła. Skinął potakująco głową na znak, że usłyszał rozkaz.

- Jak sobie życzysz. Stan twojej garderoby to twoja sprawa.

Rozwścieczona, postanowiła go sprowokować.

- Sama sobie poradzę, kuzynie, gdy zdecyduję się na wyjazd. - Ostentacyjnie odwróciła się i zdjęła część ubrań ze stosu. - Chyba jednak zostanę tu dzień lub dwa. Słyszałam, że bretońska prowincja ma wiele uroku.

- Jak sobie życzysz. - Usłyszała w jego głosie lekką nutę zniecierpliwienia, nie omieszkała więc się uśmiechnąć. - Ale zważywszy na okoliczności, nie zachęcałbym do tego. - Chwycił ją za ramię.

- Naprawdę? - Wzruszyła ramionami, a potem prowokacyjnie pochyliła głowę. - To kolejny powód, bym jednak została. - Choć wyraz jego twarzy pozostał niezmienny, oczy Christophe'a pociemniały z gniewu. Zaczynała się zastanawiać, jak by wyglądał, gdyby stracił nad sobą panowanie.

- Postąpisz zgodnie ze swoim życzeniem. Ale musisz się liczyć z tym, że twoja wizyta nie przebiegnie tak miło, jak byś chciała.

- Poradzę sobie. - Próbowwała się wyrwać z jego uścisku, ale bezskutecznie.

- Osoby inteligentne na ogół starają się unikać nieprzyjemnych sytuacji. - Uśmiech Christophe'a był bardziej arogancki niż jawne szyderstwo. - A ja uważam, że jesteś inteligenta, a może nawet mądra.

Z mocnym postanowieniem, że nie okaże mu zdenerwowania, starała się mówić spokojnym głosem:

- Nie muszę z tobą omawiać mojej decyzji. Prześpię się z tym problemem i jutro coś postanowię. Oczywiście, zawsze możesz przykuć mnie łańcuchem do ściany w wieży.

- Niezły pomysł. - W jego uśmiechu pojawiła się drwina. Ścisnął lekko jej ramię, nim je wreszcie puścił. - Też się z tym prześpię. - Podszedł do drzwi, uklonił się

lekko i nacisnął klamkę. - Jutro rano podejmę stosowną decyzję.

Serenity wyładowała swoją złość, rzucając butem w zamknięte drzwi.

ROZDZIAŁ TRZECI

Serenity obudziła się w kompletnej ciszy. Otworzyła oczy i nieprzytomnie zaczęła rozglądać się dookoła. Dopiero po dłuższej chwili przypomniała sobie, gdzie jest. Usiadła na łóżku i nasłuchiwała. Cisza - głęboka, zmacona jedynie ćwierkaniem ptaków, pozbawiona odgłosów miejskiego gwaru, które znała i lubiła.

Mały, ozdobny zegar stojący na biurku pokazywał szóstą. Położyła głowę na poduszce, rozkoszując się elegancką, delikatną pościelą i błogim lenistwem. Choć wczoraj była bardzo zdenerwowana po nieprzyjemnej rozmowie z babką, zmęczenie podróżą wzięło górę i zasnęła prawie natychmiast. Spała naprawdę dobrze w łóżku, które kiedyś należało do jej matki. Teraz, patrząc w sufit, odtwarzała w myślach wydarzenia minionego dnia.

Hrabina miała serce przepełnione goryczą. Spod warstwy wystudiowanego opanowania wyzierał żal, a może nawet ból. Mimo że wyrzekła się córki, zatrzymała jej portret.

Jednak na wspomnienie Christophe'a nadal wrzała w niej złość. Zachował się niczym stronnicy sędzieja, gotów potępić ją bez procesu. Cóż, ona też ma swoją dumę, nie ucieknie stąd jak zraniony szczeniak. Zostanie, by wyjaśnić sprawę do końca. Nie może pozwolić, by szkalowano jej ojca.

Przyglądając się słonecznym promieniom, głęboko westchnęła.

- Oto wstał nowy dzień, mamó - powiedziała głośno. Wstała z łóżka i podeszła do okna. Rozciągający się w dole ogród wyglądał pięknie i zachęcał do spaceru. Postanowiła go obejrzeć z bliska, a potem naszkicować dom. Dom jej

matki.

Z westchnieniem sięgnęła po szlafrok.

- Może potem dogadam się jakoś z hrabiną - powiedziała z nadzieją.

Umyła się i włożyła pastelową sukienkę bez rękawów.

Gdy schodziła na dół do głównego holu, w zamku panowała dostojna cisza. Po chwili wyszła na ciepły, letni poranek.

To dziwne, że nie widać innych budynków ani samochodów, ani żadnego człowieka...

Skręciła, by obejść zamek dookoła. Powietrze było świeże i pachnące. Zaczepnęła oddechu, nim zaczęła okrążyć zamek.

Zamek z bliska wyglądał jeszcze bardziej imponująco. Bujna roślinność tryskała kolorami, zapachy mieszały się, tworząc na wpół cierpki, na wpół słodki aromat. Pomiędzy zadbanymi klombami przecinały się ścieżki wyłożone gładkimi kamieniami, lśniącymi w porannym słońcu. Serenity wybrała przypadkowo jedną z nich i przechadzała się, zadowolona ze swej samotności. Jej artystyczna dusza chłoneła barwy i kształty tego uroczonego miejsca.

- Dzień dobry. - Głęboki, męski głos przerwał ciszę.

Nieco wystraszona odwróciła się gwałtownie. Wysoki, smukły Christophe podchodził do niej wolno, a jego zniewalające ruchy przypominały pewnego rosyjskiego tancerza, którego Serenity poznała na przyjęciu w Waszyngtonie.

- Dzień dobry, panie hrabio - powitała go z pewną serdecznością, ale bez uśmiechu.

Christophe ubrany był w jasnożółtą koszulę i obcisłe

brązowe dzinsy.

Podszedł do niej, bacznie jej się przyglądając.

- Wcześniej wstajesz. Mam nadzieję, że spałaś dobrze.

- Bardzo dobrze, dziękuję - odparła. Była zła, że tak bardzo jej się podobał. - Macie piękne ogrody.

- Lubię to, co piękne. - Patrzył prosto na nią, a ona spuściła wzrok.

Rozmawiali po francusku, ale na widok psa, który podbiegł do Christophe'a, Serenity odruchowo przeszła na angielski.

- Jak się nazywa? - Przykucnęła i pogłaskała psa po gęstym, miękkim futerku.

- Korrigan - odpowiedział Christophe, patrząc na jej pochyloną głowę, wokół której promienie słoneczne utworzyły świetlistą aureolę.

- Korrigan - powtórzyła z zachwytem. Na moment zapomniała o niechęci do jego pana. - Jaka to rasa?

- Spaniel bretoński.

Korrigan zaczął wyrażać swoje uczucia, czule liżąc ją po policzkach. Serenity roześmiała się i zatopiła twarz w miękkiej sierści zwierzęcia.

- Kiedyś też miałam wspaniałego psa - powiedziała.

- Przyszedł za mną do domu. - Uśmiechała się, gdy Korrigan nadal liżał ją mokrym językiem. - W gruncie rzeczy trochę go do tego zachęciłam. Nazwałam go Leonardo, ale mój ojciec przewał go Horrible, i tak pozostało. Ani kąpiel, ani czesanie nie pomogły na jego wrodzone niechlujstwo.

Gdy chciała wstać, Christophe podał jej rękę, a uścisk jego dłoni okazał się mocny i podniecający. Opanowała się, by nie odskoczyć nerwowo, cofnęła dłoń i

poszła dalej. Pies i jego pan szli obok niej.

- Widzę, że się trochę uspokoiłaś. To dla mnie zaskakujące, że w tak kruchej postaci drzemie taki wybuchowy temperament.

- Mylisz się. - Odwróciła głowę i obrzuciła go przelotnym, lecz stanowczym spojrzeniem. - Nie w kwestii wybuchowości, ale kruchości. Jestem twarda jak dobra porcelana.

- Być może nikt cię jeszcze nie próbował roztrzaskać - odparował, a ona wbiła wzrok w ciężki od kwiatów krzew róży. - Zdecydowałaś się zostać tu jakiś czas? - spytał.

- Tak. - Spojrzała mu w oczy. - Chociaż odnoszę wrażenie, że wolałbyś, bym wyjechała.

- Nic podobnego. - Wzruszył ramionami. - Możesz zostać, jak długo chcesz.

- Twój entuzjazm jest porażający. - Popatrzyła na niego odważnie. - Poczuleś do mnie antypatię od pierwszego wejrzenia?

Twarz Christophe'a pozostała chłodna i opanowana.

- Żałuję, że odniosłaś takie wrażenie - rzekł z galanterią. - Spróbuję być bardziej uprzejmy.

- Jesteś tak piekielnie uprzejmy - warknęła, tracąc opanowanie i tupiąc nogą jak małe dziecko - że momentami aż arogancki!

- Może ta arogancja bardziej cię pociąga?

- Och! - Ze złością wyciągnęła rękę, by zerwać różę. - Doprowadzasz mnie do szału! Cholera! - zakląła, klując się w palec. - Zobacz, to przez ciebie! - Uniosła palec do ust, patrząc na Christophe'a z jawnym wyrzutem.

- Przyjmij wyrazy ubolewania - odparł, a w jego oczach zabłysła drwina. - Naprawdę zachowałem się nieuprzejmie.

- Jesteś arogancki, zarozumiały i wyniosły - oskarżyła go Serenity, potrząsając lokami.

- A ty jesteś impulsywna, rozkapryszona i uparta. - Zmrużył oczy, krzyżując ręce na piersiach.

- No cóż, jak na tak krótką znajomość mamy niezwykle ugruntowaną opinię o sobie nawzajem - zauważyła, przyglądając potargane włosy. - Gdybyśmy znali się dłużej, pewnie byłibyśmy w sobie szaleńczo zakochani.

- Ciekawa refleksja, kuzynko. - Z lekkim skinieniem głowy odwrócił się i poszedł z powrotem do zamku.

Serenity doznała uczucia dziwnej, namacalnej wręcz straty.

- Christophe! - zawołała pod wpływem impulsu. Odwrócił się, uniósł pytająco brwi i zrobił krok w jej kierunku.

- Czy nie możemy być po prostu przyjaciółmi? Popatrzył jej w oczy tak głęboko i intensywnie, że poczuła, jakby dotykał jej duszy.

- Obawiam się, Serenity, że nigdy nie będziemy tylko przyjaciółmi.

Obserwowała, jak odchodzi z psem u nogi.

Godzinę później dołączyła do babki i Christophe'a przy śniadaniu. Rozmowa była poprawna, obojętna. Serenity wyczuła, że stara kobieta robiła wszystko, aby złagodzić napięcie wywołane wieczorną sprzeczką.

Być może w tym świecie, pomyślała, sprzeczka przy porannych rogalikach uchodziła za niestosowną. Powstrzymując ironiczny uśmiech, Serenity naśladowała maniery współbiesiadników.

- Zapewne zechcesz zwiedzić zamek, Serenity? - spytała hrabina.

- Tak, bardzo chętnie - potwierdziła z uprzejmym

uśmiechem. - A później chciałabym zrobić kilka szkiców z zewnątrz.

- Christophe, jeszcze dziś musimy oprowadzić Serenity po zamku.

- Nic nie sprawi mi większej przyjemności, babciu - powiedział Christophe, odstawiając filiżankę na porcelanowy spodeczek. - Ale obawiam się, że dziś rano będę zajęty. Przywożę nowego byka. Muszę tego dopilnować.

- Ach, bydło! - westchnęła hrabina, wzruszając ramionami. - To ci zajmuje zbyt dużo czasu.

Było to pierwsze spontaniczne zdanie, jakie Serenity usłyszała z ust babci. Natychmiast podjęła temat.

- A więc hodujesz bydło?

- Tak - potwierdził Christophe, napotykać jej zaciekawione spojrzenie. - Hodowla bydła to nasz biznes.

- Naprawdę? - Była zdumiona. - Nie sądziłam, że Kergallenowie zajmują się takimi przyziemnymi sprawami. Wyobrażałam sobie, że tylko siedzą i liczą swoich chłopów pańszczyźnianych.

Lekko wykrzywił usta i skinął głową.

- Tylko raz w miesiącu. Chłopi pańszczyźniani są bardzo dochodowi.

Roześmiała mu się prosto w oczy, ale po chwili, spłoszona jego szerokim uśmiechem, wróciła do swojej kawy. Dzień zapowiadał się ciekawie.

Ostatecznie hrabina sama towarzyszyła Serenity w wycieczce po niezliczonych pokojach i zakamarkach zamkowych. Gdy przechodziły od jednej zadziwiającej komnaty do drugiej, objaśniała jej historię.

Zamek został zbudowany w XVII wieku, miał więc trzysta lat, ale według bretońskich standardów wcale nie był stary. Wraz z przyległymi włościami przechodził z

pokolenia na pokolenie w ręce najstarszego syna w rodzie Kergallenów. I choć dokonano w nim pewnych modernizacji, pozostał właściwie taki sam jak w dniu, gdy pierwszy hrabia de Kergallen przeniósł przez zwodzony most swą oblubienicę. Ponadczasowy charakter budowli był dla Serenity kwintesencją niebywałego uroku.

W galerii portretów ujrzała podobizny przodków Christophe'a. Wszystkie twarze wyrażały dumę, szlachetność, otaczała je nieuchwytna atmosfera tajemnicy.

Zatrzymała się przed osiemnastowiecznym portretem. Przedstawiał mężczyznę tak uderzająco podobnego do Christophe'a, że podeszła bliżej, by mu się uważniej przyjrzeć.

- Christophe jest bardzo podobny do Jeana - Claude'a, prawda? - zauważyła hrabina.

- To prawda. Podobieństwo jest uderzające.

- Miał opinię... dzikusa - wyjaśniła hrabina. - Mówiono, że zajmował się przemytem, dla rozrywki, oczywiście. Był wilkiem morskim. Według rodzinnej opowieści podczas pobytu w Anglii zakochał się, a ponieważ nie miał cierpliwości do długich, konwencjonalnych zalotów, porwał dziewczynę i przywiózł tutaj do zamku. Oczywiście od razu ją poślubił. A oto ona. - Hrabina wskazała na portret młodziutkiej Angielki o delikatnej, jasnej karnacji. - Nie wygląda na nieszczęśliwą, prawda?

Hrabina poszła dalej korytarzem, pozostawiając Serenity wpatrzoną w uśmiechniętą twarz porwanej panny młodej.

Sala balowa była ogromna, wrażenie przestrzeni potęgowały znajdujące się na przeciwległej ścianie okna z szybami oprawionymi w olów. Inna ściana była wyłożona lustrami, w których odbijały się błyszczące kryształki

trzech żyrandoli zawieszonych pod belkowanym sufitem. Fotele w stylu regencji obite eleganckim gobelinem przeznaczone były dla tych, którzy woleli oglądać pary wirujące po wywoskowanej podłodze. Ciekawe, czy Jean - Claude tu właśnie wydał ślubne przyjęcie? - zastanawiała się Serenity.

Hrabina poprowadziła swego gościa długim, wąskim korytarzem do kamiennej, spiralnej klatki schodowej, która wiodła do wieży zamkowej. Mimo że pomieszczenie, do którego weszły, było całkowicie puste, Serenity natychmiast wydała okrzyk zachwyty. Stała pośrodku i rozglądała się, jakby było wypełnione skarbami. Pokój był duży, jasny i całkowicie okrągły, a przez otaczające go wysokie okna wlewało się światło słoneczne. Wyobraziła sobie siebie malującą tu godzinami w błogiej samotności.

- Twój ojciec tutaj miał swoją pracownię - poinformowała hrabina sztywnym tonem.

- Jeśli chce pani, bym tu pozostała przez jakiś czas - powiedziała urażonym głosem Serenity - musimy dojść do porozumienia. Jeśli nam się to nie uda, będę zmuszona wyjechać. - Mówiła w stanowczy, opanowany i niezwykle uprzejmy sposób, ale jej oczy zdradzały gniew. - Bardzo kochałam ojca, jak również matkę. Nie mogę tolerować tonu, jakiego pani używa, mówiąc o nim.

- Czy w twoim kraju to normalne, aby młoda osoba zwracała się do starszej w taki sposób? - Hrabina władczym gestem uniosła głowę, nie kryjąc gniewu.

- Mogę mówić tylko za siebie - odparła Serenity. Stała wyprostowana w słonecznym blasku. - Nie uważam zresztą, by wiek zawsze szedł w parze z mądrością. Nie zamierzam potulnie słuchać, jak obraża pani człowieka, którego kochałam i poważałam najbardziej ze wszystkich

na świecie.

- Byłoby więc najlepiej, gdybyśmy powstrzymały się w ogóle od rozmów o twoim ojcu. - Słowa hrabiny zabrzmiały jak rozkaz.

- Ja jednak mam zamiar o nim wspominać. - W Serenity wstąpił gniew. - Mam również zamiar dowiedzieć się, co się stało z „Madonna” Rafaela, żeby oczyścić jego nazwisko.

- A jak zamierzasz to osiągnąć?

- Nie wiem. - Chodząc po pokoju, bezradnie rozłożyła ręce. - Może obraz został gdzieś ukryty na zamku? A może zabrał go ktoś inny? - W przyływie nagłego gniewu zwróciła się do hrabiny: - Może pani sama go sprzedała i rzuciła winę na mojego ojca?

- Obrażasz mnie! - wybuchła hrabina. W jasnolbieskich oczach pojawił się lodowaty błysk.

- Nazywa pani mojego ojca złodziejem i mówi pani, że to ja ją obrażam? Dobrze znałam Jonathana Smitha, hrabino, i wiem, że nie był złodziejem, natomiast pani wcale nie znam.

Hrabina w milczeniu przyglądała się rozłoszczonej młodej kobiecie. Po dłuższej chwili odezwała się z powagą:

- To prawda. - Skinęła głową. - Obie się nie znamy. Co więcej, nie mogę obwinać cię za to, co zdarzyło się przed twoim urodzeniem. - Podeszła do okna i wpatrywała się w krajobraz. - Nie zmieniłam opinii o twoim ojcu - dodała, a potem odwróciła się do Serenity i podniesioną ręką uciszyła nieuchronną ripostę wnuczki. - Ale nie byłam sprawiedliwa wobec jego córki. Zaprosiłam cię do swego domu i źle potraktowałam. Przepraszam. - Wykrzywiła usta w przelotnym uśmiechu. - Nie rozmawiajmy o przeszłości, dopóki się lepiej nie poznamy, zgoda?

- Dobrze - przystała Serenity, wyczuwając, że ze strony hrabiny był to gest pokoju.

- Masz miękkie serce i mocny charakter - zauważyła hrabina z cieniem aprobaty w głosie. - To dobre połączenie. Ale jednocześnie jesteś bardzo impulsywna, nieprawdaż?

- To fakt - przyznała Serenity.

- Christophe ma również skłonność do wybuchów gniewu i ponurych nastrojów - poinformowała hrabina, nagle zmieniając temat. - Jest silny, uparty i potrzebuje żony równie silnej, ale jednocześnie o miękkim sercu.

Serenity popatrzyła na swą babkę trochę zmieszana.

- Współczuję jej z góry - powiedziała, a potem przymknęła oczy, ponieważ zaczęło w niej kielkować pewne podejrzenie. - Ale co potrzeby Christophe'a mają wspólnego ze mną?

- Osiągnął już wiek, w którym mężczyzna potrzebuje żony - oświadczyła hrabina bez ogródek. - A ty również przekroczyłaś wiek, w którym większość bretońskich kobiet zakłada rodziny.

- Jestem tylko w połowie Bretonką - zaznaczyła lekko zbity z tropu Serenity. Potem rozszerzyła oczy ze zdumienia. - Chyba pani nie sugeruje... że Christophe i ja... Och, to naprawdę śmieszne! - Roześmiała się nerwowo, a jej głośny śmiech odbił się echem od ścian pustego pokoju. - Przykro mi, że muszę panią rozczarować, ale ja się hrabiemu wcale nie podobam. Nie lubi mnie od chwili, gdy mnie zobaczył, a i we mnie, muszę przyznać, nie wzbudził szczególnej sympatii.

- A co sympatia ma z tym wspólnego? - spytała hrabina, machając lekceważąco ręką.

Serenity przestała się śmiać i z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Rozmawiała już pani z nim na ten temat?

- Owszem - potwierdziła hrabina swobodnie. Serenity przymknęła oczy, starając się opanować wściekłość. Czuła się poniżona.

- Nic dziwnego, że od pierwszego wejrzenia poczuł - do mnie niechęć! - Patrzyła na hrabinę wzrokiem pełnym urazy. - Niepotrzebnie pani się wtrąca, hrabino. Epoka aranżowanych małżeństw skończyła się bezpowrotnie.

- No właśnie - westchnęła hrabina. - Christophe jest zbyt niezależny, by przystał na takie małżeństwo i, jak widzę, ty również. - Ale - na kościstej twarzy hrabiny wykwitł chytry uśmiezek - jesteś bardzo urocza, a Christophe to atrakcyjny mężczyzna. Może natura, jak to się mówi, weźmie górę.

Serenity wpatrywała się w nieodgadnioną twarz hrabiny szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

- Chodźmy już - ponagliła hrabina, ruszając w stronę drzwi. - Mamy jeszcze sporo do zobaczenia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Było ciepłe, przyjemne popołudnie, ale Serenity nie mogła opanować wewnętrznego wrzenia. Uraza, z jaką myślała o swojej babce, obejmowała również Christophe'a. Dziwne, im bardziej była zdenerwowana, tym bardziej o nim myślała.

Nieźnośny zarozumialec! - dąsała się. Wyniosły arystokrata! Mocno naciskając ołówek, szkicowała wieże zamkowe. Wolałaby poślubić Attyle, niż związać się z tym upartym gburem! Wybuchła głośnym śmiechem. Hrabina pewnie tęskni za tuzinem małych hrabiątek bawiących się w ogrodzie...

Co za urocze miejsce do wychowywania dzieci... Zamyśliła się, przerywając na chwilę rysowanie. Ciepłe, spokojne i piękne. Słyszając głośne westchnienie, wystraszyła się. Gdy zdała sobie sprawę, że westchnienie wyszło z jej gardła, zmarszczyła brwi. Hrabina Serenity de Kergallen... Jeszcze mocniej zmarszczyła brwi.

Jakiś ruch zwrócił jej uwagę. Podniosła głowę i mrużąc oczy przed słońcem, patrzyła na zbliżającego się Christophe'a. Przemierzał trawnik długim, swobodnym krokiem.

Chodzi, jakby świat do niego należał, zauważyła z podziwem, ale i z niechęcią. Gdy do niej podszedł, niechęć zdecydowanie wzięła górę.

- Ty... - wyrzuciła z siebie, podnosząc się z miękkiej, gęstej trawy. Stała przed nim jak smukły i złoty anioł zemsty.

- Jakiś problem?

Jego chłodny i opanowany głos tylko podsycił jej wściekłość.

- Tak, jestem zdenerwowana! Dobrze wiesz dlaczego! Dlaczego mi nie powiedziałaś o tym absurdalnym pomysle hrabiny?

- Ach, o to chodzi. - Uniósł brwi. - Widzę, że babcia wtajemniczyła cię w swój plan. Kiedy więc, wybranko mego serca, dajemy na zapowiedzi?

- Ty zarozumiała... - wykrztusiła, nie mogąc znaleźć wystarczająco obraźliwego określenia. - Wiesz, co możesz zrobić ze swoimi zapowiedziami? W życiu nie zgodziłabym się za ciebie wyjść!

- Świetnie. - Skinął głową. - W końcu w czymś się zgadzamy. Ja również nie zamierzam wiązać się z kobietą o tak ciętym języku. Ten, kto wybrał ci imię, nie był dobrym prorokiem.

- Jesteś najbardziej obrzydliwym człowiekiem, jakiego znam! - wybuchła, a jej zachowanie pozostawało w ostrym kontraście z jego nienagannym opanowaniem. - Nie mogę na ciebie patrzeć!

- Czyżbyś zdecydowała się na powrót do Ameryki? Uniosła podbródek i wolno pokręciła głową.

- Och, nie, hrabio, zostaję. Argumenty przemawiające za moim pozostaniem są silniejsze niż moja antypatia do ciebie.

Uważnie przyglądał jej się oczami zmrużonymi w szparki.

- Czy hrabina dorzuciła kilka franków, byś stała się miłsza?

Serenity wpatrywała się w niego ze zdziwieniem, dopiero po chwili dotarło do niej znaczenie jego słów. Pobladła, a oczy jej pociemniały. Nagle podniosła rękę i mocno, z całej siły go spoliczkowała. Odwróciła się i zaczęła biec w kierunku zamku.

Silne dłonie chwyciły ją za ramiona, obróciły w kółko i przyciągnęły do siebie. Poczwała gorące usta na swoich. Pocałował ją tak brutalnie, jakby chciał ją tym pocałunkiem ukarać. Doznała elektrycznego wstrząsu; ujrzała ostre, jasne światło, które szybko znikło. Przez dobrą chwilę, jak omdlała, opierała się o niego, nie mogąc wydobyć się na powierzchnię z ciemnej, gorącej otchłani pożądania. Oddech już nie należał do niej. Gdy zdała sobie sprawę, że nawet to jej zabrał, zaczęła odpychać się od jego klatki piersiowej, a wreszcie bić w nią słabymi pięściami, przerażona, że zostanie tu na zawsze - w wirującej i groźnej ciemności.

Jej wysiłki, aby się wyzwolić, były bezowocne. Jakby w ogóle nie miały miejsca. Zapach piżma drażnił jej zmysły, wprawiał w odrętwienie jej umysł i wolę; jak przez mgłę słyszała słowa hrabiny opisującej Jeana - Claude'a, przodka Christophe'a. Dzikus, pomysłała. Dzikus...

Uwolnił jej usta, ale nadal trzymał ją za ramiona. Popatrzył z góry w jej przymglone oczy.

- Kto ci na to pozwolił? - wykrztusiła, dotykając dłonią głowy, jakby chciała powstrzymać natłok myśli.

- Mogłem albo cię pocałować, albo ci oddać - rzekł sucho, a Serenity z tonu jego głosu i wyrazu twarzy wywnioskowała, że przemiana z pirata w arystokratę nie została jeszcze zakończona. - Na swoje nieszczęście żywię niechęć do bicia kobiet, niezależnie do tego, jak bardzo sobie na to zasłużyły.

Wyrwała się z jego uścisku. Pod powiekami piekły ją łzy.

- Następnym razem mnie uderz! - krzyknęła. - Tak będzie lepiej!

- Jeśli jeszcze kiedykolwiek podniesiesz na mnie

rękę, moja droga kuzynko, bądź pewna, że się zemszczę - obiecał.

- Sam sobie jesteś winny - odparowała, ale zuchwałość jej słów złagodził niepewny wyraz szeroko otwartych oczu. - Jak śmiesz mnie oskarżać, że przyjechałam pieniądze w zamian za zostanie tutaj? A nie przyszło ci do głowy, że chcę poznać babkę, której nigdy nie miałam? Czy kiedykolwiek pomyślałeś, że może chcę poznać miejsce, gdzie moi rodzice się poznali i zakochali w sobie? Że chcę tu zostać, by udowodnić niewinność mojego ojca? - Łzy spływały po jej policzkach. - Żałuję, że nie uderzyłam cię mocniej. A co ty byś zrobił na moim miejscu?

Obserwował łzy, które spływały z jej oczu, a potem dalej po satynowej skórze, i słaby uśmiech wykrzywił kąciki jego ust.

- Spralbym oponenta na kwaśne jabłko - powiedział. - Ale uważam, że twoje łzy są o wiele skuteczniejsze niż pięści.

- Nie używam łez jako broni. - Otarła dłonią twarz.

- Właśnie dlatego są bardziej skuteczne. - Długim, opalonym palcem wytarł łzę z jej mleczej skóry, a potem szybko cofnął dłoń i powiedział obojętnie: - Moje słowa były niesprawiedliwe. Przepraszam cię. Obydwoje zostaliśmy ukarani, a więc jesteście kwita, czyż nie?

- Uśmiechnął się, a ona wpatrywała się w niego, zauroczona jego siłą.

Odpowiedziała mu uśmiechem, który przypomniiał przebłysk słońca na zachmurzonym niebie. Jęknął, jakby był niezadowolony, jakby pożałował chwilowej słabości. Potem skinął głową, odwrócił się i odszedł.

Serenity w milczeniu patrzyła, aż zniknął za rogiem.

Podczas kolacji rozmowa dotyczyła spraw obojęt-

nych. Zupełnie jakby bulwersująca rozmowa na wieży oraz burzliwe spotkanie w ogrodzie nie miały miejsca. Serenity podziwiała opanowanie gospodarzy, którzy jedząc langusty w śmietanie, prowadzili salonową konwersację. Gdyby nie to, że nadal czuła jego usta na swoich, mogłaby przysiąc, że wyobraziła sobie ten gwałtowny, zapierający dech pocałunek Christophe'a - pocałunek, który poruszył ją wewnątrz, obudził tysiące pragnień, do których wołała się nie przyznawać.

To nic nie znaczy, wmawiała sobie. Była już całowana i będzie w przyszłości. Upiła łyk wina i dostosowując się do panującej przy stole atmosfery, skomentowała jego wyborną jakość.

- Naprawdę ci smakuje? - Christophe swobodnie włączył się do rozmowy. - To nasz muscadet. Co roku produkujemy niewielką ilość dla własnych potrzeb i dla sąsiadów.

- Bardzo przyjemny w smaku - oceniła Serenity. - To fantastyczne pić wino z własnej winnicy.

- Muscadet jest jedynym winem produkowanym w Bretanii. Słyniemy głównie z morza i koronek.

Serenity przesunęła palcem po śnieżnobiałym, kunsztownie zdobionym obrusie.

- Koronka bretońska, naprawdę piękna - powiedziała. - Wygląda na delikatną i starą, ale lata dodają jej piękna.

- Jak kobiecie - dodał szarmancko Christophe. Serenity podniosła wzrok i napotkała jego ciemne, uważne spojrzenie.

- Ale macie również bydło - uchwyciła się tego tematu, by ukryć zmieszanie.

- Ach, bydło! - Wykrzywił usta w sardonicznym

uśmiechu, a Serenity doznała niemiłego wrażenia, że Christophe bawi się jej kosztem.

- Całe życie mieszkałam w mieście i nic nie wiem na temat hodowli bydła - plątała się, coraz bardziej zmieszana.

- Pokażemy ci bretońska wieś - wtrąciła się hrabina.
- A może jutro będziesz miała ochotę na przejażdżkę po naszych włościach?

- Bardzo chętnie. Jestem pewna, że będzie to dla mnie miłą odmianą po betonowych chodnikach amerykańskich metropolii.

- Z przyjemnością będę ci towarzyszyć, Serenity - zaoferował się Christophe, całkowicie ją tym zaskakując. Odwróciła się do niego z wyrazem twarzy, który dokładnie odzwierciedlał jej myśli. Uśmiechnął się. - Czy masz odpowiedni strój?

- Odpowiedni strój? - powtórzyła ze zdziwieniem. Wydawało się, że rozbawiło go jej zaskoczenie, ponieważ uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Ubierasz się ze smakiem, ale trudno by ci było dosiadać konia w takiej sukni.

Zerknęła w dół na miękkie materiały jasnozielonej sukienki, a potem podniosła na Christophe'a wyraźnie rozbawione spojrzenie.

- Konia? - powtórzyła, lekko marszcząc brwi.

- Nie można objechać posiadłości samochodem. Koń o wiele lepiej się do tego nadaje.

Na widok wesołych iskier w jego oczach wyprostowała się z godnością.

- Przykro mi, ale nie jeżdżę konno - powiedziała.

- Niemożliwe! - oświadczyła hrabina z niedowierzaniem. - Gaille była wspaniałą amazonką.

- Nie odziedziczyłam po niej tych zdolności - od-

parła nieco rozbawiona Serenity.

- Nauczę cię. - Słowa Christophe'a zabrzmiały rozkazująco.

- To miła propozycja, ale nie skorzystam - odrzekła sucho. - Nie rób sobie kłopotu.

- Musisz się uczyć - nie dał za wygraną. - Bądź gotowa o dziewiątej. Odbędziemy pierwszą lekcję.

- Powiedziałam przecież... - zaczęła.

- Postaraj się być punktualna - przerwał jej bezceremonialnie i wstał od stołu. - Dobranoc, babciu - dodał i opuścił pokój, pozostawiając Serenity z nachmurzoną miną.

- Co za tupet! - wyrzuciła z siebie, gdy tylko odzyskała głos. Spojrzała rozzłoszczonym wzrokiem na hrabinę. - Jeśli on myśli, że go posłucham...

- Mądrzej będzie, jeśli tak zrobisz - przerwała jej hrabina. - Gdy Christophe raz podejmie decyzję... - Znacząco wzruszyła ramionami, zostawiając dalszą część zdania domyślności Serenity. - Chyba zabrałaś spodnie? Bridget przyniesie ci rano buty twojej matki.

- Nie mam zamiaru wsiadać na konia - powiedziała Serenity wolno i wyraźnie.

- Nie bądź głupia, dziecko. - Upierścieniona, elegancka dłoń sięgnęła po kieliszek. - Christophe to bardzo uparty człowiek. - Po raz pierwszy hrabina ciepło uśmiechnęła się do Serenity. - Być może nawet bardziej uparty niż ty.

Przeklinając pod nosem, Serenity wciągała sztywne buty, które kiedyś należały do jej matki. Były wypolerowane do połysku i pasowały na jej stopy, jakby robiono je na miarę.

- Knujesz coś przeciwko mnie, mamó - szepnęła, a potem, słysząc pukanie do drzwi, obojętnie zawołała: -

Proszę wejść!

Tym razem nie była to pokojówka, lecz Christophe ubrany z wyszukaną elegancją w obcisłe bryczesy i białą lnianą koszulę.

- Czego chcesz? - spytała z wściekłą miną, energicznym ruchem naciągając drugi but.

- Sprawdzam tylko, czy jesteś punktualna, Serenity - odpowiedział z uprzejmym uśmiechem, przesuając aroganckim wzrokiem po jej zbuntowanej twarzy i drobnym ciele ubranym we wzorzystą podkoszulkę i obcisłe dżinsy.

Lekko zmieszana tym przenikliwym spojrzeniem, wstała.

- Jestem gotowa, kapitanie, ale obawiam się, że nie okażę się pojętnym uczniem.

- Zobaczymy, moja droga. Chyba jesteś w stanie pojąć kilka prostych instrukcji.

Najwyraźniej lubił ją prowokować i znów mu się udało. W wyniosłym milczeniu pomaszerowała za nim do stajni, z uporem wydłużając kroki, aby iść obok niego, a nie za nim.

Przed stajnią czekały już dwa osiodłane konie - jeden czarny i lśniący, drugi gniady. Serenity przystanęła gwałtownie. Konie wydawały jej się niewiarygodnie duże. Przyglądała im się ze zmarszczonym czołem.

- Co zrobisz, jeśli stąd ucieknę? - spytała.

- Sprowadzę cię z powrotem. - Na widok jej nachmurzonej miny tylko uniósł ciemne brwi.

- Ten czarny należy pewnie do ciebie - powiedziała niepewnie, starając się zapanować nad ogarniającym ją strachem. - Widzę, jak galopujesz na nim po polach w świetle księżyca, z połyskującą szablą u boku.

- Masz bujną wyobraźnię. - Wziął wodze jaśniejszego konia i doprowadził wierzchowca do Serenity.

Bezwiednie się cofnęła.

- Pewnie chcesz, bym na niego wsiadła?

- Na nią - poprawił ją, uśmiechając się półgębkiem.

- Nie obchodzi mnie pleć. - Była zdenerwowana i zła na siebie za tak jawne tchórzostwo. Spojrzała na spokojnie stojącego konia i przełknęła ślinę. - Ona... ona jest bardzo duża.

- Babette jest równie miła jak Korrigan - zapewnił Christophe niespodziewanie łagodnym tonem. - Lubisz psy, prawda?

- Tak, ale...

- Ona jest bardzo delikatna. - Ujął dłoń Serenity i przyłożył do łba Babette. - Ma szlachetne serce i zrobi wszystko, by cię zadowolić.

Ręka Serenity znalazła się pomiędzy gładką skórą konia a twardą dłonią Christophe'a. Dla Serenity to zestawienie okazało się dziwnie przyjemne. Odprężyła się nieco i zdobyła się nawet na pogładzenie wierzchowca.

- Jest miła w dotyku - powiedziała, ale klacz nagle parsknęła, więc Serenity odskoczyła instynktownie i oparła się o klatkę piersiową Christophe'a.

- Odpręż się. - Cicho zachichotał i objął ją ramionami w talii, aby się nie przewróciła. - Ona chce ci tylko wyznać, że cię lubi.

- Ale mnie przestraszyła - odpowiedziała Serenity. Gdy odwróciła się, aby powiedzieć mu, że jest gotowa zacząć, okazało się, że nie potrafi wykrztusić słowa. W milczeniu utonęła w jego ciemnych, zagadkowych oczach. Pragnęła, by znów ją pocałował.

Ale Christophe zmarszczył brwi i odsunął się.

- Zaczynamy! - Chłodny i opanowany, bez wysiłku wszedł w rolę instruktora.

Ambicja wzięła górę. Serenity, przełamując strach, pozwoliła, aby Christophe pomógł jej dosiąść konia. Uważnie wsłuchiwała się w polecenia Christophe'a i wykonywała je z namaszczeniem, by więcej nie zrobić z siebie idiotki.

Obserwowała z zazdrością, jak Christophe z wdziękiem i elegancją wskakuje na karego ogiera. Czerń pasowała do tego dumnego, tajemniczego mężczyzny. Serenity przyznała z niechęcią, że Tony nawet w najbardziej upojnych chwilach nie działał na nią tak elektryzująco, jak zaborcze spojrzenia tego dziwnego, wyniosłego arystokraty.

Przecież on mi się wcale nie podoba, pomyślała. Jest taki... nieprzewidywalny.

- Czy zamierzasz uciąć sobie drzemkę, Serenity? Drwiący głos Christophe'a raptownie przywrócił ją do rzeczywistości.

- Naprzód, moja droga! - Z wykrzywionymi ironicznie ustami powoli, stępa, ruszył spod stajni.

Jechali czas jakiś obok siebie. Serenity poczuła, że się odprężyła w siodle. Słuchała wskazówek Christophe'a, a klacz posłusznie reagowała na jej ruchy.

- Teraz przejdziemy w kłus - powiedział nagle Christophe.

Serenity spojrzała na niego poważnie.

- Jestem całkowicie zadowolona z jazdy stępa - odparowała, wzruszając ramionami. - Nigdzie mi się nie spieszy.

- Musisz wczuć się w rytm konia i poruszać wraz z nim - poinstruował Christophe, lekceważąc jej słowa. -

Podnoś się co drugi krok. Piętami delikatnie dotykaj boków.

- Posłuchaj...

- Tchórzysz? - Drwiąco uniósł brwi.

Zanim rozsądek zdążył pokonać dumę, Serenity odrzuciła głowę do tyłu i przycisnęła pięty do boków klaczy. Po chwili tłukła się bezradnie na siodle.

- Podnoś się co drugi krok! - przypomniał Christophe, a Serenity była zbyt pochłonięta myślą, by nie spaść z siodła, żeby zauważyć szeroki uśmiech, jaki towarzyszył jego słowom.

Dopiero po dłuższej chwili złapała odpowiedni rytm.

- Jak idzie? - spytał, gdy jechali obok siebie pełną drogą.

- Teraz, gdy kości przestały mi już grzechotać, nie jest tak źle. Właściwie - odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego - jest całkiem zabawnie.

- Bon, w takim razie galop! - rzucił wesoło, a Serenity odpowiedziała mu miazdzącym spojrzeniem.

- Naprawdę, Christophe, jeśli chcesz mnie zamordować, dlaczego nie użyjesz jakiegoś prostego sposobu, na przykład trucizny albo noża?

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął szczerym, głośnym śmiechem, który wypełnił ciszę poranka i odbił się echem od wiatru.

- Allons, ma brave - zawołał. - Ściśnij ją piętami, a ja nauczę cię fruwać.

Doskonale ułożona klacz zareagowała natychmiast.

Przyspieszyła, a po chwili już galopowała. Wiatr bawił się włosami Serenity i muskał jej policzki chłodnymi powiewami. Miała wrażenie, że unosi się na chmurze. Czy wrażenie lekkości było rezultatem pędu wiatru, czy raczej

oszołomienia miłością? Właściwie wszystko jedno! Była zachwycona nowością obydwu wrażeń.

Na komendę Christophe'a ściągnęła wodze, zwalniając tempa. Konie przez chwilę szły kłusem, potem stępa, wreszcie przystanęły. Serenity uniosła twarz do nieba, głęboko westchnęła ze szczęścia. Wiatr i podniecenie wywołały rumieniec na jej policzkach, bursztynowe oczy były szeroko otwarte i błyszczące, a zmierzwione włosy tworzyły aureolę wokół rozradowanej twarzy.

- Dobrze się bawiłaś?

- Doskonale.

- To czysta przyjemność widzieć, jak uczeń robi szybkie postępy. Poruszasz się w siodle z dużą swobodą. Być może talent do jazdy konnej jest jednak dziedziczny?

- Och, panie hrabio! - Zamrugła rzęsami, by ukryć szelmowskie błyski w oczach. - Muszę oddać sprawiedliwość mojemu nauczycielowi.

- Daje o sobie znać twoja francuska krew, Serenity - upierał się. - Ale musisz jeszcze popracować nad techniką.

Odgarnęła potargane włosy i głęboko westchnęła.

- Przypuszczam, że nigdy nie opanuję jej właściwie. Odziedzyczyłam zbyt wiele purytańskiej krwi po ojcu.

- Purytańskiej? - Głośny śmiech Christophe'a znów zakłócił cichy poranek. - Moja droga, żaden purytanin nie miał w sobie tyle ognia.

- To komplement? - Odwróciła głowę i popatrzyła na rozciągającą się w dole panoramę. - Och, jak tu pięknie!

- Na wzgórzach, do których gdzieniegdzie przytulały się schludne, urocze domki, pasły się stada krów. Nieco dalej zauważyła małe miasteczko; wyglądało jak zabawka na dłoni wielkoluda. Dominował nad nim biały kościół ze strzelistą dzwonnica. - Zupełnie jakbym cofnęła się w

czasie. - Przesunęła wzrokiem po pasących się krowach. - To twoje stada? - spytała, wskazując je gestem dłoni.

- Tak - potwierdził.

- A więc to wszystko twoje włości? - Ogarniało ją narastające zdziwienie. Jedziemy już tak długo, pomyślała, marszcząc brwi, a ciągle znajdujemy się na jego ziemiach.

Nie chcę się w nim zakochać...

- To cudownie posiadać tyle piękna.

- Nie można posiadać piękna, Serenity - zauważył. - Można jedynie dbać o nie i się nim zachwycać.

Jego słowa ją poruszyły.

- Naprawdę? - Nadal jak urzeczona wpatrywała się w dolinę. - A ja myślałam, że arystokraci uważają takie rzeczy za oczywiste. - Szerokim gestem machnęła ręką.

- Nie lubisz arystokracji, Serenity, ale przecież też masz w sobie błękitną krew. - Jej obojętne spojrzenie skwitował uśmiechem. - Ojciec twojej matki był hrabią, chociaż jego posiadłości mocno ucierpiały podczas wojny. Obraz Rafaela był jednym z niewielu skarbów, które uratowała twoja babka.

Znów ten cholerny Rafael! - pomyślała ponuro. Christophe był najwyraźniej zły.

- Wygląda więc na to, że jestem w połowie chłopką i w połowie arystokratką. - Wzruszyła lekko ramionami. - Wolę tę moją chłopską połowę, drogi kuzynie. Błękitną krew pozostawiam tobie.

- Nie zapominaj, że nie łączą nas więzy krwi. Ród Kergallenow jest znany z tego, że zdobywa to, czego pragnie, a ja nie jestem wyjątkiem.

- Nie musisz mnie ostrzegać. Potrafię znakomicie o siebie zadbać.

Powrotną drogę odbyli w głębokim milczeniu, prze-

rywany tylko od czasu do czasu przez instrukcje Christophe'a.

Pod stajnią Christophe z właściwym sobie wdziękiem zeskoczył z konia, oddał wodze stajennemu, a potem podszedł, by jej pomóc.

Serenity, starając się zapomnieć o swym zmaltretowanym ciele, podniosła się z grzbietu klaczy i zsunęła na ziemię. Przez chwilę obejmował ją w talii, patrząc na nią z góry.

- Weź gorącą kąpiel - poradził.

- Ma pan, hrabio, zdumiewające zdolności do wydawania rozkazów - przygadała.

Zmrużył oczy, a potem z niewiarygodną szybkością, nie dając jej szansy na protesty, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Całą wieczność trzymał ją w niewoli, coraz bardziej pogłębiając pocałunek. Cały świat zniknął, a osnuty poranną mgiełką bretoński pejzaż rozmył się jak pozostawiona na deszczu akwarela. Były tylko ich ciała i usta rozgrzane przejażdżką i namiętnością.

Miłość. To słowo wirowało w jej umyśle. Ale miłość kojarzyła jej się ze spacerami o zmierzchu i cichymi wieczorami przy kominku, a nie z tą gwałtowną burzą zmysłów, która ją obezwładniła. Czy właśnie takie uczucie przydarzyło się jej matce?

Czy on kiedyś mnie puści? - zastanawiała się rozpaczliwie. W jego ramionach czuła się jak szmaciana lalka - słaba i bezbronna.

- Masz zadziwiający talent do prowokowania mnie - wymamrotał drwiąco, trzymając usta przy jej ustach, a palcami pieszcząc jej kark.

Puścił ją, odwrócił się i odszedł swobodnym kro-

kiem, zatrzymując się tylko na chwilę, by przywitać Korrigana, który wiernie potruchtał za nim do zamku.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Serenity i hrabina zjadły lunch na tarasie otoczonym pachnącymi kwiatami. Serenity, która odmówiła wina, prosząc w zamian o kawę, zniosła milczące zdumienie hrabiny, podkreślone uniesieniem białych brwi, ze spokojną obojętnością.

Zapewne wyszłam na prostaczkę, pomyślała, popijając aromatyczny czarny płyn, do którego podano cienkie biszkopciki.

- Wydaje mi się, że przejażdżka sprawiła ci przyjemność - oświadczyła hrabina, gdy już wymieniły uwagi na temat jedzenia i pogody.

- Ku memu ogromnemu zdziwieniu, tak właśnie było - przyznała Serenity. - Żałuję teraz, że wcześniej nie uczyłam się jazdy konnej. A krajobraz Bretanii jest fantastyczny.

- Christophe uwielbia tę ziemię - oświadczyła hrabina, przyglądając się białemu winu w swoim kieliszku. - Kocha ją tak, jak mężczyzna kobietę. Jednak ziemia to zimna kochanka.

Serenity uniosła brwi, zdumiona nagłą szczerością babki.

Lekko wzruszyła ramionami.

- Jestem pewna, że Christophe nie ma specjalnych kłopotów ze znalezieniem gorącej kochanki. - Skrzywiła się lekko, ponieważ poczuła ukłucie zazdrości.

- Oczywiście - przyznała jej rację hrabina z błyskiem rozbawienia w oczach. - Jakże mogłoby być inaczej? - Uniosła kieliszek. - Ale w pewnym momencie mężczyźni potrzebują stałego związku. Och, on jest taki podobny do swego dziadka! - Na twarzy hrabiny pojawiło się

rozmarzenie. - Mężczyźni z rodziny Kergallen są dzicy, dominujący i arogancko męscy. Kobiety, które ich kochają, doświadczają zarazem piekła i nieba. - Niebieskie oczy raz jeszcze zajrzały uważnie w bursztynowe oczy Serenity. - Ich kobiety muszą być silne, bo inaczej zostaną przez nich stłamszone, i muszą być na tyle mądre, by wiedzieć, kiedy okazać słabość.

Serenity jak zaczarowana słuchała babki. Odsunęła od siebie talerzyk, ponieważ nagle straciła apetyt.

- Nie zamierzam stawać do zawodów o względy hrabiego - jasno określiła swoje stanowisko. - Moim zdaniem nie pasujemy do siebie. - Ale gdy nagle przypomniała sobie dotyk jego ust, zdrzała. Spojrzała znów na babkę i gwałtownie pokręciła głową. - Nie! - powiedziała zbyt głośno, nie wiadomo, czy do siedzącej naprzeciwko kobiety, czy do własnego serca. Wstała od stołu i pospiesznie weszła do środka.

Księżyc wznosił się majestatycznie na usianym gwiazdami niebie, jego srebrne światło wlewało się przez wysokie okna do pokoju Serenity.

Leżała bezsennie - smutna, obolała i ponura. By uniknąć kontaktów z mężczyzną, który zawładnął jej myślami, wymyśliła ból głowy i położyła się wcześniej spać. Zasnęła, ale po kilku godzinach obudziła się. W dodatku za każdym razem, gdy przekręcała się na szerokim łóżku, jęczała z bólu.

Wzdychając głęboko, usiadła. Może przydałaby się kolejna gorąca kąpiel? W drodze do łazienki przez słabo oświetlony pokój potknęła się i zahaczyła nogą o elegancki fotel w stylu Ludwika XVI.

Zakłęła głośno i przysiadła na fotelu, by rozmasować obolałą łydkę.

- Kto tam? - krzyknęła opryskliwie, słysząc pukanie do drzwi.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Christophe, Był w eleganckim jedwabnym szlafroku.

- Uderzyłaś się? - Uważnie się jej przyglądał, ale w jego głosie pobrzmiwała drwina.

- Tylko złamałam nogę - burknęła. - Nie rób sobie kłopotu.

- Dlaczego chodzisz po ciemku i obijasz się o meble?

- Powiem ci, dlaczego chodzę po omacku, ty zrozumiały potworze! - zaczęła rozwścieczonym szeptem. - Zamierzałam utopić się w wannie, by pozbyć się cierpień, jakich przez ciebie doświadczam!

- Przeze mnie? - odpowiedział niewinnym tonem, przesuwając wzrokiem po jej smukłym ciele.

- Właśnie przez ciebie! - odparowała. - To ty niefrasobliwie wsadziłeś mnie na konia, czyż nie? Teraz każdy mięsień odmawia mi posłuszeństwa. - Jęcząc, potarła dłonią kark. - Może już nigdy nie będę mogła normalnie chodzić.

- Ach.

- Och, jakież bogactwo myśli w tej jednej sylabie! - zakpiła. - Możesz to zrobić jeszcze raz?

- Moje biedactwo - powiedział z afektacją. - Tak mi przykro. - Dopiero gdy zaczął iść w jej stronę, Serenity zdała sobie sprawę, w jakim jest stroju.

- Christophe, ja... - zaczęła, gdy położył dłonie na jej ramionach, ale dalsze słowa uwięzły jej w gardle, gdy zaczął masować jej napięte mięśnie.

- Nie martw się, na drugi raz będzie lepiej. - Podprowadził ją do łóżka i posadził na nim. Potem usiadł obok

niej i kontynuował masaż pleców, mocno ugniatając każdy mięsień.

Ból ustępował jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Masz cudowne ręce - szepnęła. - Cudowne, silne palce - powtórzyła sennie. - Chyba za chwilę będę mrużyć jak kot.

Nie była świadoma, kiedy delikatny, relaksujący masaż przerodził się w zmysłową pieśzcotę. Nagle ocknęła się podniecona, poczuła upojny zawrót głowy.

- Już mi lepiej, o wiele lepiej - zająknęła się i usiłowała odsunąć, ale on chwycił ją w tali i unieruchomił, a potem wargami poszukał jej szyi i obsypał ją delikatnymi pocałunkami. Zadrżała.

Przestała walczyć, zanim naprawdę zaczęła. Podniecenie wzięło górę. Dłonie Christophe'a wędrowały po całym jej ciele z taką pewnością, jakby kochał się z nią już wiele razy. Niecierpliwie zsunął ramiączko koszuli i odnalazł krągłą pierś. Pod jego dotykiem Serenity drżała z pożądania. Stawał się coraz bardziej natarczywy, coraz bardziej nienasycony.

- Christophe... - jęknęła z rozpaczą. - Nigdy z tobą nie wygram...

- A więc nie walcz ze mną - wyszeptał do jej ucha. - Obydwoje na tym zyskamy.

Wolno przesunął ustami po jej twarzy, muskał zagłębienia policzków, drażnił rozchylone usta, by wreszcie ruszyć na dalszy podbój. Objął dłonią jej pierś, wodził po niej palcami, drażniąc sutek, aż poczuła pulsujący, słodki ból i jęknęła ni to z rozkoszy, ni cierpienia.

Ale on chciał od niej czegoś więcej niż tylko podda-

nia - pragnął namiętności. Oderwał dłoń od jej biustu, przesunął niżej i zaczął gładzić naprężoną skórę jej ud, a kiedy jej oddech przypominał już tylko krótkie, urywane westchnienia, przesunął wargi od jej szyi do ciepłego zagłębienia pomiędzy jej piersiami.

W ostatnim przeblysku świadomości zorientowała się, że stoi nad przepaścią.

- Christophe, proszę... - Mimo że prawie dusiła się z gorąca, zaczęła drżeć. - Proszę, boję się siebie... boję się samej siebie. Nigdy przedtem... nie byłam z mężczyzną.

Przestał ją pieścić. Na moment zapadła cisza. Uniósł głowę i popatrzył na nią z góry. Jej oczy były ciemne z pożądania. Srebrna poświata księżycy igrała w jej jasnych włosach, ślizgała się po białej poduszce.

- Masz niebywale wycucie czasu, Serenity.

- Przepraszam.

- Za co przepraszasz? - spytał z gniewem pod powłoką lodowatego spokoju. - Za swoją niewinność czy za to, że pozwoliłaś, bym był bliski jej zdobycia?

- Co za okropne słowa! - Walczyła, by uspokoić oddech. - To się zdarzyło tak szybko, że nie mogłam myśleć. Gdybym była przygotowana, nigdy bym nie pozwoliła...

- Tak myślisz? - przerwał jej i podciągnął do góry, aż usiadła. Raz jeszcze przytulił ją do siebie. - Teraz jesteś przygotowana. Myślisz, że teraz nie mógłbym wziąć więcej, niż chciałabyś dać?

Patrzył na nią tak natarczywie, z taką pewnością siebie, że Serenity nie mogła nic powiedzieć. Była bezbronna wobec jego autorytetu i swego wezbranego jak fala pożądania. Jej oczy były ogromne na tle bladej twarzy, strach i niewinność lśniły na niej jak morskie latarnie.

Christophe nagle odsunął ją od siebie.

- Nom de Dieu! - zaklął. - Patrzysz na mnie jak bezbronne dziecko. Ale twoje ciało dobrze ukrywa twoją niewinność. To niebezpieczna maskarada! - Podeszedł do drzwi. Odwrócił się raz jeszcze i spojrzał na jej filigranową postać skuloną na ogromnym łóżku. - Śpij dobrze, mignonne - rzucił z lekką drwiną. - A następnym razem, gdy zechcesz rozbijać się po omacku, lepiej zamknij drzwi na klucz. Na drugi raz nie wyjdę.

Serenity chłodno powitała Christophe'a przy śniadaniu. Odpowiedział jej podobnie. Wymienili przelotne spojrzenia, a w jego oczach nie dało się zauważyć ani śladu gniewu czy namiętności, którymi pałały ostatniej nocy. Przekornie rozzłościł ją ten brak zainteresowania z jego strony. Kurtuazyjnie gawędził z hrabiną, a do niej zwracał się tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne.

- Chyba pamiętasz, że dziś przyjeżdżają na kolację Genevieve i Yves? - spytała hrabina.

- Oczywiście, grandmere - zapewnił Christophe, odstawiając filiżankę na spodek. - Zawsze widzę ich z przyjemnością.

- Wierzę, że i ty polubisz ich towarzystwo. - Hrabina zwróciła na Serenity swe błękitne oczy. - Genevieve jest w twoim wieku, może rok młodsza. To urocza, sympatyczna dziewczyna. A jej brat, Yves, jest całkiem atrakcyjny. - Na ustach hrabiny pojawił się przewrotny uśmiech. - Na pewno spodoba ci się jego towarzystwo. Prawda, Christophe?

- Z pewnością.

Serenity zerknęła na Christophe'a. Czyżby nuta niepokoju ożywiła jego głos? Ale ponieważ nadal spokojnie popijał kawę, doszła do wniosku, że się pomyliła.

- Deiotowie to starzy przyjaciele naszej rodziny - ciągnęła hrabina. - Genevieve jest u nas częstym gościem. Gdy była dzieckiem, chodziła za Christophe'em jak wierny szczeniak. Ale teraz już nie jest dzieckiem. - Spojrzała znacząco na mężczyznę siedzącego u szczytu długiego, dębowego stołu.

- Genevieve z nieopierzonej nastolatki wyrosła na elegancką, uroczą kobietę - odpowiedział Christophe z pewnym wzruszeniem.

Serenity starała się zachować na twarzy obojętny uśmiech.

- Będzie z niej wspaniała żona - prorokowała hrabina. - Jest piękna i ma mnóstwo naturalnego wdzięku. Musimy ją poprosić, by dla ciebie zagrała, Serenity. Jest doskonałą pianistką.

Istne wcielenie cnót, pomyślała ze złością Serenity, w głębi duszy zazdrosna o związek nieznaney Genevieve z Christophe'em. Była pewna, że nie polubi doskonałej Genevieve, ale głośno powiedziała:

- Z chęcią poznam pani przyjaciół, madame.

Słoneczny poranek minął spokojnie, potem zapanowało w ogrodzie ciche, leniwe popołudnie. Serenity szkicowała. Zanim przystąpiła do pracy, pogawędziła chwilę z ogrodnikiem. Był interesującym modelem, narysowała go więc, jak przycina krzewy, a potem pielęgnuje kolorowe, pachnące kwiaty.

Jego ogorzała, pomarszczona twarz nie zdradzała wieku, a niezwykle jasne, niebieskie oczy błyszczały na tle rumianej cery. Gęste, siwe włosy przykrywał czarny kapelusz o szerokim rondzie, zawiązywany pod brodą tasiemką. Tym razem jednak szerokie, aksamitne wstążki zwisały mu na plecach. Miał na sobie koszulę bez rękawów

i podniszczone, szerokie spodnie. Serenity podziwiała zręczność, z jaką poruszał się w drewnianych sabotach.

Była tak pochłonięta uchwyceniem aury, jaką rozciącał wokół siebie stary mężczyzna, że nie usłyszała kroków na ścieżce.

Christophe przyglądał się jej przez chwilę, gdy wdzięcznie przechylała głowę nad szkicownikiem. Przypominała mu dumnego, białego łabędzia płynącego po czystym, chłodnym jeziorze. Dopiero gdy założyła ołówek za ucho i bezwiednie przyglądziła włosy, ujawnił swoją obecność.

- Doskonale uchwyciłaś Jacques'a, Serenity. - Uniósł z rozbawieniem brwi, gdy podskoczyła ze strachu i raptownie przyłożyła dłoń do serca.

- Och, nie wiedziałam, że tu jesteś - powiedziała, przeklinając się w duchu za to, że zabrakło jej tchu, a puls zaczął wariować.

- Byłaś tak pochłonięta pracą - wyjaśnił i obojętnie przysiadł obok niej na białej, marmurowej ławce. - Nie chciałem ci przeszkadzać.

- Jesteś bardzo taktowny - odpowiedziała uprzejmie. A potem, by odwrócić od niego myśli, zwróciła się do spaniela leżącego u jego stóp: - O co chodzi? - Podrapała psa za uchem.

- Polubił cię - zauważył Christophe. - Zazwyczaj zachowuje się z rezerwą wobec obcych. Wygląda na to, że podbiłaś jego serce.

Korrigan położył się u jej stóp.

- Och, trochę natrętny z niego amant - powiedziała, wyciągając zaślinioną rękę.

- To niewielka cena, jaką trzeba zapłacić za takie oddanie. - Wyjął chusteczkę i zaczął wycierać jej dłoń.

- To nie jest konieczne. Mam szmatkę w kasetce... -
Próbowała wyrwać rękę.

Ale gdy Christophe wzmocnił uścisk, szybko się poddała.

- Zawsze musi być tak, jak chcesz? - spytała wolno i ponuro.

- Oczywiście - odparł z irytującą pewnością siebie, po czym puścił jej czystą dłoń. - Wydaje mi się, że ty również lubisz stawiać na swoim, Serenity. Czyż nie jesteś ciekawa, kto z nas wygra?

- Może powinniśmy powiesić tablicę na wyniki? - zasugerowała kpiąco.

- Nie mam wątpliwości, kto znajdzie się na górze, droga kuzynko.

Pojawienie się hrabiny udaremniło Serenity ripostę.

- Witajcie, moje dzieci. - Hrabina posłała im macierzyński uśmiech. - Widzę, że rozkoszujecie się pięknem ogrodu. Rzeczywiście o tej porze jest najbardziej uroczy. Wręcz upajający.

- Jest piękny - potwierdziła Serenity. - Mam wrażenie, że nie ma innego świata poza tym czarownym miejscem.

- Często czułam to samo. - Rysy hrabiny złagodniały. - Spędziłam w nim niezliczone godziny. - Usiadła na ławce. - Co narysowałaś, Serenity? - Gdy wnuczka podała jej szkicownik, hrabina długo przyglądała się rysunkowi, potem przeniosła uważny wzrok na oczekującą komentarza Serenity.

- Masz talent po ojcu - orzekła z niechęcią. - Twój ojciec był bardzo utalentowanym artystą. Zaczynam dostrzegać w nim pewne zalety.

- Tak - odpowiedziała Serenity, zdając sobie sprawę,

że hrabina zdobyła się na trudne ustępstwo. - Był bardzo dobrym człowiekiem, kochającym mężem i troskliwym ojcem.

Powstrzymała się od uwagi na temat Rafaela, nie chcąc zerwać delikatnych nitok porozumienia, które właśnie zostały nawiązane. Hrabina skinęła głową, a potem zwróciła się do Christophe'a i zaczęła mówić o wieczornym przyjęciu.

Serenity wzięła szkicownik i trochę machinalnie zaczęła rysować swoją babkę. Nie starając się przysłuchiwać rozmowie, skoncentrowała się na pracy.

Szkicowała delikatną twarz i bardzo subtelne, cienkie usta. Była to twarz kobiety wrażliwej, która potrafi głęboko kochać. Po raz pierwszy poczuła okrucich sympatii do babci.

Serenity nie zdawała sobie sprawy, że jej twarz zmienia się pod wpływem emocji. Nie zauważyła też, że siedzący obok niej mężczyzna, prowadząc swobodną rozmowę, przez cały czas obserwuje jej mimikę. Gdy skończyła rysować, odłożyła ołówek i wytarła ręce. Gdy odwróciła głowę, natrafiła na oczy Christophe'a. Przeniósł wzrok na portret leżący na jej kolanach, potem znów spojrzał w jej zmieszane oczy.

- Posiadasz rzadki dar, ma chérie - wyszeptał. Serenity zmarszczyła brwi, niepewna, czy mówi o jej pracy, czy o czymś zgoła innym.

- Co narysowałaś? - zainteresowała się hrabina.

Podawała jej portret. Hrabina przyglądała się mu dłuższą chwilę. Początkowe zdumienie na jej twarzy przerodziło się w uczucie, którego Serenity nie mogła zrozumieć. Po chwili rozpromienił ją uśmiech.

- Jestem doprawdy zaszczycona - powiedziała hra-

bina. - Chciałabym kupić ten szkic. - Uśmiechnęła się szerzej. - Trochę dla zaspokojenia własnej próżności, a trochę dlatego, że chciałabym mieć przykład twojej pracy.

Serenity obserwowała ją chwilę, rozdarta między dumą a miłością.

- Przykro mi. - Kręcąc głową, zabrała rysunek. - Nie mogę go sprzedać. - Popatrzyła na namalowany portret, a potem podała go z powrotem hrabinie. - To prezent dla ciebie, babciu - powiedziała. Przez chwilę obserwowała grę uczuć w oczach starszej kobiety, po czym znów się odezwała: - Przyjmiesz go?

- Tak - odpowiedziała hrabina z westchnieniem. Raz jeszcze zerknęła na portret. - Będzie mi przypominać, że nigdy nie można pozwolić, by dumą stanęła na drodze miłości. - Wstając, delikatnie musnęła wargami policzek Serenity, a potem rażno podążyła kamienną ścieżką w stronę zamku.

Serenity również wstała.

- Masz naturalną zdolność pozyskiwania miłości - zauważył Christophe.

- Ona jest moją babką.

Zauważył wielkie łzy błyszczące w jej oczach i pośpiesznie wstał.

- To miał być komplement.

- Naprawdę? Odebrałam to zupełnie inaczej.

- Zawsze przyjmujesz wobec mnie pozycję obronną.

- Dałeś mi do tego mnóstwo powodów - odparowała, zbyt zajęta zwalczaniem własnych emocji, by się przejmować jego stanem ducha. - Od chwili gdy wysiadłam z pociągu, nie kryłeś swoich uczuć. Potępiłeś mojego ojca i mnie. Jesteś zimny, despotyczny, pozbawiony współczucia i zrozumienia. Idź już i zostaw mnie samą. Idź i wychłostaj

swoich chłopów lub coś w tym rodzaju. To do ciebie pasuje!

Podskoczył do niej tak szybko, że nie zdążyła się cofnąć, i złapał za nadgarstki.

- Boisz się? - Nie czekając na odpowiedź, zaczął ją całować.

Czyż można kochać i nienawidzić jednocześnie? - pytało jej serce, ale odrętwiały umysł nie znajdował odpowiedzi.

Gdy podniósł głowę, w jego pociemniałych oczach zobaczyła namiętność. A więc jej pragnął! Nikt dotąd nie pożądał jej tak intensywnie i nikt inny nie posiadał tyle mocy, by wziąć ją ot tak, bez wysiłku.

Dostrzegł w jej oczach strach.

- Och, masz powód, by się bać, ponieważ wiesz, co nastąpi. Chwilowo jesteś bezpieczna. Ale uważaj, jeśli mnie znów sprowokujesz...

Puścił ją i sprężystym krokiem odszedł tą samą ścieżką, którą przed chwilą wybrała jego babka. Korrigan posłał Serenity przepaszające spojrzenie i potruchtał za swoim panem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Serenity z wielką starannością ubierała się na wieczorną kolację. Starła się uporządkować uczucia i obmyślała plan działania. Żadne argumenty ani głosy rozsądku nie mogły zmienić faktu, że zakochała się bez reszty w mężczyźnie, którego poznała zaledwie kilka dni temu, w mężczyźnie, który przerażał ją, a zarazem podniecał.

Arogancki, zaborczy, niezwykle uparty mężczyzna, dodała w myślach, zapinając suwak z tyłu sukienki. I do tego uważa jej ojca za złodzieja. Jak mogłam na to pozwolić? - zgromiła się w duchu.

Serce mnie zdradziło, ale głowę nadal mam na karku i zamierzam jej użyć! - odgrażała się. - Christophe nie może się dowiedzieć, że się w nim zakochałam. Stałabym się obiektem jego ustawicznych drwin...

Usiadła przed toaletką z drzewa czereśniowego, przeczesała szczotką miękkie loki i poprawiła delikatny makijaż. Barwy wojenne, pomyślała, uśmiechając się do swego odbicia. Lepiej być z nim na wojennej ścieżce, niż w nim się kochać. Uśmiech przeszedł w ponurą minę. Dziś wieczór czeka ją jeszcze starcie z panną Dejoj.

Wstała i raz jeszcze krytycznym okiem zerknęła w lustro. Bursztynowy jedwab sukienki podkreślał kolor jej oczu i dodawał ciepłego blasku jasnej skórze. Cienkie ramiączka odsłaniały gładkie ramiona, a obcisła góra uwydatniała krągłość piersi. Spódnica solejka delikatnie wirowała wokół kostek, a stonowany kolor pasował do subtelnej, eterycznej urody.

Zmarszczyła brwi, ponieważ zamiast upragnionej zimnej krwi i elegancji dostrzegła w sobie kruchość i delikatność. Zerknęła na zegarek. Czas najwyższy zejść na

dół. Wsunęła na nogi pantofle, rozpyliła wokół siebie pachnący obłok i pospiesznie opuściła pokój.

Szum głosów dochodzący z salonu uświadomił jej, że goście już przyjechali. Okiem artystki objęła obraz, który powitał ją, gdy weszła do pokoju: lśniąca podłoga i wyszukane, błyszczące boazerie, wysokie okna z szybami oprawionymi w ołów, ogromny, rzeźbiony kominek - doskonałe tło dla zgromadzonych tam eleganckich ludzi, wśród których królowała hrabina ubrana w czerwony jedwab.

Głęboka czerń smokingu Christophe'a podkreślała śnieżną biel jego koszuli i śniady kolor skóry. Yves Dejet był ubrany również w czerń, lecz miał karnację raczej złocistą niż brązową. Ale uwagę Serenity przykuła siedząca pomiędzy nimi kobieta. Jeśli jej babka była królową, ta dziewczyna była księżniczką. Czarne jak smoła włosy okalały drobną twarz, w której dominowały brązowe oczy w kształcie migdałów. Ciemnozielona suknia lśniła na tle złotawej skóry.

Gdy Serenity weszła do pokoju, obaj mężczyźni wstali. Świadoma badawczego spojrzenia Christophe'a, całą uwagę skupiła na obcych. Podczas prezentacji spojrzała w kasztanowe oczy Yves'a, w których widniał niezaprzeczalny męski podziw.

- Nie powiedziałaś mi, że twoja kuzynka to prawdziwa bogini. - Pochylił się i musnął wargami dłoń Serenity. - Będę musiał częściej zaglądać do zamku podczas pani pobytu.

Uśmiechnęła się radośnie, dochodząc do wniosku, że Yves Dejet jest równie uroczy co nieszkodliwy.

- Jestem pewna, że ta perspektywa ożywi mój pobyt - odparła takim samym tonem, za co została nagrodzona

szerokim uśmiechem.

Christophe kontynuował prezentację i po chwili ręka Serenity znalazła się w niepewnym uścisku czyjejs drobnej dłoni.

- Miło panią poznać, mademoiselle Smith. - Słodki, kobiecy uśmiech rozjaśnił twarz Genevieve. - Jest pani tak bardzo podobna do swojej matki. Zupełnie jakby portret ożył.

Cienki głos zabrzmiał szczerze i sympatycznie. Serenity nie mogła nie polubić jego właścicielki o wielkich, melancholijnych oczach.

Konwencjonalna konwersacja towarzyszyła aperitifowi i kolacji, na którą podano między innymi pyszne ostrygi w szampanie. Dejotowie pytali o Stany Zjednoczone i życie Serenity w stolicy, ona zaś opisywała Waszyngton jako miasto kontrastów.

- Ostatnio na miejscu starych budynków stanęły monstra ze stali i szkła. Schludne, rozległe i zupełnie pozbawione uroku. Mieszkaliśmy w Georgetown, to jest dość daleko od centrum - ciągnęła. - Większość domków to segmenty lub bliźniaki z małymi ogródkami pełnymi azalii i innych kwiatów. Na wielu bocznych uliczkach, gdzie nadal królują kocie łby, zachowało się sporo staroświeckiego uroku.

- To ekscytujące miasto - zauważyła Genevieve. - Nasze życie musi wydawać się pani nazbyt spokojne. Nie brak pani ruchu i zgiełku wielkiego miasta?

Serenity pokręciła głową.

- Nie - powiedziała, zaskoczona własną odpowiedzią. Spojrzała we wpatrzona w siebie brązowe oczy. - Spędziłam tam całe życie i byłam bardzo szczęśliwa, ale wcale za tym nie tęsknię. Gdy po raz

pierwszy weszłam do tego zamku, doznałam dziwnego uczucia... Jakbym rozpoznawała miejsce. Po prostu dobrze się tu czuję.

Gdy kątem oka zauważyła, że Christophe wnikliwie jej się przygląda, poczuła nagłą falę paniki.

- Oczywiście, to ogromna ulga, gdy nie trzeba codziennie walczyć o miejsce do parkowania - dodała z uśmiechem, by wprowadzić do rozmowy lżejszą atmosferę.

- W Waszyngtonie miejsca do parkowania są na wagę złota i nawet najspokojniejszy kierowca skłonny jest do morderstwa, by je zdobyć.

- Czyżbyś stosowała takie praktyki? - spytał Christophe i nie spuszczać z niej wzroku, uniósł kieliszek z winem.

- Drzę na myśl o moich przestępstwach - odpowiedziała, zadowolona, że rozmowa przybrała swobodniejszy ton. - Potrafię być bardzo agresywna.

- Aż nie chce się w to wierzyć - wtrącił Yves, posyłając jej uroczy uśmiech.

- Byłbyś bardzo zaskoczony - zauważył Christophe, lekko pochylając głowę. - Ta kobieta ma wiele zaskakujących cech.

Serenity zmarszczyła się, ale hrabina szybko zmieniła temat.

Salon w przyćmionym świetle wyglądał niezwykle przytulnie. Gdy popijano kawę i koniak, Yves usiadł obok nowej znajomej i zaczął roztaczać przed nią swój urok. Serenity nie miała najlepszego humoru, zwłaszcza że Christophe zajął się zabawianiem Genevieve. Do licha, po prostu była zazdrosna. Rozmawiali o jej rodzicach, którzy obecnie podróżowali po greckich wyspach, o wspólnych znajomych i starych przyjaciółach. Christophe uważnie

śluchał, gdy Genevieve opowiadała jakieś dykteryjki, a potem wspólnie wybuchali śmiechem. Serenity nigdy nie przypuszczała, że Christophe może być taki szarmancki i delikatny w kontakcie z kobietą.

Traktuje ją tak, jakby była zrobiona z kruchej, szlachetnej porcelany, a mnie tak, jakbym była wyciosana z twardego kamienia! - oburzała się w duchu.

Ale najgorsze, że Serenity również podobała się ta dziewczyna.

Na prośbę hrabiny Genevieve zgodziła się zagrać kilka utworów na pianinie. Pokój wypełniła muzyka, równie słodka i delikatna jak pianistka.

Idealna partnerka dla Christophe'a, pomyślała Serenity ponuro. I mają ze sobą tyle wspólnego...

Zerknęła na Christophe'a. Siedział odprężony, ciemne oczy utkwiał w kobiecie grającej na pianinie. Serenity wpadła w rozpacz. Chyba nigdy nie będzie mogła spokojnie patrzeć, jak Christophe obdarza względami inną kobietę!

- Jako artystka - zagaił Yves, gdy muzyka ucichła zapewne potrzebuje pani natchnienia, nieprawdaż?

- Owszem.

- Zamkowe ogrody w świetle księżyca dostarczają mnóstwo inspiracji - odpowiedział.

- Rzeczywiście, przyda mi się trochę natchnienia - zadecydowała impulsywnie. - Czy zechce pan mi towarzyszyć?

- Będzie to dla mnie zaszczyt - odparł wyraźnie uszczęśliwiony Yves.

W ten łagodny, letni wieczór ogród tonący w srebrnej poświacie księżyca i upajających zapachach był wymarzoną scenerią dla kochanków. Serenity westchnęła

do swoich myśli, uparczywie wędrujących do mężczyzny, który pozostał w salonie.

- Czy to westchnienie świadczy o zadowoleniu? - spytał Yves, gdy spacerowali krętą ścieżką.

- Oczywiście - odpowiedziała swobodnie, starając się zwalczyć pośepny nastrój. - Jestem naprawdę pod wrażeniem otaczającego nas piękna.

Uniósł jej dłoń do ust i z atencją ucałował.

- Piękno tych kwiatów blednie przy pani wdziękach. Która róża mogłaby się równać z takimi ustami?

- Widzę, że Francuzi umieją uwodzić.

- Uczymy się tego od kołyski - przyznał z podejrzaną powagą.

- W takich okolicznościach kobiecie trudno się oprzeć. - Serenity wzięła głęboki oddech. - Zalany światłem księżycy ogród wokół bretońskiego zamku, powietrze przesycone zapachami i przystojny mężczyzna recytujący poezję.

- Niestety! - Yves ciężko westchnął. - Obawiam się, że znajdzie pani dość siły, by to zrobić.

- Niestety, jestem bardzo silna, a pan - dodała z szerokim uśmiechem - przypomina wilka z bretońskiej wersji bajki o czerwonym kapturku.

Głośny śmiech Yves'a zakłócił spokój nocy.

- Ach, przejrzała mnie pani. Gdyby nie wrażenie, jakie odniosłem, gdy się poznaliśmy, że naszym przeznaczeniem jest tylko przyjaźń, prowadziłbym moją kampanię z większym zapalem. Ale my w Bretanii wierzymy w przeznaczenie.

- Bardzo trudno być jednocześnie przyjaciółmi i kochankami.

- Owszem.

- A więc zostanmy przyjaciółmi - zaproponowała Serenity, wyciągając rękę. - Będę mówić do ciebie Yves, a ty do mnie Serenity.

Ujął jej rękę i chwilę przytrzymał.

- To smutne, że muszę się zadowolić przyjaźnią z tak piękną kobietą. - Wzruszył ramionami i ten gest powiedział więcej niż wielogodzinna rozmowa. - Cóż, takie jest życie - zauważył filozoficznie.

Gdy wrócili do zamku, Serenity nadal się śmiała.

Nazajutrz rano Serenity towarzyszyła babce i Christophe'owi do kościoła w wiosce, który widziała z daleka ze wzgórza.

Nad ranem obudziły ją krople drobnego deszczu bijące o szyby. Jednostajny rytm uspił ją po chwili ponownie.

Gdy jechali do kościoła, deszcz padał nadal. Kolorowe kwiaty rosnące w zadbanych przydomowych ogródkach zwiesiły kielichy i wyglądały jak głowy wiernych pochylone w modlitwie. Serenity, nieco zdziwiona, zauważyła, że od wczorajszego wieczoru Christophe był bardzo milczący. Dejotowie wyjechali wkrótce po powrocie Serenity i Yves'a ze spaceru. I choć Christophe pożegnał się z gośćmi niezwykle uprzejmie, unikał bezpośredniego zwracania się do Serenity.

A teraz rozmawiał prawie wyłącznie z hrabiną. Tylko od czasu do czasu uprzejmie, ale chłodno odpowiadał na pytania Serenity.

Głównym punktem wioski był mały, biały kościół. Starannie utrzymany trawnik stanowił żywy kontrast z żalonym stanem budowli. Dach kościółka nosił ślady wielu napraw, a dębowe drzwi były poobijane.

- Christophe zaproponował, że zbuduje nową kaplicę - wyjaśniła hrabina. - Ale mieszkańcy wioski nie chcieli.

Tutaj modlili się ich ojcowie i dziadowie.

- Kościół ma swój urok - stwierdziła Serenity, ponieważ jej zdaniem lekko zrujnowana świątynia roztaczała wokół siebie atmosferę nieugiętej godności, jakiegoś poczucia dumy z faktu, że od tylu pokoleń była świadkiem ślubów, chrzcin i pogrzebów.

Wnętrze było pogrążone w półmroku i ciszy. Hrabina poszła do pierwszej ławki i zajęła miejsce, które od trzech stuleci było zarezerwowane dla członków rodziny Kergallen. Gdy Serenity rozejrzała się po kościele, po przeciwnej stronie ołtarza zauważyła Yves'a i Genevieve. Uśmiechnęła się do nich serdecznie, na co Genevieve odpowiedziała tym samym, a Yves dyskretnie puścił do niej oczko.

- To chyba nie jest stosowne miejsce na flirt, Serenity - szepnął Christophe, gdy pomagał jej zdjąć mokry płaszcz. Zarumieniła się jak dziecko przyłapano na chichotaniu w zakrystii, ale gdy odwróciła głowę, by mu coś odpowiedzieć, wszedł ksiądz, który wydawał się równie stary i dostojny jak kaplica.

Gdy rozpoczęła się msza, na Serenity wreszcie spłynął spokój. Otulił ją jak miękka, puchowa kołdra. Deszcz odizolował wiernych od zewnętrznego świata, szum kropeł spadających na dach bardziej koił niż rozpraszał. Cichy głos starego księdza odprawiającego mszę po bretońsku i liturgiczne odpowiedzi wypowiedane prawie szeptem, od czasu do czasu kwilenie dziecka, stłumiony kaszel, strumienie deszczu spływające po ciemnych szybach - mieszanka tych wszystkich dźwięków tworzyła spokojną, ponadczasową aurę. Siedząc w wiekowej ławce, Serenity uległa magii tego miejsca. Zrozumiała, dlaczego mieszkańcy wioski nie chcieli

budować nowego kościoła. Tutaj terazniejszość łączyła się z przyszłością.

Msza skończyła się, przestało padać. Słabe promienie słońca zaczęły przenikać przez okna, rozświetlając wnętrze subtelnym blaskiem. Gdy wyszli z kościoła, powietrze było rześkie, przesycone świeżym zapachem deszczu. Krople nadal zwisały z mokrych liści, lśniąc jak łzy na jasnozielonym materiale.

Yves powitał Serenity głębokim ukłonem i szarmanckim pocałunkiem w rękę.

- Sprowadziłaś nam słońce, Serenity.

- To prawda - przyznała. - Zarządziłam, aby podczas mojego pobytu w Bretanii wszystkie dni były słoneczne.

Cofając rękę, uśmiechnęła się do Genevieve, która w żółtej sukience i kapeluszu z małym rondem przypominała delikatną prymulkę. Po wymianie powitań Yves pochylił się konspiracyjnie do ucha Serenity.

- Może chciałabyś skorzystać ze słońca i wybrać się ze mną na przejażdżkę? Po deszczu okolica wygląda bardzo pięknie.

- Obawiam się, że Serenity będzie dzisiaj zajęta - wtrącił się nieoczekiwanie Christophe. Serenity spojrzała na niego ze złością. - Druga lekcja - powiedział gładko, ignorując wojownicze błyski w jej bursztynowych oczach.

- Lekcja? - spytał Yves. - Czego uczysz swoją uroczą kuzynkę, Christophe?

- Jazdy konnej.

- Nie mogłaś znaleźć lepszego instruktora - zauważyła Genevieve, lekko dotykając ramienia Christophe' a. - Christophe nauczył mnie jeździć, podczas gdy Yves i mój ojciec już zrezygnowali, uznając mnie za beztalencie.

Serenity na chwilę wyłączyła się z rozmowy, ponie-

waż jej uwagę przykuła mała dziewczynka, która bawiła się na trawniku z czarnym, rozdokazywanym szczeniakiem. Obrazek był tak sielski, że Serenity potrzebowała kilkunastu dodatkowych sekund, by zareagować na to, co zdarzyło się za chwilę.

Oto nagle pies popędził przez trawnik w stronę drogi, a dziecko za nim, nawołując go głośno. Serenity, widząc nadjeżdżający samochód, początkowo nie wyczuła zagrożenia. Dopiero po chwili zimny dreszcz przerażenia przebiegł po jej kręgosłupie. Pod wpływem impulsu rzuciła się w pościg, gorączkowo wołając do dziewczynki, by się zatrzymała, ale ta biegła prosto pod zbliżający się samochód.

W chwili gdy Serenity chwyciła dziecko w ramiona, usłyszała przeraźliwy pisk hamulców, poczuła nagły powiew powietrza i lekkie uderzenie błotnikiem w biodro. Razem z dziewczynką przetoczyła się przez drogę i upadła po drugiej stronie jezdnii. Przez ułamek sekundy panowała absolutna cisza, potem zaś rozległo się rozpaczliwe skomlenie, ponieważ szczeniak, na którym leżała Serenity, stracił cierpliwość. Do tego dołączyło się głośne zawodzenie dziecka.

Kompletnie oszołomiona Serenity usłyszała prócz szczekania i płaczu podniecone głosy w różnych językach. Nie mogła jednak wykrzesać z siebie dość siły i wstać. Dziewczynka natomiast podniosła się i lekko utykając, pobięgała do bladej, zapłakanej matki.

Czyjeś mocne ręce chwyciły Serenity za ramiona i postawiły na nogi. Gdy odwróciła głowę, napotkała ciemne, rozzłoszczone oczy Christophe'a.

- Nic ci się nie stało? - Gdy pokręciła głową, kontynuował zniecierpliwionym, przejętym tonem: - Na Boga!

Chyba oszalałaś! - Potrząsnął nią lekko, a to przyprawiło ją tylko o większy zawrót głowy. - Mogłaś zginąć. Tylko cudem ten samochód wyhamował.

- Tak ładnie się bawili... A potem ten głupi pies wybiegł na ulicę. Och, czy nie zrobiłam mu krzywdy?

- Serenity! - Wściekły głos Christophe'a i potrząsanie przywróciły ją do rzeczywistości. - Wielki Boże! Ty chyba naprawdę jesteś nienormalna!

- Przepraszam... - wymamrotała, nadal czując oszomienie. - To głupie, że najpierw pomyślałam o nim, a potem o dziecku... Czy z nią wszystko w porządku?

- Tak, jest już z matką. Biegłaś jak gepard, żeby ją uratować.

- To adrenalina - wyszeptała, sama się dziwiąc. - Ale teraz jestem całkiem bez życia.

Zacisnął ręce na jej ramionach i uważnie popatrzył w jej twarz.

- Masz zamiar zemdleć? - Pytaniu towarzyszyło głębokie zmarszczenie brwi.

- Na pewno nie - odpowiedziała, ale choć starała się przybrać stanowczy ton, głos jej zabrzmiał żałośnie.

- Serenity! - Genevieve podeszła do niej i wzięła ją za rękę. - Jesteś taka odważna. - Gdy całowała Serenity w oba poblądle policzki, łzy wypełniły jej oczy.

- Nie zrobiłaś sobie krzywdy? - Yves powtórzył pytanie Christophe'a, ale w jego oczach widniał raczej niepokój niż złość.

- Nie, wszystko w porządku - zapewniła, bezwiednie opierając się o Christophe'a. - Najbardziej ucierpiał chyba szczeniak, ponieważ przygniotłam go swoim ciężarem.

Podbiegła do niej matka dziewczynki i przez łzy zaczęła mówić coś po bretońsku. Kobieta cały czas wycierała

oczy pogniecioną chusteczką Serenity, wyczerpana i zażenowana, odpowiadała coś pod nosem. Wreszcie na cichą prośbę Christophe'a kobieta puściła ją, zabrała dziecko i zniknęła w tłumie.

Christophe objął Serenity i poprowadził z powrotem do kościoła.

- Myślę, że oboje, ty i ten kundel, powinniście być trzymanymi na krótkiej smyczy - powiedział.

- To miło, że wrzucasz nas do jednego worka - wyszeptała. Nagle zauważyła swoją babkę siedzącą na niskiej ławce. Wyglądała bardzo blado i staro.

- Bałam się, że zginiesz - powiedziała hrabina zduszonym głosem, gdy wnuczka przyklękła obok niej.

- Jestem niezniszczalna - oświadczyła Serenity z pewnym siebie uśmiechem. - Odziedziczyłam to po przodkach.

Chuda, koścista dłoń mocno chwyciła jej rękę.

- Jesteś bardzo odważna i bardzo uparta - stwierdziła hrabina silniejszym głosem. - I bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham, babciu - odpowiedziała ciepło Serenity.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Serenity nie zgodziła się na propozycję dłuższego odpoczynku ani na wezwanie lekarza. I nalegała, by po lunchu odbyć lekcję jazdy konnej.

- Nie potrzebuję lekarza - upierała się. - Czuję się świetnie. - Zbagatelizowała poranny incydent. - Mam tylko kilka siniaków. Powiedziałam już, że jestem niezniszczalna.

- Jesteś jedynie uparta - poprawiła ją hrabina, a Serenity tylko wzruszyła ramionami z lekceważącym uśmiechem.

- Doznałaś szoku - wtrącił Christophe, przyglądając jej się uważnie. - Sugeruję mniej wyczerpujące zajęcia.

- Na litość boską, tylko nie to! - Ze zniecierpliwieniem odstawiła filiżankę z kawą. - Nie jestem jakąś wiktoriańską panną, która mdleje przy byle okazji i trzeba podawać jej sole trzeźwiące. Jeśli nie pojedziesz ze mną konno, zadzwonię po Yves'a i przyjmę jego zaproszenie na przejażdżkę! - Uniosła podbródek, a jej delikatna twarz przybrała stanowczy wyraz. - Nie mam zamiaru kłaść się do łóżka w środku dnia jak dziecko.

- Zgoda. - Oczy Christophe'a pociemniały. - Odbędziemy lekcję, choć nie będzie ona zapewne tak ekscytująca jak przejażdżka, którą obiecał ci Yves.

Zdumiona wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem mocno się zarumieniła.

- Och, doprawdy, co za dziwaczne stwierdzenie!

- Spotkamy się w stajni za pół godziny. - Wstał od stołu i wyszedł z pokoju.

- Dlaczego on jest dla mnie taki ostentacyjnie niegrzeczny? - zwróciła się do babki z wyrazem oburzenia na

twarzy.

Hrabina wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Mężczyźni to dziwne stworzenia, kochanie - powiedziała filozoficznie.

- Pewnego dnia - zarzekła się Serenity, złowieszczo marszcząc brwi - pewnego dnia wysłucha do końca tego, co mam mu do powiedzenia!

Serenity spotkała się z Christophe'em w stajniach o umówionej godzinie. Mocno sobie postanowiła, że da dziś z siebie wszystko. Z werwą dosiadła klaczy, a potem podążyła stępą za milczącym instruktorem. Gdy poderwał konia do krótkiego galopu, zrobiła to samo i doświadczyła takiego samego odurzającego poczucia wolności jak poprzednio. Ale tym razem nagły, radosny uśmiech nie rozjaśnił twarzy Christophe'a, nie usłyszała też żartobliwych komentarzy. Od czasu do czasu wydawał jakieś komendy, którym natychmiast starała się podporządkowywać.

Boże, dopomóż mi! - westchnęła w duchu, odrywając od niego wzrok i patrząc prosto przed siebie. Ten facet będzie mnie prześladować do końca życia. Skończę jak zrzędliva stara panna, porównująca każdego mężczyznę do tego, którego nie mogłam mieć. Szkoda, że w ogóle go poznałam!

- Słucham? - Głos Christophe'a przerwał jej myśli.

- Nic takiego - zająknęła się, przestraszona, że myślała na głos. - Nic, naprawdę nic. - Wzięła głęboki oddech i ściągnęła brwi. - Mogłabym przysiąc, że czuję zapach morza. Jesteśmy blisko morza? - Ale Christophe tylko zatrzymał konia i zeskoczył. - Christophe, na litość boską! - Ze zniecierpliwieniem patrzyła, jak przywiązuje wierzchowca do drzewa. - Christophe! - powtórzyła,

zsiadając z konia. - Odezwij się do mnie wreszcie! - poprosiła.

Zatrzymał się, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Za dużo mówisz - rzekł szorstko i poszedł dalej.

Szli w milczeniu. Gdy Christophe się zatrzymał, Serenity dech w piersiach zapało na widok tego, co zobaczyła w dole.

Morze ciągnęło się aż po horyzont. Promienie słońca tańczyły na zielonkawej powierzchni, fale pieszczotliwie obmywały skały, a ich białe grzywy przypominały misterne koronki przy ciemnozielonej sukni. Woda odsuwała się od brzegu jedynie po to, by za chwilę powrócić niczym zalotna kochanka.

- Cudownie - westchnęła, upajając się słonym powietrzem i wiatrem. - Dla ciebie to pewnie chleb powszedni?

- Zawsze lubię patrzeć na morze - opowiedział, skupiając wzrok na odległym horyzoncie, gdzie niebieskie niebo stykało się z ciemną zielenią. - Morze jest kapryśne. Chyba dlatego rybacy porównują je do kobiety. Jednego dnia spokojne i łagodne, ale gdy się rozżołości, jego gniew nie zna granic.

Przesunął dłonią po jej ramieniu, a potem wziął ją za rękę. Był to prosty, czuły gest, którego się po nim nie spodziewała.

- Gdy byłem małym chłopcem, myślałem o ucieczce na morze, o żeglowaniu. - Kciukiem delikatnie potarł skórę jej dłoni.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś? - Musiała dwa razy przełknąć ślinę, by się odezwać.

Wzruszył ramionami i milczał przez chwilę.

- Odkryłem, że ziemia też ma magiczną moc - po-

wiedział w końcu. - Soczysty kolor traw, żyzna gleba, fioletowe winogrona i stada pasącego się bydła. A jazda konna potrafi być równie ekscytująca jak żeglowanie. Ziemia to mój obowiązek, moja przyjemność, a zarazem moje przeznaczenie.

Popatrzył z góry w szeroko otwarte, bursztynowe oczy, utkwione teraz w jego twarzy i nagle coś zaiskrzyło pomiędzy nimi. Christophe przyciągnął ją do siebie gwałtownie. Wiatr furkotał wokół nich, jakby chciał mocniej ich połączyć, gdy usta Christophe'a zażądały od Serenity całkowitego poddania. Huk morza zagłuszył wokół wszystkie dźwięki.

Gdy przywarła do niego mocniej, nagle oderwał od niej usta. Pokręciła głową z niezadowoleniem i sama przyciągnęła jego twarz. Wsunął rękę pod jedwab jej bluzki i chwycił pierś, która aż zabolęła pod jego dotykiem. Straciła oddech, ulegając nieznannej, porywającej sile. Przycisnęła piersi do jego twardej klatki piersiowej, przywarła udami do jego ud, jej serce biło przy jego sercu. Zrozumiała, że zrobiła krok w przepaść i nie ma już odwrotu.

Puścił ją tak nagle, że upadłaby, gdyby mocno nie przytrzymał jej za ramię.

- Musimy wracać - oświadczył, jakby to, co przed chwilą się stało, w ogóle nie miało miejsca. - Robi się późno.

Odsunęła zmierzwione włosy z twarzy i podniosła na niego szeroko otwarte, zdezorientowane oczy.

- Christophe - powiedziała szeptem, nie mogąc wydobyć z gardła silniejszego dźwięku.

- Robi się późno, Serenity - powtórzył, a w jego głosie pobrzmiwał gniew.

Zadrżała z zimna.

- Christophe, dlaczego jesteś na mnie taki wściekły?
Przecież nie zrobiłam nic złego.

- Naprawdę? - Zmrużył powieki z gniewu oczy.

- Nie. - Mimo bólu, jaki sprawiło jej odrzucenie, również czuła gniew.

- Cóż mogłam ci zrobić? Jesteś taki wyniosły, taki władczy, taki pewny siebie. Czy taka prosta dziewczyna jak ja, w dodatku tylko w połowie arystokratka, mogłaby ci dokuczyć?

- Twój język kiedyś cię zgubi, Serenity - burknął. - Chyba że w porę się w niego ugryziesz. - Głos miał miarowy, na pozór opanowany, ale Serenity dosłyszała skrywaną złość.

- Zanim to zrobię, posłużę się nim, by wreszcie powiedzieć ci, co myślę o twoim zaborczym stosunku do świata i życia, a do mnie w szczególności!

- Kobiecie obdarzonej takim temperamentem jak ty trzeba stale przypominać, kto tu rządzi. - Mocno wziął ją pod ramię i odwrócił w stronę morza. - Powiedziałem, że idziemy.

- Możesz sobie iść, dokąd chcesz! - odparowała, zapierając się w miejscu.

Zrobiła niespełna trzy kroki, gdy chwycił ją za ramię.

- Zmuszasz mnie, bym raz jeszcze przemyślał kwestię bicia kobiet. - Błyskawicznie ją pocałował, twardo, jakby tym razem chciał ją ukarać. Poczowała ból i gniew, ale żadnego pożądanego. Nie walczyła, nie reagowała. Odwaga nagle ją opuściła, ogarnęło ją poczucie bezradności.

- Masz nade mną przewagę, jesteś o wiele silniejszy.
- Mówiła spokojnym, opanowanym głosem. Uniósł rękę,

by zetrzeć łzę, która spływała po jej policzku, ale Serenity zamrugła gwałtownie i odskoczyła. - Jak na jeden dzień, mam dosyć ponizania - powiedziała. - Nie zamierzam wylewać morza łez. Rzeczywiście robi się późno. - Odwróciła się i poszła ścieżką, przy której czekały konie.

Ciepłe, letnie dni wypełnione słońcem i słodkim zapachem kwiatów mijały spokojnie. Serenity większość czasu poświęcała malowaniu, przenosząc na płótno dumną sylwetkę zamku. Zauważyła najpierw z rozpaczą, potem z narastającą złością, że Christophe celowo jej unikał. Od tamtego popołudnia, gdy pojechali konno nad morze, ledwie się do niej odzywał, a jeśli już, to z uprzedzającą grzecznością. Malowanie stało się więc dla niej ucieczką przed tęsknotą.

Hrabina nigdy nie wspominała o obrazie Rafaela, co Serenity przyjęła z zadowoleniem. Chciała najpierw wzmocnić rodzinne więzy, zanim zajmie się sprawą tajemniczego zniknięcia obrazu.

Ubrana w stare dzinsy i pochlapany farbą fartuch, potargana, była pochłonięta pracą, gdy zauważyła Genevieve przemierzającą trawnik. Wyglądała uroczo w żółtym żakiecie do jazdy konnej i brązowych, dopasowanych bryczesach.

- Witaj, Serenity - zawołała, gdy Serenity uniosła dłoń na powitanie. - Mam nadzieję, że ci zbytnio nie przeszkadzam.

- Oczywiście, że nie. Miło cię widzieć. - Serenity odłożyła pędzel i uśmiechnęła się szczerze.

- Och, widzę, że przeze mnie przestałaś malować - zaczęła przeproszać Genevieve.

- Dobra wymówka, bym zrobiła sobie przerwę.

- Mogę zobaczyć? - poprosiła Genevieve. - Chyba że

wolisz, by absolutnie nikt nie oglądał twojej pracy przed końcem?

- Możesz zobaczyć. I powiedz, co o tym myślisz. Genevieve przeszła naokoło i stanęła obok Serenity.

Tło obrazu było skończone: błękitne niebo, chmury jak baranki, jasnozielona trawa, dostojne drzewa. Zamek dopiero nabierał kształtu; szare ściany, wysokie okna, okrągłe baszty lśniły perłowo w słońcu. Serenity udało się uchwycić, mimo że obraz nie był jeszcze skończony, bajkową atmosferę tego miejsca.

- Zawsze kochałam ten zamek - stwierdziła Genevieve, nie odrywając oczu od płótna. - A teraz widzę, że ty również jesteś pod jego urokiem. - Spojrzała na Serenity. - Uchwyciłaś jego ciepło, jak również jego wyniosłość. Cieszę się, że widzisz w nim to co ja.

- Pokochałam go od pierwszej chwili - przyznała Serenity. - A im dłużej tu przebywam, tym bardziej jestem nim zauroczona. - Westchnęła, uświadamiając sobie, że te słowa mogą odnosić się w równym stopniu do zaniku, jak i do mężczyzny.

- To ogromne szczęście mieć taki talent - powiedziała Genevieve. - Coś ci wyznam, tylko nie pomyśl o mnie źle.

- Nie pomyślę - zapewniła ją Serenity.

- Zazdroszczę ci! - wypaliła Genevieve, jakby obawiała się, że nagle opuści ją odwaga.

Serenity patrzyła z niedowierzaniem na jej śliczną, słodką twarz.

- Ty mi zazdrościsz?

- Tak. - Genevieve zawahała się, a potem zaczęła mówić pospiesznie: - Zazdroszczę ci nie tylko talentu, ale również twojej pewności siebie i niezależności. Masz w

sobie coś, co przyciąga ludzi.

Serenity patrzyła na nią z ustami otwartymi ze zdumienia.

- Ależ Genevieve - wymamrotała - to ty jesteś urocza i ciepła. Jak mogłabyś zazdrościć komuś, a zwłaszcza mnie? Przy tobie czuję się gruboskórna i mało kobieca.

- Mężczyźni postrzegają cię jak kobietę - zapewniła Genevieve z lekką desperacją. - Podziwiają nie tylko twoją urodę, ale również twoją osobowość. - Przechesała dłonią włosy. - Co byś zrobiła, gdybyś kochała mężczyznę, kochała go przez całe życie, a on widział w tobie tylko zabawne dziecko?

Christophe! Chodzi o Christophe'a... Wielki Boże, ona szuka mojej rady na temat Christophe'a... Mężczyzny, którego kocham...

Tłumiąc histeryczny śmiech, westchnęła, a potem spojrzała prosto w wypełnione nadzieją i zaufaniem oczy Genevieve.

- Gdybym była zakochana w takim mężczyźnie, zrobiłabym wszystko, by uświadomić mu, że jestem prawdziwą kobietą.

- Ale jak tego dokonać? - Genevieve rozłożyła dłonie w bezradnym geście. - Boję się... Być może stracę nawet jego przyjaźń.

- Jeśli naprawdę go kochasz, musisz zaryzykować, w przeciwnym razie spędzisz resztę życia jako jego przyjaciółka. Następnym razem, gdy potraktuje cię jak dziecko, musisz powiedzieć mu... że jesteś już kobietą. I musisz zrobić to tak, by nie miał wątpliwości. A potem. .. to już jego inicjatywa.

Genevieve wzięła głęboki oddech i wyprostowała

ramiona.

- Pomyślę o tym. - Raz jeszcze spojrzała w bursztynowe oczy Serenity. - Dziękuję, że mnie wysłuchałaś i okazałaś mi przyjaźń.

Serenity obserwowała jej drobną, zgrabną postać, gdy odchodziła przez trawnik.

Prawdziwa z ciebie męczennica, Serenity! - pomyślała i zaczęła pakować farby.

Przygnębiona weszła do swego pokoju. Z wysiłkiem godnym Herkulesa uśmiechnęła się do pokojówki, która układała bieliznę w szufladzie.

- Widzę, Bridget, że jesteś w świetnym humorze - zagadnęła, wzruszając ramionami na widok promieni słonecznych triumfalnie wlewających się przez okno.

- Przypuszczam, że to z powodu pięknego dnia.

- Tak. Co za dzień! - Gestem ręki pokazała niebo.

- Chyba nigdy dotąd słońce nie uśmiechało się równie słodko.

Doskonały humor pokojówki udzielił się Serenity. Usiadła w fotelu i szczerze się uśmiechnęła.

- Jeśli dobrze odczytuję pewne oznaki, wydaje mi się, że to miłość uśmiecha się tak słodko.

Bridget zarumieniła się, a jej młoda twarz stała się jeszcze ładniejsza.

- Tak, proszę pani, naprawdę jestem zakochana. W sobotę ja i Jean - Paul bierzemy ślub.

- Ślub? - powtórzyła Serenity, przyglądając się z zaskoczeniem młodziutkiej pokojówce. - Ile masz lat, Bridget?

- Siedemnaście - powiedziała pokojówka z poważnym skinieniem głowy.

- Siedemnaście... - Serenity bezwiednie westchnęła i

popadła w zadumę.

- Weźmiemy ślub w wiosce - wyjaśniła Bridget - a potem przeniesiemy się do zamkowych ogrodów na tańce. Hrabia jest bardzo miły i hojny. Postawi wszystkim gościom szampana.

- Miły... - powtórzyła Serenity w zamyśleniu. Nigdy nie określiłaby tak Christophe'a. Westchnęła, przypominając sobie delikatność, jaką okazywał Genevieve. Tylko ona nie wzbudzała w nim takich uczuć.

- Ma pani tyle pięknych rzeczy...

Serenity podniosła wzrok i zauważyła, że Bridget z czułością głaszcze jej powiewny, biały peniuar.

- Podoba ci się? - Wstała i przesunęła palcem po jedwabnej materii. - Jest twój - powiedziała.

- Słucham? - Pokojówka miała oczy okrągłe jak spodki.

- Jest twój - powtórzyła Serenity, uśmiechając się do zdumionej Bridget. - To prezent ślubny. Cieszę się, jeśli sprawi ci radość. To prezent dla panny młodej, będziesz w nim pięknie wyglądać w noc poślubną.

- Och, proszę pani! - Bridget oddychała gwałtownie i mrugała powiekami, by powstrzymać łzy wdzięczności. - Będzie dla mnie bezcenną pamiątką. - Potem nastąpił potok radosnych podziękowań po bretońsku.

Proste słowa dziewczyny podniosły Serenity na duchu. Gdy wychodziła z pokoju, uradowana przyszła panna młoda wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze, przytulając peniuar do piersi i marząc o nocy poślubnej.

W dzień ślubu Bridget słońce znów się uśmiechnęło, a na jasnym niebie tańczyło zaledwie parę przyjaznych chmurek.

W miarę upływu czasu depresja Serenity zmieniła

się w lodowatą obojętność. Gniew, który rozpałało w niej powściągliwe zachowanie Christophe'a, zamaskowała wyniosłym zachowaniem. W rezultacie ich rozmowy ograniczały się do kilku zdawkowych zdań.

Stała pomiędzy hrabiną a Christophe'em na maleńkim trawniku pod kościółkiem, oczekując na orszak weselny. Kostium z surowego jedwabiu, który wybrała, hrabina zbyła kategorycznym machnięciem ręki i poradziła jej włożyć sukienkę matki, która pachniała lawendą. W rezultacie zamiast wyrafinowanej, chłodnej kobiety przypominała młodą dziewczynę, która wybiera się na zabawę.

Uszyta z pełnego koła spódnica w jaskrawe białe - czerwone pasy ledwie zakrywała kolana. Góra miała okrągłe wycięcie pod szyją, a krótkie, bufiaste rękawy odsłaniały nagie ramiona. Czarna kamizelka ciasno opinała smukłą talię, podkreślając miękką linię piersi. Całości dopełniał słomkowy kapelusz przepasany wstążką.

Christophe nie skomentował jej wyglądu. Przywitał ją skinieniem głowy, gdy schodziła ze schodów. Odpowiedziała tym samym.

- Orszak wyjedzie z domu panny młodej - objaśniała hrabina, a Serenity, mimo że była bardzo świadoma stojącego obok mężczyzny, słuchała jej z uprzejmą uwagą. - Będzie jej towarzyszyć cała rodzina. Następnie spotka się z panem młodym i razem wejdą do kościoła.

- Ona jest taka młoda - westchnęła Serenity. - Właściwie to jeszcze dziecko.

- Jest już wystarczająco dorosła. Ja byłam niewiele starsza, gdy poślubiłam twojego dziadka. Zresztą wiek ma niewiele wspólnego z miłością, nieprawdaż, Christophe?

Serenity bardziej poczuła, niż zobaczyła, że

Christophe wzrusza ramionami.

- Na to wygląda. Ale zanim nasza Bridget skończy dwadzieścia lat, będzie miała co najmniej dwoje dzieci.

- Niestety! - Hrabina westchnęła ze smutkiem. - Wygląda na to, że moi wnukowie nie kwapią się, by załatwić mi maleństwa, które mogłabym kochać i rozpieszczać. - Posłała Serenity smutny, prostoduszny uśmiech. - Trudno być cierpliwą, gdy człowiek się starzeje.

- O wiele łatwiej być sprytną - zauważył Christophe tak suchym głosem, że Serenity nie mogła się powstrzymać, by na niego nie zerknąć. Odpowiedział jej przelotnym spojrzeniem spod uniesionych brwi, które ona spokojnie wytrzymała, zdeterminowana, by nie ulec jego urokowi.

- O wiele łatwiej być mądrą, Christophe - poprawiła go babka z triumfem i wyraźnym zadowoleniem w głosie. - Ale oto i ślubny orszak! - oświadczyła, zanim ktoś zdążył powiedzieć słowo.

Świeże płatki kwiatów rozrzucone przez dzieci z wiklinowych koszyków płynęły w powietrzu i tańczyły na ziemi. Układały się w kolorowy dywan pod stopami panny młodej. Otoczona przez członków rodziny, w tradycyjnej, starej rodzinnej sukni wyglądała jak wytworna, porcelanowa lalka. Serenity była pewna, że nigdy wcześniej nie widziała bardziej promiennej panny młodej ani piękniejszej sukni.

Biały, plisowany dół sukni tańczył tuż nad ziemią pokrytą płatkami kwiatów, a góra wykończona starą koronką była zapięta wysoko pod szyją, stanik zaś dopasowany i ozdobiony delikatnym haftem. Bridget nie miała na głowie welonu, lecz okrągły, biały czepek wykończony stroikiem ze sztywnej koronki, co dodawało jej drobnej sylwetce uroku.

Pan młody, który dołączył do swojej wybranki, wyglądał równie młodo i niewinnie jak ona. On również nosił tradycyjny, ludowy strój - białe spodnie wpuszczone w miękkie buty z cholewami, granatowy żakiet oraz haftowaną, białą koszulę. Na głowie miał bretoński kapelusze z wysokim rondem, ozdobiony aksamitnymi wstążkami, który przydawał mu zawadiackiego wyglądu.

Młoda para roztaczała wokół siebie atmosferę szczęścia i miłości, czystej jak poranne słońce. Serenity poczuła niespodziewane ukłucie żalu i tęsknoty. Wzięła głęboki oddech, a następnie mocno ścisnęła dłonie, by opanować ich nerwowe drżenie.

Gdyby choć raz Christophe popatrzył na nią w taki sposób... To by jej wystarczyło do końca życia...

Nagle ktoś dotknął jej ręki. Wzdrygnęła się i podniosła głowę. Okazało się, że patrzają na nią lekko drwiące, chłodne oczy. Uniosła podbródek i pozwoliła poprowadzić się do kościoła.

Ogrody zamkowe tonące w kwitnących kwiatach ożywiały gwar głosów. Na tarasie rozstawiono stoły nakryte białymi obrusami; najpiękniejsza zamkowa zastawa, kryształ i srebra błyszcząły w promieniach słońca dawnym dostojeństwem. Serenity zauważyła, że wieś uważała przyjęcie weselne za powinność zamku. Oni należeli do zamku, ale również zamek należał do nich. Muzyka wznosiła się ponad gwarem rozmów i śmiechu; słodkie, melodyjne dźwięki skrzypiec wtórowały cichemu buczeniu dudów.

Serenity przyglądała się z tarasu, jak świeżo poślubiona para tańczy swój pierwszy taniec. Był to ludowy taniec pełen uroku i skocznych figur, podczas którego Bridget flirtowała z mężem, odrzucając głowę do tyłu i

patrząc mu w oczy, co goście przyjmowali oklaskami. Tańce rozkręcały się. W końcu Serenity uległa namowom Yves'a i dała się wciągnąć w wirujący tłum.

- Ale ja nie umiem... - protestowała, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

- Nauczę cię - odpowiedział Yves, chwytając jej dłoń. - W tej dziedzinie Christophe nie jest jedynym nauczycielem. - Pochylił głowę na widok jej zmarszczonych brwi, a potem po prostu uśmiechnął się ze zrozumieniem. - A teraz - zawołał wesoło - krok w prawo!

Serenity opanowała pierwszą lekcję i po chwili z przyjemnością poddała się rytmowi tańca i muzyki. Powoli uchodziło z niej napięcie ostatnich dni. Yves z wdziękiem troszczył się o nią, prowadząc ją w tańcu, a potem przynosząc szampana. Tylko raz na widok Christophe'a tańczącego z Genevieve chmura rozpaczy przykryła jej słońce. Szybko odwróciła wzrok, by ponownie nie wpaść w studnię czarnych myśli.

- Widzisz, jak łatwo nauczyć się tego tańca - powiedział Yves, gdy muzyka na chwilę zamilkła.

- Na pewno pomagają mi moje bretońskie geny.

- A więc nie ma w tym ani trochę zasługi twego nauczyciela? - spytał z żartobliwą ironią.

- Ależ jest. - Zaśmiała się i z gracją dygnęła przed swym partnerem. - Mój nauczyciel ma dużo wdzięku, ale nie brak mu również inteligencji.

Wesołe błyski w kasztanowych oczach Yves'a kontrastowały z poważnym tonem.

- A moja uczennica jest równie piękna co urocza. Przyznała mu rację i śmiejąc się, wzięła go pod ramię.

Ale śmiech jej zamarł na ustach, gdy zobaczyła, że wzrok Yves'a wędruje ponad jej głową.

- Och, Christophe, uzurpowałem sobie przez chwilę twoją rolę - powiedział z udawaną skruchą.

- Wygląda na to, że obydwoje jesteście zadowoleni z tej zamiany.

W jego głosie brzmiała lodowata uprzejmość. Serenity powoli odwróciła głowę. Do złudzenia przypominał teraz swego przodka - hrabiego z portretu. Biała, jedwabna koszula, niedbale rozpięta, odsłaniała mocną, ciemną szyję, ostro kontrastując z czarną kamizelką. Czarne spodnie miał wsunięte w miękkie, skórzane buty. Według Serenity wyglądał w tym stroju elegancko, tajemniczo i budził lęk.

- To wspomniała uczennica. - Yves położył dłoń na ramieniu Serenity i uśmiechnął się prosto w surową, chłodną twarz Christophe'a. - Może masz ochotę sprawdzić, czy dobrze się spisałem?

- Oczywiście. - Christophe przyjął propozycję lekkim skinieniem głowy, a potem w kurtuazyjnym, staroświeckim geście wyciągnął rękę i odwrócił dłonią do góry, czekając na zgodę Serenity.

Zawahała się. Z jednej strony obawiała się go, z drugiej jednak tęskniła za fizycznym z nim kontaktem. W końcu, widząc wyzwanie w jego ciemnych oczach, z pewną afekcją położyła dłoń na jego dłoni.

Poruszali się w takt muzyki. Kroki i figury ludowego, zalotnego tańca przychodziły im z łatwością. Taniec zaczynał się jak konfrontacja, współzawodnictwo pomiędzy kobietą i mężczyzną. Nie odrywając od siebie oczu, stykali się to dłońmi, to plecami, kręcili w kółko; oczy Christophe'a miały śmiały, pewny siebie wyraz, jej zaś wyzywający. Gdy lekko objął ją w pasie, odrzuciła głowę do tyłu, by nie ulec temu spojrzeniu, i zignorowała nagły dreszcz, gdy musnęli się biodrami.

Muzyka rozbrzmiewała coraz głośniejsze i szybciej; oni również przyspieszyli kroku. Stary układ taneczny miał coraz bardziej erotyczną wymowę; kontakt ich ciał był coraz dłuższy, coraz bardziej namiętny, Christophe z każdym obrotem mocniej obejmował ją w talii i mocniej do siebie przyciskał. Pojedynek przerodził się we wzajemne uwodzenie. Serenity czuła, jak hrabia milczącą siłą obejmuje nad nią władzę, tak samo zdecydowanie, jak wtedy, gdy jego usta brały we władanie jej usta. Cofnęła się o krok, szukając bezpieczeństwa w oddaleniu, ale on przyciągnął ją do siebie. Wtedy bezradnie utkwiała wzrok w ustach, które pochylały się niebezpiecznie blisko nad jej ustami. Rozchyliła zapraszająco wargi, on zaś pochylił głowę jeszcze niżej, aż poczuła jego oddech na języku.

Cisza, która zapadła, gdy zamilkła muzyka, była jak uderzenie pioruna. Serenity szeroko otwartymi oczami patrzyła, jak Christophe ze zwycięskim uśmiechem odsuwa się od niej.

- Twojemu nauczycielowi należy się pochwała. - Puścił ją, skłonił się lekko, po czym odwrócił się i odszedł.

Im bardziej Christophe oddalał się i zamykał w sobie, tym bardziej otwarta i zaczepna stawała się hrabina. Jakby wyczuwając jego nastrój, starała się go sprowokować.

- Wydajesz się czymś bardzo zaabsorbowany, Christophe? - zauważyła całkiem naturalnym tonem, gdy jedli posiłek przy dużym, dębowym stole. - Masz jakieś kłopoty z bydłem? A może chodzi o sprawę sercową?

Serenity nie odwracała wzroku od kieliszka z winem, zafascynowana delikatnie zmieniającym się kolorem.

- Po prostu rozkoszuję się znakomitym jedzeniem,

babciu - odpowiedział Christophe spokojnie. - Ani bydło, ani kobiety mnie teraz nie absorbują.

- Ach! - Hrabina bardzo znacząco wypowiedziała tę sylabę. - A może chodzi o jedno i drugie?

Szerokie ramiona poruszyły się ze zniecierpliwieniem, jednak hrabina nie ustępowała.

- Jedno i drugie wymaga uwagi i silnej ręki, czyż nie? - dociekała.

Serenity zdołała przełknąć kawałek kaczki w pomarańczach, zanim się nią zakrztusiła.

- Czy zostawiłaś za sobą w Ameryce wiele złamanych serc, Serenity? - spytała hrabina, zanim Serenity zdołała zabrać głos i zaprotestować.

- Dziesiątki - odpowiedziała, rzucając Christophe'owi śmiercionośne spojrzenie. - Odkryłam, że niektórzy mężczyźni są mniej inteligentni od bydła, za to mają ręce jak macki ośmiornicy.

- Być może miałaś do czynienia z nieodpowiednimi mężczyznami - zasugerował Christophe chłodno.

Tym razem Serenity wzruszyła ramionami.

- Mężczyźni to tylko mężczyźni - powiedziała lekceważąco, by go rozzłościć. - Pragną ciepłego ciała, aby je obmacywać po kątach, albo porcelanowej figurki, by postawić ją na półce.

- A jak twoim zdaniem kobieta chce być traktowana? - spytał, podczas gdy hrabina usiadła wygodnie, ciesząc się z efektów swojej prowokacji.

- Jak istota ludzka, obdarzona rozumem, uczuciami, prawami i potrzebami. - Ekspresyjnie poruszyła rękami. - W każdym razie nie jak zabawka stworzona dla przyjemności mężczyzny, którą może odstawić, gdy nie jest w humorze. Ale również nie jak wieczne dziecko, które

należy pieścić i zabawiać.

- Jak widać, nie masz najlepszego zdania o mężczyznach, moja droga kuzynko.

Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, że podczas tej wymiany zdań powiedzieli sobie więcej niż podczas ostatnich dni.

- Tylko o tych, którzy mają staroświeckie poglądy lub uprzedzenia - odparowała. - Mój ojciec zawsze traktował matkę jak partnerkę. Dzielili ze sobą wszystko.

- A więc podświadomie szukasz ojca w mężczyznach, których spotykasz?

Zmieszana, szeroko otworzyła oczy.

- Nie... Przynajmniej nie sądzę... - Zająknęła się, nagle zagładając w głąb własnego serca. - Być może... szukam kogoś, kto byłby równie silny i dobry jak on, ale, oczywiście, nie jego sobowtóra. Myślę, że szukam mężczyzny, który kochałby mnie bezwarunkowo, tak jak on kochał moją matkę; kogoś, kto weźmie mnie ze wszystkimi moimi wadami i niedoskonałościami, taką, jaka jestem, a nie taką, jaką chciałby mnie widzieć.

- A gdy już znajdziesz takiego mężczyznę - spytał Christophe, patrząc na nią nieprzeniknionym wzrokiem - to co zrobisz?

- Będę szczęśliwa - szepnęła i z wysiłkiem skupiła uwagę na swoim talerzu.

Nazajutrz Serenity poświęciła się malowaniu. Spała źle, zdenerwowana odpowiedzią, jakiej udzieliła na niespodziewane pytanie Christophe'a. Wypowiedziała się spontanicznie, słowa były wyrazem jej prawdziwych uczuć, których w ogóle nie była świadoma. Teraz, z pędzlem i paletą w ręce, czując na plecach ciepło słońca, starała się zapomnieć o wczorajszym zmieszaniu i zająć ukochaną

pracą.

Ale miała kłopoty z koncentracją, ponieważ postać Chnstophe'a całkiem zawładnęła jej umysłem. Gdy ostre linie zamku raz po raz rozmazywały jej się przed oczami, z frustracją odrzuciła pędzel i zaczęła pakować przybory, przeklinając w myślach mężczyznę, który zakłócił jej pracę i życie. Stek przekleństw zagłuszył dźwięk nadjeżdżającego samochodu. Przysłoniła dłonią oczy i obserwowała zbliżający się krętą drogą pojazd.

Gdy zatrzymał się parę metrów od niej, otworzyła usta ze zdziwienia, ponieważ z samochodu wysiadł wysoki blondyn i zaczął iść w jej kierunku.

- Tony! - zawołała zaskoczona. Z uśmiechem podbiegła, by go przywitać.

Objął ją wpół i przelotnie pocałował w usta.

- Co tu robisz?

- Mógłbym powiedzieć, że tędy przejeżdżałem. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale nie sądzę, byś uwierzyła.

- Urwał i przyjrzał jej się uważnie. - Wyglądasz fantastycznie - stwierdził, a potem pochylił się, by znów ją pocałować, ale Serenity zrobiła unik.

- Tony, nie odpowiedziałeś mi...

- Moja firma wysłała mnie do Paryża - wyjaśnił.

- Gdy już załatwiłem interesy, przyjechałem tutaj, by się z tobą zobaczyć.

- A więc dwie pieczenie przy jednym ogniu - skomentowała sucho, czując lekkie rozczarowanie. Jakże byłoby miło, gdyby zostawił pracę i przeleciał Atlantyk, tylko dlatego że się za nią stęsknił. Ale to nie było w stylu Tony'ego. Przyglądała się jego spokojnej, przystojnej twarzy. Był zbyt uporządkowany, by ulec impulsowi. Na tym właśnie polegał problem...

Obojętnie musnął wargami jej policzek.

- Brakowało mi ciebie - powiedział.

- Naprawdę? Wyglądał na zaskoczonego.

- Ależ oczywiście, Serenity. - Objął ją ramieniem i zaczęli iść przez trawnik w stronę sztalug. - Miałem nawet nadzieję, że ze mną wrócisz.

- Jeszcze nie jestem gotowa do wyjazdu, Tony. Mam tu wciąż kilka spraw do wyjaśnienia, zanim w ogóle zacznę myśleć o powrocie.

- Jakie to sprawy? - spytał, marszcząc brwi.

- Na razie nie mogę ci tego wyjaśnić - powiedziała wymijająco, nie chcąc wtajemniczać go w złożony problem. - Ale przede wszystkim ledwie poznałam swoją babkę. Mamy tyle straconych lat do nadrobienia.

- Chyba nie zamierzasz zostać tu ćwierć wieku? - W jego głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie. - W Waszyngtonie masz przyjaciół, dom, swoją pracę. - Zatrzymał się i wziął ją za ramiona. - Wiesz przecież, że chcę się z tobą ożenić. A ty od miesiący mnie odpychasz...

- Nigdy nie składałam ci obietnic, Tony.

- Dobrze o tym wiem. - Puścił ją i nieobecny wzrokiem zapatrzył się w przestrzeń.

W nagłym poczuciu winy starała się mu to lepiej wyjaśnić.

- Odnalazłam tutaj część siebie. Tu wychowała się moja matka, a moja babka nadal tu mieszka. - Odwróciła się w stronę zamku i zrobiła szeroki gest ręką. - Tylko spójrz, Tony. Widziałeś kiedyś coś, co można z tym porównać?

Podążył za jej spojrzeniem. Uważnie przyglądał się potężnej, kamiennej budowli.

- Naprawdę robi wrażenie - powiedział bez entuzja-

zmu. - Ale jest zbyt duży, pełen ciemnych zakamarków i zapewne przeciągów.

Serenity westchnęła, a potem odwróciła do niego uśmiechniętą twarz.

- Tak, masz rację, nie przynależysz do tego miejsca.

- A ty? - spytał z chmurnym czołem.

- Nie wiem - bąknęła, przesuając wzrokiem po murach, a potem po dziedzińcu. - Po prostu nie wiem.

Patrzył przez chwilę na jej profil, a potem dyplomatycznie zmienił temat:

- Stary Barkley ma dla ciebie pewne dokumenty. - Mówił o swoim starszym partnerze, prawniku, który prowadził sprawy jej rodziców. - Zamiast zdać się na pocztę, pomyślałem, że dostarczę ci je osobiście.

- Dokumenty?

- Tak, bardzo osobiste. - Uśmiechnął się konfidencjonalnie. - Nie chciał mi nawet powiedzieć, o co w nich chodzi. Oświadczył tylko, że to ważne i powinnaś otrzymać je jak najszybciej.

- Przejrzyjże później - powiedziała zdawkowo, ponieważ miała już dość papierów i formularzy, które musiała wypełniać po śmierci rodziców. - Wejdzmy do środka. Poznasz moją babkę.

Jeśli zamek nie zrobił na Tonym wrażenia, to na pewno zrobiła je hrabina. Gdy Serenity, maskując uśmiech, przedstawiła Tony'ego babci, zauważyła, jak oczy mu się rozszerzyły, gdy ścisnął jej rękę. Babka jest naprawdę wspaniała, pomyślała Serenity z satysfakcją.

Hrabina zaprowadziła Tony'ego do salonu, zaproponowała herbatę, a potem w pełen wdzięku, acz przebiegły sposób zaczęła wyciągać z niego różne informacje.

Nie ma przy niej żadnych szans, pomyślała Serenity, nalewając herbatę z eleganckiego, srebrnego czajniczka. Gdy podawała babce filiżankę z cienkiej chińskiej porcelany, ich oczy spotkały się na moment. Na widok złośliwych iskerek w niebieskich oczach, ledwie powstrzymała wybuch śmiechu.

Stara z niej intrygantka! Sprawdza, czy Tony jest odpowiednim kandydatem na męża dla jej wnuczki. A biedny Tony w ogóle nie wie, co się święci!

Ale, o dziwo, wcale nie miała tego babce za złe.

Po godzinnej rozmowie hrabina wiedziała już wszystko o Tonym; poznała historię jego rodziny, przebieg edukacji i kariery, zainteresowania, poglądy polityczne oraz wiele innych szczegółów, o których nawet Serenity nie miała pojęcia. Śledztwo zostało tak zręcznie przeprowadzone, że Serenity z trudem pohamowała chęć głośnego wyrażenia swego aplauzu.

- Kiedy musisz wrócić do Stanów? - wtrąciła się, by uchronić Tony'ego przynajmniej przed ujawnieniem wysokości konta bankowego.

- Muszę wyjechać jutro z samego rana - odparł, odprężony i całkiem nieświadomy zabiegów, jakim przed chwilą został poddany. - Chciałbym zostać dłużej, ale... - Wzruszył ramionami.

- Oczywiście, praca na pierwszym miejscu - dokończyła hrabina, patrząc na niego ze zrozumieniem. - Ale dziś zje pan z nami kolację, panie Rollins, i oczywiście zostanie pan u nas na noc.

- Nie chciałbym nadużywać pani gościnności - zaprotestował Tony nie całkiem szczerze.

- Nonsens! - Zbyła jego obiekcje lekceważącym machnięciem ręki. - Przyjaciel Serenity, który przybył z tak

daleka! Naprawdę byłabym zawiedziona, gdyby pan u nas nie został.

- To bardzo miłe, hrabino. Jestem pani głęboko wdzięczny.

- Cała przyjemność po naszej stronie - oświadczyła hrabina, wstając. - Serenity, oprowadź pana po okolicy, a ja tymczasem zarządzę, by przygotowano pokój. - Odwróciła się do Tony'ego i wyciągnęła do niego rękę. - O wpół do ósmej pijemy koktajle. Do zobaczenia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Serenity stała przed długim lustrem, nie widząc swego odbicia. Wysokiej, smukłej kobiety w ametystowej jedwabnej sukni, której miękkie fałdy falowały jakby pod wpływem wiatru, mogło tam wcale nie być. W głowie Serenity przesuwaly się wydarzenia dzisiejszego popołudnia, a jej uczucia oscylowały między przyjemnością a irytacją, rozbawieniem a rozczarowaniem.

Po odejściu hrabiny Serenity zabrała Tony'ego na krótki obchód posiadłości. Tony pochwalił kilkoma zdawkowymi komplementami ogród, ale jego logiczny, prawniczy umysł widział tylko róże i geranium, nie dostrzegając zaś różnaitości ich odcieni, subtelności kształtów i zapachów. Lekko rozbawił go wygląd starego ogrodnika, zdziwił zaś wspaniały, rozległy widok z tarasu. Ale przyznał się, że woli widzieć domy, a przynajmniej światła ulicy.

Serenity pokręciła głową. Jakże niewiele miała wspólnego z mężczyzną, z którym spędziła tyle czasu.

Pełen zachwyty wyrażał jedynie dla pani tego zamku. Oświadczył wprost, że nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która zrobiłaby na nim takie wrażenie. Kobiety niezwyklej - dodał. Serenity zgodziła się z nim w duchu, choć może z nieco innych powodów. Hrabina przypominała Tony'emu panującą królową, która łaskawie przyjmuje poddanych, a jednocześnie potrafi każdemu z osobna okazać swą uwagę i zainteresowanie.

Drogi, łatwowierny Tony! - pomyślała rozbawiona Serenity. Hrabina była ogromnie zainteresowana tym, co mówiłeś... Nie domyślasz się, dlaczego?

Gdy Tony został ulokowany w swoim pokoju, który

znajdował się strategicznie daleko od jej sypialni, Serenity udała się na poszukiwanie hrabiny, by podziękować jej za zaproszenie Tony'ego.

Hrabina siedziała przy biurku w swej eleganckiej sypialni urządzonej w stylu regencji i pisała coś na papierze ozdobionym herbem. Powitała wnuczkę niewinnym uśmiechem. Do złudzenia przypomina kota, który właśnie połknął kanarka, pomyślała Serenity z rozbawieniem.

Odłożyła pióro i wskazała małą kanapkę.

- Mam nadzieję, że twemu przyjacielowi pokój odpowiada?

- Tak, babciu. Jestem bardzo wdzięczna, że zaproponowałaś Tony'emu nocleg.

- Nie ma o czym mówić. - Machnęła dłonią. - Masz prawo uważać zamek również za swój.

- Dziękuję - odpowiedziała grzecznie Serenity, pozostawiając babce następny ruch.

- To dobrze ułożony, młody człowiek - oceniała hrabina. - I całkiem atrakcyjny - znacząco zawiesiła głos, a potem niespodziewanie dodała: - Choć muszę przyznać, nic nadzwyczajnego.

- Tak, babciu - zgodziła się Serenity, nadal zostawiając babce inicjatywę.

- Zawsze wołałam mężczyzn o silniejszej osobowości, większej energii życiowej, no i o bardziej oryginalnej urodzie. - Może trochę - z ironią wykrzywiła usta - podobnych do pirata, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi?

- Rozumiem. - Serenity pokiwała głową, patrząc na hrabinę oczami dziecka. - Bardzo dobrze rozumiem.

- To świetnie. - Stara dama poruszyła drobnymi ramionami. - Jednak niektóre kobiety wolą bardziej uległych mężczyzn - rozważała.

- Chyba tak.

- Pan Rollins jest bardzo grzecznym, dobrze wychowanym człowiekiem, a na dodatek jest bardzo inteligentny. I ma logiczny umysł.

I jest piekielnie nudny, uzupełniła w myślach Serenity, zanim parsknęła z ironią:

- I co najmniej dwa razy dziennie przeprowadza staruszki przez ulicę.

- Z pewnością maniery zawdzięcza rodzicom - ciągnęła hrabina, niezrażona tym komentarzem. - Jestem pewna, że Christophe chętnie go pozna.

Błysk niepokoju pojawił się w umyśle Serenity.

- Niewykluczone...

- Ależ tak, z pewnością. - Hrabina uśmiechnęła się. - Christophe na pewno będzie ciekaw twojego bliskiego przyjaciela. - Wyraźny nacisk na słowo „bliskiego” wzmógł czujność Serenity.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego Christophe miałby być szczególnie zainteresowany poznaniem Tony'ego? - zdziwiła się.

- Ach, kochanie, nie mam wątpliwości, że Christophe będzie zafascynowany twoim panem Rollinsem - zapewniła hrabina z ożywieniem.

- Tony nie jest „moim” panem Rollinsem - poprawiła ją Serenity, wstając z kanapki i podchodząc do biurka. - I naprawdę nie widzę niczego, co mogłoby ich łączyć.

- Doprawdy? - Hrabina miała bardzo niewinną minę.

- Jesteś przebiegła jak lis - stwierdziła Serenity rozbawiona. - Co ty właściwie kombinujesz?

Niebieskie oczy popatrzyły w bursztynowe z niewinnością małego dziecka.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - obruszyła się

nieszczercze hrabina, a gdy Serenity otworzyła usta, by odpowiedzieć, przerwała jej z królewską emfazą: - Och, muszę skończyć moją korespondencję, kochanie. Zobaczymy się wieczorem.

Rozkaz był jasny jak słońce. Serenity nie pozostało nic innego, jak tylko opuścić pokój. Wyładowała narastającą złość, zamykając drzwi nieco głośniejszym niż wypadło.

Powoli wracała do rzeczywistości. Udało jej się wreszcie skupić uwagę na swym odbiciu w lustrze. Bezwiednie przyglądała blond włosy i rozluźniła rysy twarzy.

Rozegramy to spokojnie, poinformowała samą siebie, zakładając kolczyki. O ile się nie mylę, moja arystokratyczna babka ma ochotę dziś wieczorem odpalić petardy. Ale nie uda jej się nawet skrzesać iskry. Już moja w tym głowa.

Zapukała do drzwi pokoju Tony'ego.

- To ja, Serenity. Jeśli jesteś gotów, możemy razem zejść na dół. - Tony poprosił ją do środka. Gdy weszła, zobaczyła, że walczy ze spinką do mankieta. - Jakież kłopoty? - spytała wesoło.

- Bardzo śmieszne - obruszył się z ponurą miną.

- Nie potrafię nic zrobić lewą ręką.

- Zupełnie jak mój ojciec. - Ogarnęła ją fala ciepłych wspomnień. - A jak wtedy kłął! Zadziwiające, ile znajdował przymiotników, by określić parę maleńkich spinek. - Podeszła do Tony'ego i ujęła jego nadgarstek.

- Pozwól, pomogę ci. Ciekawa jestem, co byś zrobił, gdybym tu nie zajrzała. - Pokręciła głową i pochyliła się nad mankietem.

- Spędziłbym cały wieczór z jedną ręką w kieszeni -

odparł wesoło. - Z europejską nonszalancją.

- Och, Tony! - Popatrzyła na niego rozpromieniona.

- Doprawdy, potrafisz być dowcipny!

Jakiś odgłos na zewnątrz przykuł ich uwagę. Odwróciła głowę i zobaczyła przechodzącego korytarzem Christophe'a. Przystanął na moment, jakby zaintrygowany intymną sceną, która rozgrywała się w pokoju. Roześmiana kobieta pochylała z czułością głowę i wpinała spinę w mankiet koszuli mężczyzny. Christophe uniósł brew, potem skłonił się lekko i poszedł dalej, zostawiając Serenity zarumienioną i zmieszaną.

- Któż to był? - spytał Tony z ciekawością, ponieważ pochylili głowę, by ukryć pałające policzki.

- Hrabia de Kergallen - odpowiedziała ze sztuczną nonszalancją.

- Chyba nie jest mężem twojej babki? - W jego głosie słychać było niedowierzenie.

Serenity wybuchła perlistym, serdecznym śmiechem. Pytanie Tony'ego pozwoliło jej rozładować nieoczekiwane napięcie.

- Och, Tony, jakiś ty sprytny! - Poklepała go po zapiętym już mankiecie. Patrzyła na niego błyszczącymi wesoło oczami. - Christophe jest obecnym hrabią i jej wnukiem.

- Ach! - Tony zmarszczył brwi. - A więc jest twoim kuzynem.

- Tak... - Zawahała się. - Nie całkiem. - Objśniła krótko dość skomplikowane rodzinne więzy. - A więc tylko w pewnym sensie można nas uznać za kuzynów - zakończyła, biorąc Tony'ego pod ramię i wychodząc z pokoju.

Nawet jeśli Tony zauważył jej konsternację, nie sko-

mentował tego.

Gdy ramię przy ramieniu weszli do salonu, Serenity poczuła, że rumieni się silniej, gdy Christophe obrzucił ją przelotnym spojrzeniem. Bardzo żałowała, że nie może rozszyfrować jego jak zwykle niezbadanej twarzy.

Obserwowała, jak przesuwa oczami po mężczyźnie u jej boku, ale jego wzrok pozostał beznamiętny i chłodny.

- Och, Christophe, pozwól, że przedstawię ci pana Anthony'ego Rollinsa, gościa naszej Serenity - odezwała się hrabina. Siedziała na bogato zdobionym fotelu z wysokim oparciem, stojącym na tle ogromnego kominka, i wyglądała jak monarchini udzielająca audiencji. Serenity z ironią zauważyła, że uznała Tony'ego za jej osobistą własność. - Monsieur Rollins - ciągnęła, nie zmieniając tonu - przedstawiam panu hrabiego de Kergallen.

Tytuł został delikatnie zaakcentowany, by jednoznacznie ustalić pozycję Christophe'a jako pana tego zamku. Serenity posłała babce znaczące spojrzenie.

Gdy mężczyźni wymieniali grzeczności, Serenity zauważyła, że obaj zmierzyl się wzrokiem, jak zawodnicy przed bitwą.

Christophe podał babce kieliszek z aperitifem, a potem spytał kolejno Serenity i Tony'ego, czego się napiją. Obydwoje poprosili o wermut, a Serenity musiała stłumić uśmiech, ponieważ dobrze wiedziała, że Tony pije wyłącznie czystą wódkę z martini albo brandy.

Rozmowa toczyła się gładko. Hrabina nawiązywała do kilku faktów z życia Tony'ego, które wydobyla z niego dzisiejszego popołudnia.

- Pocięsza mnie świadomość, że w Ameryce Serenity jest w tak dobrych rękach - oznajmiła stara dama z przewrotnym uśmiechem. Pomimo że Serenity posłała jej

gniewne spojrzenie, ciągnęła: - Od dawna jesteście przyjaciółmi, nieprawdaż?

Słyszając lekkie, ledwie dostrzegalne zawahanie przy słowie „przyjaciele”, Serenity uniosła pytająco brwi.

- Tak - przyznał szybko Tony i z czułością poklepał Serenity po dłoni. - Poznaliśmy się rok temu na przyjęciu. Pamiętasz, kochanie? - Gdy obrócił do niej głowę i uśmiechnął się, Serenity przestała się dąsać.

- Oczywiście. Przyjęcie u Carsonów.

- Przyjechał pan na bardzo krótko do Francji - skonstatowała hrabina. - To bardzo miło z pana strony, że odwiedził pan Serenity, prawda, Christophe?

- Bardzo miło. - Christophe skinął głową i uniosł kieliszek.

Och, przebiegły lisie! - pomyślała Serenity ze złością. Doskonale wiesz, że Tony przyleciał do Francji w interesach. Co ty znowu knujesz?

- Szkoda, że nie może pozostać pan z nami dłużej, monsieur Rollins - ubolewała hrabina. - Czy jeździ pan konno?

- Konno? - powtórzył Tony zakłopotany. - Obawiam się, że nie.

- Wielka szkoda. Christophe uczy właśnie Serenity. Jak tam postępy twojej uczennicy?

- Bardzo dobrze - odpowiedział Christophe uprzejmie, przesuwając wzrokiem z babki na jej wnuczkę. - Serenity ma wrodzone zdolności, a teraz robi znaczące postępy, prawda, mignonne?

- Tak - zgodziła się, zbita z tropu tymi miłymi słowami, ponieważ ostatnio odnosił się do niej z widocznym chłodem. - Cieszę się, że namówiłeś mnie do nauki.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Tajemniczy uśmiezek na jego smagłej twarzy pogłębił zmieszanie Serenity.

- Być może ty z kolei nauczysz pana Rollinsa przy nadarzającej się okazji - zwróciła się do Serenity hrabina.

Słyszając jej niewinny ton, Serenity zmrużyła bursztynowe oczy.

Intrygantka! - złościła się w duchu.

Irytacja szybko przeszła w lekkie rozbawienie, gdy zauważyła na dnie czystych, niebieskich oczu szelmowskie iskierki.

- Być może, babciu, chociaż wątpię, bym dojrzała już do roli instruktora. Dwie krótkie lekcje nie zrobiły ze mnie eksperta.

- Ale będą przecież następne, czyż nie? - Hrabina zlekceważyła wymówkę Serenity i z wdziękiem wstała. - Monsieur Rollins, zechce mnie pan zaprowadzić?

Tony, któremu propozycja ogromnie pochwaliła, z uśmiechem podał hrabinie ramię, choć dla Serenity było oczywiste, kto w tej parze prowadzi.

- Alors, chérie... - Christophe podszedł do Serenity i podając jej rękę, pomógł wstać. - Wydaje mi się, że tylko ja ci pozostałem.

- Jakoś to zniosę - odparowała, ignorując dzikie bicie serca, gdy ujął jej dłoń.

- Twój Amerykanin musi być bardzo powolny - zaczął cierpkim tonem, trzymając jej rękę i pochylając się nad nią. - Zna cię prawie od roku, a nadal nie został twoim kochankiem.

Policzki jej zapłonęły, popatrzyła na niego z furją.

- Doprawdy zdumiewasz mnie! - starała się mówić z godnością. - Co za niewiarygodnie niegrzeczne spo-

strzeżenie!

- Ale prawdziwe - rzekł niewzruszony.

- Nie wszyscy mężczyźni myślą tylko o sobie. Tony jest bardzo ciepłym i troskliwym człowiekiem, nie takim despotą jak pewni ludzie, których mogłabym wymienić.

Uśmiechnął się z denerwującą pewnością siebie.

- Czy w towarzystwie Tony'ego twój puls też tak pędzi? - Poglądził kciukiem jej nadgarstek. - A serce bije tak mocno? - Przyłożył rękę do jej serca, które rzeczywiście galopowało jak oszalały koń. Potem musnął wargami jej usta tak delikatnie i tak inaczej niż dotąd, że oszołomiona zachwiała się na nogach.

Jego wargi wędrowały po jej twarzy, drażniły kąciuki ust, a potem oddalały się, jakby cofając słodką obietnicę. Delikatnie przesunął palcami wzdłuż jej kręgosłupa, niespiesznie gładził jej nagie plecy, aż osłabła w jego ramionach, a jej wargi poszukały jego ust.

- Powiedz mi - wyszeptał, a ona przez mgłę rozmazania usłyszała lekką drwinę w jego głosie. - Czy Tony kiedykolwiek usłyszał, jak wzdychasz, wymawiając jego imię, czy poczuł, jak osłabłaś w jego ramionach?

Raptownie wyrwała się z jego objęć; gniew i poniżenie walczyły w niej z pożądaniem.

- Jesteś nieznośnie pewny siebie! To nie twoja sprawa, jak się czuję przy Tonym!

- Tak sądzisz? - spytał sceptycznie. - Przedyskutujemy to później, piękna kuzynko. A teraz powinniśmy już dołączyć do tamtych dwojga. - Wykrzywił ironicznie usta. - Gotowi się niepokoić, co się z nami stało.

Nie zdążyli się jednak zaniepokoić, zauważyła Serenity, gdy pojawili się w jadalni. Hrabina nadal z wdziękiem zajmowała się Tonym. Opowiadała mu właśnie o kolekcji

starych puzderek Faberge ustawionych na dużym kredensie z lustrem.

Kolacja rozpoczęła się od zimnej, orzeźwiającej zupy, a wymiana zdań ze względu na Tony'ego toczyła się po angielsku. Rozmowa dotyczyła spraw obojętnych, tak więc zanim podano homara z rusztu, Serenity zdołała się nieco odprężyć.

- Przypuszczam, że twoja matka szybko odnalazła się w swoim nowym domu w Georgetown, Serenity - oświadczył nagle Tony.

Spojrzała na niego zaintrygowana i ściągnęła twarz.

- Chyba nie bardzo rozumiem...

- Widzę tyle łudzących podobieństw - zauważył, a gdy nadal patrzyła na niego, niczego nie rozumiejąc, rozwinął temat: - Oczywiście wszystko tutaj ma o wiele większą skalę, ale tu i tam są wysokie sufity, kominki w każdym pokoju... Nawet schody i balustrada są podobne. Musiałś to zauważyć, prawda?

- Tak, chyba tak... - powiedziała z namysłem. - Ale do tej pory nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Być może jej ojciec wybrał dom w Georgetown, ponieważ także zauważył te podobieństwa? A matka wybrała meble pod wpływem wspomnień z dzieciństwa. Ta myśl pokrzepiła ją na duchu. - Pamiętam, że ciągle zjeżdżałam po poręczy, najpierw z pracowni na drugim piętrze do słupka na pierwszym, a potem stamtąd na parter. - Jej uśmiech przerodził się w głośny śmiech.

- Mama zawsze powtarzała, że pewna część mojego ciała musi być równie twarda jak moja głowa, jeśli jestem w stanie znieść takie tortury.

- Do mnie mówiła to samo — wtrącił nagle Christophe. Serenity obrzuciła go zdziwionym

spojrzeniem. - Mais oui, petite. - Odpowiedział jej jednym z rzadkich swoich uśmiechów. - Po co schodzić, jeśli można zjechać, prawda?

Obraz małego chłopca frunącego w dół po drewnianej poręczy oraz młodej i pięknej Gaelle, która patrzyła na niego, śmiejąc się w głos, stanął Serenity przed oczami. Powoli jej zaskoczona twarz rozciągnęła się w słodkim, z głębi serca płynącym uśmiechu. Takim samym rozmarzonym uśmiechu, jaki ozdabiał twarz Christophe'a.

Nałożyła sobie porcję lekkiego jak chmurka sufletu z rodzynkami i podniosła kieliszek z wytrawnym, musującym szampanem. Otoczona miłą, ciepłą atmosferą Serenity wewnątrz promieniała.

Gdy po kolacji przeszli do salonu, odmówiła wypicia likieru lub brandy. Jej dziwne rozanielenie trwało nadal. Podejrzewała, że przynajmniej po części było wynikiem wina serwowanego do każdego dania. Na szczęście, przynajmniej tak jej się zdawało, nikt nie zauważył jej dziwnego stanu, zarumienionych policzków i prawie mechanicznych, zdawkowych odpowiedzi. Nieuważnie słuchając rozmowy, w której niski baryton mężczyzny mieszał się z wytwornym, cieńszym głosem jej babki, poczuła, jak bardzo wyostrzyły jej się zmysły. Z nieukrywaną przyjemnością wdychała aromatyczny zapach cygara Christophe'a oraz subtelną woń kobiecych perfum, pomieszane ze słodkim zapachem róż unoszącym się z porcelanowych wazonów. Jej artystyczna dusza radowała się harmonią, powolnym, pełnym celebracji rytmem, łagodnym urokiem scenerii. Przyćmione, miękkie światła, wieczorna bryza delikatnie poruszająca zasłonami, cichy brzęk kieliszków odstawianych na stół - wszystko zlało się w jeden obraz, który został zarejestrowany w jej umyśle.

Królowała hrabina, majestatyczna na brokatowym tronie, która popijała likier miętowy z wytwornego kieliszka o złotym brzegu. Tony i Christophe siedzieli naprzeciwko siebie jak dzień i noc, anioł i diabeł. To ostatnie porównanie zelektryzowało Serenity.

Anioł i diabeł? - powtórzyła w duchu, przypatrując się uważnie obydwu mężczyznom.

Tony - słodki, niezawodny, przewidywalny Tony, który był zawsze skłonny do ustępstw. Tony, który miał nieskończoną cierpliwość i ustalone plany na przyszłość. Co do niego czuła? Sympatię, lojalność, wdzięczność za to, że był przy niej, gdy go potrzebowała. To było letnie, komfortowe uczucie.

Przesunęła wzrokiem na Christophe'a. Arogancki, dominujący, irytujący, podniecający. Zawsze dostający to, czego chciał. Obdarzał ją nagłym, niespodziewanym uśmiechem i kradł jej serce jak podstępny, nocny złodziej. Ulegał nastrojom, podczas gdy Tony był stały; władczy, gdy Tony stosował jedynie perswazję. O ile jednak pocałunki Tony'ego były przyjemne, pocałunki Christophe'a były dziko upajające, burzyły jej krew i przenosiły ją do nieznanego świata zmysłów i pożądania. A miłość, którą do niego czuła, nie była ani letnia, ani wygodna, ale żywiołowa i nieodparta.

- Co za szkoda, że nie grasz na pianinie, Serenity.

- Głos hrabiny gwałtownie sprowadził ją na ziemię.

- Ależ Serenity gra, madame - poinformował Tony z radosnym uśmiechem. - Kiepsko, ale gra.

- Zdrajca! - rzuciła Serenity wesoło. - To była moja najbardziej skrywana tajemnica.

- Nie grasz dobrze? - W głosie hrabiny pobrzmiwało niedowierzanie.

- Przykro mi, że jeszcze raz muszę zawieść rodzinę - przeprosiła Serenity. - Nie tylko nie gram dobrze, ale gram okropnie. Nawet Tony, mimo że absolutnie nie ma słuchu, zgrzyta zębami.

- Twoja gra obudziłaby umarłego, kochanie. - Czułym gestem odgarnął kosmyk włosów z jej czoła.

- To prawda. - Uśmiechnęła się do niego, a potem spojrzała na hrabinę. - Biedna babciu, nie zadręczaj się tym. - Ale uśmiech jej zgasł, gdy napotkała ponure spojrzenie Christophe'a.

- Gaelle grała tak pięknie... - rozmarzyła się hrabina, rozkładając wymownie ręce.

- Nie mogła mi wybaczyć, że tak zarzynam muzykę - odpowiedziała Serenity wesoło, z całego serca pragnąc, by chłód zniknął z oczu Christophe'a. - Ale w końcu poddała się i zostawiła mnie z moimi farbami i sztalugami.

- Nadzwyczajne! - Hrabina pokręciła głową, a Serenity tylko wzruszyła ramionami i upiła łyk kawy. - Skoro nie możesz dla nas zagrać, moja droga, trudno. I dodała, by zmienić nastrój: - Być może monsieur Rollins ma ochotę przejść się po ogrodzie? - Uśmiechnęła się znacząco. - Serenity lubi ogród w świetle księżyca, n'estce pas?

- To brzmi zachęcająco - zgodził się Tony, zanim Serenity zdążyła odpowiedzieć.

Posyłając babce wymowne spojrzenie, pozwoliła poprowadzić się do ogrodu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Serenity po raz drugi spacerowała z przystojnym mężczyzną po oblanym księżycową poświatą ogrodzie i po raz drugi żałowała, że nie jest nim Christophe. Szli w przyjaznym milczeniu, ciesząc się rześkim, nocnym powietrzem i ciepłym dotykiem swoich splecionych dłoni.

- Jesteś w nim zakochana, prawda?

Pytanie Tony'ego przerwało ciszę jak nagle spadająca kamienna lawina. Serenity przystanąła i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Serenity! - westchnął i przesunął palcem po jej policzku. - Czytam w tobie jak w otwartej książce. Robisz, co możesz, by to ukryć, ale szalejesz za nim.

- Tony, ja... - Głos jej zanikł. Czowała się winna. - Nigdy nie miałam takiego zamiaru... Nawet go nie lubię. Naprawdę...

- O Boże! - Zaśmiał się z cicha i wykrzywił usta. - Chciałbym, abyś tak mnie nie lubiła. Ale cóż - dodał, podnosząc jej podbródek - nigdy tak nie było.

- Och, Tony.

- Zawsze byłaś wobec mnie uczciwa, kochanie - zapewnił ją. - Nie masz powodu, by czuć się winna. Dokładnie to przemyślałem. - Objął ją ramieniem i poprowadził w głąb ogrodu. - Wiesz, Serenity, wyglądasz zwodniczo. Przypominasz subtelny kwiat, tak delikatny i kruchy, że mężczyzna boi się ciebie dotknąć, by ci nie wyrządzić krzywdy. Ale w gruncie rzeczy jesteś zadziwiająco silna. - Uścisnął ją przelotnie. - Ty nigdy się nie potykasz, kochanie. Cały czas czekałem na odpowiedni moment, by ci podać ramię, ale ty nigdy się nie potykasz.

- Moje humory i temperament doprowadzały cię do

szaleństwa, Tony. - Z westchnieniem oparła się o jego ramię. - Nigdy nie byłabym taka, jak byś chciał. A jeśli byś starał się mnie zmienić, nic by ci z tego nie wyszło. Znienawidzilibyśmy się nawzajem.

- Wiem. Przeczuwałem to od dawna, ale nie chciałem się do tego przyznać. - Zaczerpnął głęboko powietrza. - Gdy zdecydowałaś się na wyjazd do Bretanii, wiedziałem, że to już koniec. Dlatego przyjechałem tu, by cię zobaczyć. Musiałem cię zobaczyć jeszcze raz.

- Ale przecież będziemy się widywać, Tony! Nadal jesteśmy przyjaciółmi. Wkrótce wrócę do Stanów.

Zatrzymał się i w milczeniu patrzył w jej oczy.

- Naprawdę, Serenity? - Odwrócił się i poprowadził ją z powrotem w stronę oświetlonego zamku.

Gdy nazajutrz rano Serenity żegnała się z Tonym, słońce mocno paliło jej nagie ramiona. Tony pożegnał się już z hrabiną i Christophe'em, a teraz Serenity wyprowadziła go z chłodnego holu na rozgrzany, kamienny dziedziniec. Bagaze Tony'ego zapakowano już do bagażnika małego czerwonego renaulta, który stał na podjeździe. Tony zerknął przelotnie na samochód, a potem odwrócił się i ujął dłonie Serenity.

- Bądź szczęśliwa, kochanie. - Uścisnął jej rękę. - I pomyśl czasem o mnie.

- Oczywiście, że będę o tobie myśleć, Tony - zapewniła. - Dam ci znać, kiedy wracam.

Uśmiechnął się do niej, badając wzrokiem jej twarz, jakby chciał ją zapamiętać na zawsze.

- Będę cię pamiętać taką jak dzisiaj, w żółtej sukience, z włosami rozświetlonymi słońcem, stojącą na tle tego zamku... Nieskończenie piękną, złotowłosą Serenity Smith.

Gdy pochylił nad nią twarz, ogarnęła ją fala emocji,

silne, nieodparte przeczucie, że już nigdy go nie zobaczy. Zarzuciła mu ramiona na szyję i mocno się do niego przytuliła. Do niego i do przeszłości. Tony musnął wargami jej włosy, a potem odsunął ją od siebie.

- Do widzenia, kochanie. - Poklepał ją po policzku, jakby chciał dodać jej otuchy.

- Do widzenia, Tony. Powodzenia! - Odwzajemniła jego uśmiech, walcząc jednak ze łzami.

Patrzyła przez mgłę łez, jak wsiadał do samochodu, machał do niej ręką, a potem ruszył powoli długim, krętym podjazdem. Po chwili samochód stał się kropką na horyzoncie, wreszcie całkiem zniknął z pola widzenia. Serenity ciągle stała, pozwalając płynąć łzom. Ktoś objął ją w pasie. Odwróciła się i okazało się, że to jej babka. Na kościstej twarzy starej kobiety malowało się współczucie i zrozumienie.

- Smutno ci, że wyjechał? - spytała, a Serenity, szukając pocieszenia, oparła głowę o jej wątle ramię.

- Tak, babciu, bardzo mi smutno.

- Ale nie jesteś w nim zakochana? - To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Serenity westchnęła.

- Był dla mnie kimś szczególnym - wyznała. Otarła łzy z policzka i jak dziecko pociągnęła nosem. - Będzie mi go bardzo brakować. Pójdę teraz do swego pokoju i solidnie się wypłaczę.

- To bardzo mądre, kochanie. - Hrabina poklepała ją po ramieniu. - Nic tak nie oczyszcza serca i umysłu jak płacz. - Serenity raz jeszcze padła w jej ramiona. - Allez, vite, mon enfant! - Hrabina przez chwilę nie poruszała się, potem wyzwoliła się z uścisku. - Idź i wypłacz się porządnie.

Serenity pokonała kamienne schody i przez ciężkie, dębowe drzwi wbiegła do chłodnego wnętrza zamku. U podestu głównej klatki schodowej zderzyła się z jakimś twardym obiektem. Czyjeś ręce chwyciły ją za ramiona.

- Uważaj, dokąd tak gnasz? - rozległ się nieznośnie drwiący głos Christophe'a. - Wpadniesz na ścianę i rozkwasisz sobie swój piękny nos. - Usiłowała mu się wyrwać, ale jedną ręką z łatwością przytrzymał ją w miejscu, a drugą podniósł jej podbródek i odchylił głowę do tyłu. Na widok jej załzawionych oczu z jego twarzy ustąpiła drwina, a pojawiło się zaskoczenie, potem niepokój, a w końcu całkiem do niego niepodobna bezradność.

- Serenity? - Jej imię zabrzmiało jak pytanie i zostało wypowiedziane tak delikatnym tonem, jakiego jeszcze nigdy u niego słyszała. A czułość, jaka malowała się w jego oczach, zupełnie wytrąciła ją z równowagi.

- Och, proszę... - Głos jej przerodził się w rozpaczliwe łkanie. - Pozwól rai odejść. - Wyrывała się z jego uścisku, starając się nad sobą zapanować, a jednocześnie pragnąc, by przytulił ją do siebie.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - Położył rękę na jej ramieniu, by ją zatrzymać.

Tak, ty idioto! - krzyczało jej serce. Kochaj mnie!

- Nie - powiedziała na głos. Odwróciła się i pobiegła po schodach na górę. - Nie, nie, nie!

Wpadła do sypialni, zatrzasnęła za sobą drzwi i ze szlochem rzuciła się na łóżko.

Łzy podziały jak balsam. Wreszcie była w stanie je otrzeć i stawić czoło światu. Zerknęła na kopertę, którą niedbale rzuciła na sekretarzyk.

Pora spojrzeć, co przysłała mi stary Barkley...

Wstała z oporem i podeszła do sekretarzyka. Wzięła kopertę i wróciła z nią na łóżko. Złamała pieczęć i wyjęła zawartość na kape.

W środku znajdowała się kartka z firmowym nadrukiem, który przywołał jej znów na myśl Tony'ego, oraz druga koperta.

Bez entuzjazmu podniosła napisaną na maszynie kartkę, zastanawiając się, jaki nowy formularz przysłano jej do wypełnienia.

Ale gdy przeczytała list i stopniowo dotarła do niej jego treść, nagle usiadła prosto.

Droga Panno Smith!

W tej kopercie znajdzie Pani list od swego ojca. List ten został powierzony mojej opiece z zastrzeżeniem, by dostarczyć go Pani tylko w przypadku nawiązania przez Panią kontaktu z rodziną w Bretanii. Dowiedziałem się od Anthony'ego Rollinsa, że przebywa Pani obecnie w u swej babki w zamku Kergallen, powierzyłem więc list Antony'emu, by dostarczył go Pani osobiście.

Gdyby poinformowała mnie Pani wcześniej o swoich pianach, wcześniej spełniłbym życzenie Pani ojca. Oczywiście nie znam treści tego listu, pewien jestem jednak, że przyniesie Pani pocieszenie. Barkley

Serenity odłożyła list od prawnika i podniosła drugą kopertę. Przez chwilę wpatrywała się w nią, potem odwróciła ją awerssem, a wtedy oczy znów zaszyły jej mgłą, gdy zobaczyła swoje imię i nazwisko napisane znajomym charakterem pisma.

List napisany był również odręcznie - śmiałym, wyraźnym charakterem pisma jej ojca.

Moja kochana Serenity!

Gdy będziesz, czytać ten list, Twojej matki i mnie nie

będzie już przy Tobie. Modłę się, byś zbyt głęboko nas nie oplakiwała, ponieważ miłość, którą do Ciebie czujemy, pozostanie tak prawdziwa i silna jak samo życie.

Teraz masz dziesięć lat i jesteś już tak podobna do matki, tak urocza, że niepokoimy się o chłopców, którzy pewnego dnia zaczną o Ciebie toczyć boje. Obserwowałem Cię dziś rano, gdy siedziałaś spokojnie. A to dla Ciebie bardzo nietypowe, ponieważ przeważnie można Cię zobaczyć, jak z prędkością światła jeździsz na rowerze lub zjeżdżasz po poręczy, nabijając sobie siniaki. Otóż siedziałaś w ogrodzie z moim szkicownikiem i w niebywałym skupieniu rysowałaś kwitnące azalie. Zrozumiałem, ku swej rozpaczy, ale i dumie, że dorastasz i że nie zawsze będziesz małą dziewczynką, bezpieczną w świecie, który stworzyliśmy Ci z matką. Doszedłem do wniosku, że muszę opisać Ci historię, z którą być może pewnego dnia zostaniesz skonfrontowana.

Poproszę starego Barkleya - uśmiech pojawił się na twarzy Serenity na myśl, że już wiele lat temu tak nazywano prawnika - by przechował ten list aż do chwili, gdy skontaktuje się z Tobą twoja babka lub ktoś inny Z rodziny matki. Gdyby tak się nie stało, nie będzie potrzeby wyjawiania Ci rodzinnego sekretu, który ukrywaliśmy wraz Z matką od ponad dziesięciu lat.

Był przepiękny wiosenny dzień. Malowałem na ulicy w Paryżu zakochany w tym mieście i nieszukający innej kochanki. Byłem wówczas bardzo młody i, jak sądzę, bardzo impulsywny. Poznałem pewnego człowieka, Jeana - Paula le Goffa, na którym zrobił wrażenie - jak to określił - mój surowy talent. Zamówił u mnie portret swojej narzeczonej, który chciał podarować jej w prezencie ślubnym. Zaprosił mnie w związku z tym do zamku

Kergallen w Bretanii. Od chwili gdy wszedłem do ogromnego zamkowego holu i po raz pierwszy zobaczyłem Twoją matkę, moje życie rozpoczęło się na nowo. Wyglądała jak anioł z włosami jak słoneczna aureola. Całą siłą woli starałem się skupić na sztuce. Miałem ją tylko namalować, była narzeczoną mojego zleceniodawcy, należała do tego zamku, do innego świata, była arystokratką o drzewie genealogicznym sięgającym pradziejów. Powtarzałem sobie to wszystko setki razy. Jonathan Smith, wędrowny artysta, nie miał do niej prawa nawet w marzeniach, nie mówiąc o rzeczywistości. Gdy robiłem wstępne szkice do portretu, wydawało mi się, że umrę z miłości do niej. Wmawiałem sobie, że muszę odejść, znaleźć jakąś wymówkę i wyjechać, ale nie mogłem wykrzesać w sobie dość odwagi. Dziękuję teraz za to Bogu.

Pewnego wieczoru, podczas spaceru po ogrodzie, spotkałem ją. Myślałem, żeby się wycofać, ale ona mnie usłyszała, a gdy się odwróciła, zobaczyłem w jej oczach coś, o czym nawet nie śmiałem marzyć. Kochała mnie! Miałem ochotę krzyczeć z radości, ale stało przed nami tyle przeszkód. Była zaręczona z innym mężczyzną. Nie mieliśmy prawa do naszej miłości. Ale czy potrzeba prawa do miłości, Serenity? Niektórzy nas potępili. Modłę się, żebyś Ty tego nie zrobiła. Po wielu rozmowach i łzach rzuciliśmy wyzwanie temu, co niektórzy nazywa ją prawością i honorem. Wzięliśmy ślub. Gaelle błagała, by zachować to w sekrecie, dopóki nie znajdzie odpowiedniego sposobu, by powiedzieć o tym Jeanowi - Paulowi i swej matce. Chciałem, by cały świat się o tym dowiedział, ale zgodziłem się. Nie mogłem jej niczego odmówić.

Podczas tego trudnego okresu wyłonił się kolejny

problem. Hrabina, twoja babka, posiadała „Madonnę” Rafaela, która wisiała na poczesnym miejscu w salonie. Traktowała ten obraz jak rodzinną relikwię. Była dla niej symbolem ciągłości rodziny, jedynym trwałym elementem, który ocalał z pożogi wojennej. Gdy przyjrzałem się obrazowi dokładniej, nabrałem od razu podejrzenia, że jest falsyfikatem. Nic jednak nie powiedziałem, początkowo myślałem bowiem, że być może hrabina kazała skopiować obraz dla własnych potrzeb. Niemcy tyle jej zabrali - męża, dom - być może wzięli również oryginalnego Rafaela. Ale gdy oświadczyła, że postanowiła oddać Madonnę do Luwru, by wzbogacić narodowe zbiory, zamartłem z przerażenia. Polubiłem tę kobietę, jej dumę i determinację, jej wdzięk i godność. Nie chciałem widzieć, jak cierpi, a zdałem sobie sprawę, że ona naprawdę wierzy w autentyczność obrazu. Wiedziałem, że jeśli „Madonna” zostanie ofiarowana muzeum, historycy sztuki odkryją falszerstwo. Gaele będzie cierpieć z powodu skandalu, a hrabina zostanie kompletnie zrujnowana. Nie mogłem na to pozwolić. Czulem się jak zdrajca, proponując, że oczyszczę obraz, by przyjrzeć mu się bardziej krytycznie.

Zabrałem „Madonnę” do pracowni w wieży i tam dokładnie ją obejrzałem. Nie miałem wątpliwości, że to dobrze wykonana kopia. Ale nie byłem jeszcze pewny, co zrobić. Powziąłem decyzję, dopiero gdy znalazłem list ukryty za ramą. Był on wyznaniem pierwszego męża hrabiny, prawdziwym krzykiem rozpaczony z powodu zdrady, jaką popełnił. Wyznał w nim, że stracił prawie wszystko, w tym również majątek żony. Tkwił po uszy w długach, a ponieważ uznał, że Niemcy pokonają aliantów, postanowił sprzedać im Rafaela. Uważając, że pieniądze umożliwią mu przeżycie wojny, a interes z Niemcami zapewni

bezpieczeństwo jego majątkowi, zamówił kopią i w tajemnicy przed żoną podmienił obrazy. Później zapewne pożałował tego, co zrobił i schował swoje wyznanie za ramą obrazu. Miał zamiar odzyskać „Madonną”. Błagał o wybaczenie, jeśli mu się to nie uda.

Gdy kończyłem czytać ten list, Gaelle weszła do pracowni. Nie potrafiłem ukryć swojej reakcji ani listu, który trzymałem w rękach. Było za późno. Zostałem zmuszony podzielić się tym ciężarem z jedyną osobą, którą chciałem oszczędzić. W tamtej chwili odkryłem, że kobieta, którą kocham, ma więcej siły niż większość mężczyzn. Za wszelką cenę chciała uchronić swoją matkę przed wiadomością, która przyniesie jej ból i poniżenie. Wymyśliliśmy wspólnie plan ukrycia obrazu, by wyglądało na to, że został skradziony. Być może zrobiliśmy błąd. Do dziś nie wiem, czy postąpiliśmy słusznie. Ale twoja matka uważała, że nie ma innego wyjścia. Więc zrobiliśmy tak, jak zamierzaliśmy.

Wkrótce los zrządził, że Gaelle musiała powiadomić matkę o naszym ślubie. Odkryła, ku naszej wielkiej radości, że nosi dziecko - owoc naszej miłości - które stało się najcenniejszym skarbem naszego życia. Gdy powiedziała matce o małżeństwie i ciąży, hrabina wpadła we wściekłość. Miała do tego prawo, Serenity. Mogła czuć do mnie nienawiść. Zabrałem jej córkę, splamilem honor rodziny. W przystępie gniewu wydziedziczyła Gaelle, zażądała, byśmy opuścili zamek i nigdy tam nie wracali. Wierzę, że z upływem czasu zmieniałaby decyzję. Kochała Gaelle jak nikogo na świecie. Ale tego samego dnia odkryła zniknięcie Rafaela. Niewiele myślcie, oskarżyła mnie oraz córkę o kradzież rodzinnego skarbu. Czy mogłem temu zaprzeczyć? Widziałem niemą prośbę w oczach twej matki, bym zachował milczenie. Zabrałem więc

ją z zamku, oderwałem od rodziny i ojczyzny i wywiozłem do Ameryki.

Nigdy nie rozmawialiśmy o jej matce, ponieważ było to dla Gaelle zbyt bolesne. Zaczęliśmy budować nowe Życie. Z Tobą.

Znasz, już - teraz całą historię. Ta wiedza nakłada na Ciebie, wybaczyć, również pewną odpowiedzialność. Być może, gdy przeczytasz ten list, będziesz mogła wyjawiać prawdę. Jeśli nie, niech dalej pozostanie w ukryciu, tak jak falsyfikat, by zachować coś o wiele cenniejszego. Pójdiesz za głosem serca. Twój kochający ojciec

Serenity skończyła czytać. Otarła łzy i wzięła głęboki oddech. Wstała, podeszła do okna i długo patrzyła na ogród, w którym jej rodzice po raz pierwszy wyznali sobie miłość.

- Co robić? - wymamrotała pod nosem, ściskając list w ręce. - Gdybym przeczytała go miesiąc temu, poszłabym prosto do hrabiny, ale teraz... Teraz nie wiem...

Aby oczyścić ojca, musiała wyjawiać tajemnicę skrywaną od dwudziestu pięciu lat. Czy wyjawienie prawdy przyniesie pozytywny skutek? A może tylko zniweczy efekty poświęcenia jej rodziców? Ojciec radził, by posłuchała głosu swego serca, ale ono było teraz wypełnione miłością i bólem. Umysł też miała zmacony nadmiarem emocji. Poczowała nagły impuls, by pójść z tym do Christophe'a, ale szybko odsunęła ten pomysł. To wyznanie uczyni ją jeszcze bardziej bezbronną wobec niego, a rozstanie, z którym będzie wkrótce musiała sobie poradzić, jeszcze bardziej bolesnym.

Wzięła kilka głębokich oddechów. Musi wszystko przemyśleć. Przemyśleć jasno i dokładnie, a gdy już znajdzie rozwiązanie, musi mieć pewność, że jest ono

właściwe.

Zaczęła chodzić po pokoju. Nagle przystanęła i w szalonym pośpiechu zaczęła się przebierać. Przypomniała sobie poczucie wolności i swobody, które ją ogarnęło, gdy dosiadła konia. Takie wrażenia były jej potrzebne, by zdjąć ciężar z serca i oczyścić umysł.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Stajenny z powątpiewaniem popatrzył na Serenity, gdy poprosiła o osiodłanie Babette. Dowodził, choć z szacunkiem, że nie otrzymał polecenia od hrabiego. Serenity po raz pierwszy musiała powołać się na swoje arystokratyczne pochodzenie i wyniosłe poinformować go, że jest wnuczką hrabiny, więc jej wola musi być respektowana. Stajenny, mamrocząc coś po bretońsku, w końcu uległ. Niebawem siedziała więc na znajomej klaczy i kierowała się w stronę ścieżki, którą jechała z Christophe'em podczas pierwszej lekcji.

W lesie było cicho i spokojnie. Serenity starała się odpędzić wszelkie myśli w nadziei, że rozwiązanie w końcu samo przyjdzie jej do głowy. Prowadzenie klaczy nie sprawiało jej dziś trudności, ale nadal nie była bliższa znalezienia rozwiązania. Zdesperowana popędziła Babette do kłusa.

Klacz biegła szybko, wiatr odgarniał włosy z twarzy Serenity. Znowu zachłysnęła się wolnością, której tak szukała. Skierowała się na wzgórze ponad wioską.

Ktoś zawołał ją po imieniu. Gdy odwróciła się w siodle, zobaczyła Christophe'a jadącego ku niej na czarnym ogierze. Przy gwałtownym obrocie niechcący kopnęła w bok Babette, ta zaś, biorąc ten gest za komendę, ruszyła galopem. Zaskoczona Serenity omal nie spadła, potem walczyła o utrzymanie się w siodle, a koń pędził ścieżką wyciągniętym galopem. Zanim zdążyła skoordynować ruchy i wyhamować, Christophe wyrósł obok niej. Pochylił się i szarpnął jej wodze, klnąc pod nosem w kilku językach.

Babette stanęła jak wryta, a Serenity z ulgą przy-
mknęła oczy. Christophe chwycił ją w pasie i bezcere-

monialnie ściągnął z siodła. Patrzył na nią pałającymi gorączkowo oczami.

- Dlaczego przede mną uciekałaś? - Potrząsał nią jak szmacianą lalką.

- Nic takiego nie robiłam - zaprotestowała, szcękając zębami. - Chyba koń się przestraszył, gdy się odwróciłam. - Chwilowe odczucie ulgi powoli zastępował gniew. - Ale to by się nigdy nie stało, gdybyś mnie nie gonił! - Zaczęła się wyrwać, jednak on wzmocnił uścisk. - Sprawiasz mi ból! - wybuchła. - Dlaczego zawsze musisz sprawiać mi ból?

- Gdybyś skrzyła kark, ból byłby o wiele większy, moja droga - oświadczył, odciągając ją od koni. - Dlaczego sama, bez opieki, wybrałaś się na tę przejażdżkę?

- Bez opieki? - Zaśmiała się nerwowo i odskoczyła od niego. - Jakie to staroświeckie! Czy w Bretanii kobiety nie mogą same jeździć konno?

- Mogą, ale takie, które mają trochę oleju w głowie - odparował z wyraźną wściekłością.

- Szło mi doskonale, zanim się nie pojawiłeś. Odejdź i zostaw mnie samą! - Patrzyła trochę ze strachem, jak podchodzi do niej ze zwięzonymi oczami.

- Odejdź! - krzyknęła i cofnęła się. - Chcę być sama! Muszę coś przemyśleć.

- Dam ci jeszcze jeden powód do przemyśleń. Podszedł szybko, chwycił za szyję i chciwymi ustami ukradł jej oddech. Na próżno go odpychała, walcząc zarówno z nim, jak i z zawrotem głowy, który zaczął ogarniać jej umysł. Christophe chwycił ją tak mocno za ramiona, że aż ją zabolaty i odsunął ją od siebie.

- Dosyć! Zrozumiałaś? - Znów nią potrząsnął. Twarz jego nagle zmieniła wyraz; była to twarz nieznanego,

szalonego, trochę brutalnego mężczyzny.

- Pragnę cię. Pragnę tego, czego nie posiadał jeszcze żaden mężczyzna. I przysięgam, na Boga, że będziesz moja!

Porwał ją w ramiona, wziął na ręce i mimo że w przybliżeniu prymitywnego strachu walczyła, waliła rękami w jego piersi, szedł pewnie, równym krokiem, jakby niósł rozkapryszone dziecko.

Po chwili znalazła się na ziemi pod ciężarem jego ciała. Protesty nie robiły na nim żadnego wrażenia. Szarpnął jej bluzkę i pieszczotliwymi palcami przesuwając po nagim ciele, a jego poczynania, pełne zniecierpliwienia i natarczywe, wykluczały wszelkie myśli o oporze.

Opór przeszedł w pragnienie, zaczęła szukać jego ust, rękami, którymi wcześniej go odpychała, teraz przyciągała go do siebie. Ogarnięta falą namiętności, zaczęła instynktownie odpowiadać na jego pieszczoty, które przenosiły ją do nowego, nieznanego świata, gdzieś na granicę piekła i nieba, tam, gdzie istnieje tylko jeden mężczyzna i jedna kobieta.

Prowadził ją coraz dalej, aż przyjemność i ból zlały się w jedno. Jęknęła ze strachu i rozkoszy, zacisnęła palce na jego ramionach, jakby chciała się uchronić przed upadkiem.

Nagle oderwał usta od jej ust i, oddychając nierówno, przyłożył policzek do jej czoła. Potem uniósł głowę i popatrzył na nią z góry.

- Znów sprawiam ci ból, ma petite. - Westchnął, zsunął się z niej i położył obok na plecach. - Rzuciłem cię na ziemię i omal nie zniewoliłem jak jakiś barbarzyńca. Trudno mi przy tobie utrzymać na wodzy moje prymitywne instynkty.

Usiadła i nieporadnie zaczęła zapinać guziki bluzki.

- Wszystko w porządku. - Starła się, by głos jej brzmiał beztrosko, ale jej się nie udało. - Nic się nie stało. Jestem silna. Ale powinieneś bardziej kontrolować swój temperament - bąknęła, ukrywając ból. - Genevieve jest bardziej krucha i delikatna i...

- Genevieve? - Uniósł się na łokciu, patrząc jej w oczy. - Co Genevieve ma z tym wspólnego?

- Z tym? - odpowiedziała. - Och, nic. Nie zamierzam jej o tym wspominać. Lubię ją.

- Może powinniśmy przejść na francuski, Serenity. Nie bardzo cię rozumiem.

- Ona cię kocha, ty głupcze! - wybuchła, ignorując prośbę o zmianę języka. - Przyszła do mnie po radę. Do mnie! Nie wiedziała, co zrobić, byś dostrzegł w niej wreszcie kobietę!

- Powiedziała ci, że jest we mnie zakochana? - spytał, z niedowierzaniem mrużąc oczy.

- Nie wprost... - Zawahała się, żałując teraz, że w ogóle poruszyła ten temat. - Powiedziała, że od zawsze kocha jednego mężczyznę, on natomiast traktuje ją jak dziecko. Poradziłam jej, by mu to wyznała, by mu uświadomiła, że jest kobietą, a nie dzieckiem i... Z czego się śmiejesz?

- Myślałaś, że ona mówi o mnie? - Położył się na plecach i zaśmiał się głośno i szczerze. - Mała Genevieve zakochana we mnie! Dobre sobie!

- Nie śmieję się z niej! Jak możesz być taki okrutny i naśmiewać się z kogoś, kto cię kocha?

Złapał ją za nadgarstek, zanim zdążyła uderzyć go w klatkę piersiową.

- Genevieve nie mnie miała na myśli, moja droga.

- Trzymał ją nadal za ręce bez najmniejszego wysiłku.

- Mówiła o Jannie. Nie poznałaś Janna, prawda, kochanie? - Zignorował jej wściekłe wysiłki, by się wyswobodzić, i ciągnął z szerokim uśmiechem: - Razem dorastaliśmy, Jann, Yves i ja, no i oczywiście Genevieve, która chodziła za nami jak mały szczeniak. Yves'a i mnie zawsze traktowała jak braci, Jann zaś był jej prawdziwą miłością. W zeszłym miesiącu wyjechał do Paryża w interesach i dopiero wczoraj wrócił do domu.

- Lekko pociągnął ją do siebie i położył na swojej klatce piersiowej. - Genevieve zadzwoniła do mnie dziś rano i zawiadomiła o zaręczynach. Prosiła również, bym podziękował ci w jej imieniu. Teraz wiem, dlaczego. - Uśmiechnął się szerzej na widok jej szeroko otwartych oczu.

- Ona jest zaręczona? - wyjąkała Serenity? - A więc to nie byłeś ty...?

- Nie, to nie ja - odpowiedział łagodnie. - Powiedz mi, piękna kuzynko, czy byłaś choć trochę zazdrosna, gdy myślałaś, że Genevieve jest we mnie zakochana?

- Nie bądź śmieszny! - parsknęła, próbując odsunąć się od niego. - Jestem tak samo zazdrosna o Genevieve, jak ty o Yves'a.

- Czyżby? - Jednym szybkim ruchem zmienił pozycję, tak że teraz on patrzył na nią z góry. - W takim razie powiem ci, że omal nie spaliłem się z zazdrości o mojego przyjaciela Yves'a i mało nie zamordowałem tego Amerykanina Tony'ego! Darzyłaś ich uśmiechami, które powinny należeć do mnie. Od chwili gdy zobaczyłem cię, jak wysiadasz z pociągu, byłem stracony, zauroczony i walczyłem z tym uczuciem, jak mężczyzna walczy z

groźbą zniewolenia. Ale być może taka niewola to wolność. - Pogłaskał ją po jedwabistych włosach. - Ach, Serenity, je t'aime.

Przełknęła ślinę, by odzyskać głos.

- Możesz to powtórzyć?

Uśmiechnął się i przelotnie musnął ustami jej usta.

- Po angielsku? Kocham cię. Kocham cię od chwili, gdy cię zobaczyłem, i będę cię kochał do końca życia. - Pochylił nad nią głowę i przesunął ustami po jej policzku z czułością, jakiej nigdy się po nim nie spodziewała. Oderwał się od jej twarzy dopiero wtedy, gdy poczuł na wargach jej łzy. - Dlaczego płaczesz? - spytał zdumiony. - Co takiego zrobiłem?

Pokręciła głową.

- To tylko dlatego, że tak bardzo cię kocham i pomyślałam. .. - Głęboko westchnęła. - Christophe, czy ty wierzysz, że mój ojciec był niewinny? Czy uważasz, że jestem córką złodzieja?

Długo przyglądał jej się w milczeniu z nachmurzoną twarzą.

- Powiem ci, co wiem, Serenity. I powiem ci, w co wierzę. Wierzę, że cię kocham, i to nie tylko anioła, który wysiadł z pociągu w Lannion, ale również kobietę, którą później poznałem. Dla mnie nie ma różnicy, nawet gdyby twój ojciec był złodziejem, oszustem albo mordercą. Słyszałem, jak mówiłaś o swoim ojcu, i widziałem, jaki miałaś wtedy wyraz twarzy. Nie mogę uwierzyć, że człowiek, który zasłużył sobie na taką miłość i oddanie, popełnił takie przestępstwo. Tak uważam, ale to nie ma znaczenia. Nic, co zrobił lub czego nie zrobił, nie może zmienić mojej miłości do ciebie.

- Och, Christophe... - wyszeptwała, przyciągając jego

głowę do siebie. - Przez całe życie czekałam na takiego mężczyznę jak ty. Muszę ci coś pokazać - Wyjęła z kieszeni list i podała mu go. - Mój ojciec kazał mi pójść za głosem serca, a ono należy teraz do ciebie.

Serenity usiadła naprzeciwko niego i obserwowała jego twarz, gdy czytał list. Ogarnął ją błogi spokój, zadowolenie, jakiego nie zaznała od chwili śmierci rodziców. Przepelniała ją miłość wraz z silnym poczuciem bezpieczeństwa. Znalazła oto oparcie, bezpieczną przystań i wiedziała, że Christophe pomoże jej podjąć właściwą decyzję. Była nienaturalnie spokojna. Ciszę zakłócał jedynie szum wiatru w liściach oraz świergot ptaków. Miała wrażenie, że przebywa w dziwnym miejscu poza czasem. Tylko ona i on.

Gdy Christophe skończył czytać, podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie.

- Twój ojciec bardzo kochał twoją matkę.

- Tak.

Nie odrywając od niej wzroku, złożył list i schował go do koperty.

- Szkoda, że nie mogłem go poznać. Gdy przyjechał do zamku, byłem dzieckiem, a zresztą jego pobyt tu nie trwał długo.

- Co powinniśmy zrobić? - Wbiła w niego wzrok. Przynal się bliżej i ujął jej twarz w dłoń.

- Musimy pokazać ten list babci.

- Ale oni nie żyją, a nie chciałabym jej zranić... Pocałował jej lśniące od łez rzęsy.

- Kocham cię, Serenity, z wielu powodów. Teraz dałaś mi jeszcze jeden. - Ich oczy znów się spotkały.

- Posłuchaj mnie, kochana, i zaufaj mi. Babcia musi zobaczyć ten list, dla własnego spokoju ducha. Ona wierzy,

że córka ją zdradziła, że współuczestniczyła w kradzieży. Żyła w tym przeświadczeniu przez dwadzieścia pięć lat. Ten list ją uwolni od tego ciężaru. Słowa twego ojca przekonają ją, że Gaele ją kochała. I że jej zięć był człowiekiem honoru.

- Zgoda - odezwała się Serenity. - Jeśli uważasz, że to jest najlepsze wyjście, zrobimy to.

Uśmiechnął się i podniósł jej ręce do ust, a potem pomógł jej wstać.

- Powiedz mi, droga kuzynko - na jego smagłej twarzy pojawił się jakże znajomy przewrotny uśmiezek - czy zawsze będziesz mi tak posłuszna?

- Nie - odpowiedziała, stanowczo kręcąc głową. - Na pewno nie.

- Tak też myślałem. - Podprowadził ją do koni. - A więc nasze życie przynajmniej nie będzie nudne. - Wziął wodze bułanej klaczy w ręce, gdy tymczasem Serenity dosiadła jej bez pomocy. Zmarszczył brwi, podając jej wodze. - Jesteś zdumiewająco niezależna, uparta i impulsywna. Ale i tak cię kocham.

- Ty natomiast - zauważyła z kpiącym uśmiechem, gdy wskakiwał na swojego ogiera - jesteś nieznośnie arogancki, apodyktyczny i irytująco pewny siebie. Ale również cię kocham.

Dojechali do stajni. Oddali konie pod opiekę stajennego, a potem, trzymając się za ręce, poszli do zamku. Przy wejściu do ogrodu Christophe zatrzymał się na chwilę.

- Powinnaś dać ten list babci osobiście, Serenity. - Wyjął kopertę ze swojej kieszeni.

- Wiem. - Popatrzyła na kopertę, którą wsunął jej do ręki. - Ale będziesz przy mnie?

- Tak, kochanie. - Objął ją ramieniem. - Będę przy tobie. - Serenity zarzuciła mu ramiona na szyję i połączyła ich znów długi, namiętny pocałunek.

- Ach, moje drogie dzieci... - Głos hrabiny, która przyglądała się im z głębi ogrodu, przerwał czarowną scenę. - Widzę, że nareszcie przestaliście walczyć z tym, co nieuchronne?

- Jesteś przemądrzała, babciu - zauważył z przekąsem Christophe. - Ale wierzę, że to by nam się udało nawet bez twojej bezcennej pomocy.

Eleganckie ramiona poruszyły się wymownie.

- Ale stracilibyście zbyt wiele czasu.

- Chodź z nami - ponaglił Christophe. - Serenity ma ci coś do pokazania.

W salonie hrabina zajęła swój ulubiony fotel, podobny do królewskiego tronu.

- Co chcesz mi pokazać, ma petite?

- Tony przywiózł mi list od mojego prawnika - powiedziała Serenity, podchodząc do hrabiny. - Dopiero teraz go otworzyłam... I okazało się, że jego treść jest ważniejsza, niż przypuszczałam. - Podała hrabinie list. - Ale zanim go przeczytasz, babciu... chciałabym, żebyś wiedziała, że cię kocham. - I dodała pospiesznie, widząc, że hrabina otwiera usta: - I kocham Christophe'a. A on, zanim przeczytał ten list, też powiedział, że mnie kocha. Nawet nie potrafię wyrazić, jak ta wiadomość podniosła mnie na duchu i dodała mi odwagi. Zdecydowaliśmy pokazać ci ten list, ponieważ cię kochamy. - Podała babce list i usiadła na sofie.

Christophe usiadł obok niej i wziął ją za rękę.

Serenity patrzyła na portret swej matki - zakochanej kobiety, w której oczach malowały się radość i szczęście.

Ja także je znalazłam, mamó, pomyślała.

Opuściła głowę i spojrzała na połączone ręce, na silne, smagłe place splecione z jej jasnymi oraz na pierścionek z rubinem, który kiedyś należał do jej matki, lśniący na tle kontrastujących kolorów skóry. Wpatrywała się w pierścionek, a potem podniosła wzrok na podobiznę swej matki. Wtedy zrozumiała.

Hrabina, wstając z fotela, przerwała jej rozmyślania.

- Przez ćwierć wieku źle oceniałam tego mężczyznę! I córkę, którą tak kochałam... - Odwróciła się do okna i powiedziała czułym tonem: - Zaślepiła mnie moja duma i stwardniało mi serce.

- Miałaś się tego wszystkiego nie dowiedzieć - wtrąciła Serenity. - Oni chcieli cię chronić.

- Chcieli mnie ochronić przed wiedzą, że mój mąż był złodziejem, oraz przed poniżeniem z powodu publicznego skandalu. I z tego powodu twój ojciec pozwolił się napiętnować, a moja córka wyrzekła się swego dziedzictwa! - Podeszła z powrotem do fotela i ze znużeniem usiadła. - Przez twego ojca przemawia wielka miłość, Serenity. Powiedz mi, czy moja córka była z nim szczęśliwa?

- Nie widzisz jej oczu na tym portrecie? - powiedziała Serenity, wskazując obraz. - Są przepełnione szczęściem. Zawsze takie były.

- Nigdy sobie nie wybaczę...

- Och, nie! - Serenity podeszła do babki, uklękła i ujęła jej kościste dłonie. - Nie pokazałam ci tego listu, by dołożyć ci bólu. Przeciwnie, chciałam cię od niego uwolnić. Przeczytałaś list i widzisz, że za nic cię nie obwiniali. Pozwolili, byś wierzyła, że cię zdradzili. Może się mylili... Ale to już się stało i nie ma powrotu.

- Mocniej ścisnęła dłonie babki. - Mówię ci teraz, że za nic cię nie winię i błagam, byś choć przez wzgląd na mnie nie obwiniała siebie.

- Ach, Serenity, drogie dziecko! - Głos hrabiny był pełen wzruszenia, które malowało się także w jej oczach.

- W porządku - dodała szorstko i wyprostowała ramiona.

- Będziemy pamiętać tylko szczęśliwe chwile. Opowiesz mi o życiu Gaelle z twoim ojcem w Georgetown, dobrze? Chcę poznać je bliżej.

- Oczywiście, babciu.

- Być może pewnego dnia zabierzesz mnie do tego domu, gdzie się wychowałam?

- Do Ameryki? - Serenity była głęboko poruszona. - Nie obawiasz się podróży do tak niecywilizowanego kraju?

- Znowu zaczynasz, zuchwała dziewczyno? - oświadczyła hrabina królewskim tonem, a potem wstała z fotela. - Podejrzewam, że dzięki tobie szybko poznam twego ojca, moja droga. - Pokręciła głową z niezadowolaniem. - Gdy sobie pomyślę, ile ten obraz mnie kosztował! Naprawdę się cieszę, że się go pozbyłam.

- Nadal masz kopię - poprawiła ją Serenity. - Wiem, gdzie ona jest.

- Skąd wiesz? - Christophe odezwał się po raz pierwszy, odkąd weszli do pokoju.

Odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

- To było napisane w liście, chociaż początkowo nie zdawałam sobie z tego sprawy. Dopiero teraz, gdy tu siedzimy i trzymasz mnie za rękę, doznałam olśnienia. Widzisz to? - Wyciągnęła rękę, na której błyszczał rubin. - To pierścionek mojej matki. Taki sam nosi na portrecie.

- Zauważyłam ten pierścionek na obrazie - powie-

działa z namysłem hrabina. - Ale Gaelle nie miała takiego pierścionka. Zawsze myślałam, że twój ojciec namalował go, bo pasował do jej kolczyków.

- Ona miała ten pierścionek, babciu. To był jej pierścionek zaręczynowy. Zawsze nosiła go na lewej ręce wraz z obrączką.

- Ale jaki to ma związek z kopią Rafaela? - spytał zaintrygowany Christophe.

- Na obrazie mama ma pierścionek na prawej dłoni. Mój ojciec nigdy nie pomyliłby się w takim szczególe, chyba że zrobił to celowo...

- Niewykluczone - bąknęła hrabina.

- Wiem, że obraz tutaj pozostał. Napisał to w liście, między wierszami. Píše, że go ukrył... przykrywając czymś o wiele cenniejszym. A dla niego nie było przecież nic cenniejszego ponad mamę.

- Tak - zgodziła się hrabina, uważnie przyglądając się portretowi córki. - Mądrze pomyślane. To była najbezpieczniejsza kryjówka...

- Mam pomysł - oświadczyła Serenity. - Mogłabym odsłonić róg obrazu, wtedy uzyskamy pewność.

- Nie! - Hrabina pokręciła głową. - Nie ma takiej potrzeby. Nie pozwolę zniszczyć ani fragmentu pracy twego ojca, nawet gdyby pod spodem był prawdziwy Rafael. - Odwróciła się do Serenity i poklepała ją po policzku. - Ten obraz, ty i Christophe jesteście moimi skarbami. Niech portret Gaelle pozostanie cały. - Uśmiechnęła się do wnuków. - Pozwólcie, że zostawię was samych. Kochankowie potrzebują prywatności.

Gdy majestatycznie opuszczała pokój, Serenity patrzyła za nią z podziwem.

- Jest wspaniała, nieprawdaż?

- Oui - przyznał Christophe, biorąc ją w ramiona. - I bardzo mądra. Nie całowałem cię od ponad godziny.

A potem popatrzył na nią z góry z typową dla niego pewnością siebie.

- Gdy już się pobierzemy, zamówię twój portret.

- Pobierzemy się? - powtórzyła Serenity, marszcząc brwi. - Jeszcze nie zgodziłam się wyjść za ciebie. - Odepchnęła go z udawanym oporem. - Nie możesz mi tego nakazać. Każda kobieta lubi, by ją o to poproszono.

Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował twardymi, natarczywymi wargami, a potem spytał od niechcienia:

- Mówiłaś coś, kuzynko?

- Nigdy nie będę arystokratką.

- I niech cię Bóg broni! - zgodził się szczerze.

- Będziemy często się kłócić, ponieważ bez trudu doprowadzam cię do szału.

- Nie mogę się już doczekać.

- To świetnie - powiedziała, tłumiąc uśmiech. - Wyjdę za ciebie, ale pod jednym warunkiem...

- Jakim? - Uniósł pytająco brwi.

- Że zabierzesz mnie dziś wieczorem na spacer po ogrodzie. - Mocniej objęła go za szyję. - Mam już dość spacerów w świetle księżycy z innymi mężczyznami.

GRECKI HONOR

Tytuł oryginału: Het Wright Pat

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niebo miało głęboki odcień błękitu. Morgan westchnęła. Czy rzeczywiście jeszcze wczoraj widziała nowojorską stal i beton? A teraz była tu, na wyspie Lesbos. Słońce, cisza i wszechogarniający spokój tak bardzo kontrastowały z nowojorskim tumultem.

Nagle ktoś zastukał do drzwi.

- Proszę! - zawołała.

- Widzę, że już wstałaś! - rzuciła Liz, filigranowy, złotowłosy elf. Za nią szła pokojówka.

Morgan z uśmiechem patrzyła, jak dziewczyna kładzie tacę na stoliku.

- Zjesz ze mną?

- Jadłam już, ale napiję się kawy. Liz usiadła i dłuższą chwilę przyglądała się Morgan. Długie blond loki, błękitne oczy i idealny owal twarzy robiły wrażenie.

- Morgan, wyglądasz prześlicznie! Tak się cieszę, że wreszcie przyjechałaś!

- Nie pojmuję, dlaczego zwlekałam. *Efxaristo* - dodała, bo pokojówka nalała jej kawy.

- Popisujesz się - zakpiła Liz. - Czy wiesz, jak długo musiałam się uczyć prostych greckich zwrotów? Zresztą nieważne... - machnęła ręką. Brylanty i szafiry w pierścionku zaręczynowym zalśniły w promieniach słońca.

- Już trzy lata, jak wyszłam za Aleksa, a nadal kaleczę ten język. Dziękuję, Zeno - dodała, odprawiając pokojówkę.

- Po prostu postanowiłaś, że nie dasz rady się nauczyć - powiedziała Morgan. - Gdybyś tylko otworzyła umysł, słowa same by do niego przeniknęły.

- Mówisz tak, bo sama znasz tuzin języków.

- Pięć.

- Pięć to o cztery więcej niż potrzebuje rozsądny człowiek.

- Ale nie rozsądny tłumacz. Gdybym nie mówiła po grecku, nie spotkałabym Aleksa, a wtedy ty nie zostałąbyś *Kyrios* Elizabeth Theoharis! Przeznaczenie to niezwykle i wspaniałe zjawisko - ogłosiła, pałaszując jajka.

- Filozofia śniadaniowa - mruknęła Liz. - Właśnie tego mi brakowało! A poważnie, wolę nie myśleć, jak to wszystko by się potoczyło, gdybym była poza domem, kiedy pojawił się Aleks. Nie przedstawiłabyś nas sobie!

- Liz, kochanie, chciałabym przypisać sobie zasługę twojego szczęścia małżeńskiego, ale to, że was sobie przedstawiłam, nie spowodowało późniejszych fajerwerków. Nie podejrzewałam, że stracę współlokatorkę w niecałe trzy tygodnie! Nigdy nie widziałam, aby dwoje ludzi zbliżyło się do siebie w takim tempie.

- Postanowiliśmy poznać się lepiej już po ślubie - rozpromieniła się Liz.

- A gdzie podziewa się Aleks?

- Buduje nowy statek. Eh. Dobrze mieć koło siebie najlepszą przyjaciółkę, a zarazem praworządną Amerykankę.

- *Spasibo*.

- Rozmawiajmy po angielsku! - nalegała Liz. - Dobrze wiem, że to nie było po grecku. Przez najbliższe cztery tygodnie nie będziesz tłumaczyła dla ONZ wypowiedzi różnych rządowych ważniaków. Nie boisz się, że kiedyś niewłaściwie przetłumaczysz jakiś niuans i wywołasz trzecią wojnę światową?

- Nie ma takiej możliwości. Sztuka polega na tym, by myśleć w języku, na który się tłumaczy. To łatwe!

- Nie wątpię... Ale teraz masz wakacje, więc myśl wyłącznie po angielsku. Chyba że masz chęć konferować z kucharzem.

- Za nic - zapewniła Morgan.

- Wakacje... - powiedziała Liz i wstała energicznie. - Mam zamiar znaleźć ci odpowiedniego partnera i zatrzymać w Grecji.

- Nawet nie wiesz, jak doceniam twoją troskę - szyderczo odpowiedziała Morgan.

- Drobiazg! Od czego ma się przyjaciół? Dobrym kandydatem byłby Dorian. To jeden z najlepszych ludzi Aleksa. Poznasz go jutro.

- Czy mam poprosić ojca o posag?

- Mówię serio! Nie dam ci tak po prostu wrócić. Wypełnię twoje dni słońcem i morzem, będę cię kusić zastępami wspaniałych facetów. Zapomnisz, że Nowy Jork i ONZ w ogóle istnieją!

- Już prawie wywietrzały mi z głowy. Zatem kuś mnie, ile chcesz.

- Idziemy na plażę. Przebierz się. Czekam na dole.

Pół godziny później Morgan uznała, że podoba jej się sposób perswazji Liz. Biały piasek, błękitna woda. Unosiła się na plecach. Stresy w pracy i to okropne rozstanie z Jackiem... Istotnie potrzeba mi spokoju - dumiała.

Jack to już przeszłość. Gdybym go kochała, nie byłabym w stanie myśleć o nim tak obiektywnie, wręcz...zimno - dotarło do Morgan. Nie było bólu ani samotności. Przeciwnie, odczuwała ulgę, musiała to przyznać sama przed sobą. Jednocześnie miała dziwne uczucie, że nie wie, co ze sobą zrobić. Zaproszenie Liz nadeszło w samą porę. Raj - pomyślała, patrząc w niebo.

Wszędzie czuło się tchnienie starożytnych bogów. Nieopodal leżała tajemnicza Turcja, oddzielona jedynie wąską Zatoką Edremit. Przymknęła powieki i gdyby nie głos Liz, zapadłaby w drzemkę.

- Morgan! Niektórzy ludzie muszą jadać regularnie.

- Ty zawsze myślisz o jedzeniu!

- I o twojej skórze - odparowała Liz. - Usmażysz się.

- Już dobrze, mam! - Posłusznie wyszła na piasek.

- Chodźmy, na czas lunchu Aleks zazwyczaj odrywa się od swoich okrętów.

Mogłabym zawsze jadać na tarasie - pomyślała po lunchu Morgan. Zauważyła, że Aleksander Theoharis jest zafascynowany swoją żoną równie mocno jak trzy lata wcześniej.

- Nie rozumiem, jak można w ogóle opuszczać to miejsce - wyznała Morgan. - Gdyby to wszystko było moje, nie ruszałabym się stąd.

- Za to po powrocie wszystko wydaje się jeszcze piękniejsze. Raj, podobnie jak kobietę, trzeba nieustannie podziwiać - stwierdził Aleks.

- Ja go podziwiam - zapewniła Morgan.

- Pracuję nad nią, Aleks. - Liz splótła swoje palce z palcami męża. - Mam zamiar sporządzić listę mężczyzn do wzięcia w promieniu stu kilometrów. A jeżeli nie namówimy cię na małżeństwo, Aleks będzie musiał zaproponować ci pracę w Atenach.

- Musiałbym wykraść Morgan z ONZ - przypomniał Aleks. - Nie udało mi się odciągnąć jej od pracy trzy lata temu, a próbowałem.

- Tym razem mamy cały miesiąc, by złamać jej opór. Weźmy ją jutro na jacht - zaproponowała Liz.

- Dobrze - zgodził się od razu. - Co ty na to,

Morgan?

- Hmm, bez przerwy pływam jachtem po Morzu Egejskim, ale skoro Liz nalega... - Błękitne oczy Morgan zaświeciły radośnie.

Tuż po północy Morgan wybrała się na plażę. Księżyc rzucał białą poświatę, mimo że do pełni było jeszcze daleko. Z oddali dobiegł pomruk silnika. Pewnie nocny połów - pomyślała. Plaża rozciągała się w szerokim półkolu. Morgan zostawiła ubranie i ręcznik na skale i wbiegła do morza. W zetknięciu ze skórą woda była tak chłodna, że miała ochotę zrzucić nawet skape bikini. Pływała, używając tylko tyle siły, ile potrzebowała do utrzymania się na powierzchni. Gwiazdy odbijały się w morzu w całkowitej ciszy.

Nowy Jork wydawał się odległy o lata świetlne. Przez moment zapragnęła, aby tak pozostało. Tutaj mogłaby spełnić swoje fantazje, na które nigdy nie mogła sobie pozwolić żyjąc w biegu. Tu można wierzyć w starożytnych bogów, błędnych rycerzy i łysych piratów. Parsknęła śmiechem i zanurzyła się głębiej. Bogowie, rycerze, piraci... chyba jednak wybrałaby pirata. Bogowie byli zbyt krwiożerczy, rycerze zbyt szarmanccy, ale pirat... Morgan pokręciła głową, zdziwiona własnymi myślami. To wpływ Liz. Przecież wszystko, czego pragnie, to spokój. Westchnęła i podплыnęła do brzegu.

Usiadła na skale i leniwie zaczęła rozczesywać włosy. Przez jedną krótką chwilę była w pełnej harmonii z naturą i własną duszą. Naraz zdrętwiała, bo obca dłoń zakryła jej usta. Instynktownie zaczęła się szarpać, ale wokół talii zacisnęło się silne ramię, a ostry materiał drapał nagą skórę. Gwałt?! Kopala na oślep, gdy napastnik ciągnął ją w kierunku kępy drzew.

- Ani słowa! - zabrzmiało po grecku. Zobaczyła błysk noża, po czym mężczyzna przygwoździł ją do ziemi.

- Dzika kotka - mruknął. - Bądź cicho, a nic ci się nie stanie. Rozumiesz?

Odrętwiała z przerażenia, potwierdziła. Teraz nie mogę się szarpać - zrozumiała. Minał już pierwszy szok, ale nadal się trzęsła. Było tak cicho, że słyszała fale rozbijające się o piasek. Spróbowała się przesunąć, ale przycisnął ją mocniej. Ręka na ustach dławiła oddech, aż przed oczami Morgan zaczęły tańczyć kolorowe cienie. Usłyszała, jak mężczyzna woła do niewidocznego towarzysza:

- Słyszysz coś?

- Jeszcze nic! Kim, u diabła, jest ta kobieta?

- Nieważne. Załatwimy to.

Zabiją mnie? - myślała oszołomiona.

Zaczęła się szarpać. Mężczyzna cicho zaklął i mocniej przycisnął ją do ziemi. Poczowała nikły zapach morza. Kiedy się podnosił, w ułamku sekundy dojrzała jego twarz - kanciaste rysy, wykrzywione grymasem usta i zmrużone oczy. Twarz mężczyzny gotowego zabić. Dlaczego? - myślała gorączkowo. Przecież nawet go nie znam.

- Idź za nim - polecił swemu towarzyszowi. - Ja zajmę się kobietą.

Nagle wszystko zawirowało jej przed oczami i zniknęło.

Morgan otworzyła oczy. Gwiazdy lśniły srebrzyście na czarnym tle nieba. Pod plecami czuła twarde piasek. Wsparła się na łokciu i próbowała oprzytomnieć. Zemdlała? A może zasnęła i to wszystko było tylko snem? Potarła skroń, niepewna, czy to jej fantazje na temat

piratów spowodowały halucynacje. Cichy dźwięk poderwał ją na równe nogi. Nie, to działa się naprawdę, on wraca! W miarę jak kroki zbliżały się, Morgan cofała się w cień. Wtedy pogodziła się z nieuchronną śmiercią, ale teraz nie podda się bez walki. Ciemny kształt był tuż tuż. Rzuciła się na niego, by po chwili znów znaleźć się na piasku.

- *Diabolos!* Cicho bądź! - krzyknął z furią po grecku.

- Ani myślę! - odrzyknęła po angielsku. Walczyła z całej siły, dopóki znów jej nie obezwładnił.

- Nie jesteś Greczynką - powiedział po angielsku. - Kim jesteś?

- Nie twoja sprawa - bezskutecznie próbowała uwolnić nadgarstki.

- Nie szarp się! Co robiłaś na plaży w środku nocy?

- Pływałam! Nawet idiota by zgadł! - wybuchła.

- Cicho bądź, do cholery! A więc pływałaś...

Widział, jak wychodziła z wody, chyba nie kłamała.

Amerykanka... Czy Theoharisowie nie oczekiwali czasem gościa z Ameryki?

- Nie jesteś Greczynką - powtórzył.

- Ani ty Grekiem - wycedziła.

- Pół na pół.

Zaczął intensywnie myśleć. Amerykański gość Theoharisów poszedł popływać w świetle księżyca... musi to ostrożnie rozegrać, bo będą spore kłopoty. Nieoczekiwanie uśmiechnął się.

- Zrobiłaś ze mnie durnia, chyba rozumiesz.

- Doskonale rozumiem! I nie zgwałcisz mnie tak łatwo, nie masz już noża.

- Nie zgwałcę? Nie miałem tego w planach... Wiedz, Afrodyto, że ten nóż nie był przeznaczony dla ciebie.

- W takim razie co to ma znaczyć? Puść mnie!

- Za chwilę - powiedział łagodnie. Podobał mu się błysk księżycy na jej skórze. Piękna twarz - myślał.

Mógłbym z nią poplirtować, oderwać jej myśli od dość szczególnych okoliczności tego spotkania. - Mogę tylko powiedzieć, że zrobiłem to dla twojego dobra.

- Ciekawe! - prychnęła.

- Nie było czasu na grzeczności, piękna panno. Przepraszam, jeżeli... jeżeli nie było to zbyt wytworne. Powiedz, dlaczego siedziałaś tak sama na skale jak Lorelei?

Głos nieznanego był teraz niski i uwodzicielski. Morgan prawie zwątpiła w jego wcześniejszą brutalność. Jednak nadal czuła lekkie rwanie w miejscu, gdzie palce mężczyzny zacisnęły się na jej skórze.

- Nie twoja sprawa! Puść, bo będę krzyczeć!

Kusiło go, by lepiej jej się przyjrzeć, ale podniósł się, zrezygnowany. Ta noc jeszcze się dla niego nie skończyła.

- Przepraszam za to, co zaszło.

- Och, doprawdy? - Morgan podniosła się z trudem.

- Masz tupet! Wleciesz mnie w krzaki, dusisz, a potem przepraszasz, jak gdyby nigdy nic! - Otuliła się ramionami, bo poczuła chłód. - Kim jesteś i o co tu chodzi?

- Proszę - podniósł leżącą na ziemi sukienkę. - Niosłem to, kiedy mnie zaatakowałaś - zaśmiał się. - Teraz nie ma znaczenia, kim jestem. A co się tyczy reszty - nie mogę nic powiedzieć.

- Tylko tyle? Zobaczymy, co na to powie policja.

- Morgan skinęła mu głową, po czym pomaszerowała w kierunku kamiennych schodków.

- Nie radzę tego robić. - Głos był cichy, ale stanowczy.

Morgan zawahała się i stojąc na pierwszym stopniu, odwróciła się. Już się go nie bała. Światło księżyca igrało na jego twarzy, która wyrażała wielką pewność siebie. Stał swobodnie z rękami w kieszeniach dżinsów. Aura władczości idealnie do niego pasowała. Do diabła z piratami - pomyślała, czując nagły dreszcz. Podobają się tylko wariatkom. Ponieważ czuła się niepewnie, starała się nadrobić brawurą. Zbliżyła się i zapytała z uniesionym podbródkiem:

- Ty byś tego nie zrobił?

- Nie. Pytania, raporty i stracony czas na całą tę biurokrację. A nawet gdybyś знаła moje nazwisko, Afrodyto, i tak nikt by ci nie uwierzył. Absolutnie nikt.

Uśmiech nie wzbudził w niej zaufania, podobnie jak uwodzicielskie imię, którym ją nazwał. Nie ufała też nagłej fali ciepła, która ją zaalała.

- Nie byłabym taka pewna...

- Nie zgwałciłem cię - przypomniał. Zbliżył się i powoli przesunął dłońmi po włosach Morgan, aż spoczęły na ramionach dziewczyny. Tym razem palce nie wpijały się w jej ciało, a leniwie gładziły skórę. Ona ma oczy czarownicy, a twarz bogini - pomyślał. - Aż dotąd nie uległem pokusie...

Wargi nieznanego przylgnęły do ust Morgan, gorące i niewiarygodnie miękkie. Odepchnęła go, ale zabrakło jej szybkości i siły. Delikatnie i zręcznie przyciągnął ją do siebie. Niespiesznie całował jej usta, aż serce Morgan zaczęło walić jak młotem. Zręczne ręce wśliznęły się w szerokie rękawy sukienki i zaczęły pieścić jej kark. Na moment złękła się, że po raz drugi zemdleje w jego ramionach.

- Jeden samotny pocałunek to prawie zbrodnia -

wymruczał prosto w jej usta.

- Przestań! - Morgan nagle odzyskała równowagę i odepchnęła go. - Jesteś szalony! Jeśli myślisz, że puszcze to płazem, tym gorzej dla ciebie! Mam zamiar... - urwała, a jej ręka podniosła się do szyi w nerwowym geście. Brakowało naszyjnika, który zawsze nosiła. - Co zrobiłeś z moim medalikiem? Oddaj go! - zażądała.

- Obawiam się, Afrodyto, że go nie mam.

- Oddawaj! - Tym razem brawura nie była udawana. - Dla ciebie nie ma żadnej wartości! Dostaniesz za niego zaledwie kilka drachm.

- Nie ukradłem twojego medalika. Nie jestem złodziejem! Gdybym chciał cię okraść, wziąłbym coś znacznie bardziej interesującego niż jakiś medalik... Ten drobiazg musi być dla ciebie ważny. Pamiątka po ukochanym?

- Prezent od kogoś, kogo Kocham! Ktoś taki jak ty z pewnością tego nie zrozumie!

Odwróciła się i wbiegła na schodki. Patrzył za nią, dopóki nie zniknęła w ciemności.

ROZDZIAŁ DRUGI

Czy księżycowa noc na plaży i tamten mężczyzna były snem? Gdyby nie brak medalika i ślady zadrapań na ramionach, może doszłaby do wniosku, że cały incydent był wytworem jej wybujałej wyobraźni. Dlaczego nie powiedziała nic Aleksowi i Liz? Skrzywiła się na samą myśl. Przeraziliby się na wieść, że została napadnięta. Może wiele znieść, ale nie straż, którą zafundowałby jej Aleks do końca pobytu na Lesbos. Smagły mężczyzna miał rację. Nie została ranna ani zgwałcona. Co takiego się stało? Ktoś zawłókł ją w krzaki, przytrzymał tam bez wyraźnego powodu, a następnie puścił całą i zdrową. Dla policji pocałunek to żadne przestępstwo. Nie okradziono jej; w żaden sposób nie udowodni, że to ów człowiek zabrał medalik. Westchnęła. Chociaż chętnie przypisałyby mu całe zło świata, nie wyglądał na złodziejzka. Czymkolwiek się zajmował, pewna była, że były to wielkie rzeczy.

Usłyszała kroki Aleksa. Na leżaku obok spała Liz. Aleks usiadł obok żony. - Słońce ją uspiło.

- Mnie też niewiele brakowało. Ale żal mi każdej chwili.

Spojrzała ponad wodą na majaczący w oddali zarys łądu.

- Chios - podpowiedział Aleks. - A to wybrzeże Turcji.

- Jak blisko! Chyba mogłabym tam dopłynąć.

- Odległości na morzu mogą być mylące. - Zapalił papierosa. - Musiałabyś być świetną pływakką. Łodzią łatwo tam dopłynąć. Niektórzy uważają nawet, że to opłacalne.

Na widok zdumionej miny Morgan roześmiał się.

- Przemyt. Nadal kwitnie, chociaż grożą za to surowe kary.

- Opium?

- Między innymi.

- To cię nie niepokoi? - Morgan nie spodobał się lekki ton Aleksa.

- Moje zapatrywania nie zmieniają tego, co trwa od wieków.

- Mimo wszystko, przestępcy prawie na twoim podwórku... - przerwała, myśląc o ulicach Manhattanu. Przyganiał kocioł garnkowi. - Pomyślałam tylko, że to cię denerwuje.

- Zostawiam to policji. Powiedz, dobrze się tu bawisz?

Morgan uśmiechnęła się. Aleks był typowym przedstawicielem starego kontynentu i nie lubił rozmawiać z gośćmi o nieprzyjemnych sprawach.

- Jest cudnie! Rozumiem, dlaczego Liz tak kocha to miejsce.

- Chce cię tu zatrzymać. Bardzo tęskni. Czasem mam poczucie winy, że za rzadko odwiedzamy cię w Ameryce.

- Niepotrzebnie. Liz jest szczęśliwa.

- Byłaby jeszcze szczęśliwsza, gdyby miała cię tutaj.

- Aleks, przecież nie mogę się tu przeprowadzić tylko dla towarzystwa, niezależnie od tego, jak bardzo oboje kochamy Liz.

- Nadal fascynuje cię praca dla ONZ?

- Lubię swoją pracę. Jestem w niej dobra, no i potrzebuję wyzwań.

- Jestem hojnym pracodawcą, zwłaszcza dla kogoś z

twoimi kwalifikacjami, Morgan. Proponowałem ci pracę trzy lata temu. Gdybym nie był wtedy - zerknął na śpiącą Liz - zakręcony... - podjął z uśmiechem - próbowałbym cię skuteczniej przekonać.

- Zakręcony? - Liz zsunęła okulary na czoło i spoglądała na męża.

- Podsluchujesz! - prychnęła Morgan. - Zawsze podziwiałam twoje maniery.

Steward postawił na stoliku drinki z lodem.

- Masz kilka tygodni, by to przemyśleć, Morgan.

- Aleks był mistrzem taktyki biznesowej, pod okrągłymi zdaniem kryła się nieustępliwość. - Ale ostrzegam cię, Liz będzie uparcie forsować swój pomysł. Zresztą zgadzam się z nią. Kobieta potrzebuje męża i poczucia bezpieczeństwa.

- Typowy Grek z ciebie - zadrwiła Morgan.

- Obawiam się, że jeden z kandydatów nieco się spóźni. Poznasz go dopiero jutro. Przywiezie moją kuzynkę Ionę.

- Bomba! - w głosie Liz zabrzmiała nuta sarkazmu.

- Liz nie przepada za Ioną, ale ona należy do rodziny.

- Chmurne spojrzenie Aleksa dowodziło, że walczyli już ten temat. - Mam pewne obowiązki.

Liz z westchnieniem ujęła szklanekę. Poglądziła dłoń męża i poprawiła:

- Mamy obowiązki. Iona będzie mile widziana. Twarz Aleksa tak szybko wyraziła bezgraniczną miłość, że Morgan aż jęknęła.

- Czy wy nigdy się nie kłóćcie? To niezdrowe, tak ciągle się ze sobą zgadzać!

Oczy Liz załśniły.

- Tylko czasami. Tydzień temu byłam na niego wściekła przez jakieś... piętnaście minut.

- To niesmaczne - stwierdziła Morgan.

- Nic nie mówisz o Jacku. Stało się coś?

- Liz! - skarcił żonę Aleks.

- W porządku - Morgan podeszła do relingu. - Szłam prostą, bardzo jasno określoną drogą. Mogłabym nią iść z zawiązanymi oczami - zaśmiała się i wychyliła przez barierkę. - W końcu zauważyłam, że to nie droga a koleina, a ja zapadam się w nią coraz głębiej... Musiałam zawrócić, zanim zmieniła się w pułapkę.

- Zawsze lubiłaś utrudniać sobie życie - mruknęła Liz, choć zniknięcie Jacka cieszyło ją i nie starała się tego ukryć.

- Liz, nie mam zamiaru padać na kolana ani przed Dorianem, ani przed kimkolwiek innym, tylko dlatego że nie jestem już z Jackiem.

- Mam nadzieję, że nie! Nie byłoby zabawy! Nagie szczyty wyspy Lesbos wynurzały się z wody.

Morgan dostrzegła czyste, białe linie willi Aleksa. Widać też było wioskę - wyblakłe, bielone wapnem chaty i kilka domów o bardziej wyrafinowanych kształtach; jednak dwa budynki przytłaczały resztę.

- Do kogo należy tamten dom? - zawołała przez ramię. - Jest niesamowity!

- Do Nicholasa Gregorasa, producenta, a od niedawna importera i eksportera oliwy z oliwek. Może zaproszę go na jutrzejszą kolację, chociaż chyba nie jest w twoim typie.

- A jaki jest mój typ?

- Ktoś, z kim będziesz mogła wojować. Kto utrudni ci życie.

- Chyba zbyt dobrze mnie znasz.

- Wiesz, Nick jest całkiem miły. Nie jest tak rażąco przystojny jak Dorian, ale ma w sobie coś pociągającego. Jest tuż po trzydziestce, dziesięć lat temu odziedziczył oliwkowe imperium. Potem zajął się importem i eksportem. Chyba ma do tego smykałkę.

- Przecież pytałam tylko, czyj to dom. Nie prosiłam o życiorys.

- To część moich usług...

- Nie masz w zanadrzu pasterza kóz? Chyba bardziej przemawia do mnie wizja małej białej chatki i wypiekania czarnego chleba.

- Zobaczę, co da się zrobić.

- Ty i Aleks chyba nie rozumiecie, że jest mi dobrze. Lubię być singielką. Potrafię posłużyć się śrubokrętem, zmienić koło...

- Zosia Samosia.

- Liz!

- Hej, niech mam trochę frajdy - prosząco powiedziała Liz, klepiąc Morgan po ramieniu. - Wszystko jest w rękach przeznaczenia.

- Zgoda, dawaj swoich Dorianów, Nicków i Lizanderów.

- Jakich Lizanderów?

- To dobre imię dla pasterza.

- Zaraz ci jakiegoś znajdę.

- Liz... - Morgan zawahała się, po czym spytała obojętnie: - Czy dużo osób korzysta z plaży, na której byliśmy wczoraj?

- Raczej nie. Najczęściej my i ludzie z Willi Gregorasa.

Zatoczka jest odludna i dostępna tylko z tych

schodków, które biegną pomiędzy naszymi posiadłościami. Zaraz, jest jeszcze chata, która należy do Nicka i którą czasami wynajmuje. Teraz mieszka w niej jakiś Amerykanin. Chyba Stevens... nie, nie Stevens, Stevenson - poprawiła się. - Andrew Stevenson, malarz lub poeta, lub ktoś taki. Jeszcze go nie poznaliśmy. Dlaczego o to pytasz? Masz zamiar opalać się nago?

- Po prostu byłam ciekawa... Chciałabym przyjrzeć się temu miejscu z bliska. - Wskazała szarą willę. - Architekt musiał być lekko szalony. Jest bajeczne!

- Oczaruj Nicka, a na pewno cię zaprosi - zasugerowała Liz.

- Spróbuję - Morgan zastanawiała się, czy to kroki Nicka Gregorasa słyszała ubiegłej nocy. - Tak, spróbuję.

Morgan już drugą noc nie mogła spać. Przeciągając się, wstała i prawie zderzyła z twardą pierśią. Tym razem dłoń, która zasłoniła jej usta, była delikatna, a przenikliwie oczy śmiały się.

- *Kalespera*, Afrodyto. Obiecuj, że nie zaczniesz krzyczeć, a puszczyć cię wolno.

Instynktownie próbowała się wyrwać, ale trzymał ją bez wysiłku. Poczwała, że nie ma szans, skinęła więc głową. Natychmiast ją puścił.

- Jak się tu dostałeś?

- Winorośle oplatające twój balkon są bardzo mocne.

- Wspiąłeś się po nich? Musisz być szalony! - Niedowierzanie zmieszało się z podziwem.

- To możliwe - zgodził się z uśmiechem. Włosy miał w nieładzie, a na podbródku ślad zarostu. W oczach nie było już napięcia ani zmęczenia, raczej iskierki fantazji i to pociągało Morgan, niezależnie od tego, jak bardzo się

opierała. W świetle lampy widziała go wyraźniej niż ubiegłej nocy. Rysy nieznanego nie były tak ostre jak sądziła. Ta twarz była pociągająca, dotarło do niej i poczuła przyплыw złości.

- Czego chcesz?

Ponownie się uśmiechnął, wolno wędrując po niej wzrokiem. Było to dość bezceremonialne. Miała na sobie jedynie głęboko wycięte skąpe body.

- Jak mnie tu znalazłeś?

- Taką mam pracę. - W głębi ducha poczuł uznanie dla jej odwagi, nie tylko figury. - Morgan James - ciągnął. - Z wizytą u przyjaciółki Elizabeth Theoharis. Amerykanka, zamieszkała w Nowym Jorku. Niezameżna. Zatrudniona w ONZ jako tłumacz. Zna grecki, angielski, francuski, włoski i rosyjski.

- Nieźle.

- Dzięki.

- Jak to wszystko ma się do twojej osoby?

- Oto jest pytanie... - Mógłbym użyć jej zdolności i profesji do swoich celów - myślał. To dobre połączenie, wręcz znakomite. - Dobrze się bawisz na Lesbos?

Morgan wolno kiwnęła głową. Nie, to nie jest żaden zbir ani gwałcieł. Jeżeli jest złodziejem, czego nadal nie mogła wykluczyć, to nie zwyczajnym. Zbyt ładnie się wysławia i porusza. Emanuje osobliwym urokiem, klasą, której trudno się oprzeć, a także sporą dawką arogancji. W innych okolicznościach mogłaby go nawet polubić.

- Masz niesamowity tupet.

- Znów mi pochlebiasz.

- Niech ci będzie. - Podeszła do balkonu i wykonała znaczący gest. - Obiecałam, że nie będę krzyżeć i dotrzymałam słowa. A teraz wynoś się!

- Podziwiam kobiety, które mają własne zdanie.

Podziwiam cię Morgan, ubiegłej nocy wykazałaś się rozsądkiem i odwagą, a takie przymioty rzadko chodzą w parze.

- Wybacz, ale jakoś nie jestem poruszona.

- Przecież przeprosiłem.

- Dla mnie to nie wyglądało na przeprosiny.

- A gdybym spróbował jeszcze raz, w inny sposób...
przyjąłabyś?

- Jeżeli przyjmę... pójdziesz sobie?

- Kiedy twoje towarzystwo jest takie miłe.

- Niech cię diabli!

- Afrodyto, ranisz mnie.

Zastanawiał się, czym tak pachniała. Zapach był niebanalny. To musiał być jaśmin - dziki jaśmin.

- Jutro poznasz Doriana Zoulasa i Ionę Theoharis. Zazwyczaj wiem o wszystkim, co dzieje się na wyspie - wyjaśnił łagodnie.

- To widać.

- Być może następnym razem podzielisz się ze mną wrażeniami.

- Nie rozumiem, dlaczego miałabym...

- A dlaczego nie?

- Słuchaj, nie będę z tobą rozmawiać! Zabieraj się stąd!

- Mam coś dla ciebie. - Sięgnął do kieszeni, po czym zamachał łańcuszkiem, z którego zwisał mały srebrny medalik.

- Więc jednak go ukradłeś! - Spróbowała pochwycić medalik. Oczywiście nieznajomego zwięzły się.

- Już ci mówiłem, nie jestem złodziejem! Wróciłem i znalazłem go pod drzewami.

Podał jej wisiołek. Wzięła go i spróbowała zawiesić na szyi.

- Jesteś bardzo taktownym napastnikiem.

- Sądzisz, że miałem zamiar zrobić ci krzywdę?

Ręce Morgan znieruchomiały. W głosie nocnego gościa nie było już tonu przekomarzania, a w oczach żartobliwych ogników.

- Uważasz, że miałem frajdę, strasząc cię tak mocno, aż zemdlałaś? Bałaś się, że cię zamorduję... Sądzisz, że przyjemnie jest widzieć zadrapania na twojej skórze i wiedzieć, że ja je zrobiłem?

- Skąd mam to wiedzieć? - spytała niewzruszenie.

Zamilkł. Do diabła, jest fantastyczna! - pomyślał.

I piękna. Na tyle piękna, żeby go rozproszyć, a na to nie mógł sobie pozwolić.

- Nie wiem, kim jesteś ani w co się wplątałaś - ciągnęła Morgan. - Poważnie, nic mnie to nie obchodzi, o ile zostawisz mnie w spokoju. W innych okolicznościach podziękowałabym ci za zwrot własności. A teraz wyjdź.

Zezłościła go. Nieczęsto półnaga kobieta wyprasza go z sypialni trzykrotnie podczas jednej nocy.

- Co za odwaga, Morgan. Niezła byłaby z nas para.

W błękitnych oczach nie dostrzegł strachu, jedynie lekką pogardę. Taka kobieta może doprowadzić mężczyznę do szaleństwa; sprawić, że będzie cierpiał. Ale na Boga, taka kobieta byłaby tego warta.

- Kazałam ci iść - powiedziała lodowato.

- Pójdę. Ale najpierw, skoro nie dajesz mi tego, czego chcę, wezmę to sam.

Ponownie znalazła się w jego ramionach. Tym razem nie był to uwodzicielski, pieścizotliwy pocałunek. Nikt dotąd tak jej nie całował. Gorące, przemożne

pożądanie, które ją ogarnęło, było zbyt silne, by mogła mu się oprzeć i myśleć trzeźwo. Jednak umysł domagał się odpowiedzi. Jak to możliwe, że go pragnie? Jej usta oddawały pocałunki. Język szukał jego języka, a dłonie opłoty ramiona nieznanego i przyciągały go do siebie.

- Masz cudowne usta, Morgan. Doprowadzają do szaleństwa.

Jego ręka rozpoczęła powolną wędrówkę wzdłuż jej pleców, gładziła jedwabne body. Czowała zapach morza na jego skórze. Pocałunki były coraz gwałtowniejsze, aż jęknęła. Złękła się tego, co może się stać, a jednocześnie pragnęła więcej. Nagle odsunął się. Był zły, że serce bije mu jak szalone, a rozum przyćmiła namiętność. Nie mógł pozwolić sobie na komplikacje. Nie powinien narażać jej na ryzyko. Z trudem opuścił ręce.

- To było dużo lepsze niż „dziękuję” - powiedział lekko. Z uśmiechem wskazał łóżko. - Masz zamiar poprosić mnie, abym został?

Morgan odskoczyła gwałtownie. Chyba mnie zahipnotyzował - pomyślała.

- Może innym razem - zdobyła się na równie beztroski ton.

- Nie mogę się doczekać, Afrodyto.

Wyszedł na balkon i zanim zaczął schodzić, uśmiechnął się raz jeszcze. Morgan z mętlikiem w głowie zamknęła drzwi balkonowe. Na klucz.

ROZDZIAŁ TRZECI

Morgan rozmyślała nad zagadkowym zachowaniem nocnego gościa i jedynie mała część jej umysłu brała udział w rozmowie z gośćmi. Dorian Zoulas był dokładnie taki, jak opisywała Liz - opalony przystojniak, szalenie wytworny. W jasnokremowym garniturze wyglądał jak współczesny Adonis. Dorian nie tylko domyślił się zamiarów gospodyni, ale też włączył się do gry. Żartobliwy wyraz jego oczu uspokoił Morgan, mogła teraz pozwolić sobie na niewinny flirt bez uczucia zakłopotania. Kuzynka Aleksa, Iona, nie zachwyciła Morgan. Blask urody i zamożności nie łagodził wyrazu nerwowości i gwałtownego temperamentu, Iona przypominała wulkan, gotowy lada chwila wybuchnąć. Jak jej tajemniczy gość. Zła na siebie, odpędziła dokuczliwe myśli. Zajęła się Dorianem.

- Pewnie w porównaniu z Atenami wydaje ci się tu bardzo spokojnie?

- Ta wyspa to cudowne miejsce. Ale ja kocham chaos. Jako mieszkanka Nowego Jorku na pewno mnie rozumiesz.

- Tak, ale teraz cisza mnie fascynuje - oparła się o poręcz, ciesząc się ciepłem słońca. - Na razie wyłącznie leniuchuję. Nie mam energii na zwiedzanie.

- Jest tu trochę lokalnych atrakcji. - Dorian wyjął złotą papierośnicę i zapalił. - Jaskinie, zatoczki, gaje oliwne, farmy i stada - wymieniał. - Urocza wioska.

- Właśnie tego potrzebuję. Ale nie mam zamiaru się śpieszyć. Będę zbierać muszelki i poszukam wieśniaka, który pozwoli mi wydoić kozę.

- Chętnie pomogę ci przy muszelkach. Ale co się

tyczy kóz...

- Dziwi mnie, że dobrze się bawisz bez żadnych rozrywek - rozległ się chropawy głos Iony.

- Wyspa mi wystarcza. Uważam, że wakacje, podczas których przeskakuje się od jednej aktywności do drugiej, nie są wakacjami w ogóle.

- Morgan leniuchowała przez dwa pełne dni - wtrąciła Liz. - Pobiła rekord!

- Mam zamiar zafundować sobie dwa tygodnie beczynności - mruknęła Morgan. I dodała cichutko: - I to już od dzisiaj.

- Lesbos to idealne miejsce na słodkie lenistwo. - Dorian wypuścił z płuc smugę wonnego dymu. - Sielsko, cicho...

Iona zacisnęła dłoń na szklance.

- A jednak ta część wyspy nie jest taka cicha, jak się wydaje.

- Postaramy się, aby było cicho podczas pobytu Morgan - zadeklarowała Liz - Ona rzadko leniuchuje i skoro tym razem ma takie plany, dopilnujemy, by miała wspaniałe wakacje.

Morgan chrząknęła, starając się nie zakrzusić winem. Urlop bez przygód! Gdyby Liz wiedziała...

- Dolać ci wina, Morgan? - Dorian uniósł butelkę, Iona zabębniła palcami po kutej poręczy krzesła.

- Zdaje się, że niektórzy lubią nudę.

- Można odpoczywać na wiele sposobów - głos Aleksa się zaostrzył.

- Morgan ma bardzo wymagającą pracę - odezwała się Liz. - Bez przerwy dygnitarze z różnych krajów, protokół dyplomatyczny i politycy.

Dorian posłał Morgan spojrzenie pełne zachwytu i

dolał jej wina.

- Ktoś taki jak ty ma pewnie wiele do opowiadania.

Morgan zmrużyła oczy. Od dawna nie uśmiechał się do niej z admiracją żaden mężczyzna.

- Kilka historyjek by się znalazło.

Pierwsze dwa dni na Lesbos znacznie różniły się od idyllicznych wakacji, które odmalowała Liz, ale to już była przeszłość. Przy odrobinie szczęścia nie wpadnie znów na tego atrakcyjnego szaleńca. W lusterku Morgan uchwyciła błysk swojego uśmiechu. Po powrocie do Nowego Jorku ani chybi czeka ją wizyta u psychiatry. Kiedy człowieka zaczynają pociągać szaleńcy, lepiej mieć się na baczności. A zresztą, nieważne - zdecydowała, podchodząc do szafy. Ma teraz ważniejsze sprawy na głowie - na przykład, w co się ubrać na kolację. Po krótkim namyśle wybrała zwiewną białą sukienkę. Pod wpływem Dorianą miała ochotę podkreślić nieco swoją kobiecość. Tego wieczoru miała zamiar dobrze się bawić. Od dawna już nie flirtowała. Myśli Morgan poszybowały do ogorzałego mężczyzny z potarganą czupryną i cieniem zarostu. Pilnuj się, dziewczyno - upomniała się.

Liz rozejrzała się po salonie. Światło było delikatne i w jego przytłumionym blasku wszystko wyglądało korzystnie. Idealnym dopełnieniem całości była nocna woń kwiatów. Wina zaordynowane do kolacji będą także świetnym tłem romansu. Niechby tylko Morgan zechciała współdziałać.

- Nick! Tak się cieszę, że przyszedłeś! Wspaniale, że wreszcie jesteśmy na wyspie w tym samym czasie!

- Zawsze miło cię widzieć, Liz. Słowo daję, jesteś coraz piękniejsza!

Liz wzięła go pod rękę i zaprowadziła do baru.

- Będziemy musieli częściej cię zapraszać. Nick, czy ja podziękowałam za tę przepiękną hinduską skrzynię jak należy? Ubóstwiam ją!

- Owszem. Cieszę się, że znalazłem to, czego szukałaś.

- Zawsze znajdujesz! Obawiam się, że Aleks nie wie, co to jest skrzynia z epoki hepplewhite.

- Każdy ma jakąś słabą stronę.

- Twoja praca musi być fascynująca. Ciągłe podróżujesz, oglądasz wszystkie te skarby...

- Czasami w domu jest ciekawiej.

- Tak rzadko tu bywasz, że trudno w to wierzyć. Gdzie byłeś ostatnio? W Wenecji?

- To piękne miasto - odrzekł gładko.

- Bardzo chciałabym je zobaczyć. Gdybym tylko mogła odciągnąć męża od tych jego statków... O nie, zdaje się, że Iona znów denerwuje Aleksa! Będę musiała zabawić się w dyplomatkę.

- Jesteś w tym świetna, Liz. Aleks to szczęściarz.

- Przypomnij mi o tym od czasu do czasu - poprosiła. - Lepiej, żeby się nie przyzwyczaił. O, idzie Morgan, dotrzymania ci towarzystwa.

- Bez wątpienia - mruknął. Podobała mu się sukienka, którą Morgan miała na sobie; zwiewna biała materia była jednocześnie kusząca i niewinna. Nie upięła włosów i teraz luźno opadały jej na ramiona, jak gdyby dopiero wstała. Co za piękność - pomyślał, czując ukłucie w sercu.

- Kochana! - zanim Morgan zdążyła otworzyć usta, Liz wzięła ją pod rękę. - Dotrzyмай przez chwilę towarzystwa Nickowi. Morgan James - Nicholas Gregoras - dokonała zdawkowej prezentacji, po czym odeszła.

Morgan patrzyła oniemiała. Nick podniósł do ust jej bezwładną dłoń.

- To ty - udało jej się wykrztusić.

- Afrodyto, jesteś boska. Nawet w ubraniu.

Spróbowała uwolnić dłoń. Nie zmieniając wyrazu twarzy, Nick wzmocnił uścisk.

- Uważaj, Morgan. Liz i jej goście będą zdziwieni twoim zachowaniem. A wyjaśnienia na ten temat - zaśmiał się - mogą dać im do myślenia na temat twojego zdrowia psychicznego.

- Puść mnie - powiedziała cicho, uśmiechając się samymi ustami. - Bo oberwiesz, przysięgam.

- Jesteś wspaniała - uwolnił ją, nieznacznie skłaniając głowę. - Czy wiesz, że kiedy jesteś zła, twoje oczy dosłownie strzelają pociskami?

- Mam nadzieję, że przedziurawią cię na wylot! A jak jeden trafi prosto w serce, proszę dać mi znać, panie Gregoras.

- Mów mi Nick, proszę. Nie powinniśmy tytułować się oficjalnie po tym, co... zaszło między nami.

Morgan uśmiechnęła się promiennie.

- Nie ma sprawy, Nick. Ty wstrętny padalcu! Szkoda, że nie mogę ci powiedzieć, jak bardzo cię nienawidzę!

- Umówimy się na inny termin. Już niedługo. A teraz przyniosę ci drinka.

Zjawiła się Liz, zachwycona, że tych dwoje wymienia uśmiechy.

- Wyglądacie jak para starych przyjaciół!

- Właśnie mówiłam panu Gregorasowi, jak bajkowo wygląda jego dom od strony morza. - Morgan posłała Nickowi groźne spojrzenie.

- To prawda, Morgan była nim zafascynowana - potwierdziła Liz.

Nick zapatrzył się w oczy Morgan. Można by w nich utonąć - pomyślał. Trzeba zachować ostrożność.

- Miss James przyjęła zaproszenie na jutrzejsze popołudnie - uśmiechnął się na widok całej gamy emocji na twarzy Morgan.

- Wspaniale! - rozpromieniła się Liz. - Nick ma w domu skarby z całego świata. To istny sezam!

Z uśmiechem na ustach Morgan wypowiadała w duchu trzy makabryczne życzenia, wszystkie dotyczące Nicka.

- Wprost nie mogę się doczekać.

Podczas kolacji Morgan obserwowała Nicka. To nie był ten sam mężczyzna. Zniknęła gdzieś intensywność i gwałtowność, zastąpiona przez przyjemne ciepło i wdzięk. Nicholas Gregoras, oliwa z oliwek, import - eksport, roztaczał aurę zamożności i sukcesu, i tę znaną już jej władczość. Siedział przy eleganckim stole i zaśmiewał się z Aleksem i Liz z jakiejś lokalnej historyjki. Ciemnoszary, nienagannie skrojony garnitur nosił z taką samą nonszalancją jak ubiegłej nocy ciemny T - shirt i dzinsy. Jego arogancja była teraz wyrafinowana, a wszelkie chropowatości wygładzone. Jak to możliwe, że to ten sam człowiek, który wymachiwał nożem i wspinał się po stromym murze na jej balkon? W co on gra? Odwróciła się do Doriana, Nicka pozostawiając Ionie.

Inteligentny, dowcipny i pozbawiony irytujących tajemnic Dorian był lepszym towarzyszem.

- Powiedz, Morgan, znasz tyle języków... czy one nie mieszają ci się trochę w głowie?

- Myślę naraz tylko w jednym języku.

- Możesz być dumna z takich zdolności.
- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Po prostu, kiedy już zaczęłam się uczyć, nie mogłam przerwać....
- Znając języki, w niejednym kraju możesz czuć się jak w domu.

- To prawda. Chyba dlatego czuję się tu tak dobrze.
- Podobno Aleks próbuje zwabić cię do firmy. Jestem gorącym zwolennikiem tego pomysłu.

Doleciał ich donośny śmiech Iony.

- Och Nicky, opowiadasz takie zabawne rzeczy!

Nicky? - prychnęła Morgan. Zaraz zwymiotuję. Z najpiękniejszym ze swoich uśmiechów zwróciła się do Doriana:

- Chyba podoba mi się twoje orędownictwo.

- Nicky, zabierz mnie jutro na jacht. Muszę się trochę rozerwać.

- Przykro mi, jutro nie mogę. Może pod koniec tygodnia. - Nick złagodził odmowę muśnięciem dłoni Iony.

Ta się nadała.

- Do tego czasu zanudzę się na śmierć!

Ciche westchnięcie Doriana. Morgan dojrzała, jak rzuca Ionie spojrzenie pełne irytacji. Po chwili powiedział spokojnie:

- Ostatnio Iona spotkała w Atenach Marię Popagos. Ileż ona ma dzieci, Iono? Czworo?

Traktują ją jak dziecko - pomyślała Morgan z niesmakiem. I tak też się zachowuje, jak zepsute, nieposłuszne, nie całkiem normalne dziecko. Przez resztę posiłku, a potem podczas picia kawy w salonie Morgan obserwowała zmiany nastrojów Iony, od smutku do gwałtowności. Dorian ignorował te wahania, najwyraźniej przyzwyczajony do nich lub zbyt dobrze wychowany, by je

dostrzec. Nick zachowywał się podobnie, jednak w tym wypadku z trudem zdobyła się na uznanie. Za to zauważyła z sympatią, że Aleks stawał się coraz bardziej roztargniony i kiedy kuzynka dolewała mu brandy, powiedział coś do niej półgłosem. Odpowiadając mu, dramatycznie potrząsnęła włosami, po czym przełknęła trunek i odwróciła się do niego plecami. Kiedy Nick podniósł się z miejsca, Iona zaczęła nalegać, że odprowadzi go do auta. Rzuciła zebraniem zwycięskie spojrzenie i ramię w ramię opuścili salon. Morgan chwilę zastanawiała się, kto był celem tego spojrzenia, ale machnęła ręką i postanowiła rozkoszować się wieczorem. Zwróciła się do Doriana. Kiedy znajdzie się w sypialni, będzie dość czasu na rozmyślanie.

Morgan pogrążona była we śnie. Wino szybko ją uśpiło. Choć starannie zamknęła drzwi balkonowe, przez okna napływało nocne powietrze.

Westchnęła i zmieniła pozycję, czując jak powiew wiatru pieści jej skórę. Przeciągnęła się z rozkoszą. W miarę jak widmowy pocałunek przybierał na sile, rozchyliła wargi i przyciągnęła do siebie nierealnego kochanka. Zmysły Morgan były uśpione, a ciało, miękkie i uległe, odbierało wrażenia równie słodkie i mocne jak wino, które nadal krążyło w jej żyłach. Poddała im się z westchnieniem sennej, omdlewającej rozkoszy, owijając ramiona wokół urojonego kochanka.

Wyszeptał jej imię, a pocałunek przybrał na sile. Czyjeś dłonie zaczęły odwijać ją z prześcieradeł; twarde, znajome palce przesuwają się po skórze. Ciało, zbyt twarde i muskularne jak na senne marzenie, przyłgnęło do ciała Morgan. Nierealne obrazy zaczęły przybierać wyraźniejszy kształt, a widziadło przybrało formę. Ciemne oczy, włosy, i

usta, piękne i chmurne. Nagle w ucho wionął jej szept i czułe wyznanie. Mglista zasłona snu nagle się podniosła. Ciężar leżący na jej ciele był prawdziwy, boleśnie realny - i boleśnie znajomy. Morgan zaczęła się szarpać.

- Bogini się budzi. Jaka szkoda.

Zobaczyła go w świetle księżyca. Jej ciało płonęło pożądaniem i odczuła zakłopotanie na myśl, że to on je obudził.

- Co ty wyrabiasz! - krzyknęła. - Tego już za wiele! Może uważasz, że będę siedzieć cicho, kiedy zakradasz się w nocy do mojego łóżka!

- Przed chwilą nie miałaś nic przeciwko...

- Nie do wiary! Co za podłość!

- Byłaś bardzo uległa. Najwyraźniej podobały ci się moje pieszczoty. A mnie podobało się, że ciebie dotykam.

- Puść mnie - poleciła w akcie samoobrony.

- Słodka Morgan... Tylko odwlekasz to, co nieuniknione.

Spróbowała wyrównać oddech. W głębi ducha czuła, że nawet gdyby wszystko było kłamstwem, to ostatnie zdanie było aż nazbyt prawdziwe.

- Nie obiecywałam, że następnym razem nie będę krzyczeć.

- To mogłoby być ciekawe... musiałbym jakoś wytłumaczyć się przed Alekssem i Liz. Mógłbym powiedzieć, że oszołomiła mnie twoja uroda. I częściowo byłaby to prawda. Ale i tak nie krzyknęłabyś.

- Skąd ta pewność?

- Gdybyś miała to zrobić, już byś spróbowała... albo mnie stąd wyrzuciła.

- Czego chcesz? I jak, u diabła, tu wszedłeś? Przecież zamknęłam - urwała, widząc szeroko otwarte

drzwi balkonowe.

- Uważasz, że zamek mógłby mnie powstrzymać?

- Teraz posłuchaj...

- Nie, wymówki zostaw na później. Przyszedłem sprawdzić, czy jutro nie dopadnie cię wygodny ból głowy, który uniemożliwi ci złożenie mi wizyty. Chcę z tobą omówić kilka spraw.

- I ja mam wiele spraw do omówienia z tobą! - z wściekłością wyszczała Morgan. - Na przykład, co robiłeś na plaży tamtej nocy? I kto...

- Później, Afrodyto. Teraz nie mogę się skupić. Twoje perfumy. Są bardzo... kuszące.

- Przestań! Dlaczego dziś wieczorem grałeś tę żalosną komedię?

- Kochanie, nie wiem, o czym mówisz. Byłem całkiem naturalny.

- Cholernie naturalny.

- Nie złość się na mnie - powiedział ugodowo.

- Mam powody - odparowała. Jak to możliwe, że w tych idiotycznych okolicznościach on nadal jest uroczy? - Byłeś idealnym gościem - ciągnęła, odrzucając jego rękę, która zaczęła bawić się ramiączkiem jej koszulki. - Czarującym...

- Dziękuję.

- I fałszywym.

- Nie byłem fałszywy. Po prostu dostosowałem się do okoliczności.

- Przypuszczam, że dość dziwnie by wyglądało, gdybyś nagle z kieszeni wyciągnął nóż.

Palce Nicka znieruchomiały. Ona mu tego nie zapomni, a i jemu niełatwo było wymazać z pamięci chwilę, gdy zemdląca pod nim ze strachu.

- Tylko parę osób zna mnie innego niż dziś wieczorem, a ty masz pecha zaliczać się do nich.

- Nie chcę cię znać ani takiego, ani innego, i to od zaraz. W oczach znów zamigotały mu wesołe iskierki.

- Kłamczucha. Przyjadę po ciebie o pierwszej.

W odpowiedzi Morgan wyrzuciła z siebie słowo, używane przez mało elitarne kręgi we Włoszech. Nick zareagował śmiechem.

- *Agapetike*, muszę cię ostrzec, że czasami w interesach natykam się na włoski półświatek.

- Tym lepiej, bo nie potrzebujesz tłumaczenia.

- Bądź gotowa. Chyba łatwiej sobie ze mną poradzisz w dziennym świetle, i kiedy będziesz nosić coś bardziej oficjalnego.

- W ogóle nie mam zamiaru sobie z tobą radzić - z furią zaczęła Morgan. - Ani kontynuować tej żalosalnej gierki i jechać jutro do ciebie.

- O, myślę, że jednak masz. - Bezcelny uśmiech Nicka był ogromnie irytujący. - Jak wyjaśnisz Liz, że nie chcesz ze mną jechać, skoro tak bardzo podoba ci się mój dom? Powiedz, co cię w nim tak ujęło?

- Szaleństwo architektury.

- Znów komplementy. Uwielbiam cię, Afrodyto. Chodź, pocałuj mnie na dobranoc.

- Nie ma mowy.

- Ależ tak... - Jeden szybki ruch i znów znalazła się pod nim. - Czarownico... jakież śmiertelnik mógłby ci się oprzeć?

Jego usta znów ją znalazły, całował ją powoli, aż przestała się wrywać. Dalej była już tylko namiętność - czysta, gorąca i nieprzytomna. Morgan poddała jej się z jękiem, garnęła się do Nicka, a on natychmiast wyczuł

zmianę. Za każdym razem, kiedy jej dotykał, wiedział, że będzie musiał pojąć ją całą. Ale nie teraz. Stawka była zbyt wysoka. Morgan to ryzyko, a zbyt wiele razy je podejmował. Gdyby nie znalazła się na plaży tamtej nocy... Czy sprawy ułożyłyby się inaczej? Czy udałoby mu się zwabić ją do łóżka dzięki swojej osobowości i paru zręcznym słówkom? Gdyby poznali się dzisiejszego wieczoru, czy zapragnąłby jej tak rozpaczliwie, tak nagle?

W życiu towarzyszyło mu niebezpieczeństwo i to mu odpowiadało. Ale ta kobieta i uczucia, jakie w nim obudziła, były ryzykiem. Chciał jej dotykać, zerwać z niej tę jedwabną szmatkę, poczuć pod palcami ciepło jej skóry. Jednak nie ośmielił się, znał granicę i swoje słabości. Nie czuł się dobrze z myślą, że Morgan James stała się jego słabością w czasie, kiedy nie mógł sobie pozwolić na najmniejsze potknięcie.

Szepcząc jego imię, wsunęła dłonie pod luźną koszulę; przesuwała nimi po napiętych mięśniach. Nick czuł, jak pożądanie narasta w nim z niepohamowaną mocą. Używając całej siły woli zacisnął mocno pięści, aż poczuł tępy ból. Coś uwierało go w dłoń, medalik Morgan.

- Śpij dobrze, Afrodyto. Do jutra.

- Ty... - urwała, walcząc z chęcią obrzucenia go wyzwiskami.

- Do jutra - powtórzył Nick, podnosząc do ust jej rękę. Morgan widziała, jak wychodzi na balkon, a następnie znika jej z oczu. Leżąc bez ruchu patrzyła przed siebie i zastanawiała się, w co się wplątała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Morgan z wdzięcznością przyjęła sugestię Liz, by pójść na plażę. Chciała uniknąć spotkania z Ioną i choć nie chciała się do tego przyznać, nie czuła się na siłach słuchać szczebiotania Liz na temat wczorajszej kolacji.

Potrzebowała samotności, wtedy najlepiej jej się myślało. W ciągu ostatnich dni nabierało się trochę spraw, które chciała przemyśleć. Co Nicholas Gregoras robił na plaży tamtej nocy? Pachniał słoną wodą. Przypomniła sobie warkot silnika. Wtedy sądziła, że to łódź rybacka, jednak Nick nie był rybakiem. Desperacko starał się, by nikt go nie zauważył... na tyle desperacko, że nosił nóż. Ciągle pamiętała wyraz jego twarzy, gdy przydusił ją do ziemi. W razie potrzeby użyłby noża. W jakiś sposób ta wiedza uwierała ją bardziej, niż gdyby był jej kompletnie nieznany.

Ze złością kopnęła kamień i zbiegła po kamiennych schodkach. Kto z nim wtedy był? Czyje kroki słyszała, gdy Nick więził ją w zaroślach? Aleksa? Człowieka, który wynajął od Nicka chatę? Zamyślona Morgan zsunęła buty i dalej boso szła po ciepłym piasku. Dlaczego Nick wolał zabić niż zostać rozpoznany? Przecież mógł tam przechodzić służący z którejś willi albo mieszkaniec wioski.

Nie wszystkie pytania naraz, upomniała się Morgan. Przemyt. To oczywiste. Logiczne. Usiadła na piasku. Nick wciągnął ją w jakieś ciemne sprawki, podczas gdy wszystko, czego chciała, to miłe i spokojne wakacje.

- Mężczyźni...

- Nie wezmę tego do siebie... - Ze skały podniósł się mężczyzna, wysoki i bardzo szczupły, z ciemnozłotymi

lokami uroczym rozrzuconymi wokół opalonej twarzy. - Chyba jesteś zła. Ale zaryzykuję. Nazywam się Andrew Stevenson.

- Poeta czy malarz?

Liz nie była pewna.

- Poeta. Albo tak sobie wmawiam.

Dojrzała notatnik, który trzymał w ręku. Zapisany drobnym, fantazyjnym pismem.

- Chyba przeszkodziłam ci w pracy.

- Wręcz przeciwnie, zainspirowałaś mnie. Masz niezwykle ładną twarz.

- To mi wygląda na komplement.

- Piękna damo, takie jak ty były natchnieniem poetów. Masz imię, czy zaczarujesz mnie, a potem rozmyjesz się we mgle?

- Morgan... - Wymyślny komplement, wypowiedziany z udawaną powagą, rozśmieszył ją. - Morgan James. Jesteś dobrym poetą?

- Przez grzeczność nie zaprzeczę. Jedną z moich największych zalet jest skromność. Wspomniałaś o Liz. Rozumiem, że masz na myśli panią Theoharis. Mieszkasz u nich?

- Przyjechałam na kilka tygodni. Wynajmujesz chatę od Nicka Gregorasa?

- Zgadza się. Właściwie nie wynajmuję, mieszkam w niej za darmo. - Chociaż odłożył na bok notatnik, teraz kreślił kształty na piasku. - Jesteśmy kuzynami. Zauważył zdziwienie na twarzy Morgan.

- Nasze matki są spokrewnione.

Ach, więc jego matka jest Amerykanką. To tłumaczyło znajomość języka.

- Pochodzi z San Francisco. Z jaśnie wielmożnych

Norlingów - uzupełnił z przekąsem. - Po śmierci ojca Nicka ponownie wyszła za mąż. Mieszka we Francji.

- Czyli zwiedzasz Lesbos i odwiedzasz kuzyna.

- Dokładnie tak. Nick zaproponował mi kryjówkę, kiedy zorientował się, że pracuję nad poematem epickim - wiesz, z lekka homeryckim. Chciałem posiedzieć na Lesbos. To ojczyzna Safony, a poezja i legenda zawsze mnie fascynowały.

- Safony? Ach tak, tej poetki.

- Dziesiąta muza. Mieszkała tu, w Mitylenie - popatrzył na plażę. - Lubię sobie wyobrazać, że to właśnie z klifu, na którym stoi dom Nicka, rzuciła się do morza, rozpaczając za Faonem.

- To musi być idealne źródło natchnienia dla poety.

- Byłaś w środku? Dom jest fantastyczny.

- Nie, ale dziś po południu wybieram się na indywidualne zwiedzanie - rzuciła lekko.

- Musiałaś zrobić wrażenie na Nicku, skoro cię zaprosił - skwitował Andrew. - Nic dziwnego - skłonił się.

- Jest bardzo wrażliwy na piękno.

Morgan uśmiechnęła się wymijająco. Andrew nawet nie przypuszcza, że zaproszenie nie było spowodowane ani jej wyglądem, ani wdziękiem.

- Często pisujesz na plaży? Ja nie mogę się od niej oderwać. Kilka dni temu przysłałam tu w nocy i pływałam w świetle księżyca.

Ta informacja nie wzbudziła w nim zdziwienia ani zaniepokojenia. Uśmiechnął się.

- Szkoda, że to przegapiłem. Ale zawsze możesz mnie gdzieś tu znaleźć. Na skałach, w gaju oliwnym, tam gdzie akurat zaprowadzi mnie ochota.

- Mam zamiar trochę tu pomyszkować.

- Gdybyś potrzebowała przewodnika, jestem do usług. Znam tę część wyspy jak własną kieszeń.

- Chętnie. Nie masz przypadkiem kozy?

- Co takiego? Nie, skąd.

- Nawet nie próbuj zrozumieć - poradziła. - A teraz idę się przebrać.

- Do zobaczenia.

- Na pewno, wyspa jest bardzo mała.

- Mam na myśli przeznaczenie.

Patrzył, jak Morgan odchodzi, a potem znów usiadł na skale, twarzą do morza.

Nicholas Gregoras był bardzo punktualny. Pięc po pierwszej rozentuzjasmowana Liz odprowadzała ją do drzwi.

- Baw się dobrze, kochanie. Będziesz zachwycona posiadłością.

Wsiadając do samochodu, Morgan stwierdziła:

- Powinieneś uważać. Liz uważa cię za odpowiedniego kandydata do mojej ręki. Chyba przeraża ją wizja starej panny w roli ciotki jej przyszłych dzieci.

- Afrodyto. Nie ma na świecie faceta, który mógłby wyobrazić sobie siebie w roli starej panny.

Starając się nie ulec tym zniewalającym słowom, Morgan zaczęła wyglądać przez okno.

- Dziś rano spotkałam na plaży twojego gościa.

- Mówisz o Andrew? Miły chłopak. Jak ci się podoba?

- Nie wygląda na chłopaka. To bardzo ujmujący mężczyzna.

- Chyba tak. Ja jakoś zawsze myślę o nim jak o chłopaku, chociaż między nami jest tylko pięć lat różnicy. Pewnie go oczarowałaś.

- Raczej zainspirowałam - padła odpowiedź pełna irytacji.

- Romantyk powinien inspirować drugiego romantyka.

- Jestem bardzo praktyczna!

- Och, jesteś niepoprawną romantyczką! Kobieta, która czesze włosy na księżycowej plaży, nosi zwiewne białe sukienki i strzeże jak oka w głowie bezwartościowej pamiątki... taka kobieta karmi się romanssem.

Niezbyt zachwycona tym opisem, Morgan chłodno odparła:.

- Płacę też rachunki i kontroluję poziom cholesterolu.

- Ach, godne podziwu! Stłumiła coś w rodzaju chichotu.

- Posłuchaj, Nicholasiu Gregorasiu, jesteś nieprzeciętnym łajdakiem.

- Racja. Nie cierpię być przeciętnym w jakiegokolwiek dziedzinie.

Morgan poprawiła się na siedzeniu, a cała jej uraza uleciała w mgnieniu oka, gdy dom pojawił się przed nimi w całej okazałości.

- O Boże - wymamrotała. - Jest cudowny!

Miał wygląd antycznej, surowej i niezniszczalnej budowli. Piętro zwieszało się nad morzem jak na wyciągniętym ramieniu, wydawało się nieprzystępne. Z bliska budynek nie tracił nic z siły, która zachwycała Morgan. Zamek Śpiącej Królowej sto lat po tym, jak ukłuła się w palec - pomyślała.

Miała zamiar zadać Nickowi całą masę pytań, ale kiedy przekroczyła próg, zapomniała o wszystkim. Na ścianach ogromnego hallu widniały barwne plamy makat i

prymitywnych malowideł. Na jednej ze ścian krzyżowały się włócznie. Z pewnością służyły do zabijania; emanowały jednak antycznym dostojnictwem. Spiralne schody prowadzące na piętro wykończone były ciemnym surowym drewnem. Miało to zachwycająco naturalny wyraz.

- Nicholasie - rozejrzała się Morgan i aż westchnęła.
- To piękne. Mam wrażenie, że zaraz ujrzę na tych schodach kroczącego cyklopa. Czy tę posiadłość zamieszkują centaury?

- Oprowadzę cię i może jakiegoś spotkasz.

Liz nazwała ten dom sezamem i miała rację. Pokój za pokojem objawiał cudowności - weneckie szło, jajka Faberge, afrykańskie maski, indiańską ceramikę, wazy z epoki dynastii Ming. Na pierwszy rzut oka muzeum, w rzeczywistości jeden wielki magazyn skarbów.

Idąc dalej i odkrywając niespodziankę po niespodziance, Morgan była coraz bardziej zafascynowana. Słynny waterfardzki kryształ sąsiadował ze śmiercionośną kuszą z siedemnastego wieku, a stylowa porcelana z pomniejszoną głowę z Ekwadoru. Z pewnością architekt był szalony, zdecydowała, przyglądając się nadprożom z wyrzeźbionymi głowami wilków i uśmiechniętych elfów. Dom był jak z prastarej legendy o gnomach. Spoglądając przez wielkie rzeźbione okno na najwyższej kondygnacji miała wrażenie, że zawisła nad klifem. Dom wznosił się śmiało, a następnie prawie pionowo opadał do morza.

- Andrew wyobraża sobie, że właśnie z tej skały Safona rzuciła się do morza. Gotowa jestem w to uwierzyć.

- Andrew ma wybujałą wyobraźnię.

- Ty też. Skoro tu mieszkasz.

- Masz oczy jak antyczne jeziorka. Przejrzyste i ulotne. Chyba powinienem nazywać cię Kirke, a nie

Afrodytą. Na Boga, więcej w tobie z czarownicy niż bogini.

Tym razem w oczach Nicka nie było arogancji ani kpiny. Tym razem dojrzała w nich tęsknotę. I ta tęsknota uwiodła ją silniej niż namiętność.

- Po prostu jestem kobietą, Nick - usłyszała swój głos. Zmienił się na twarzy, ale szybko opanował się.

- Chodźmy na dół, napijemy się czegoś.

Kiedy weszli do salonu, Morgan przypomniała sobie, po co tu przyszła. Po odpowiedzi i, do licha, dostanie je! Nie pozwoli, by kilka ciepłych słów i para ciemnych oczu zawróciły jej w głowie. Jednak zanim zdążyła otworzyć usta, w drzwiach stanął mężczyzna. Niski, o szorstkiej i pobrużdżonej twarzy.

Włosy miał posiwiałe, choć nadal bujne; ramiona pokaźne i umięśnione. Przywodził na myśl miniaturowy, solidny czołg. Niezwykle były jego wąsy. Biegły pod nosem, a następnie opadały wzdłuż kącików ust i zmieniały się w dwa łuki sięgające brody. Uśmiechnął się, prezentując ubytki w zębach.

- Dzień dobry - przywitał się z szacunkiem po grecku. Zaintrygowana Morgan popatrzyła na niego bez uśmiechu i odpowiedziała:

- *Yiasou.*

- Miss James, oto Stefanos, mój... ee, dozorca.

- Do usług, szanowna pani. - Skłonił się lekko. - Dopilnowałem sprawy, o której rozmawialiśmy - zwrócił się do Nicka. - Są wiadomości z Aten.

- Nie teraz.

- Jak sobie życzysz. - Zniknął bezszelestnie. Morgan zasepiła się. W ich rozmowie było coś dziwnego. Zła na siebie, patrzyła, jak Nick przyrządza drinki. Przecież

interesowało ją coś innego niż jego stosunki ze służbą. Decydując się na ostre cięcie, zaatakowała:

- Co robiłeś tamtej nocy na plaży?
- Chyba stanęło na tym, że na ciebie napadłem...
- To była tylko część zabawy. Szmuglowałeś coś?

Należy przyznać, że Nick krótko zwlekał z odpowiedzią. Morgan nie widziała wyrazu jego twarzy i malujących się na niej uczuć, od zdziwienia do uznania. Ostra z niej babka - przemknęło mu przez głowę. Zbyt ostra.

- W jaki sposób doszłaś do tak zadziwiającego wniosku? - Wręczył jej szklanke.

- Nie zaczynaj znów swoich gierek - prychnęła. - Widziałam cię.

- Co za czarujący sposób wyrażania opinii.
- Pytałam, czy jesteś przemytnikiem.
- Najpierw powiedz, skąd ten pomysł.
- Tamtej nocy byłeś na morzu. Czułam od ciebie jego zapach.

- To co najmniej dziwne, delikatnie rzecz ujmując, uważać, że pobyt nad wodą równa się byciu przemytnikiem.

Morgan zazgrzytała zębami.

- Gdybyś brał udział w nocnym połowie, raczej nie zaciągnąłbyś mnie w zarośla wymachując nożem.

- Trudno powiedzieć, że łowienie ryb to mój zawód.
- Wybrzeże Turcji jest łatwo dostępne z tej części wyspy. Wiem od Aleksa, że przemyt to problem.

Wyraz twarzy Nicka nieznacznie się zmienił.

- Jaki jest stosunek Aleksa do przemytu?
- Jest... pogodzony z sytuacją.
- Aha. A czy rozmawialiście o niuansach tego

procederu?

- Jasne, że nie - warknęła, wściekła, że znów przejął pałeczkę. - Aleks nie opowiadałby o takich sprawach. Ale myślę, że ty - ciągnęła - chyba tak.

- Wierzę ci.

- Więc jak?

- Co „jak”?

- Zaprzeczysz? - Z ukłuciem w sercu zorientowała się, że chce, by to zrobił. Bardzo pragnie, by zaprzeczył.

Nick zastanawiał się przez moment. Jeżeli zaprzeczę, nie uwierzy mi. Łatwo zgadnąć, że już wydała wyrok.

- Jeśli się przyznam... co zrobisz?

- Wydam cię policji.

Nick wybuchnął śmiechem.

- Morgan, ależ z ciebie uroczy, odważny dzieciak! Nie wiesz, jaką mam tu opinię. Zapewniam cię, że policja uzna cię za obłąkaną.

- Mogłabym to udowodnić.

- Co takiego? - zdumiał się. - Nie jesteś w stanie udowodnić czegoś, o czym nie wiesz.

- Wiem, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Choć może lepiej powiedzieć, że jesteś tym, za kogo się nie podajesz.

- Niezależnie od tego, kim jestem lub kim nie jestem, nie ma to nic wspólnego z tobą.

- Czy ty... czy użyłeś tego noża?

- W stosunku do ciebie? - spytał głosem bez wyrazu.

- W stosunku do kogokolwiek.

- Na ogólne pytanie nie można dać szczegółowej odpowiedzi.

- Nick, na miłość boską...

- Gdybym był tym, za kogo mnie uważasz... Morgan, siedzisz tu i rozmawiasz o tym ze mną... jesteś albo nieprawdopodobnie odważna, albo niewiarygodnie niemądra.

- Uważam, że jestem wystarczająco bezpieczna. Wszyscy wiedzą, gdzie jestem.

- Gdybym doszedł do wniosku, że mi zagrażasz, mógłbym się ciebie pozbyć innym razem.

- Potrafię się o siebie zatroszczyć.

- Czyżby? Zresztą, co za sens uszkodzić ślicznotkę, której wdziękami mam zamiar się cieszyć? Twoje talenty mogłyby mi się przydać.

- Nie mam zamiaru być twoim narzędziem. Przemyt opium to obrzydliwy sposób na zarabianie pieniędzy.

- Wiedz tylko, że interesuję się przemysłem. Chciałbym wiedzieć, czy słyszałaś jakieś rozmowy na ten temat.

- Kto był z tobą tamtej nocy? Wydawałeś komuś polecenia.

Nick rozważył wszystkie za i przeciw. Jest tak bystra, że szybko się zorientuje.

- Stefanos.

- On? - zdumiała się. Stefanos nie odpowiadał jej wyobrażeniom o bezwzględny przemysł.

- Ten starzec zna morze jak własną kieszeń. Poza tym jest lojalny. Znam go od dziecka.

Zasepiona, podeszła do okna. Otrzymywała odpowiedzi, ale niezupełnie takie, jakich oczekiwała.

- Tamtej nocy był tam ktoś jeszcze, chowałeś się przed nim. Kto to był?

- To nie powinno cię interesować.

- Sam mnie w to wciągnąłeś, Nicholasie. Mam

prawo wiedzieć.

- Nie naciskaj zbyt mocno, Morgan. Powiedziałem ci tyle, ile na razie chcę. Niech to ci wystarczy.

Dała krok w tył, zła, że poczuła lęk. Zaklął i złapał ją za ramiona.

- Nie mam zamiaru cię skrzywdzić, do cholery! Gdyby było inaczej, już dawno bym to zrobił! Co ty sobie wyobrażasz? Że poderżnę ci gardło albo zepchnę ze skały? Nie oczekuję, że będziesz mi ufała... Ale pomyśl rozsądnie. Zostałaś wmieszana w tę sprawę przez przypadek. Nie chciałbym, aby ktoś cię skrzywdził, Morgan. Spojrzała zaintrygowana.

- Jesteś dziwnym człowiekiem, Nicholasie. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że zajmujesz się czymś tak niegodziwym jak szmuglowanie opium.

- Żadnych pytań więcej, bo zmienimy temat rozmowy. Jestem bardzo... bardzo wrażliwy na twoją urodę. Masz wspaniałe ciało. W połączeniu z rozumem, daje mieszankę, której trudno się oprzeć.

- To wszystko mi się nie podoba. Przyjechałam na Lesbos, by uciec od stresów i komplikacji.

- Jakich stresów, jakich komplikacji? Odwróciła się do niego z płonącymi oczami.

- To moje sprawy. Zanim wpadłam na ciebie na tej przeklętej plaży, miałam swoje życie.

- Nie wątpię.

- A teraz mam wrażenie, że gram w jakimś thrillerze klasy B. Nie podoba mi się to.

- Szkoda, że tamtej nocy nie zostałam w łóżku. Może jak typowy Grek powiem, że bogowie tego nie chcieli. Od teraz twój los jest złączony z moim i żadne z nas nie może nic na to poradzić.

Położyła dłoń na jego piersi. Zaskoczyło go to. Nie spodobało mu się, jak na dotyk zareagowało jego serce.

- Jeżeli tak to czujesz, dlaczego nie dasz mi konkretnej odpowiedzi?

- Mój wybór - przewiercił ją spojrzeniem. Ujrzała w nim pożądanie i odbicie jej własnego pragnienia. - Bierz mnie takim, jaki jestem, Morgan.

Przestała się opierać. Kiedy trzymał ją w ramionach, o wiele słabiej rozróżniała dobro od zła. Nieważnie, kim był i czym się zajmował, chciała tego. Owinęła mu ramiona wokół szyi, słysząc, jak szepcze coś prosto w jej usta. Pocałunki stawały się niepohamowane, odpowiadała na nie z równą gwałtownością. Czy taka namiętność tkwiła w niej od zawsze, uśpiona gdzieś głęboko? Ręce Nicka błędziły po plecach. Wygięła się w łuk, nie broniąc mu dostępu do siebie, kusząc go, by spróbował. W jakiś sposób wiedziała, że ich ciała są dla siebie stworzone, że powrócą do siebie znów i znów, wbrew woli i rozsądkowi. Mogła z tym walczyć, ale nie bez końca. Ta wiedza nappełniła ją pragnieniem i strachem.

- Morgan... Pragnę cię... proszę, zostań dziś ze mną. Chciała powiedzieć tak; jej ciało boleśnie pragnęło zgodzić się na cokolwiek - na wszystko. Jednak odsunęła się.

- Nie.

- Boisz się?

- Tak.

Uniósł brwi na tę nieoczekiwaną szczerłość. Wyraz jej oczu nie pozwolił mu naciskać.

- *Diabolo*s, jesteś niemożliwa. Mógłbym wziąć cię siłą i skończyć z tym.

- Więc dlaczego tego nie zrobisz?

- Pewnie jesteś przyzwyczajona do uwodzenia przy

świecach i winie. Obietnice. Kłamstwa. Tego ode mnie chcesz?

Nie przejęła się jego zdenerwowaniem, choć instynktownie nakryła medalik dłonią.

- Nie. Ja nie chcę się z tobą kochać.

- Nie zgrywaj niewiniątka! Za każdym razem, kiedy cię dotykam, twoje ciało cię demaskuje.

- To nie ma nic do rzeczy. Nie chcę, żebyś się ze mną kochał.

- Bo wierzysz, że szmugluję opium?

- Nie - odpowiedziała. Zaskoczyło to ich oboje. - Po prostu nie chcę się stać twoją kolejną zabawką.

- Ach, tak... - Nick z namysłem włożył ręce do kieszeni. - Lepiej będzie, jak cię odwożę, zanim odkryjesz, że nie bawi mnie seks.

Pół godziny później Nick z trzaskiem zamknął drzwi wejściowe. Był w paskudnym nastroju. Wmaszerował do salonu i z kolejnym drinkiem rzucił się na fotel. Do diabła z tą dziewczyną, nie mam dla niej ani czasu, ani cierpliwości. Pragnienie nadal paliło mu trzewia. Opróżnił szklanekę jednym haustem. To tylko fizjologia - uspokajał się. Muszę znaleźć sobie kobietę, jakąkolwiek kobietę i zmniejszyć to napięcie.

Wszedł Stefanos. Wyczuł ponury nastrój Nicka, ale nie skomentował go.

- Ta dama jest o wiele piękniejsza, niż zapamiętałem. Ile jej powiedziałeś?

- Tylko to, co konieczne. Jest bystra i nieprzeciętnie odważna. Oskarżyła mnie o szmuglowanie opium.

Stefanos wybuchnął śmiechem.

- Rozmawiałeś z nią o Aleksie?

- Nie.

- Ona jest lojalna?

- W stosunku do Aleksa? - burknął Nick. - Raczej tak. Gdy jej na kimś zależy, będzie lojalna. Trudno będzie coś z niej wyciągnąć.

- I tak zdobędziesz te informacje.

- Że też tamtej nocy nie została w łóżku - krzyknął Nick.

- Ona ci leży na sercu. Dlatego ci z tym źle - Stefanos głośno i długo śmiał się z niezadowolonej miny Nicka, po czym westchnął: - Ateny czekają na telefon.

- Mam w nosie Ateny.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy Morgan dotarła do willi Theoharisów, była w paskudnym nastroju. W ciągu zaledwie paru dni Nick zdołał dokonać tego, czego nie udało się Jackowi przez wszystkie miesiące ich znajomości. Zranił ją. Rana była głębsza, zaczęła powstawać jeszcze zanim go spotkała; kiedy wybrał taki rodzaj życia. To nie ma nic wspólnego ze mną, nic wspólnego, powtarzała sobie Morgan nieskończoną ilość razy. Jednak kiedy wśliznęła się do chłodnego białego hallu, z hałasem zatrzasnęła drzwi.

- Morgan! Przyłącz się do nas - zamachał do niej Dorian. Uzbroiwszy się w uśmiech, Morgan weszła na taras.

Znalazła tam wyciągniętą w fotelu Ionę ubraną w jaskraworóżowy luźny strój, odsłaniający długie, zgrabne nogi. Przywitała się z Morgan ospale, po czym dalej przyglądała się zatoce. Morgan wyczuła napięcie wiszące w powietrzu. Zastanowiła się, czy było tam już wcześniej, czy ona je spowodowała.

- Aleks ma telefon zza Atlantyku... - Dorian podsunął Morgan krzesło. - A Liz próbuje zażegnać jakiś kuchenny kryzys.

- Bez tłumacza? - uśmiechnęła się. Postanowiła, że Nick nie popsuje jej nastroju i nie będzie wyglądała na obrażoną na cały świat, tak jak kuzynka Aleksa.

- To żalosne, Liz powinna go po prostu zwolnić. Amerykanie za bardzo przejmują się służbą.

Morgan uniosła się, słysząc, jak Iona oczernia jej przyjaciółkę i kraj.

- Czyżby? Nie zauważyłam.

- Nie przypuszczam, żebyś często miała do

czynienia ze służbą.

Zanim Morgan była w stanie odpowiedzieć, Dorian wtrącił delikatnie:

- Powiedz mi, Morgan, co myślisz o skarbcu Nicka?

Wyraz jego oczu wskazywał, że prosi o zignorowanie złych manier Iony, a także zdradził coś, co zaczęła podejrzewać ubiegłego wieczoru. Kocha ją, domyśliła się i poczuła ukłucie litości.

- To cudowne miejsce, prawie muzeum! Chyba lata całe musiał zbierać to wszystko.

- Nick to typ biznesmena - skwitował Dorian. Znowu wymienił spojrzenie z Morgan. Tym razem w jego wzroku dostrzegła wdzięczność. - I naturalnie używa swojej wiedzy i pozycji do zdobycia najlepszych egzemplarzy.

- Widziałam tam szwajcarską pozytywkę - przypomniała sobie. - Nick powiedział, że ma ponad sto lat. Wygrywała *Dla Elizy*. Dałabym się za nią pokroić - westchnęła.

- Nick jest hojny, kiedy odpowiednio go podejść. - Głos Iony był ostry jak brzytwa.

- Tego też nie wiedziałam - powiedziała chłodno Morgan. Wolno odwróciła się do Dorian. - Dziś rano poznałam jego kuzyna.

- Tego młodego poetę z Ameryki?

- Powiedział, że włóczy się po tej części wyspy. Chyba zrobię to samo. To takie proste, spokojne miejsce.

Dlatego tak się zdziwiłam, słysząc od Aleksa, że mają tu problem z przemysłem.

Dorian jedynie się uśmiechnął, Iona zeszywniała. Morgan zobaczyła, jak z twarzy dziewczyny odpływa krew. Była teraz napięta i zimna, choć nadal piękna. Zdumiona taką reakcją, Morgan przyglądała się jej

uważnie. Przecież ona się przestraszyła! Ale czego?

- Niebezpieczny interes - zdawkowo skomentował Dorian. - Ale dość pospolity, wręcz tradycyjny.

- Dziwna tradycja - mruknęła Morgan.

- O ile wiem, sieć patroli jest bardzo rozbudowana i silnie ze sobą połączona. Zdaje się, że w ubiegłym roku zginęło pięciu mężczyzn; zastrzelono ich u wybrzeży Turcji. Władze skonfiskowały duży skład opium.

Iona jeszcze bardziej zbladła, co nie uszło uwadze Morgan.

- To straszne!

- To byli zwykli chłopci i rybacy - powiedział lekceważąco. - Zabrakło im inteligencji do zorganizowania większego gangu przemytników. Podobno przywódca jest błyskotliwy i bezwzględny. Chodzą słuchy, że pojawia się tu i ówdzie, ale nosi maskę. Najwidoczniej nawet jego ludzie nie znają jego tożsamości. To może być równie dobrze kobieta... - Rozbawił go ten pomysł. - Dzięki temu ten biznes ma posmak romantyczności.

Iona podniosła się i wybiegła.

- Musisz jej wybaczyć - westchnął Dorian. - To bardzo zmienna istota.

- Wydawała się zdenerwowana.

- Iona łatwo się denerwuje.

- Bardzo ci na niej zależy.

Popatrzył na Morgan wymownie, po czym podniósł się i podszedł do barierki.

- Przepraszam cię - pośpiesznie powiedziała Morgan. - Nie chciałam być wścibska.

- Nie, to ja cię przepraszam.

Odwrócił się. Słońce oświetliło jego smagłą twarz, zapalając błyski w lśniących, złocistych włosach. Istny

Adonis - znów pomyślała Morgan.

- Moje uczucia dla Iony są... trudne. Sądziłem, że potrafię lepiej je ukryć.

- Przepraszam.

- Jest zepsuta, uparta... Jak to się dzieje, że człowiek traci głowę dla innej osoby?

- Nie mam pojęcia. Sama chciałabym wiedzieć.

- Zasmuciłem cię... Nie żałuj mnie. Prędeż czy później sprawy pomiędzy mną a Ioną ułożą się. Jestem ciepłym człowiekiem. I muszę ci wyznać, że legendy o przemytnikach mnie fascynują.

- Tak, to ciekawe. Więc ta plotka głosi, że nikt, nawet jego ludzie, nie wiedzą, kim jest ich przywódca?

- Tak powiadają. Zawsze podczas pobytu na Lesbos mam nadzieję natknąć się na jakieś wskazówki, które go zdemaskują.

Morgan wymamrotała coś niezrozumiale, bo jej myśli z przykrością poszybowały w kierunku Nicka.

- W każdym razie przemyt jako taki najwyraźniej cię nie odstręcza.

- Przemyt - wzruszył ramionami. - Tym powinny martwić się władze. Ale ten dreszczyk polowania, Morgan! Ten dreszczyk!

- Nie uwierzycie! - Wpadła Liz i rzuciła się na krzesło. - Pół godziny z krewkim Grekiem. Wolałabym stanąć przed plutonem egzekucyjnym! Dorian, podaj papierosa. - Jej uśmiech i powrót do codziennych spraw sprawiły, że temat przemytu stał się absurdalny. - A teraz Morgan, mów, jak podobał ci się dom Nicka!

Morgan spacerowała brzegiem morza. W taki właśnie sposób chciała spędzić wakacje - spacerując po plaży, oglądając wschody słońca, odpoczywając. Porzuciła

sandały na piasku. Tego ranka zamierzała robić wszystko to, co planowała przyjeżdżając do Grecji. Czyli nic. A przynajmniej nic stresującego. Postanowiła nabierać muszelek. Przykucnęła i napełniała kieszenie najładniejszymi okazami. Naraz dostrzegła niedopałek czarnego papierosa, na pół zagrzebany w piasku. Z uśmiechem pomyślała, że pewnie Aleks tu spaceruje. Wyobraziła sobie Liz, przechadzającą się po płytkiej wodzie za rękę z mężem.

Słońce było coraz wyżej, a ona nadal nie mogła się oderwać od zbierania. Szkoda, że nie wzięłam żadnego pojemnika - pomyślała, po czym zrzuciła muszle na stertę i postanowiła wrócić po nie później. W domu postawi je w naczyniu na parapecie; w zimne, deszczowe popołudnie przypomną jej greckie słońce. Wysokie, przenikliwe dźwięki mew były idealnym tłem samotnego poranka.

Z upływem czasu zaczęła odnajdywać w sobie wewnętrzny spokój, którego tak krótko doznała owej nocy na księżycowej plaży. Idąc dalej natknęła się na wejście do grotu, niewielkiej i niemal niewidocznej. Zapragnęła ją spenetrować, jednak bojąc się o białe dzinsy, postanowiła tylko zajrzeć do środka i wrócić w bardziej odpowiednim stroju. Brnęła przez wodę, rozpryskując ją dookoła. Schyliła się po jeszcze jedną muszelkę leżącą na piasku.

Nagle jej ręka zastygła. Spod przezroczystej wody przeblyskiwała biała twarz i ciemne, wytrzeszczone oczy. Krzyk zamarł Morgan w gardle; przerażenie nie pozwoliło wydać ani jednego dźwięku. Pośpiesznie dała krok w tył, prawie ześlizgując się ze skały. Kiedy walczyła o zachowanie równowagi, żołądek podszedł jej do gardła. Nie mogła zemdleć, nie tutaj, nie tak blisko tego koszmaru. Odwróciła się i uciekła. Pełzła i zataczała się po skałach i

piasku. Miała w głowie tylko jedną myśl: uciekać! Biegając na oślep, dotarła do zakola plaży. Naraz poczuła na sobie dotyk rąk. Przeżrana, że to coś, co leżało w wodzie, wstało i dogoniło ją, zaczęła krzyczeć.

- Przestań! Do cholery, Morgan, uspokój się! Co się stało?

Ktoś nią mocno potrząsał. Przez zszokowany umysł przebił się głos.

- Nicholas? - Znów poczuła się słabo i bezwładnie osunęła się na niego. Drżała na całym ciele, ale wiedziała, że teraz jest już bezpieczna. - Nick - wykrztusiła ponownie, jak gdyby samo tylko imię mogło ją ochronić.

Złapała ją silniej i potrząsnął. Twarz Morgan była upiornie blada, a skóra lepka od potu. Bez trudu rozpoznał w jej oczach przerażenie. Zdawał sobie sprawę, że w jednej chwili może zemdleć lub dostać hysterii. Nie mógł na to pozwolić.

- Co się stało? - zapytał szorstko.

Morgan otworzyła usta, ale nie mogła wykrztusić ani słowa. Ukryła twarz na piersi Nicka, chcąc zapomnieć, co widziała. Oddychała nierówno, wydając z siebie urywany szloch dławiący słowa. Jestem teraz bezpieczna - powtarzała, walcząc z paniką. On mnie obroni.

- Weź się w garść i mów, co się stało - polecił krótko.

- Nie mogę... - Przywarła do niego. Jednym szybkim ruchem oderwał ją od siebie.

- Mów! - Miał zimny i beznamiętny głos.

- Hej! Nie przeszkadzam? - Z tyłu doszedł ich radosny głos Andrew, ale nie obejrzała się. Drżenie nie ustawało. Dlaczego on się na nią złości? Dlaczego jej nie pomaga?

- Stało się coś? - W głosie Andrew zadźwięczało zmieszanie i zaciekawienie, kiedy zauważył dziki wyraz twarzy Nicka i stan, w jakim znajdowała się Morgan.

- Nie jestem pewien. Morgan biegła plażą. Nie udało mi się z niej nic wyciągnąć. - Odsunął ją od siebie, brutalnie uwalniając się od palców dziewczyny. - No, Morgan - głos jak świśnięcie batem. - Mów wreszcie.

- Tam... - Zęby Morgan zaczęły dzwonić. - Obok zatoczki. - Te kilka słów to był zbyt wielki wysiłek. Osunęła się. - Nick, proszę.

- Zobaczę. - Chwytał ją za ramiona i odsunął, żałując, że nie wie, o co ona prosi i wiedząc, że nie może jej tego dać.

- Nie odchodź, błagam! - Z rozpaczą rzuciła się na niego, ale pchnął ją brutalnie w ramiona kuzyna.

- Cholera, uspokój ją jakoś! - warknął Nick. Ona nie ma prawa prosić o coś, czego on nie może jej dać. On nie ma prawa chcieć jej tego dać. Ponownie zaklął pod nosem i pobiegł.

- Nick! - Morgan wyrwała się z ramion Andrew, ale Nick już się oddalił. Zakryła usta dłonią, żeby nie zawołać za nim ponownie. Objęły ją ramiona. Doznała uczucia lekkiej otuchy, czując, jak Andrew przytula ją do piersi. Palcami wczepiła się w jego sweter.

- No już, już... - Głaskał ją po włosach. - Miałem nadzieję, że przytulisz się do mnie w innych okolicznościach.

- Och, Andrew! - Czułe słowa i dotyk zamieniły szok w łzy. - To było straszne!

- Powiedz, co się stało, Morgan. Szybko. Będzie ci potem lżej - przemawiał cicho.

- U wejścia do groty leży ciało.

- Co? Boże! Jesteś pewna?
- Przecież widziałam... byłam... - Zakryła twarz.
- Spokojnie, tylko spokojnie - poprosił. - Mów.
- Zbierałam muszelki w zatoczce. Zobaczyłam grootę.

Chciałam zajrzeć do środka i wtedy... - Zadygotała.

- Wtedy zobaczyłam twarz... była pod wodą.
- Morgan! - Przytulił ją mocno. Nie powiedział nic

więcej, ale milcząc dał jej wszystko, czego potrzebowała. Choć przestała płakać, nadal tulił ją do siebie. Na plaży pojawił się Nick.

- Andrew, zabierz Morgan do willi Theoharisów i zadzwoń na policję. Jeden z mieszkańców wioski miał tragiczny wypadek.

- Wiem, Morgan mi powiedziała. Okropne, że akurat ona go znalazła. - Przelknął, jak gdyby opanowując własny wstręt. - Idziesz?

Nick patrzył, jak Morgan odwraca się ku niemu. Nie mógł znieść wyrazu jej oczu - zszokowanych i pełnych bólu. Tak łatwo mu nie wybaczy.

- Nie. Zostaję, bo muszę się upewnić, że nikt więcej tam nie wejdzie. Morgan... Wszystko będzie dobrze. Andrew odprowadzi cię do domu.

Bez słowa odwróciła twarz. Nick ostro polecił kuzynowi:

- Zajmij się nią.
- Jasne - mruknął Andrew, zdziwiony jego tonem.
- Chodź, Morgan, oprzyj się o mnie.

Nick patrzył, jak wspinają się po schodkach. Kiedy zniknęli mu z oczu, wrócił przeszukać ciało.

Morgan posadzono w salonie i napojono brandy, która nieco stepiła uczucie przerażenia. Przesłuchiwał ją kapitan Tripolos z posterunku policji w Mitylenie. Morgan

rozpoznała człowieka o nieustępliwości buldoga.

- Miss James, muszę zadać pani kilka pytań. To rutynowe czynności.

- Nie można z tym poczekać? - Na sofie obok Morgan siedział Andrew. Objął ją ramieniem. - Miss James przeżyła szok.

- W porządku, Andrew. Wolę mieć to z głowy - Morgan spojrzała kapitanowi prosto w oczy, co wzbudziło jego podziw.

- *Efxaristo*. Może na początek powie mi pani, co wydarzyło się tego poranka. Od momentu, kiedy pani wstała.

Morgan zaczęła opowiadać. Mówiła mechanicznie. Ręce, wciąż słabe, trzymała na kolanach. Chociaż głos kilka razy jej się załamał, Tripolos zauważył, że patrzyła mu prosto w oczy. To silna kobieta, uznał, zadowolony, że nie musi patrzeć na wybuchy płaczu lub hysterii.

- I wtedy zobaczyłam go pod wodą - Morgan z wdzięcznością przyjęła dłoń Andrew. - Uciekłam.

- Wcześniej pani wstała. Często się pani to zdarza?

- Nie. Ale obudziłam się i zapragnęłam pójść na plażę.

- Spotkała pani kogoś?

- Nie. Tylko Nicholasa i Andrew.

- Nicholasa? A, pana Gregorasa... - Przeniósł spojrzenie na sofę naprzeciwko, gdzie wraz z Alekssem i Liz siedział Nick. - Czy wcześniej widziała pani... denata?

- Nie. - Kurczowo ścisnęła dłoń Andrew, bo biała twarz znów pojawiła jej się przed oczami. - Jestem tu dopiero od kilku dni i nie oddalałam się zbyt od willi.

- Przyjechała pani z Ameryki?

- Tak.

- Szkoda, że morderstwo położyło się cieniem na pani wakacjach.

- Morderstwo? A ja myślałam... więc to nie był wypadek?

- Nie. Ofiarę ugodzono nożem. W plecy - dodał z niesmakiem, jak gdyby zabójstwo to było jedno, a zasztyletowanie od tyłu - drugie. - To chyba wszystko. Znalazła dziś pani dużo muszelek, miss James?

- Tak... dość dużo. - Czuła się w obowiązku sięgnąć do kieszeni i pokazać kilka. - Pomyślałam, że... są śliczne.

- Obawiam się, że będę musiał wszystkich państwa zapytać, co robiliście od wczorajszego wieczoru do dzisiejszego poranka. Z pewnością okaże się, że morderstwo było wynikiem wioskowego sporu, jednakże ciało znaleziono blisko obu willi... Może ktoś z państwa przypomni sobie, coś co pomoże rozwikłać tę zagadkę.

- Może pan liczyć na naszą pełną współpracę, panie kapitanie - obiecał Aleks. - Taka historia tuż obok to coś okropnego dla nas wszystkich. A najgorsze, że ciało zostało odkryte przez naszego gościa.

- To oczywiste - potwierdził kapitan. - Chyba będzie zręczniejsz, jeżeli porozmawiam z każdym z osobna. Mogę użyć pańskiego biura?

- Pokażę je panu. Mogę być pierwszy.

- Dziękuję. - Tripolos uklonił się zebrany, po czym poszedł za Alekssem.

Morgan obserwowała jego powolne, miarowe kroki. Pomyślała, że ten człowiek nie spocznie, dopóki nie znajdzie winnego i z drżeniem wychyliła kieliszek do dna.

- Muszę się napić - oznajmiła Liz, podchodząc do barku. - Podwójny drink. Kto jeszcze?

Oczy Nicka spoczęły na Morgan. Gestem wskazał

Liz jej pusty kieliszek.

- Nalej. Cokolwiek.

- Nie rozumiem, po co to przesłuchanie. - Do barku podeszła Iona, nie czekając, aż Liz przygotowuje jej drinka.

- To absurd. Aleks powinien odmówić, ma wystarczającą władzę.

Wlała do wysokiej szklanki jakiś mocny alkohol i jednym haustem opróżniła połowę.

- Aleks nie ma powodu odmawiać... - Liz podała Nickowi drinka, po czym hojnie dolała brandy do kieliszka Morgan. - Nie mamy nic do ukrycia.

- Nie mówiłam o ukrywaniu! - denerwowała się Iona, krążąc po pokoju. - Po prostu nie chcę odpowiadać na idiotyczne pytania, tylko dlatego, że ona była na tyle głupia, aby natknąć się na ciało jakiegoś wieśniaka - dodała, wskazując na Morgan.

- Nie możemy winić Morgan, Iono - odezwał się Dorian. - Tak czy owak, przesłuchano by nas.

- Nie zostanę dziś w tym domu. Nicky, popłynemy gdzieś twoim jachtem. - Iona przysiadła na poręczy jego fotela.

- To nieodpowiedni moment, Iono. Po przesłuchaniu muszę iść do domu, kończyć papierkową robotę - poklepał ją po ręce. Jego wzrok na moment zetknął się ze wzrokiem Morgan i dostrzegł w nim potępienie. Do diabła z nią - pomyślał z irytacją. Nie ma prawa obarczać mnie poczuciem winy za to, co muszę zrobić.

- Ojej, Nicky, oszaleję, jeśli tu zostanę. Proszę, tylko kilka godzin na morzu.

Nick westchnął z rezygnacją, podczas gdy w środku zżymał się na to wędzidło, zbyt mocne, by je zerwać. Miał powody, aby się zgodzić i nie mógł pozwolić, by puste

spojrzenie Morgan zmieniło bieg wydarzeń.
- W porządku, późnym popołudniem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Morgan nie sądziła, że zaśnie. Liz i Aleks nalegali, by się położyła i choć nie czuła zmęczenia, usłuchała. Obudziła się i zobaczyła, że jest po dwunastej. Półprzutomna, z ciężkimi powiekami, poszła do łazienki i tam opryskała twarz zimną wodą. Szok już minął, ale drzemka, zamiast ją odświeżyć, sprowadziła uczucie znużenia. Czuła też głęboki wstyd. Odbiegła przerażona od martwego człowieka. Trzymała się kurczowo Nicka i została odepchnięta. Nawet teraz odczuwała to uczucie całkowitej ufności - i całkowitego odrzucenia. Powinna była ufać swojej głowie, nie sercu. Nie należy prosić ani oczekiwać niczego od mężczyzny takiego jak on. Mój błąd - gorzko myślała Morgan, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

- Nie potrzebuję go, on nic dla mnie nie znaczy - powiedziała na głos. Chciała usłyszeć, jak to mówi. Ale on cię zranił. Ktoś, kto nic nie znaczy, nie potrafi zranić. Nie dam zranić się ponownie - obiecała sobie. Nie pójdę więcej do niego, nie poproszę o nic więcej, niezależnie od tego, co się stało. Odwróciła się od swego odbicia i zeszła na dół. W głównym hallu usłyszała dźwięk zamykanych drzwi i kroki. Obejrzała się i zobaczyła Doriana.

- Chyba odpoczęłaś. - Wziął ją za rękę. W tym geście zawarł całe pocieszenie i troskę, o jaką mogła prosić.

- Tak. Ale czuję się idiotycznie. Andrew mnie tu przytaszczył.

Zaśmiał się cicho, po czym objął ją ramieniem i wprowadził do salonu.

- Ach wy, Amerykanki... zawsze musicie być silne i

niezależne?

- Zawsze taka byłam. - Przypomniała sobie, jak szlochała w ramionach Nicka, bezwładna, błagająca i wyprostowała plecy. - Muszę polegać na sobie.

- Podziwiam cię. Ale oby znajdowanie zwłok nie weszło ci w nałóg - zerknął na jej blade policzki i złagodził ton. - To idiotyczne, że ci o tym przypomniałem. Przynieść ci drinka?

- Nie. Mam w sobie już dość brandy.

- Wyglądasz na niespokojną, Morgan. Może wolałabyś pobyć sama?

- Nie. Cieszę się, że kapitan odjechał. Wyprowadza mnie z równowagi.

Dorian wyjął papierośnicę.

- Naprawdę? Chyba nie masz powodów do zamartwiania się. Wątpię, czy nawet zabójca je ma - dodał ze śmiechem. - Policja z Mityleny nie powala energią i błyskotliwością.

- Mówisz, jakby nie obchodziło cię, czy morderca zostanie schwytany.

- Wioskowe zatargi mało mnie obchodzą. Bardziej dbam o tych, których znam. I nie podoba mi się, że przejmujesz się Tripolosem.

- Nie przejmuję - zaprzeczyła niechętnie. Coś dręczyło ją niedostrzegalnie, uwierało. Patrzyła na smużkę dymu wydobywającą się z długiego, czarnego papierosa. - Gdzie są wszyscy?

- Liz i Aleks w biurze, Iona na jachcie.

- A tak, z Nicholasem. To musi być dla ciebie trudne.

- Musiała stąd uciec. Atmosfera śmierci źle na nią działa.

- Jesteś bardzo wyrozumiała. Ja bym chyba taka nie była, gdybym była zakochana.

- Jestem cierpliwy. No i wiem, że Nick nic dla niej nie znaczy. Cel uświęca środki... Niektórzy ludzie nie mają w sobie miejsca na emocje - miłość, nienawiść.

- To byłaby straszna pustka - mruknęła Morgan.

- Tak uważasz? W pewnym sensie, to byłoby wygodne.

- Wygodne tak, może jednak... - zamilkła. Zobaczyła, jak Dorian podnosi do ust papierosa. Z idealną ostrością przypomniała sobie, że na piasku, kilka metrów od ciała, zauważyła kilka niedopałków tej luksusowej marki. Przeszył ją dreszcz.

- Stało się coś, Morgan? - Usłyszała głos Doriana. Zamrugła powiekami.

- Nie... ja... ja chyba jeszcze nie wróciłam do równowagi. Jednak się napiję.

Nie miała ochoty na drinka, ale potrzebowała chwili, by zebrać myśli. Niedopałek papierosa nie musi nic znaczyć. Każdy, kto mieszka w willi, mógł spacerować wzdłuż tej zatoczki dziesiątki razy. Jednak pamiętała, że niedopałek był świeży - do połowy zasypany piaskiem, niezniszczony przez wodę i słońce. Z pewnością zauważono by każdego, kto znalazł się blisko ciała. Chyba że... Nie, niemożliwe - pomyślała z drzeniem. To absurdalna myśl, że Dorian mógł mieć coś wspólnego z zabójstwem wieśniaka. Dorian lub Aleks - pomyślała, czując unoszący się wokół zapach słodkawego, egzotycznego dymu. Obaj są cywilizowanymi ludźmi, a tacy nie wbijają noża w plecy. Obaj mają takie piękne wypielegnowane dłonie i wspaniałe maniery. Są biznesmenami o wysokiej kulturze, jakież interesy mogą

ich łączyć z miejscowymi rybakami? To absurdalna myśl - zgaśniła się, jednak nie mogła pozbyć się dręczącego niepokoju. Czyje kroki słyszała na plaży tej pierwszej nocy? Przed kim krył się Nick? A może na kogoś czekał? Ten człowiek nie został zamordowany podczas wioskowej awantury, czuła to. Zadygotała. Kto pojawił się od strony morza, gdy Nick zawlókł ją w cień cyprysów? Aleks? Dorian? A może człowiek, który już nie żył? Aż podskoczyła, bo właśnie Dorian podał jej kieliszek koniaku.

- Ciagle jesteś taka blada, Morgan. Powinnaś usiąść.

- Nie... chyba nadal jestem trochę zdenerwowana i tyle.

- Morgan otoczyła kieliszek dłońmi, ale nie piła. Zapyta go i już. Zwyczajnie go zapyta, czy był nad zatoczką. Ale kiedy jej oczy napotkały beznamietne spojrzenie, poczuła lodowaty dreszcz strachu. - Zatoczka... - zawahała się i mówiła dalej, bojąc się, że opuści ją odwaga. - Zatoczka jest taka piękna, wręcz dziewicza... - Nagle przypomniała sobie, ile muszelek poniewierało się tam pod stopami. Dlaczego nie przyszło jej to do głowy wcześniej? - Czy ty... czy dużo ludzi tam spaceruje?

- Nie mogę ręczyć za mieszkańców wioski. Ale zdaje się, że większość z nich ma zbyt dużo pracy, by spędzać czas na zbieraniu muszelek.

- Pewnie tak... - Oblizwała wyschnięte usta. - Jednak to takie piękne miejsce, prawda?

nie spuszczała z niego wzroku. Czy tylko wydało jej się, czy nieznacznie zwężyły mu się oczy?

- Nigdy tam nie byłem - lekko powiedział Dorian.

- To trochę tak, jak z nowojorczykami, którzy nigdy nie wjeżdżają na szczyt Empire State Building. Coś

jeszcze?

- Jeszcze... nie, nic - pośpieszyła. - Zupełnie nic. Chyba ta atmosfera działa na mnie tak samo jak na Ione, to wszystko.

- Nic dziwnego - zbliżył się do niej ze współczuciem.

- Za dużo dziś na ciebie spadło. Zbyt wiele mówiło się o śmierci. Wyjdźmy do ogrodu, pogadamy o innych sprawach.

Miała odmowę na końcu języka. Nie wiedziała dlaczego, ale nie chciała z nim iść. Nie teraz. Nie sama. Gorączkowo szukała wymówki, gdy nadeszła Liz.

- Morgan! Myślałam, że odpoczywasz! Wdzięczna, że im przerwano, Morgan odstawiła nietknięty kieliszek i wstała.

- Odpoczywałam dostatecznie długo, całe dwie godziny! To ty wyglądasz, jakbyś potrzebowała snu.

- Nie, choć chętnie wyszłabym na powietrze.

- Właśnie proponowałem Morgan spacer po ogrodzie. Idźcie razem. Ja i Aleks mamy parę spraw do wyjaśnienia.

- Dobrze. Dziękuję ci, Dorianie. Nie wiem, co ja i Aleks zrobilibyśmy dziś bez ciebie.

- Nie żartuj. - Musnął ustami jej policzek.

- Dorianie - Morgan uczuła nagle zawstydzenie. Był dla niej taki uprzejmy, a ona popuściła cugle wyobraźni.

- Dziękuję ci.

- Cała ta sprawa mocno cuchnie - nieelegancko podsumowała Liz, opadając na marmurową ławkę. Wśród kolorów i zapachów ogrodu, zasłonięte przed światem winoroślami, popatrzyły na siebie posepnie. - Niech to diabli! Tak mi przykro, że to właśnie ciebie spotkało. Nie,

nie wzruszaj ramionami i nie udawaj, że nic się nie stało. Zbyt długo się znamy. Domyślam się, jak musiałaś się czuć dziś rano. I wiem, jak musisz czuć się teraz.

- Nic mi nie jest, Liz. Choć muszę przyznać, że przez jakiś czas nie będę zbierać muszelek. - Widząc coraz bardziej ponurą minę przyjaciółki, ciągnęła: - Proszę, nie rób tego. Widzę, że ty i Aleks obwiniacie się. A to był tylko... okropny zbieg okoliczności. Zabito człowieka i ktoś musiał go znaleźć.

- Ale dlaczego właśnie ty...

- O to nie można winić ciebie i Aleksa.

- Jakaś część mnie, ta praktyczna i amerykańska, to wie, ale... chyba po trochu staję się Greczynką.

Liz z rezygnacją zapaliła papierosa i zaczęła przechadzać się po maleńkim dziedzińcu. Czarny papieros, zauważyła z dreszczem niepokoju Morgan. Zapomniała, że Liz znów zaczęła popalać papierosy Aleksa. Chyba powoli tracę rozum, jeżeli nawet przez chwilę mogłabym przypuścić, że Liz ma coś wspólnego z przemytem i śmiercią tamtego człowieka. Znam ją od lat, mieszkałam z nią. Jeżeli jest ktoś, kogo znam równie dobrze jak siebie, to właśnie ją. Tylko... jak daleko posunęłaby się Liz chroniąc człowieka, którego kocha?

- Muszę przyznać, że podobnie jak Ionie, ten policjant działa mi na nerwy. Nieźle mnie przemaglował.

- Rozumiem, co masz na myśli - mruknęła Morgan.

- Nie wiem, czego chciał się dowiedzieć, przesłuchując nas w ten sposób. - Liz zaciągnęła się energicznie. Obrączka na jej palcu zalśniła zimnym, jaskrawym blaskiem.

- Przypuszczam, że to było rutynowe przesłuchanie.

- Morgan nie mogła oderwać wzroku od obrączki Liz, od

blasku zdobiących ją kamieni. Miłość, wierność i uczciwość małżeńska - ponad wszystko inne. Na chwilę zamilkła. Stopniowo odtwarzała wcześniejszą scenę z salonu. Jak zareagowali inni? Gdyby nie była tak otumaniona koniakiem i szokiem, czy zauważyłaby coś? Była jeszcze jedna osoba, która paliła podobnego, kosztownego papierosa.

- Liz - zaczęła powoli - nie uważasz, że Iona trochę za bardzo się uniosła? Parę rutynowych pytań, a ona stała się wręcz melodramatyczna.

- Iona karmi się melodramatem - odparła Liz. - Widziałas, jak przymilała się do Nicka? Nie mam pojęcia, jak on to może wytrzymać.

- Nie wydaje się, żeby mu to przeszkadzało - mruknęła Morgan. - To dziwna kobieta. Ale dziś rano... i wczoraj - przypomniała sobie - kiedy wspomniałam o przemyście... czułam, że naprawdę się boi.

- Nie sądzę, aby Iona czuła coś naprawdę - z uporem powiedziała Liz. - Szkoda, że Aleks nie może jej po prostu wykreślić z życia. Te jego irytujące zasady! - Dziwne, Dorian powiedział prawie to samo. Morgan z roztarżeniem oberwała przekwitłą różę. - Ja jej tak nie oceniam.

- Co masz na myśli?

- Iona to według mnie kobieta, która raczej czuje zbyt wiele niż nic. Z pewnością nie wszystkie jej uczucia są całkowicie zdrowe, może nawet destrukcyjne, ale to silne, bardzo silne emocje.

- Nie mogę jej znieść - powiedziała Liz z tak nieoczekiwaną zajadłością, że Morgan zdumiała się. - Bez przerwy denerwuje Aleksa. Nie wyobrażasz sobie, ile czasu i pieniędzy zmarnował na tę kobietę. A w zamian

otrzymuje tylko niewdzięczność.

- Aleks jest bardzo rodzinny... Nie możesz go chronić przed...

- Ochroniłabym go przed wszystkim - przerwała Liz - przed czymkolwiek i kimkolwiek. - Cisnęła niedopałek w zarośla. Morgan przyłapała się na tym, że przypatruje mu się z trwogą. - O rany - powiedziała Liz. - Pozwalam, aby to wszystko mnie dotknęło.

- Jak my wszyscy. To nie był łatwy poranek.

- Przepraszam cię, Morgan, to po prostu Aleks tak się tym wszystkim denerwuje. I chociaż kocha mnie bardzo, nie jest typem mężczyzny, który dzieli się wszystkim z żoną. Jego problemy - jego sprawa. Typowy Grek - pokręciła głową.

- Liz, gdyby działo się coś złego... coś, co by cię naprawdę niepokoiło, powiedziałaś mi, prawda?

- Oj, tylko nie zaczynaj się o mnie martwić. Tyle że to denerwujące, kiedy kochasz kogoś do szaleństwa, a nie pozwalają ci pomóc. Aleks często próbuje chronić mnie przed mniej przyjemnymi aspektami życia, a to doprowadza mnie do szału.

- On cię kocha.

- A ja jego.

Morgan wzięła głęboki oddech. Po chwili wykrztusiła:

- Liz... Czy ty i Aleks często spacerujecie nad zatoczką?

- Hmm? Nie, właściwie nie, najczęściej spacerujemy nad klifem. Jeżeli uda mi się go wyciągnąć z biura... Nie pamiętam, kiedy byłam tam ostatni raz. Żałuję, że nie byłam z tobą dziś rano.

- A ja się cieszę. Aleks miał wystarczająco dużo

zamieszania z jedną histeryczką.

- Tylko nie histeryczką - cicho sprzeciwiła się Liz.

- Byłaś nawet aż za spokojna do chwili, kiedy Andrew cię przyprowadził.

- Nawet mu nie podziękowałam. - Morgan spróbowała odepchnąć wątpliwości i podejrzenia. Były równie nieładne, jak żalodne. - Co o nim sądzisz?

- Uroczy chłopak. Dziś najwyraźniej wszedł w rolę twojego opiekuna. Można powiedzieć, że zaczął się w tobie durzyć.

- Niektórzy stają się bardzo dowcipni po trzech latach małżeństwa!

Jak na zawołanie, na dziedzińcu pojawił się Andrew.

- Nie przeszkadzam? Chciałem zobaczyć, jak się masz, Morgan. To był okropny poranek. Mam nadzieję, że się nie gniewasz?

Emanował spokojem.

- Nie gniewam. I nic mi nie jest. Właśnie mówiłam Liz, że nawet ci nie podziękowałam.

- Ciągłe jesteś blada.

- To wpływ nowojorskiej zimy.

- Postanowiłaś być odważna? - spytał z bladym uśmiechem.

- Postanowiłam zachowywać się lepiej niż dziś rano.

- Nie miałem nic przeciwko temu, że się do mnie garnęłaś. - Lekko ścisnął jej rękę. - Chciałbym porwać Morgan na wieczór - powiedział do Liz. - Pomożesz mi ją przekonać, że rozrywka to właśnie to, czego potrzebuje?

- Jestem absolutnie za.

- Zjedz dziś ze mną kolację w wiosce - pochylił się nad Morgan. - Lokalny koloryt, butelka ouzo i dowcipny towarzysz. Czego więcej mogłabyś chcieć?

- Świetny pomysł! - propozycja wprawiła Liz w entuzjazm. - Morgan, właśnie tego ci trzeba!

Istotnie, to było dokładnie to, czego potrzebowała.

- O której mam być gotowa?

- Może około szóstej? Obwiozę cię po wiosce. Nick dał mi do dyspozycji swojego fiata na cały mój pobyt tutaj, więc nie będziesz musiała jeździć na osiołku.

- Będę gotowa.

Nick skierował jacht w stronę otwartego morza. Do cholery z tą dziewczyną! - pomyślał z nową falą irytacji. Gdyby została w łóżku, zamiast wałęsać się po plaży o niewiarygodnej godzinie, nic by się nie stało. Przypomniawsobie jej błagalny głos i przerażone oczy. Próbował skoncentrować się na zamordowanym mężczyźnie. Dość dobrze znał rybaka, cel jego sporadycznych połowów a także ateński numer telefonu, który znalazł głęboko w kieszeni jego spodni. Stevos był głupim chciwcem - myślał beznamiętnie Nick. Teraz był martwy. Kiedy Tripolos wykluczy burdę wioskową jako przyczynę śmierci i dotrze do prawdy? Niebawem, zdecydował Nick. Musi wziąć sprawę w swoje ręce nieco wcześniej niż planował.

- Nicky, czemu masz taką ponurą minę? - zapytała Iona.

- Myślałem o stercie papierów, jaka czeka na moim biurku. - Wyłączył silnik i pozwolił łodzi dryfować.

- Niepotrzebnie namówiłaś mnie na tę labę.

Miała na sobie jedynie skąpe bikini. Podchodząc zakołysała biodrami, ale na Nicku nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- *Agapetikos*, będziemy musieli jakoś oderwać cię od spraw biznesowych... - Przysiadła na kolanach Nicka. Mechanicznie ją pocałował. Wiedział, że po butelce

szampana, którą wypila, nie poczuje różnicy. Na ustach pozostał mu nieprzyjemny smak. Przypomniała mu się Morgan i z cichym przekleństwem zgniótł wargi Iony.

- Mmm. Nie myśl teraz o papierach. Powiedz, że mnie pragniesz. Potrzebuję mężczyzny, który mnie chce.

- Czy jest facet, który nie chciałby takiej kobiety?

- Diabeł - wymamrotała. - Weź mnie, Nicky. - Głowa jej opadła, zobaczył na pół przymknięte oczy. - Kochaj się ze mną.

Mogę to zrobić - pomyślał z odrazą. Mogę dostać, czego potrzebuję.

- Powiedz, *matia mou* - zamruczał, przesuwając ustami po jej szyi, podczas gdy ona rozpiniała guziki jego koszuli. - Co wiesz o przemyśle pomiędzy Lesbos a Turcją?

Poczuł, jak Iona sztywnieje. Jednak wiedział, że w tym stanie nietrudno będzie rozwiązać jej język. Powolutku przesuwał językiem po jej skórze.

- Nic nie wiem o takich sprawach.

- No, mała - zamruczał uwodzicielsko. Powie mi, a pomoże jej w tym wino i seks. - Przecież wiesz bardzo dużo. Jako biznesmen szukam większych zysków. Pozwolisz mi zarobić parę drachm ekstra, prawda?

- Rzeczywiście sporo wiem.

- I sporo mi powiesz? No, skarbie. Ty i myśl o milionach cholernie mnie podniecają.

- Wiem, że rybak, którego rano znalazła ta idiotka, zginął, bo był pazerny.

- Chciwości trudno się oprzeć. - Położył się obok Iony, która wyciągnęła się na ławce. - Wiesz, kto go zamordował?

Uwaga Iony, zamroczona nadmiarem szampana,

odpływała. Klnąc w duchu, Nick uszczypnął ją lekko.

- Nie cierpię przemocy, Nicky - wymamrotała. - I nie chcę więcej rozmawiać z policją. Ciągłe jestem wykorzystywana - powiedziała żałośnie. - Może już czas na zmianę sojuszy. Jesteś bogaty, Nicky, a ja lubię pieniądze. Potrzebuję ich.

- Jak każdy - sucho stwierdził Nick.

- Porozmawiamy później. Powiem ci.

Ze wszystkich sił Nick starał się wzbudzić w sobie namiętność. Potrzebował kobiety. Ale kiedy poczuł, że dziewczyna znów odpływa w niebyt, nie zrobił nic, by ją obudzić. Wychylił się przez reling i zapalił papierosa. Jeżeli dla zdobycia informacji będzie musiał zostać kochankiem Iony, nie zawaha się. Zapragnął prysznic, długiego, który pomoże zmyć mu z siebie brud. Lata brudu, lata kłamstw. Dlaczego aż do tej pory nie czuł się ich więźniem? Przed oczami stanęła mu Morgan. Miała zimne spojrzenie. Rzucił niedopałek do wody, podszedł do koła i znów uruchomił silnik.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Morgan uznała, że wioska jest przepiękna. Siedzieli z Andrew w nadbrzeżnej *kafenion*; przyglądali się łodziom rybackim kołyszącym się w porcie i mężczyznom, rozwieszającym sieci do wyschnięcia. Każdą sieć obsługiwało dwanaście par silnych rąk.

- Połów chyba się udał - skomentował Andrew.

- Są tacy silni i zręczni! W Stanach część z nich byłaby już na emeryturze, a ci... przypuszczam, że będą łowić do śmierci. Życie na wodzie musi im dawać satysfakcję.

- Wątpię, czy szukają satysfakcji. Praca to praca. Łowią, pracują przy oliwkach Nicka. Robią to od pokoleń. Ich życie jest proste i jest to prostota godna pozazdroszczenia.

- A przemysł? - przypomniała Morgan.

- To część tej samej filozofii. Robią, czego się od nich żąda; przy tym mają przygodę i parę drachm ekstra.

- Nie spodziewałam się po tobie takiego podejścia - zirytowała się.

- Jakiego?

- Właśnie takiego - tej nonszalancji w stosunku do przestępstwa.

- Daj spokój, to jest...

- Złe - przerwała mu. - I powinno się z tym skończyć. Przełknęła ouzo.

- Jak można skończyć z czymś, co dzieje się od setek lat w takiej czy innej formie?

- Obecna forma jest chora. Wydawałoby się, że tacy wpływowi ludzie jak Aleks i... Nicholas, którzy na wyspie mają domy, są w stanie wywrzeć nacisk na kogo trzeba.

- Za mało znam Aleksa... Ale trudno mi sobie wyobrazić, że Nick miesza się do czegokolwiek, co nie dotyczy jego lub jego interesów.

- Rzeczywiście?

- Jeżeli brzmi to jak krytyka, to niepotrzebnie. Nick jest dla mnie bardzo dobry, użyczył mi chaty i opłacił podróż. Bóg jeden wie, kiedy będę w stanie zwrócić mu pieniądze. Nie lubię pożyczać, ale poezja nie przynosi kokosów. Mógłbym pracować w biurze Nicka w Kalifornii, proponował mi to jakiś rok temu. Może mój statek przyplynie - zapatrzył się na port.

- Na pewno, Andrew. Niektórzy z nas urodzili się, by marzyć.

- A artyści mają cierpieć i być ponad pieniądze i władzę... - uśmiechnął się blade. - Zamówmy coś, umieram z głodu.

Kończyli kolację w zamierającym świetle dnia. Ludzie wchodzili do kafejki, wychodzili z niej, niektórzy śpiewali, od czasu do czasu odzywała się mandolina. Amerykańscy turyści dodawali lokalowi splendoru. Właściciel był barczystym mężczyzną z niewielkim wąsikiem i łzawiącymi oczami. Ponieważ był pod wrażeniem płynnej greki Morgan, starał się znaleźć pretekst do rozmowy za każdym razem, kiedy przechodził obok ich stolika.

Morgan rozkoszowała się swobodną atmosferą. W Willi Theoharisów otaczał ją komfort i troska, jednak ta atmosfera była mniej formalna, czego brakowało w eleganckim domu Liz. Wszędzie rozbrzmiewały donośne śmiechy i lało się wino. Niezależnie od tego, jak bardzo była przywiązana do Liz i Aleksa, nigdy nie mogłaby prowadzić takiego życia jak oni. Zwiędłaby pośród

wszystkich tych nieustannych form. Po raz pierwszy tego dnia Morgan poczuła, że dokuczliwy ból u podstawy czaszki zelżał.

- Andrew, tylko popatrz! Tańczą! - Z podbródkiem opartym o dłoń zapatrzyła się na rząd mężczyzn, połączonych ramionami.

- Chcesz się do nich przyłączyć?

- Popsułamby cały taniec. Ale ty spróbuj - zachęcała go ze śmiechem.

- Pięknie się śmiejesz. Bardzo zmysłowo.

- Dziwne rzeczy opowiadasz, mój drogi. Ale miło jest z tobą. Moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

Andrew nieoczekiwanie zamknął jej usta pocałunkiem.

- Na dobry początek. - Widząc zaskoczoną minę Morgan, odsunął się. - Twoja reakcja nie najlepiej robi mojemu ego.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego. Morgan zagapiła się na wąskie, czarne pudełko.

- Nie wiedziałam, że palisz - wykrztusiła po chwili.

- Och, niezbyt często. Ale polubiłem ten gatunek. Nick lituje się nade mną i kiedy wpada, zostawia mi trochę. W przeciwnym razie musiałbym obejść się smakiem.

Dostrzegł dziwne spojrzenie Morgan.

- Coś nie tak?

- Nie. Po prostu myślałam... mówiłeś, że wałęsasz się po całej tej części wyspy. Musiałeś już być nad zatoczką.

- To urocze miejsce. A raczej było. Nie byłem tam od tygodnia i nieprędko wrócę. Nie myśl już o tym, Morgan.

Spojrzała mu w oczy. Były takie przejrzyste i pełne

niepokoję. Jestem głupia. Żaden z nich - Aleks, Dorian, Andrew nie byłby w stanie zrobić tego, co podsuwa mi moja wyobraźnia. Czy miejscowy szaleniec nie może palić drogiego tytoniu? Nie może wbić komuś noża w plecy? To ma większy sens niż te podejrzenia.

- Masz rację. A teraz opowiedz mi swój epicki poemat.

- Dobry wieczór państwu!

Morgan odwróciła głowę. Patrzyła na nią pulchna twarz Tripolosa.

- Witamy, panie kapitanie.

Tripolos najwyraźniej nie przejął się brakiem entuzjazmu w jej głosie.

- Widzę, że korzysta pani z uroków wioski. Często tu pani bywa?

- To pierwszy wypad Morgan. Namówiłem ją na kolację, dobrze jej zrobi po tym porannym szoku - odezwał się Andrew.

Morgan zauważyła, że muzyka i śmiechy przycichły. Atmosfera w knajpce stała się gęsta i nieufna.

- Młoda dama nie powinna sobie zaprzętać głowy takimi sprawami. Ja, niestety, muszę o nich pomyśleć - westchnął kapitan i z żalem spojrział na ouzo. - Miłego wieczoru.

- Cholera - mruknęła, kiedy odszedł. - Dlaczego on tak na mnie działa? Za każdym razem, gdy go widzę, czuję się, jakbym miała w kieszeni największy brylant świata.

- Wiem, co masz na myśli. Przy nim człowiek czuje się, jakby miał coś na sumieniu.

- Andrew... mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, ale zamierzam kompletnie się upić. - Morgan ujęła kieliszek drżącą ręką i wychyliła go do dna.

Nieco później poczuła, że ouzo przytępia zmysły. Tłum w kafejce gęstniał. Muzyka była coraz głośniejsza. Wieczór miał lekki posmak nierealności, ale nie przeszkadzało jej to. Miała dość rzeczywistości.

Kelner zmaterializował się przy nich z kolejną butelką.

- Dużo gości - skomentowała Morgan.

- Sobota - odparł.

- A więc jestem tu we właściwym dniu. Pańscy klienci wydają się zadowoleni.

Rozejrzał się z uśmiechem.

- Kiedy wszedł tu policjant z Mityleny, wystraszyłem się, że interes na tym ucierpi. Na szczęście wszystko gra.

- Zgadza się, obecność policji nie sprzyja zabawie - powiedziała powoli. - Kapitan prowadzi śledztwo w sprawie śmierci rybaka.

- Stevos często tu przychodził, i zawsze z towarzystwem. Nie interesowały go tańce ani gry, inaczej spędzał czas. Moi klienci nie lubią pytań - wymamrotał coś nieparlamentarnego. Morgan nie była pewna, czy pod adresem Stevosa czy Tripolosa.

- Był rybakiem... - Patrzyła uważnie w oczy Greka.

- A nie widać, żeby towarzysze go oplakiwali.

Kelner wymownie wzruszył ramionami.

- Miłego wieczoru, *kyrios*. To zaszczyt obsługiwać panią.

Morgan uśmiechnęła się do Andrew.

- Tak się cieszę, że tu jestem. Żadnych morderstw, żadnego przemytu. Kiedy będę mogła poczytać twoje wiersze?

- Kiedy twój mózg będzie funkcjonować normalnie.

- Z uśmiechem dolał jej ouzo. - Myślę, że twoja opinia może być ważna.

- Jesteś miły. Wcale niepodobny do Nicholasa.

- A to dlaczego? - zachmurzył się.

- Po prostu nie jesteś. Za Amerykanów... - Uniosła kieliszek. - Stuprocentowych!

Stuknęli się kieliszkami; jednak Andrew wolno pokręcił głową.

- Mam wrażenie, że nie piliśmy za to samo.

- A co za różnica? Taka piękna noc.

- Piękna. Czy mówiłem już, jaka jesteś cudowna?

- Masz zamiar prawić mi komplementy? - Przysunęła się nieco, śmiejąc się. - Nie krępuj się, uwielbiam to.

- Psujesz moją wypowiedź.

- Hmm, więc jak ona brzmi? - Morgan oparła brodę na rękę i patrzyła z powagą na swojego towarzysza.

Andrew pokręcił głową ze śmiechem.

- Przejdźmy się. Może znajdę jakiś ciemny kąt, gdzie będę mógł porządnie cię pocałować.

Podniósł się i pomógł Morgan wstać. Zanim wyprowadził ją z kafejki, pożegnała się z właścicielem.

Morgan słyszała, jak jej własne kroki odbijają się echem w sennej uliczce.

- Jak cicho - wyszeptała. - Już pierwszego poranka na Lesbos poczułam, że jestem stąd. Andrew - zawisła w jego ramionach i zaśmiała się - nie wierzę, że kiedykolwiek wrócę do domu. Jak mogłabym znów znaleźć się w Nowym Jorku, w śniegu i korkach? Może zostanę rybakiem albo ulegnę Liz i poślubię pasterza.

- Nie sądzę, że powinnaś poślubić pasterza - praktycznie stwierdził Andrew i przysunął się bliżej. Twarz

dziewczyny, oświetlona księżycem, wydała mu się nieskończenie tajemnicza. - Ale może spróbowałabyś łowienia? Uwilibyśmy gniazdko w chacie Nicka.

Dobrze by mu to zrobiło - pomyślała. Uniosła usta w oczekiwaniu na pocałunek. Usta Andrew nie były wymagające, pośpieszne, zaborcze. Nie było gwałtownej namiętności, ale przekonywała się, że wcale jej nie chciała. Namiętność mąci umysł z dużo większym powodzeniem niż cały ocean ouzo. Andrew jest miły i nieskomplikowany. Kiedy będzie go potrzebowała, nie odwróci się. Nie przyprawi jej o bezsenność i nie sprawi, że zapomni, co dobre, a co złe. Jest rycerzem, a z rycerzem kobieta jest bezpieczna.

- Morgan - przytulił się policzkiem do jej włosów.

- Jesteś wyjątkowa. Czy nie ma czasem jakiegoś faceta, z którym powinienem stoczyć o ciebie pojedynek?

Morgan spróbowała pomyśleć o Jacku, ale nie mogła wywołać jego obrazu. Pojawił się za to wizerunek Nicka, całującego ją z zapamiętaniem.

- Nie - powiedziała aż nazbyt stanowczo. - Nie ma nikogo takiego.

Andrew lekko ją odsunął. W niewyraźnym świetle księżyca widział jej oczy.

- Sądząc po tym, jak zdecydowanie zaprzeczasz, domyślam się, że konkurencja jest całkiem silna. - Nie.

- Położył palec na jej ustach, bo zaczęła protestować.

- Nie chcę, aby moje przypuszczenia potwierdziły się dzisiaj wieczoru. Jestem samolubny. - Znów ją pocałował, tym razem dłużej. - Do diabła, dziewczyno, mógłbym się od ciebie uzależnić. Lepiej odwiozę cię do domu, zanim zapomnę, że jestem dżentelmenem, a ty

kompletnie nietrzeźwą damą.

W świetle księżycy willa świeciła biało. W oknie na parterze błyszczało blade światelko, oświetlając podjazd.

- Wszyscy śpią - stwierdziła Morgan, kiedy już wydostała się z samochodu. - Będę musiała zachowywać się bardzo cicho - wydała z siebie niepohamowany chichot i zakryła usta dłonią. - Kiedy jutro to sobie przypomnę, będę się czuła jak idiotka.

- Chyba nie będziesz pamiętać zbyt wiele - Andrew wziął ją pod ramię. Morgan gramoliła się po schodach z ostrożną godnością kogoś, kto nie czuje pod stopami gruntu.

- To byłaby hańba dla Aleksa, gdybym wylądowała na twarzy tu, w foyer. On i Dorian są tacy dostojni.

- Będę musiał prowadzić z największą ostrożnością. Nickowi chyba nie spodobałoby się, gdyby jego fiat spadł z urwiska.

- Andrew, jesteś prawie tak samo zalany jak ja.

- Niezupełnie, ale prawie. No i zachowałem się z najwyższą powściągliwością.

- Dobra robota. - Znów opanował ją chichot. Oparła się o niego tak silnie, że ledwo utrzymał się na nogach. - Wspaniale się bawiłam, po prostu cudownie. Potrzebowałam tego bardziej, niż sądziłam. Dziękuję ci.

Otworzył drzwi i wepchnął ją do środka.

- Uważaj na schodach - poprosił szeptem. - A może powinienem poczekać? Boję się, że usłyszę odgłosy upadku, tym razem bez godności.

- Po prostu jedź, tylko nie wykąp fiata. - Stała na palcach i pocałowała go. - Choć może powinnam zrobić ci kawy.

- Nie trafisz do kuchni. Nie martw się, w najgorszym

wypadku zaparkuję samochód i pójde pieszo. Idź do łóżka, Morgan, ledwo trzymasz się na nogach.

- Raczej ty - odparowała i zamknęła drzwi. Morgan szła po schodach z największą ostrożnością.

Za nic nie chciała obudzić domowników. Udało jej się dowlec do górnego podestu, gdzie dłuższą chwilę dumiała nad wyborem drogi do swojego pokoju. Myślała nad tym kolejną chwilę, wreszcie zaczęła skradać się w głąb hallu. Chwyciła klamkę, odczekała chwilę, aż drzwi przestaną się kołysać i pchnęła je.

- Pełen sukces - wymamrotała, potykając się o dywanik. Teraz tylko znaleźć łóżko. Nagle zapaliło się światło. Uśmiechnęła się do Nicka niezbyt przytomnie. - *Yiasou*, stajesz się elementem wyposażenia!

- Gdzieś ty była, u diabła? - zagrzemiał. - Jest prawie trzecia rano!

- Och, jak to niegrzecznie z mojej strony, że nie zadzwoniłam i nie uprzedziłam cię, że wrócę późno.

- Nie drażnij się ze mną, do cholery, nie jestem w nastroju. Czekam na ciebie pół nocy! Morgan, ja... - zamilkł, a wyraz irytacji ustąpił miejsca rozbawieniu.

- Jesteś kompletnie pijana!

- Kompletnie. Jesteś taki spostrzegawczy.

Ręka Morgan rozpoczęła wędrówkę po koszuli Nicka.

- Jak, u diabła, mam prowadzić sensowną rozmowę z kobietą, która jest tak pijana, że widzi podwójnie?

- Potrójnie - odparła z pewną dumą. - Podwójnie widzi Andrew. Pobiliśmy go. Czy wiesz, że masz cudowne oczy? Nigdy nie widziałam tak ciemnych oczu. Andrew ma niebieskie. I całuje zupełnie inaczej niż ty. Może teraz mnie pocałujesz?

- A więc byłaś z tym młokosem.

Morgan stała chwiejnie.

- Ten młokos i ja poprosilibyśmy cię, abyś do nas dołączył, ale jakoś umknęło to naszej uwadze. Poza tym w roli eleganckiego i czarującego kompana mógłbyś być naprawdę nudny. Musimy rozmawiać? Język mi się płacze.

- Mam po uszy bycia eleganckim i czarującym. Choć dzięki temu osiągam cel.

- Dobrze ci to wychodzi. - Zaczęła szarpać się z zamkiem przy sukience. - Właściwie jesteś w tym prawie doskonały.

- Prawie? - odwrócił się w momencie, gdy walczyła z suwakiem. - Morgan, na miłość boską, nie rób tego teraz. Ja...

- Tak, choć nie zawsze ci to wychodzi. Wystarczy popatrzeć w twoje oczy i na twoje ruchy. Założę się, że każdy daje się nabrać i że tylko ja jedna to zauważyłam. Pocałujesz mnie wreszcie, czy nie?

Sukienka opadła na ziemię. Na widok Morgan w skąpej bieliźnie poczuł, jak zasycha mu w gardle. Zawrzało w nim pożądanie. Zmusił się do uwagi, bo właśnie coś mówiła.

- Co takiego zauważyłam? - Morgan dwukrotnie starała się podnieść sukienkę. Za każdym razem, kiedy się schylała, górna krawędź biustonosza zsuwała się, ukazując wzniesienia piersi. Nick poczuł uderzenie krwi w podbrzuszu. - Co zauważyłam? - powtórzyła i zostawiła sukienkę w spokoju. - Och, znów do tego wracamy. To sposób, w jaki się poruszasz.

- Jak?

- Jak pantera - wyjaśniła.

- Chyba będę musiał być ostrożniejszy - zachmurzył

się, niepewny, czy podoba mu się to porównanie.

- Twój problem - beztrąsko odparła Morgan. - No cóż, skoro nie chcesz mnie pocałować, Nicholasie, będę musiała powiedzieć ci dobranoc.

- Morgan, musimy porozmawiać... - Podszedł i złapał ją za ramię. Morgan straciła i tak już niepewną równowagę i zatoczyła się prosto w jego ramiona. Zawisła na nim, ciepła i uległa. Nie protestowała, kiedy przycisnął ją do siebie.

- Zmieniłeś zdanie? - wymruczała sennie. - Kiedy Andrew mnie całował, myślałam o tobie. To było bardzo niegrzeczne z mojej strony. Może jak będziesz całować mnie teraz, pomyślę o Andrew.

- Do diabła! - Przyciągnął ją do siebie. Głowa Morgan odchyliła się do tyłu.

- Przekonaj się - zachęciła go.

- Niech to wszyscy diabli!

Bezradny, zaczął rozgniatać pocałunkami jej usta. Doprowadzała go do rozpaczycy całkowitym oddaniem się. Po raz pierwszy nie hamował się. Pragnienie było gwałtowne, wszechogarniające, pozbawiające go samokontroli, w której tak długo był mistrzem. Ale teraz aż drżał, żeby się jej pozbyć. Z nią wszystko mogłoby być inne. Z nią znów byłby czysty. Czy ona może cofnąć czas? Udem wyczuł na łóżku pościel i wiedział, że wystarczy jeden ruch, a znajdzie się tam razem z nią. Wtedy nic nie będzie ważne, tylko to, że ją ma - kobietę. Ale on nie chciał jakiejś kobiety. Od pierwszej nocy na opustoszałej plaży pragnął właśnie jej. Miał wrażenie - i bał się tego - że to już zawsze będzie ona. Nagłe szarpnięcie bólu zmieszało się z pożądaniem. Z cichym przekleństwem odsunął się.

- Posłuchaj mnie, dobrze?

- A nie słuchałam?

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Czy to konieczne?

- Muszę ci coś powiedzieć. Dziś rano... - zapłatał się, niepewny, co chciał powiedzieć, niepewny, co chciał zrobić. Jak to możliwe, że teraz pachniała jeszcze silniej niż przed chwilą? Zapadał się w ten zapach.

- Nicholasie - westchnęła. - Wypiłam niewiarygodną ilość ouzo. Jeżeli tego nie prześpię, umrę z pewnością.

- Morgan - oddychał szybko - posłuchaj mnie!

- Skończyłam ze słuchaniem - zabrzmiał senny, zmysłowy śmieszek. - Skończyłam. Kochaj się ze mną albo idź.

Z oczu pozostały jej jedynie szparki, ale przejrzysty, tajemniczy błękit pociągnął go. Teraz już żadna siła nie była w stanie go od niej oderwać.

- Do diabła z tobą - wydyszał, kiedy opadli na łóżko.

- Ty mała czarownico.

To były ognie piekielne i pioruny. Jej ciało było płynne jak wino - równie słodkie i odurzające. Uległ pokusie i zapłacił za to bólem. Ale nie dbał, co będzie później. Zdarł z niej przezroczystą bieliznę, zbyt spragniony i zdesperowany, by czekać. Co za smak - miała cudowny smak. Nie był delikatny, ale ciche jęki, jakie wydawała, świadczyły o przyjemności. Wyrzucał z siebie słowa, przytłumione i szorstkie od pożądania. Nie był pewien, czy znów ją przeklina, czy składa jej setki szalonych obietnic. Jej skóra ocierała się o jego skórę. Stapiała się z nim. Już nie był pewny, kto bierze, a kto się oddaje. Czuł pod sobą jej ciało, drżące pożądaniem. Znów przycisnęła do jego ust swoje wargi i nie widział już nic, jedynie zacierającą się plamę kolorów, którą była

namiętność. Dziki, słodki zapach jaśminu ogarnął go całego, rósł, nie malał, aż wreszcie zapomniał, że kiedykolwiek istniał inny zapach. Ostatnim wysiłkiem woli spróbował oprzytomnieć. Nie może się jej poddać. Nie może. Bez samoobrony będzie słaby, bezwolny. Martwy. Ale wziął ją w gwałtownym szale i poddał się.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Do pokoju wlewało się światło. Morgan odwróciła się, lecz klucie jedynie się wzmogło. Ostrożnie próbowała usiąść. Wirowanie i chwiejność, przyjemne ubiegłej nocy, teraz wywołało nową falę jęków. Starając się nie ruszać głową, opuściła nogi na podłogę. Nieuważnie depcząc po porzuconej na podłodze sukience, wyjęła z szafy szlafrok. Jedyne, o czym mogła myśleć, to kompres z lodu i kawa.

Wtem przypomniała sobie. Zamknęła szafę i zapatrzyła się na łóżko. Było puste. Może to wszystko jej się śniło? Bezradnym gestem ukryła twarz w dłoniach. To nie był sen. On tu był i to działo się naprawdę. Pamiętała... złość w jego oczach i jej własne niepojęte, prowokujące zachowanie. Ta namiętność była wszystkim, o czym marzyła. Niepohamowana, cudowna, wszechogarniająca. Przeklinał ją, pamiętała jego słowa. A potem wziął ją w podróż, o jakiej nawet nie śniła. Nadal czuła napięte mięśnie na jego plecach, słyszała nierówny oddech tuż nad swoim uchem. Wziął ją w furii, a jej nie zrobiło to różnicy. Usnęła z rękami oplecionymi wokół niego. A teraz zniknął. Oczywiście. Czego się spodziewała? Ta noc nic dla niego nie znaczyła - zupełnie nic. Gdyby nie wypła tak dużo... Co za wygodna wymówka - pomyślała z odrazą. Nie, nie będzie winić ouzo.

Podeszła do łóżka i zebrała resztki podartej bielizny. Pragnęła go. Boże jedyny, pomóż, zależy mi na nim - i to zbyt mocno. To nie ouzo zawiniło. Morgan zwinęła bieliznę w kłębek i wrzuciła ją na spód szafy. Mogła winić jedynie siebie. Z hukiem zatrzasnęła drzwi. Na moment przycisnęła czoło do gładkiej, drewnianej powierzchni. Nie będzie przez niego płakać. Nigdy. Przełknęła cisnące się do

oczu łzy i podeszła do drzwi.

- Dzień dobry, *kyrios* - pokojówka przywitała Morgan uśmiechem. - Podać śniadanie do pokoju?

- Tylko kawę. Zresztą, zejść na dół.

- Piękny dziś dzień.

- Rzeczywiście piękny. - Z zaciśniętymi zębami Morgan schodziła na dół.

Nagły huk tłuczonych naczyń i przenikliwy wrzask tak ją wystraszył, że zatoczyła się na ścianę. Odwróciła się, bo krzyk nie ustawał. Pokojówka klęczała w drzwiach. Trzęsącą ręką pokazała na pokój i uciekła. Morgan zajrzała do środka. Snop światła oświetlał leżącą na łóżku Ione. Głowa zwisała z jednej strony, rozsypane włosy sięgały niemal podłogi. Morgan otrząsnęła się z pierwszego szoku i podbiegła. Drżące palce przycisnęła do szyi Iony; poczuła tętno, słabe, ale wyczuwalne. Instynktownie poprawiła ciało Iony i ułożyła je na łóżku. Na pogniecionych prześcieradłach dostrzegła strzykawkę.

- O Boże.

To wiele wyjaśniało. Była głupia, że wcześniej się nie zorientowała. Przedawkowała - w nagłej panice pomyślała Morgan. Co robić?

- Morgan... dobry Boże! - W drzwiach zobaczyła pobladłego Doriana.

- Żyje - pośpieszyła. - Chyba przedawkowała narkotyki. Sprowadź lekarza.

- Żyje?

Usłyszała bezbarwny ton w jego głosie.

- Śpiesz się! Jest puls, ale słaby.

- Co Iona znów zrobiła? - W hallu zagrzemiał głos Aleksa. - Boże!

- Karetka! - krzyknęła Morgan. - Na miłość boską,

pospieszcie się!

Aleks wybiegł z pokoju. Dorian stał jak słup soli.

- Tu leży strzykawka - zaczęła z wystudiowanym spokojem. - Z pewnością przedawkowała. Dorianie, czy wiedziałeś, że ona się narkotyzuje?

- Brała heroinę. Myślałem, że z tym skończyła. Jesteś pewna, że ona...

- Żyje. Zaraz nadejdzie pomoc.

- Iona - wymamrotał. - Taka piękna... i stracona.

- Nie straciłeś jej, jeszcze nie! - powiedziała

Morgan.

Oczy Doriana spoczęły na Morgan, puste. Nigdy nie widziała takiego spojrzenia.

Ciągle nieprzytomną Ionę pośpiesznie transportowano do Aten. Dorian poleciał wraz z nią. Liz i Aleks rozpoczęli pośpieszne przygotowania do własnego lotu. Morgan patrzyła za helikopterem, dopóki nie straciła go z oczu. Do końca życia nie zapomni wyrazu twarzy Doriana, bladej, skamieniałej, oraz pięknej, leżącej bez życia Iony. Z dreszczem odwróciła się i w drzwiach zobaczyła Aleksa.

- W salonie jest Tripolos - powiedział cicho.

- Aleks, nie teraz! Ile jeszcze możesz znieść?

- To konieczne. Przepraszam, że musiałeś przez to przejść.

- Aleks, proszę. Nie traktuj mnie w ten sposób. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

- *Diabolos* - wycharczał. - Takich masz przyjaciół. Wybacz mi.

- Tylko, jeżeli przestaniesz traktować mnie jak obcą. Z westchnieniem otoczył ją ramieniem.

- Chodź, stawimy czoło kapitanowi.

- To musi być dla was trudne. Dla wszystkich - kapitan Tripolos rozejrzał się po obecnych. - Postaramy się zachować jak największą dyskrecję, panie Theoharis. Zrobię, co się da, by nie mieszać do tego prasy, ale próba samobójcza w tak słynnej rodzinie...

- Samobójstwo... - cicho powtórzył Aleks.

- Na to wygląda. Wstępnie można stwierdzić, że pańska kuzynka celowo przedawkowała heroinę. Ale powstrzymam się od dalszych wniosków, dopóki nie zakończymy śledztwa. Miss James, to pani znalazła miss Theoharis?

- Właściwie znalazła ją pokojówka. Ja podeszłam, żeby zobaczyć, co się stało. Zena upuściła tacę i krzyczała...! kiedy weszłam, zobaczyłam Ionę.

- To pani wezwała karetkę?

- Nie. Najpierw pomyślałam, że ona nie żyje. Potem wyczułam puls. Wciągnęłam ją na łóżko.

- Jak to?

- Zsuwała się z łóżka. Chciałam ją położyć. Tak naprawdę nie wiem, co chciałam zrobić, po prostu wydało mi się, że powinienam.

- Rozumiem. A potem znalazła pani to? - Podniósł strzykawkę w przezroczystej torebce.

- Tak.

- Panie Theoharis, czy wiedział pan, że pańska kuzynka zażywa heroinę?

- Wiem, że Iona miała problem z narkotykami. Dwa lata temu leczyła się w klinice. Miałem nadzieję, że skutecznie. Gdybym wiedział, że nadal jest... chora - wykrztusił - sprowadziłbym ją do mojego domu.

- A pani Theoharis? Wiedziała pani o problemach panny Iony?

- Wiedziałam, że dwa lata temu mój mąż zorganizował jej leczenie.

- Panie Theoharis, czy ma pan jakiegokolwiek pojęcie, gdzie pańska kuzynka zaopatrywała się w narkotyki?

- Nie.

- Rozumiem. Skoro kuzynka mieszka w Atenach, powinienem chyba nawiązać współpracę z tamtejszą policją.

- Proszę robić, co do pana należy - bezbarwnie rzekł Aleks. - Proszę tylko, aby w miarę możliwości chronił pan moją rodzinę.

- Oczywiście. Zostawię już państwa. Przepraszam za kolejne najście.

- Muszę zadzwonić do rodziny - tępo powiedział Aleks, gdy za Tripolosem zamknęły się drzwi. Pogłaskał żonę po włosach, jak gdyby szukając pocieszenia, po czym poniósł się i wyszedł bez słowa.

- Liz... - zaczęła Morgan. - Wiem, że to puste słowa, ale jeżeli mogę coś zrobić...

- To nie do uwierzenia. Leży tam, taka bliska śmierci. Co gorsza, nigdy jej nie lubiłam. Nie kryłam się z tym, ale teraz... Ona należy do rodziny Aleksa. Teraz czuje się odpowiedzialny za to, co się stało. A ja myślę tylko o tym, że byłam dla niej taka chłodna.

- Nie możesz nic na to poradzić. Ionę niełatwo polubić.

- Pewnie masz rację - Liz zdobyła się na błądy uśmiech. - Piekło, nie wakacje, prawda? Nie, nic nie mów - ścisnęła rękę Morgan. - Zobaczę, czy Aleks mnie nie potrzebuje.

Willa pogrążona była w ciszy, gdy Morgan przebierała się na górze. Zapinała guziki bluzki zapatrzona

w widok za oknem. Jak to możliwe, że w tak krótkim czasie wydarzyło się tu tyle ciemnych spraw? Ale nawet raj ma swą cenę, doszła do wniosku. Pukanie do drzwi było cichutkie.

- Proszę!

- Przeszkadzam ci, Morgan?

- Aleks! - Serce Morgan ścisnęło się. Na twarzy Aleksa odcisnęło się napięcie i smutek. - Wiem, jakie to dla was straszne, a nie chcę mnożyć problemów. Może powinnam wrócić do Nowego Jorku?

- Morgan... Wiem, że proszę o wiele, ale nie robię tego dla siebie. Dla Liz. Zostań dla niej. Twoja obecność to na razie jedyne, co mogę jej dać.

Musimy lecieć do Aten. Przez kilka dni będę musiał zostać z rodziną, ciotka będzie mnie potrzebować. Łatwiej będzie mi odesłać Liz wiedząc, że ty z nią będziesz.

- Oczywiście. Będę.

- Jesteś dobrą przyjaciółką. Będziemy musieli zostawić cię przynajmniej na jedną dobę. Potem Liz wróci. Jeżeli ty tu będziesz, zgodzi się opuścić Ateny. Dorian może zostanie w Atenach. On chyba... chyba żywi dla Iony uczucia, o których nie wiedziałem. Poproszę Nicka, żeby zaopiekował się tobą, gdy wyjedziemy.

- Nie! Nic mi nie będzie. Kiedy wyjeżdżacie?

- Za godzinę.

- Aleks, jestem pewna, że to był wypadek.

- Będę musiał przekonać o tym matkę Iony. Chociaż, jeżeli mam być szczerzy... Iona igra z losem, karmi się kłopotami. Powiem ci coś. Nigdy nie będę mógł o tym mówić z kimkolwiek, nawet z Liz. - Twarz zmieniła mu się w zimną maskę. - Nie znoszę jej. Jej śmierć byłaby błogosławieństwem dla każdego, kto ją kocha.

Willa opustoszała. Morgan wybrała się na spacer. Wzdychając, usadowiła się na skale zwisającej nisko nad wodą.

- Morgan!

Nick stał całkiem niedaleko. W T - shircie i džinsach, nieogolony, znów przypominał mężczyznę poznanego na plaży. Serce zabiło jej szybciej. Wstała bez słowa i ruszyła w dół.

- Morgan... - Chwycił ją i obrócił ku sobie z delikatnością, o jaką nigdy by go nie podejrzewała. - Słyszałem o Ionie.

- Podobno wiesz o wszystkim, co dzieje się na wyspie. Jej bezbarwny głos poruszył go.

- Znalazłaś ją...

Nie pozwoli, aby ten troskliwy ton przebił jej pancierz ochronny. Będzie mocna... mocna i zimna, jak on wówczas.

- Jesteś dobrze poinformowany.

Twarz dziewczyny była niewzruszona. Nie wiedział, od czego zacząć. Gdyby ukryła się w jego ramionach, mógłby jej pomóc.

- To musiało być dla ciebie bardzo trudne.

- Łatwiej mimo wszystko znaleźć kogoś żywego niż martwego.

Drgnęły mu mięśnie twarzy. Wtedy prosiła, aby ją pocieszył, a teraz, kiedy chciał to zrobić, kiedy tego potrzebował, było za późno.

- Usiądziesz?

- Nie, już nie jest tak spokojnie jak przed chwilą.

- Przestań się nade mną znęcać! - wybuchnęła.

Chwycił ją za ramię.

- Puść mnie - lekkie drżenie jej głosu powiedziało

mu coś, czego nie wypowiedziały słowa.

- Puszczę, jeżeli wrócisz ze mną do domu.

- Nie.

- Pogadamy.

- Czego chcesz, Nicholasie? Więcej szczegółów?

- W porządku. Jeżeli chcesz, możesz mi opowiedzieć o Ionie.

- Nie chcę.

Zbliżali się do stopni prowadzących do jego domu. Morgan nie zdawała sobie sprawy, że to tak blisko. Co za licho ją podkusiło, żeby tu przyjść?

- Od kiedy przejmuję się tym, czego chcesz? - spytał gorzko i wprowadził ją przez frontowe drzwi. - Podaj kawę - polecił Stefanosowi, który zjawił się w hallu.

- Dobrze, opowiem ze szczegółami - wściekła się Morgan, wchodząc do salonu. - A potem, do cholery, zostawisz mnie samą! Znalazłam Ionę nieprzytomną, prawie bez życia. Na łóżku obok niej leżała strzykawka. Chyba jest narkomanką... Ale wiedziałeś o tym, prawda? Wiesz wszystko o takich sprawach.

Poczuł ukłucie bólu i wyciągnął do niej rękę.

- Nie dotykaj mnie! - głowa Nicka odskoczyła, jakby go spoliczkowała. Morgan zakryła usta ręką i odwróciła się. - Nie dotykaj mnie.

- Nie dotknę cię - wykrztusił. - Usiądź, zanim się przewrócisz.

- Nie mów mi, co mam robić. Nie masz prawa mówić mi, co mam robić.

Wszedł Stefanos. Stawiając tacę z kawą, obserwował Morgan. W oczach dziewczyny dostrzegał całe jej serce.

- Proszę napić się kawy - powiedział serdecznie.

- Nie, ja...

- Powinna pani usiąść... - Zanim Morgan zdążyła zaprotestować, znalazła się w fotelu.

Nick stał, wściekając się na swą niemoc, podczas gdy Stefanos krzątał się wokół Morgan.

- Zrobiłem czarną. Zaraz kolory wrócą na policzki.

- Dziękuję.

Stefanos obrzucił Nicka długim, zagadkowym spojrzeniem i wyszedł.

- Napij się - polecił Nick, wściekły, że ten starszy człowiek był w stanie przebić się przez jej pancerz, podczas gdy jemu to się nie udało. - Dobrze ci zrobi.

Morgan chciała nabrać sił, wypła więc posłusznie.

- Czego jeszcze chcesz?

- Do licha, Morgan, nie przyprowadziłem cię tu po to, żeby cię dręczyć Ioną.

- Nie? Zaskakujesz mnie. Choć nie wiem, dlaczego dziwi mnie cokolwiek, co robisz.

- Pewnie myślisz, że to ja zabiłem Stevosa i porzuciłem ciało, żebyś ty mogła je znaleźć.

- Nie - powiedziała łagodnie, ponieważ mówiła szczerze. - Wbito mu nóż w plecy.

- Co z tego?

- Gdybyś miał zabić, spojrzalbyś w twarz.

Nick odwrócił się. Miał oczy ciemniejsze niż kiedykolwiek. Była w nich namiętność, naga, powstrzymywana namiętność.

- Morgan, ostatniej nocy...

- Nie będę z tobą rozmawiać o ostatniej nocy!

- Dobrze, zapomnijmy o tym. Mogę cię przeprosić?

- Za co?

- Rany boskie, kobieto, nie zauważyłem wcześniej,

że z ciebie góra lodowa.

- Nie mów mi o lodzie, Nicholasie - jej głos nabrzmiał pasją, choć obiecała sobie, że zachowa spokój. - Siedzisz sobie w swoim rodowym gnieździe i uprawiasz brudne gierki. Ja nie będę twoim pionkiem. W szpitalu w Atenach leży ledwo żywa kobieta. Na jej uzależnieniu zarabiasz pieniądze. Uważasz, że nie powinno się ciebie winić, ponieważ łazisz po nocy jak jakiś awanturniczy pirat?

- Wiem, kim jestem.

- Ja też wiem.

Odwróciła się i uciekła, ale nie pobiegł za nią. Chwilę później do pokoju wrócił Stefanos.

- Pani jest zdenerwowana - powiedział łagodnie.

- Wiem.

- Ostatnie dwa dni były dla niej trudne. Chyba szukała tu pocieszenia?

- Nie u mnie. Prędzej poszłaby do samego diabła. I tak jest najlepiej, ona nie powinna się teraz do niczego mieszać.

Stefanos gładził swoje niewiarygodne wąsy.

- Może wróci do Ameryki.

- Im szybciej, tym lepiej. - Słyszając pukanie do drzwi, zaklął. - Zobacz, kogo przyniosło i najlepiej pozbadź się go.

- Kapitan Tripolos - zaanonsował Stefanos.

Nick poczuł, że znów ma ochotę kłąć.

- Panie kapitanie? Może napije się pan ze mną kawy?

- Dziękuję. - Policjant rozsiadał się na krześle. - Czy to miss James szła ścieżką w dół z boczka?

- Tak. Była tu przed chwilą.

Obaj mężczyźni przypatrywali się sobie przez chwilę z ostrożnym zainteresowaniem. Jeden z niech to była pantera opisana przez Morgan, drugi - chytry lis.

- W takim razie powiedziała panu o panie Theoharis.

- Tak. Paskudna sprawa. Czy jest tu pan z powodu Iony?

- Tak. Dziękuję, że poświęca mi pan czas.

- Mam obowiązek współpracować z policją, kapitanie - odrzekł Nick. - Tylko nie wiem, jak mogę pomóc.

- Ponieważ spędził pan z panną Theoharis wczorajsze popołudnie, miałem nadzieję, że naświetli nam pan stan jej umysłu.

- Rozumiem. - Nick pociągnął łyk kawy, podczas gdy jego mózg gorączkowo rozpatrywał możliwości. - Ale nie wiem, czy będę mógł panu pomóc. Iona była zdenerwowana faktem, że ów człowiek został zamordowany prawie na jej progu. Była zła, ale ona często bywa taka. Właściwie była taka jak zwykle.

- Może mi pan opowiedzieć, co robiliście podczas wycieczki? Czy panna Iona powiedziała cokolwiek, co wskazywałoby, że myślała o samobójstwie?

- Niezbyt dużo rozmawialiśmy.

- Oczywiście.

Nick zdecydował się na działanie.

- Iona wydawała się nieco podenerwowana. Choć, jak mówiłem, u niej to normalne. Z całą uczciwością mogę powiedzieć, że nigdy nie przyszło mi do głowy, że ona mogła myśleć o samobójstwie. Nawet teraz, jeśli mam być szczerzy, ten pomysł wydaje mi się nieprawdopodobny.

- Dlaczego?

Nick doszedł do wniosku, że ogólniki wystarczą.

- Iona za bardzo kocha samą siebie, by szukać śmierci. To piękna kobieta i łąsa na przyjemności, jakie oferuje życie. To oczywiście przypuszczenia, rozumie pan. Pan lepiej zna te sprawy - wzruszył ramionami. - Uważam, że to był wypadek.

- To mało prawdopodobne. W jej krwi było zbyt wiele heroiny; tylko amator mógłby zażyć taką dawkę przez pomyłkę. A heroina to dobry, stary znajomy panny Iony. Ze śladów po wkluciach można ułożyć smutną historię.

- Rozumiem.

- Czy wiedział pan o uzależnieniu panny Theoharis?

- Niezbyt dobrze znałem Ionę. Tylko towarzysko; jest kuzynką przyjaciela, piękną kobietą, z którą nie zawsze wygodnie jest być blisko.

- Wczoraj spędziście razem cały dzień.

- To piękna kobieta - powtórzył z uśmiechem Nick. - Przykro mi, że nie mogę panu pomóc.

- Może zainteresuje pana moja teoria.

Nick nie wierzył tym wyblakłym oczom, ale dalej się uśmiechał.

- Oczywiście.

- Myślę - kontynuował Tripolos - że jest tylko jedno wyjaśnienie.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że ktoś próbował... zamordować Ionę?

- Jestem zwykłym policjantem - odpowiedział kapitan. - To moja druga natura, na wszystko patrzę podejrzliwie. Mogę być z panem szczerzy?

- Całkowicie - rzekł Nick, podziwiając przebiegłość kapitana.

- Jestem zaintrygowany i chciałbym usłyszeć pańską opinię, jako człowieka, który dobrze zna rodzinę Theoharisów.

- Jestem do usług.

- Zanim cos powiem, proszę pamiętać, że ta informacja nie może opuścić tego pokoju. Anthony Stevos był członkiem gangu przemytników, działającego na Lesbos. Gang wykorzystuje położenie wyspy i bliskość Turcji do szmuglowania opium przez cieśninę.

- Sądzi pan, że zamordował go ktoś z tego kręgu?

- Główny podejrzany to przywódca gangu. Muszę przyznać, że jest inteligentny - dodał. - Jest bardzo sprytny i jak dotąd wymyka się wszelkim pułapkom. Mówi się, że rzadko bierze udział w wyprawach. Zawsze nosi maskę.

- Słyszałem te pogłoski. Kładłem je na karb romantycznych wioskowych plotek. Człowiek w masce, przemyt - trochę jak w książkach.

- On istnieje, panie Gregoras, a w zabójstwie nie ma nic romantycznego.

- Właściwie ma pan rację.

- Stevos nie był zbyt bystry. Obserwowaliśmy go w nadziei, że zaprowadzi nas do swojego szefa.

- Sądzi pan, że tajemniczy przemytnik jest stąd?

- To musi być ktoś, kto zna wyspę. Ale raczej nie rybak.

- Może ktoś z mojej plantacji oliwek? - beznamytnie zasugerował Nick.

- Z raportów, które otrzymuję na temat życia panny Theoharis w Atenach wynika, że zna poszukiwanego. Uważam, że jest mocno zamieszana w działalność kontrabandy. Zbyt mocno... mam na myśli jej własne bezpieczeństwo. Jeżeli... kiedy wyjdzie ze śpiączki, zostanie

przesłuchana.

- Trudno sobie wyobrazić, że kuzynka Aleksa mogłaby brać udział w czymś takim. - Za bardzo draży, zdał sobie sprawę Nick i rozżłościł się na brak czasu. - Iona jest nieco nieposkromiona, ale przemyt i morderstwo? Nie mogę w to uwierzyć.

- Mam poważne obawy, że ktoś próbował zamordować pannę Theoharis, ponieważ zbyt dużo wiedziała. Ponieważ pan ją zna, zadam panu pytanie: jak daleko posunęłaby się dla miłości lub dla pieniędzy?

- Dla miłości - niewiele. Tak mi się wydaje, panie kapitanie. Ale dla pieniędzy - zawiesił głos - dla pieniędzy Iona gotowa byłaby na wszystko.

- Dziękuję za szczerłość. Muszę wyznać, że możliwość przedyskutowania tych spraw z kimś takim jak pan bardzo pomaga. Dzięki temu mogę to sobie jakoś poukładać.

Jeszcze przez pewien czas po odejściu policjanta Nick nie wstawał z fotela. Kiedy do środka wszedł Stefanos, oznajmił:

- Ruszamy dziś w nocy.

- To za wcześnie. Jeszcze nie jest bezpiecznie.

- Dziś! Dzwoń do Aten i powiadom o zmianie planu. Zorientuj się, czy nie mogą potrzymać Tripolosa z daleka ode mnie, choć przez kilka godzin. Założył przynętę i czeka, aż się na nią rzucę.

- Dziś w nocy będzie zbyt niebezpiecznie - upierał się Stefanos. - Za kilka dni będzie kolejna dostawa.

- Za kilka dni Tripolos będzie znacznie bliżej. Nie możemy pozwolić, aby przez lokalną policję sprawy się skomplikowały. Nie po to przez to wszystko przechodziłem, żeby teraz pozwolić sobie na błąd. Muszę

przyśpieszyć bieg spraw, zanim Tripolos zacznie deptać im po piętach.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zatoczka pogrążona była w mroku. Księżyc rzucał blade światło na powierzchnię wody. Morze szumiało cicho. Mężczyźni zebrani w pobliżu łodzi odzywali się z rzadka i tylko półgłosem. Naraz jeden z nich zobaczył zbliżający się cień i mruknąwszy coś do towarzysza, ukradkiem wyjął nóż zza pasa. Pracę przerwano; wszyscy zamarli. Cień zbliżył się. Mężczyzna schował nóż i przełknął gorzką kulę w gardle. Nie bał się zabić, za to bał się tego człowieka.

- Nie spodziewaliśmy się pana.

- Lubię niespodzianki.

Wąty promień światła oświetlił przybysza. Był ubrany na czarno od stóp do głów. Głowę i twarz okrywał mu kaptur. Widać było jedynie błysk ciemnych, groźnych oczu.

- Dołączy pan dziś do nas?

- Jak widać.

To nie był człowiek, który zwykł odpowiadać na pytania, żadne więcej nie padło. Wszedł na pokład swobodnie, jak ktoś przywykły do życia na kołyszących się łodziach. Zebrani rozstąpili się. Zwaliści, umięśnieni mężczyźni o silnych dłoniach odsuwali się od szczupłego człowieka, jak gdyby jednym ruchem wąskiej dłoni mógł połamać im kości. Przybysz usadowił się przy sterze. Łódź płynęła równym tempem, samotna drobina na ciemnym morzu. Człowiek w masce wpatrywał się w wodę, ignorując ukradkowe spojrzenia.

- Brakuje nam ludzi. - Z cienia wyłonił się mężczyzna, który go powitał. Żołądek kurczył mu się ze strachu. - Czy życzy pan sobie, abym znalazł zastępcę za

Stevosa?

Powolnym ruchem głowa w kapturze obróciła się. Męczyzna instynktownie cofnął się o krok.

- Sam to załatwię. A wy wszyscy pamiętajcie o Stevosie - podniósł głos. - Nie ma ludzi niezastąpionych - lekko podkreślił ostatnie słowo, z satysfakcją rejestrując, że jego rozmówca spuszcza wzrok. Strach tych ludzi był mu potrzebny. Od czasu do czasu któryś z żeglarzy kierował spojrzenie ku sterowi.

W połowie drogi pomiędzy Lesbos a Turcją silnik wyłączono. Nagła cisza zabrzmiała jak wystrzał. Odgłos silnika zbliżającej się łodzi wzmagął się. Dwukrotnie zamigotało światelko, potem jeszcze raz, wreszcie zgasło.

- Dobrze dziś branie - zawołał głos z drugiej łodzi.

Dwaj mężczyźni wychylili się i zaczęli wciągać pokład ociekającą wodą sieć pełną ryb. Człowiek w kapturze obserwował scenę bez słowa. Oba silniki znów ryknęły, po czym łodzie rozdzieliły się: jedna popłynęła na wschód, druga na zachód. Wiatr wzmagął się.

- Rozciąć sieć!

- Teraz? - ośmielił się spytać jeden z nich. - Nie chce jej pan zabrać w zwykłe miejsce?

- Rozciąć sieć - powtórzył.

Trzej mężczyźni klęczeli. Ich noże pracowały szybko i zręcznie. Powietrze wypełniała woń krwi, potu i strachu.

Stos białych paczuszek wyjmowanych z brzuchów ryb rósł. Człowiek w masce poruszał się zwinnie, upychał paczuski w kieszeniach kurtki. Niektóre wypadały z powrotem, ale żaden z ludzi nie ośmielił się ich ruszyć. Ich strach sprawiał mu ponurą satysfakcję. Po raz pierwszy śmiał się - długim, zimnym śmiechem, który nie miał nic

wspólnego z radością. Podczas podróży powrotnej nikt się nie odzywał.

Nieco później ów człowiek szedł wzdłuż zatoczki. Był nieufny, że podróż przebiegła tak łatwo, ale cieszył się, że było już po wszystkim. Mimo to, kiedy przechodził przez wąski pas plaży, poruszał się ostrożnie. Z tego miejsca widział chłodne, białe linie willi Theoharisów. Wszedł się po skałach jak kozica, stawiał kroki w ciemności pewnie i mocno. Przeszedł wokół skały, gdzie tego ranka siedziała Morgan. Szedł dalej, nie zatrzymując się. W oknie błyszczało światło, które sam zapalił przed wyruszeniem.

W domu beztrząsco wyrzucił zawartość kieszeni na elegancki stół w stylu Ludwika XVI, a następnie teatralnym gestem zdjął kaptur.

- No i co, Stefanos, połów się udał.

- Nie było problemów?

- Trudno o problemy z ludźmi, którzy boją się powietrza, którym oddychasz. Wyprawa poszła jak po maśle. - Przygotował dwa drinki. Rozpierała go radość i moc, płynąca ze śmiertelnego ryzyka i zwycięstwa. Jednym haustem opróżnił szklanekę.

- Istotnie bogaty połów. Wystarczający, żeby ustawić człowieka na długo.

- Wystarczający, żeby człowiekowi zachciało się więcej. *Diabolos*, ten zapach ryb do mnie przyłgnał. - Z odrazą zmarszczył nos. - Wyślij naszą zdobycz do Aten i dopilnuj, by przysłali raport na temat jej czystości. Idę zmyć z siebie tę woń.

- Jest coś, co może cię zainteresować.

- Nie dziś. Plotki mogą poczekać do jutra.

- Chodzi o tę kobietę, Nicholasie. Dowiedziałem się,

że nie wraca do Ameryki. Będzie tu podczas pobytu Aleksa w Atenach.

- Nie mogę się martwić o kobietę!

- Będzie sama, dopóki Aleks nie odeśle swojej żony.

- To nie mój problem - syknął. - Ateny się nią interesują. Może się przydać.

- Nie. - Nick odwrócił się gwałtownie. - Nie! Będziemy ją trzymać od tego z daleka.

- Jak sobie życzysz.

- Idź do diabła. - Nicka zezłościł pełen szacunku ton, podszyty drwiną. - Ona nie będzie przydatna - powiedział spokojniej. - Mam nadzieję, że przez parę dni nie będzie wystawiać swojego eleganckiego noska poza willę.

- A jeśli będzie?

- Wtedy będzie miała ze mną do czynienia.

- Chyba już miała z tobą do czynienia, mój przyjacielu. Zadała ci śmiertelny cios. - Stefanos nalał sobie drinka i roześmiał się.

Kąpiel nie przyniosła ukojenia. Nick wmawiał sobie, że to nadmiar energii wywołany wydarzeniami nocy i sukcesem; jednak zaniósło go do okna, skąd mógł widzieć willę Theoharisów. Jest teraz sama w tym dużym miękkim łóżku - myślał. To dla niego pestka; mógłby po raz ostatni wspiąć się po tej cholernej ścianie. Poszedł tam zeszłej nocy, powodowany impulsem, opętany idiotycznym pomysłem usprawiedliwienia się przed nią. Poszedł do niej, a ona z niego zadrwiła, zmusiła do oddania czegoś, czego oddać nie powinien: serca. To był błąd, prawdopodobnie największy, jaki do tej pory zrobił. Ryzykowanie życia to jedno, ale ryzykowanie duszy to coś całkiem innego. Nie powinienem był jej dotykać - pomyślał Nick. Ona nie wiedziała, co robi, upojona ouzo. Wiedział, że Morgan

znenawidzi go po tym, co zaszło ubiegłej nocy. Znenawidzi go, bo posiadał ją, kiedy była bezbronna i kiedy ten cholerny medalik wisiał na jej szyi. Znenawidzi go za to, kim jest. Dlaczego to boli? Tak czy owak, najdalej za parę tygodni Morgan James zniknie z jego życia jak sen. Jeżeli sięgnęła jego serca, poradzi sobie z tym. Patrzył w ciemność. Po tym, co przeszedł, nie pokona go jakaś błękitnooka czarownica.

Aleks, Liz i Dorian wyjechali. Morgan miała czas na rozmyślanie. Przede wszystkim o Nicku; leżąc w łóżku, które dzielili, czuła ból. Czy mogła spokojnie spać, skoro nadal czuła na sobie jego dłonie i usta? Co się z nią stało, że pokochała takiego mężczyznę? Jeżeli się podda, będzie cierpieć przez resztę życia.

Świadoma, że tylko wzmaga swój depresyjny nastrój, przebrała się w kostium kąpielowy i poszła na plażę. Piasek lśnił. Morgan zrzuciła ubranie i wbiegła do wody. Powinna złagodzić napięcie i ponury nastrój. Dlaczego cały czas denerwuje się śmiercią człowieka, którego nawet nie знаła? Nie będzie myśleć o szmuglerzach opium, morderstwach ani o Nicku. Unosiła się na falach, czując jak napięcie odpływa wraz z nimi. Pośród tych wszystkich kłopotów zapomniała, jak cudownie czystą i pełną życia czyni ją woda. Za dzień, dwa, Liz będzie jej potrzebować. Jeżeli będzie spięta, nie pomoże jej. Tak, dzisiejszej nocy będzie spała, koniec z koszmarami.

Odprężona, podплыnęła do brzegu. Piasek pod stopami przesuwał się leciutko wraz z prądem. Brzeg zarzucony był muszelkami, jasnymi i lśniącymi. Stała i przeciągała się, czując jak woda pluszcze wokół kolan. Słońce cudownie grzało.

- Helena wynurza się z wody.

Na piasku obok jej ręcznika siedział Andrew.

- Nietrudno zrozumieć, w jaki sposób skłóciła królestwa. - Podszedł. - Jak się masz, Morgan?

- Dobrze. - Wzięła podany jej ręcznik i energicznie wytarła nim włosy.

- Masz podkrążone oczy. - Poglądził ją po policzku.

- Nick powiedział mi o Ionie.

Morgan usiadła obok niego.

- Przykro mi, że to właśnie ty musiałaś ją znaleźć.

- Chyba mam do tego specjalny talent - potrząsnęła głową. - Ogromnie współczuję Aleksowi i Liz...i Dorianowi. To takie dla nich trudne, a ja czuję się bezradna. Mam nadzieję, że to nie zabrzmii zbyt obojętnie, ale po ostatnich dwóch dniach po prostu zrozumiałam, jak bardzo cieszę się, że żyję.

- Powiedziałbym, że to bardzo zdrowa reakcja.

- Mam nadzieję. Czułam się winna.

- Dziecino, nie możesz mieć poczucia winy, że chcesz żyć.

- Nagle zdałam sobie sprawę, jak wiele chcę zrobić. Jak wiele zobaczyć! Czy wiesz, że mam dwadzieścia sześć lat i po raz pierwszy gdzieś wyjechałam? Moja matka zmarła, kiedy byłam bardzo mała. Razem z ojcem przeprowadziliśmy się z Filadelfii do Nowego Jorku. Znam pięć języków, a po raz pierwszy jestem w kraju, gdzie angielski nie jest potrzebny. Chcę zobaczyć Włochy i Francję, pojechać do Wenecji i pływać gondolą. Spacerować po wrzosowiskach w Kornwalii i Polach Elizejskich - zaśmiała się. Zabrzmiało to cudownie. - Chcę wspinać się po górach.

- I zostać rybakiem?

- Ojej, chyba tak mówiłam? Czemu nie! Jack mawiał, że mój gust jest dość eklektyczny.

- Jack?

- Przyjaciel. - Morgan z satysfakcją zauważyła, że z łatwością umieściła Jacka w przeszłości.

- Kochałaś go?

- Nie. Przyzwyczaiłam się do niego. Czy to nie okropne, co mówię?

- Nie wiem. Ty mi powiedz.

- Nie - zdecydowała. - Taka jest prawda. Był bardzo rozważny, bardzo konwencjonalny, i, przykro mi to powiedzieć, bardzo nudny. Nie tak jak... - zamilkła.

Andrew śledził kierunek jej spojrzenia i nad klifem dostrzegł Nicka. Stał tam, z rękami w kieszeniach. Z daleka nic nie można było wyczytać z jego twarzy. Po chwili odwrócił się i zniknął za skałami. Andrew przeniósł wzrok na Morgan. Wyraz jej twarzy był łatwy do odczytania.

- Zakochałaś się w Nicku.

- Oczywiście, że nie! Ledwo go znam. Jest bardzo nieprzyjemny; ma gwałtowny charakter, jest arogancki i pozbawiony delikatnych uczuć.

- Chyba mówimy o dwóch różnych osobach. Morgan odwróciła wzrok.

- Może. Ale i tak nie lubię żadnego z nich.

- A jednak go kochasz.

- Andrew!

- Choć nie chcesz - dokończył. - Morgan, powiedz, gdybym ci się oświadczył... zepsułoby to naszą przyjaźń?

- Żartujesz sobie?

- Nie, nie żartuję. Gdybym próbował zaciągnąć cię do łóżka, mogłoby to narazić na szwank naszą przyjaźń. Zastanawiałem się, czy to samo stałoby się w przypadku

propozycji małżeństwa. Choć nie zdawałem sobie sprawy, że kochasz Nicka.

- Andrew - zaczęła, niepewna, jak powinna zareagować. - Czy to pytanie, czy propozycja?

- Potraktujmy to najpierw jak pytanie.

Morgan wzięła głęboki oddech.

- Propozycja małżeństwa, szczególnie od kogoś bliskiego sercu, zawsze mile łechce ego. Ale ego to coś niestabilnego, a przyjaźń nie wymaga pochlebstw. Cieszę się, że jesteś moim przyjacielem, Andrew.

- Wiedziałem, że tak zareagujesz. W głębi serca jestem romantykiem. Wyspa i piękna kobieta. Widzę, jak urządzamy dom w wiosce. Ogień na kominku zimą, powódź kwiatów wiosną.

- Nie kochasz mnie.

- Mógłbym pokochać. Ale nie przeznaczono ci zakochać się w walczącym o uznanie poecie.

- Andrew.

- A mnie nie przeznaczono ciebie. - Pocałował jej dłoń. - Choć to miła myśl.

- Piękna. Dziękuję ci za nią.

- Może dojdę do wniosku, że Wenecja może inspirować. Może tam się spotkamy - uśmiechnął się, a Morgan poczuła ukłucie żalu. - Odpowiedni czas, Morgan, to najważniejszy czynnik romansu.

Patrzyła, jak szedł po schodkach. A potem długo siedziała zwrócona twarzą do morza.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zakrwawiony nóż, strzykawka i biała twarz pod wodą. Stłumiwszy krzyk, Morgan usiadła i starała się oprzytomnieć. Nie będzie spała, nie sama! Bała się. Zanim zdążyła pomyśleć, już wciągała dzinsy i zapinała bluzkę. Dziś rano plaża przyniosła ukojenie, może poczuje to samo w nocy. Szła ścieżką bez wahania, instynktownie czując, że dzisiejszej nocy nic jej nie grozi. Podwinęła spodnie i weszła do wody.

- Czy ty nigdy nie nauczysz się leżeć w łóżku?

Rozejrzała się nerwowo, by znaleźć się twarzą w twarz z Nickiem. To szaleństwo, że chciałam iść do niego, cokolwiek to jest, będę się przed tym bronić.

- To nie twoja sprawa - odwróciła się.

Nick ledwo się powstrzymał, żeby nie szarpnąć jej i nie obrócić do siebie. Tkwił przy oknie, nie mogąc spać, gdy zobaczył, jak Morgan wychodzi z willi. Zanim zorientował się, co robi, zbiegał po kamiennych schodkach. A ona przywitała go tak lodowato jak przedtem.

- Zapomniałaś, co może przydarzyć się kobiecie, która samotnie spaceruje po plaży w środku nocy?

- Jeżeli i tym razem masz zamiar na mnie napaść, Nicholasie, ostrzegam! Będę gryźć i drapać!

- Byłem pewien, że na dziś masz już dość plaży, Afrodyto. A może znów umówiłaś się z moim kuzynem?

Zignorowała zaczepkę i ten dziwny dreszcz, który przeszywał ją za każdym razem, kiedy ją tak nazywał.

- Z nikim się nie umówiłam. Przyszłam tu, bo chciałam być sama.

Nick gwałtownie obrócił ją ku sobie.

- Do cholery, dziewczyno, nie prowokuj mnie!

Przekonasz się, że jestem z innej gliny niż ten młokos.

- Zabieraj łapy! - Już nie będzie się go bać i nie będzie mu ulegać. Z rozmysłem dodała: - Przydałoby ci się parę lekcji, jak traktować kobiety. U kuzyna lub u Doriana.

Nick z wprawą zaklął po grecku. Widziała, że gdy ogarnia go furia, stawał się półdziki, gwałtowny. Odczuła perwersyjną satysfakcję na myśl, że to ona doprowadziła go do tego stanu.

- Więc Dorianowi też się oddałaś? - wyrzucił z siebie.

- Czy to nie dziwne, Nicholasie - powiedziała spokojnie - że kiedy wpadasz w złość, bierze nad tobą górę twoja grecka połowa? Zupełnie nie rozumiem, jak to możliwe, że ty i Andrew jesteście spokrewnieni.

- Podoba ci się, że nad nim górujesz, co? Suka bez serca - syknął. - Jak długo masz zamiar kusić i prowokować?

- Jak śmiesz! - odepchnęła go. - Jak śmiesz mnie krytykować! To ty nie dbasz o nikogo, z wyjątkiem siebie!

Wbiegła do wody, nieprzytomna z wściekłości.

- Idiotka! - Złapał Morgan i potrząsnął nią. - Będę przeklęty, jeśli zmusisz mnie do pokory, jeśli będę błagać o cieplejsze uczucie! Robię, co muszę, to konieczność! Sądzisz, że mnie to bawi?

- Mam gdzie twoje konieczności i wszystko, co ma związek z tobą! Nienawidzę cię! Nienawidzę siebie, że pozwoliłam ci się dotknąć!

Słowa ugodziły go mocniej niż przypuszczał. Walczył z sobą, by nie rozpamiętywać, jak to jest ją przytulać, dotykać ustami jej ust i czuć, jak topnieje mu w ramionach.

- Świetnie! W takim razie nie zbliżaj się i będzie

idealnie!

Te słowa ugodziły ją boleśnie.

- Niczego więcej nie chcę! Niczego nie pragnę bardziej niż tego, by nigdy więcej cię nie oglądać!

Starał się opanować. W tej chwili niczego nie pragnął bardziej, niż przytulić ją z całej siły i błagać, jak nikogo wcześniej, o cokolwiek, co mogłaby mu dać.

- Nie ma sprawy, Afrodyto. Jeżeli chcesz, uprawiaj gierki z Dorianem, tylko z Andrew postępuj delikatnie. Inaczej przetrączę ci ten piękny kark.

- Nie strasz mnie! Będę się z nim spotykała, ilekroć zechcę! Nie sądzę, że pragnie twojej ochrony. Poprosił mnie o rękę.

Jednym gwałtownym ruchem Nick poderwał ją i przycisnął do piersi.

- Co mu odpowiedziałaś?

- Nie twoja sprawa! - Próbowwała się wyrwać, ale trzymał mocno. - Nie możesz mnie tak traktować!

Wzbierała w nim furia.

- Pytam, co mu odpowiedziałaś?

- Odpowiedziałam mu nie!

Zwolnił uścisk i uśmiechnął się. Była biała jak ściana. Boże, czy wiecznie muszę ją ranić? - wymyślał sobie w duchu Nick. Gdyby nie było tylu przeszkód... gdybym mógł pokonać choć jedną z nich... byłaby moja.

- To świetnie - nie był w stanie zdobyć się na spokojny ton głosu. Morgan nie wyczuła, że to bardziej panika niż złość. - Nie będę spokojnie patrzeć, jak nim manipulujesz. Jest jeszcze naiwny. Założę się, że nie powiedziałaś mu o swoim kochanku.

- Kochanku? O kim mówisz?

Nick złapał dyndający na szyi medalik,

powściągał chęć zerwania go z szyi dziewczyny.

- O tym, który dał ci świecidełko, które tak hołubisz.

Trudno nie zauważyć, kiedy kobieta należy do innego.

Morgan ogarnęła jeszcze większa furia niż przed chwilą.

- Należę do innego! Cały ty! Nie należę do nikogo.

Do nikogo, niezależnie od tego, jak mocno kocham!

- Daruj, Afrodyto - odpowiedział oziębło. - To tylko taki zwrot.

- Dostałam to od ojca! Dał mi to, kiedy miałam osiem lat i spadłam z drzewa. On jest najlepszą i najukochańszą osobą na świecie. Głupiec z pana, panie Gregoras.

Poszła do brzegu, ale dogonił ją na płyciźnie.

- Nie masz kochanka w Ameryce?

- Puść, powiedziałam!

Oczy jej błyszczały, a skóra lśniła w świetle księżyca. Z odrzuconą do tyłu głową, patrzyła na niego wyzywająco. W jednej chwili postanowił, że gotów jest dla niej umrzeć.

- Nie masz kochanka w Ameryce? - ponowił pytanie.

- Nigdzie nie mam kochanka.

Z przekleństwem, które zabrzmiało bardziej jak modlitwa, przyciągnął ją do siebie. Żar jego ciała przenikał przez zmoczone ubrania, jak gdyby byli nadzy. Morgan dostrzegła nagły błysk triumfu w jego oczach.

- A więc teraz masz.

Pociągnął ją na piasek. Jego łakome usta paliły. Z takim samym żarem poddała się tym ogniom. Zdarł z niej koszulę. Morgan wiedziała, że w miłości zawsze będzie taki; działający instynktownie, spontaniczny. Upajała się

tym. Jego przemożne pożądanie nie znosiło sprzeciwu. Szarpała koszulę Nicka, by poczuć jego skórę przy swojej. Nic już nie było dobre ani złe. Tak samo jak miłość. Choć namiętność ogarniała ją z coraz większą mocą, Morgan była świadoma, że to miłość. Całe życie na to czekała. Tylko to się liczyło.

Kiedy dłonie Nicka odnalazły jej nagie piersi, jęknął i znów zgniół jej usta. Była taka miękka, tak cudownie smukła. Nigdy tak bardzo nie pragnął żadnej kobiety. Nawet kiedy brał ją po raz pierwszy, nie odczuwał tej niezwykłej mocy. I ten smak. Wielkie nieba, czy kiedykolwiek będzie miał dość jej smaku? Odnalazł ustami jej pierś.

Morgan wyprężyła się i zanurzyła palce w jego włosach. Poczwała, że Nick zsuwa z niej spodnie. Silne, smukłe palce przesuwały się po jej ciele, sprawiając, że głośno jęczała z zachwytu i błagała o więcej. Usta nie spoczęły ani na chwilę. W gęstwie cyprysów zakwilił nocny ptak - jedną długą, niesamowitą nutą. Może to było jej własne westchnienie.

Byli sami na świecie, obmywani falami, przeznaczeni, by zostać kochankami na całe życie. Potem nie czuła już nic, bo przy pomocy ust doprowadził ją do nieprzytomności. Czepiała się go, żądając i błagając nieprzytomnym szeptem, by dał jej tę końcową, upojną ulgę. Jednak powstrzymywał się i dalej ją pieścił, aż poczuła, że ciało zaraz eksploduje. Uciszył ją szalonym, głodnym pocałunkiem. Chociaż czuła, jak dziko bije mu serce, miała wrażenie, że będzie w nieskończoność trzymał ją tam, pomiędzy niebem a piekłem. Kiedy popędził dalej, nie była pewna, po której stronie się znaleźli. Wiedziała tylko, że wpadli tam razem.

Morgan leżała cicho, przytulona do nagiego ramienia Nicka. Po eksplozji doznań czuła się odurzona. Dotąd nie знаła nikogo, kto pragnąłby jej w ten sposób. Nawet nie walczyłam - pomyślała. Żadnego protestu. Teraz, kiedy żar przygasł, poczuła ostre ukłucie wstydu. Był przestępcą, a ona oddała mu ciało i serce. Może nie miała kontroli nad swoim sercem, ale była dostatecznie uczciwa, by przyznać, że rządziła własnym ciałem. Z nagłym dreszczem odsunęła się od niego.

- Proszę, zostań - przytrzymał ją.
- Muszę iść. Puść mnie, proszę.
- Nie. Już ode mnie nie odejdiesz.
- Nick, proszę. Już późno. Muszę iść.

Mocno ujął jej twarz w obie dłonie. Dojrzał błysk hamowanych łez i zaklął.

- Przyszło ci nagle do głowy, że właśnie oddałaś się kryminaliście, i co gorsza, to ci się podobało.

- Przestań! Po prostu daj mi iść. Cokolwiek zrobiłam, było warto.

Zapatrzył się na nią. Łzy cofnęły się, ale spojrzenie miała zgaszone. Złorzeczając pod nosem, sięgnął po koszulę i podciągnął Morgan do pozycji siedzącej. Ateny mogą iść do diabła - pomyślał po raz kolejny.

- Załóż to - polecił, narzucając jej koszulę na ramiona. - Porozmawiamy.

- Nie chcę rozmawiać.

- Powiedziałem, że porozmawiamy. - Wsunął jej ramię w rękaw koszuli.

- Nie chcę, żebyś czuła się winna z powodu tego, co zaszło.

Czuła wzbierający w nim gniew, gdy zaciągał koszulę na jej piersiach.

- Nie pozwolę na to. Nie mogę teraz wytłumaczyć wszystkiego... i są rzeczy, których nigdy nie będę mógł wyjaśnić.

- Nie proszę o wyjaśnienia.

- Robisz to za każdym razem, kiedy na mnie patrzysz. - Znalazł papierosa i zapalił. - Przez lata moja działalność typu import - eksport zaowocowała mnóstwem kontaktów. Choć pewnie nie pochwaliłabyś niektórych z nich.

- Nick, ja nie...

- Bądź cicho. Kiedy mężczyzna decyduje się odsłonić duszę, kobieta nie powinna przeszkadzać. Bóg jeden wie, jak ciemna ci się wyda. Kiedy byłem dwudziestolatkiem, spotkałem człowieka, który uznał, że nadaję się do pewnego rodzaju pracy. Praca ta mnie zafascynowała. Niebezpieczeństwo uzależnienia, jak każdy narkotyk.

To akurat mogła zrozumieć.

- Zacząłem pracować jako... wolny strzelec. Pracowałem dla jego organizacji i podobało mi się to przez długi czas. Tak czy owak, byłem zadowolony. Niesamowite, że dziesięć lat mojego życia stało się moim więzieniem w ciągu zaledwie tygodnia.

Nick nie zdawał sobie sprawy, jak trudna będzie ta spowiedź. Nawet gdy skończy, ona może się od niego odwrócić. Nic mu nie zostanie. Zaciągnął się mocno i zapatrzył na czerwoną poświatę na koniuszku papierosa.

- Morgan, pewne rzeczy, które robiłem.... Nie spodobałyby ci się.

- Zabijałeś ludzi.

Trudno mu było mówić, kiedy tak na niego patrzyła. Ale głos nawet mu nie drgnął.

- Kiedy zaszła taka potrzeba.

Morgan zwiesiła głowę. Nie mogła znieść myśli, że był zdolny do tego, co uważała za najgorszy grzech.

Nick zgasił papierosa. Mógłbym ją okłamać - pomyślał z furią. - Dlaczego po prostu nie skłamałem?! Z westchnieniem pełnym rezygnacji zdał sobie sprawę, że po prostu nie może.

- Robiłem to, co musiałem - powiedział głucho. - Nie mogę wymazać tego, jak żyłem przez dziesięć lat. Dobrze czy źle, to był mój wybór. Nie mogę za to przepraszać.

- Nie proszę cię o to. Przepraszam, jeżeli tak to wyglądało. Zostawmy to. Twoje życie należy do ciebie. Nie musisz się przede mną usprawiedliwiać.

- Morgan... - Powie jej i koniec z rozterkami ostatnich dni. - Od sześciu miesięcy pracuję nad rozbiciem siatki przemytu pomiędzy Turcją a Lesbos.

Morgan patrzyła na niego, jakby zobaczyła go pierwszy raz w życiu.

- Nad rozbiciem? Aleja myślałam... sam powiedziałeś...

- Nigdy nie mówiłem za dużo - odpowiedział szorstko. - Pozwoliłem ci przypuszczać. Tak było lepiej.

Przez moment siedziała cicho, próbując zebrać myśli.

- Nie rozumiem. Czy chcesz mi powiedzieć, że jesteś policjantem?

Zaśmiał się. Gniew całkiem go opuścił.

- Nie, Afrodyto, oszczędź mi tego.

- W takim razie szpiegiem? Całkowicie odtajął.

- Trochę to idealizujesz. Jestem człowiekiem, który podróżuje i wypełnia polecenia. Musisz się tym zadowolić;

to jedyne, co ci mogę powiedzieć.

- Tej pierwszej nocy na plaży obserwowałeś człowieka, który organizuje siatkę szmuglerzy. To za nim szedł Stefanos.

Nick spochmurniał.

- Musiałem cię stamtąd zabrać. Wiedziałem, że on pójdzie tą drogą, idąc do chaty Stevosa. Stevos zginął, bo wiedział to, czego ja jeszcze nie wiem: jaka jest pozycja tego człowieka w organizacji. Przypuszczam, że poprosił o podwyżkę i dostał nożem w plecy.

- Kim on jest?

- Nawet gdybym był pewien, nie powiedziałbym ci. Im więcej ci powiem, w tym większym niebezpieczeństwie jesteś. Raz byłem gotów cię użyć. Moja organizacja jest bardzo zainteresowana twoimi talentami językowymi, ale samolubny ze mnie gość. Nie dam cię w to wplątać. Powiedziałem mojemu współpracownikowi, że nie jesteś zainteresowana.

- To dość bezczelne - nachmurzyła się Morgan. - Sama podejmuję decyzje.

- Już nie ma czego podejmować. Wreszcie zdobyłem pewność, kim jest przywódca szajki i tu moja rola się kończy. Ateny będą musiały nauczyć się działać bez mnie.

- Nie będziesz już tego robić? Nigdy więcej?

- Nie. Dostatecznie długo to trwa.

- Kiedy zdecydowałeś się z tym skończyć?

Kiedy po raz pierwszy się z tobą kochałem - pomyślał i niewiele brakowało, by to powiedział. Jednak nie do końca była to prawda. Musiał powiedzieć jej coś jeszcze.

- Tamtego dnia zabrałem na jacht Ione - wykrztusił. Nie był pewien, czy przebaczy mu to, co usłyszy. - Iona

tkwi w tym po uszy.

- Masz na myśli przemyt? Ale...

- Mogę tylko powiedzieć: tak, i że moim zadaniem było także wyciągnięcie od niej informacji. Wziąłem ją na jacht i miałem świadomy zamiar kochać się z nią, byle tylko rozwiązać jej język.

Morgan zastygła. Mówił dalej ze złością:

- Łamała się, a ja miałem jej w tym pomóc. Właśnie dlatego ktoś próbował ją zabić.

- Jak to zabić? - Morgan starała się mówić spokojnie, próbując strawić to, co właśnie usłyszała. - Przecież kapitan Tripolos powiedział, że to była próba samobójcza.

- To równie prawdopodobne jak to, że Iona zajęłaby się wypasem kóz.

- Tak. To oczywiste, że masz rację.

- Gdybym miał trochę więcej czasu, dostałbym od niej wszystko, czego chciałem.

- Biedny Aleks - szepnęła. - Będzie załamany, jak się dowie. I Dorian... - przypomniały jej się puste oczy Doriana i jego słowa. „Biedna Iona - taka piękna - i stracona”. Być może coś podejrzewał. - Nie możesz nic zrobić? - spojrzała na Nicka z ufnością. - Policja wie? Kapitan?

- Tripolos wie bardzo dużo, a podejrzewa jeszcze więcej.

- Wziął ją za rękę, rozpaczliwie potrzebował więzi. - Nie współpracuję bezpośrednio z policją i to spowalnia robotę.

- Z przekorą w oczach dodał: - W tej chwili Tripolos przypiął mi łątkę głównego podejrzanego o zabójstwo, próbę morderstwa i przemyt. Rany, zeszłej nocy dałem mu

popalić.

- Lubisz swoją pracę, prawda? - spytała Morgan, rozpoznając błysk awanturniczej żyłki w oczach Nicka.

- Dlaczego chcesz z tym skończyć?

Uśmiech Nicka zgasł.

- Powiedziałem ci, że byłem z Ioną. Nie po raz pierwszy uciekłem się do tej metody. Seks może być bronią lub narzędziem, taka jest smutna rzeczywistość. Wypiła zbyt dużo szampana, by współpracować, ale byłby inny raz. Od tamtego dnia nie czułem się czysty. Aż do dzisiejszej nocy.

Patrzyła na niego intensywnie. W oczach Nicka dostrzegła coś, co wcześniej widziała tylko raz - żal i prośbę o zrozumienie. Przycisnęła usta do jego warg. Poczowała nie tylko jego usta - także ciężką falę ulgi.

- Morgan... - Ułożył ją na piasku. - Gdybym mógł cofnąć czas i przeżyć jeszcze raz ostatni tydzień... - zawahał się, po czym ukrył twarz w jej włosach. - Chyba niczego bym nie zmienił.

- Pięknie przepraszasz, Nick.

Nie mógł trzymać rąk z daleka od niej. Błądziły po jej ciele, budząc na nowo ich oboje.

- To powinno stać się jutro wieczorem. Potem będę już wolny. Wyjedź gdzieś ze mną na kilka dni. Gdziekolwiek.

- Jutro? Dlaczego jutro? - Jej ciało zapłonęło na nowo, ale próbowała zrozumieć, co mówił.

- Ostatniej nocy wystąpiły małe komplikacje. Chodź, popływamy. Cali jesteśmy w piasku. - Postawił ją na nogi.

- Komplikacje?

- Nie sądzę, że nasz bohater zaakceptuje utratę

dostawy - mruknął i zsunął z ramion Morgan swoją koszulę.

- Ty ją ukradłeś!

Ciągnął ją do wody. Krew krążyła w nim żywiej, kiedy widział to ciało lśniące w blasku księżyca.

- Z niewiarygodną łatwością.

Stała po pas w wodzie; przyciągnął ją do siebie i znów zaczął pieścić jej ciało.

- Stefanos i ja kilka razy obserwowaliśmy transakcję z bezpiecznej odległości. Kiedy znalazłem cię na plaży, właśnie wracaliśmy z takiej obserwacji. To tyle na ten temat.

- Co zrobisz jutro? - Morgan odsunęła się, by powstrzymać jego gorące usta i ręce. Poczowała lęk. - Co stanie się jutro?

- Czekam na pewne informacje z Aten. Kiedy przyjdą, będę miał większą wiedzę, co należy zrobić. Tak czy owak będę tam, kiedy łodzie przybiją do brzegu z towarem.

- Chyba nie sam? On zabił człowieka! Nick potarł nosem o czubek jej nosa.

- Martwisz się o mnie, Afrodyto?

- Nie żartuj sobie!

Wyczuł w jej głosie panikę i zaczął ją uspokajać.

- Najpóźniej jutro po południu Tripolos zostanie o wszystkim poinformowany. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, pogadam z nim osobiście - uśmiechnął się, widząc jej minę. - Dostanie oficjalne zezwolenie na wszelkie aresztowania.

- Ale to nie fair! - wykrzyknęła. - Dlaczego nie ty, po całej tej pracy i wysiłku!

- Bądź cicho, Morgan, nie mogę kochać się z

kobietą, która bez przerwy narzeka.

- Nick, próbuję zrozumieć.

- To zrozum coś innego. - W głosie Nicka zabrzmiało zniecierpliwienie, kiedy znów garnał ją ku sobie. - Pragnę cię od chwili, kiedy ujrzałem cię siedzącą na tej cholernej skale i ciągle nie mam cię dosyć. Przez wszystkie te dni doprowadzałaś mnie do szału. Już więcej nie, Afrodyto. Już nie.

Zniżył usta i wszystko inne przestało istnieć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Morgan ze śmiechem próbowała założyć ciagle wilgotne dżinsy.

- Tak bardzo rozżłościłam się na ciebie, że wpadłam do wody kompletnie ubrana.

- To uczucie było obustronne.

Nick, nagi do pasa, zapinał swoje spodnie i otrzepywał koszulę z piasku. Zbliżyła się i powoli przesuwała dłońmi po jego piersi.

- Wściekałeś się, że noszę pamiątkę od ukochanego, który czeka na mnie w domu?

- Nie - skłamał beztrząsko. Zrzucił swoją koszulę wokół bioder Morgan i przyciągnął ją do siebie. - Dlaczego miałoby mnie to obchodzić?

- Och, ty! W takim razie może chciałbyś dowiedzieć się czegoś o Jacku.

- Tylko nie to... - Zachłannie pocałował ją w usta. Posłyszał zduszony śmiech. - Czarownico... - Całował ją coraz mocniej i mocniej, aż śmiech zmienił się w westchnienie.

- Chciałabym, żeby już zawsze było dziś. - Przyłgnęła do niego z bijącym sercem. - Żeby nie było jutra, a jedynie chwila obecna.

Nicka załata poczucie winy. Od pierwszej chwili przynosił jej lęk. Nawet kochając ją, nie mógł przynieść jej nic innego. Nie miał prawa mówić jej teraz, że jego serce bije dla niej. Wtedy pewnie zaczęłaby go prosić, by porzucił swoje obowiązki i tę robotę, w połowie tylko ukończoną. Zdał sobie sprawę, że zrobiłby, o co poprosi... by już nigdy nie czuć się jak mężczyzna.

- To nie ma sensu, Morgan - sprzeciwił się

delikatnie. - Słońce jutro wstanie, a potem zajdzie. A kiedy wstanie ponownie, będziemy mieć dla siebie morze czasu.

Musiała mu zaufać; uwierzyć, że nic mu się nie stanie, że po całym niebezpieczeństwie nie będzie śladu w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin.

- Chodź ze mną... - Zdobyła się na uśmiech. Jej lęki i obawy mu nie pomogą. - Chodź ze mną do willi i znów się ze mną Kochaj.

- Kusisz, Afrodyto. - Ucałował jej policzki w sposób, który wydał jej się niewiarygodnie czuły i słodki. - Ale śpisz na stojąco. Będą jeszcze inne noce. Odprowadzę cię.

Pozwoliła się prowadzić do kamiennych stopni.

- Może nie będziesz w stanie zostawić mnie tak łatwo, jak ci się wydaje.

Z cichym śmiechem przyciągnął ją do siebie.

- Być może niełatwo, ale... - Gwałtownie rzucił głową, jak gdyby węsząc powietrze. Oczy w jednej chwili zmieniły wyraz, kiedy badawczo rozglądał się wokół.

- Nick, co się...

Zakrył jej ręką usta i pociągnął w cień cyprysów.

- Nie ruszaj się i nic nie mów.

Kiwnęła głową, ale już nie patrzył na nią. Nie odrywał wzroku od klifu. Stał na granicy cienia i tam czekał. Wreszcie znów usłyszał ten dźwięk - ciche szuranie butów po skale. Wyteżył wzrok i po chwili dojrzał niewyraźny kontur. A więc przybyłeś po swoją zdobycz - skrzywił się, widząc jak czarna postać szybko pnie się po skałach. Bezszelestnie obrócił się do Morgan.

- Idź do willi i zostań tam.

- Co chcesz zrobić?

- Rób, co mówię. Szybko, nie ma czasu do stracenia.

- Idę z tobą.
- Wracaj do willi, porozmawiamy rano.
- Nie! Powiedziałam, idę z tobą!
- Nie mam czasu na...
- Więc nie trać go dłużej. Idę z tobą.

- Chodź - wydyszał. - Nie wytrzyma na skale bez butów nawet pięciu minut - pomyślał. Po kolejnych kilku pokuśtyka do willi. Wbiegł na kamienne stopnie, nie czekając na nią. Zaciskając zęby, Morgan pobiegła za nim. Cholerna baba - pomyślał z nutką niechętnego podziwu. - Idiotka - syknął, mając chęć potrząsnąć nią i pocałować jednocześnie. - Zawrócisz? Nie masz butów.

- Ani ty - wyszczerzyła zęby.
- Uparciuch.
- Zgadza się.

Mamrocząc pod nosem, Nick kontynuował wspinaczkę. Trzymał się skał; w świetle księżyca nie mógł ryzykować i iść ścieżką. Choć stracił z oczu swoją ofiarę, wiedział, dokąd poszła.

Naraz Morgan gwałtownie zagryzła wargi. Uderzyła o kamień, jednak wstrzymała oddech i szła dalej. Nie może jęczeć i dać się na tym złapać. Nie może pozwolić, by poszedł tam sam.

Przed ostrym nawisem Nick zatrzymał się na moment, rozważając, co robić. Droga naokoło zabierze sporo czasu. Sam - i uzbrojony - zaryzykowałby pójście wąską ścieżką. Człowiek, którego śledził, był dostatecznie pewny siebie, by iść nie oglądając się. Z irytacją pomyślał, że nie jest sam i że oprócz rąk nie ma niczego, czym mógłby ochronić Morgan.

- Posłuchaj... - Chwycił ją za ramię. Miał nadzieję, że ją wystraszy. - Ten człowiek zabił i to niejedną raz,

wierz mi. Kiedy odkryje, że stracił łup, zorientuje się, że jest śledzony. Wracaj do willi.

- Chcesz, żebym wezwała policję? - spokojnie spytała Morgan, choć udało mu się ją przestraszyć.

- Nie! Muszę dowiedzieć się, kim jest - wysyczał. - Morgan, nie mam broni, jeżeli on...

- Nie zostawię cię, Nick. Tracisz czas.

- Niech ci będzie. Ale zrobisz dokładnie, co powiem. W przeciwnym razie dam ci w głowę, żebyś straciła przytomność, i ukryję cię za skałami, obiecuję.

- Chodźmy.

Nick zwinnie podciągnął się na grzbiet skały i stanął na ścieżce. Zanim zdążył wyciągnąć rękę, Morgan już klęczała koło niego. Patrząc na nią pomyślał, że to kobieta, o jakiej marzył. Silna, piękna, lojalna. Wziął ją za rękę i szybko ruszyli ścieżką.

- Wiesz, dokąd idzie? - szepnęła Morgan.

- Do małej jaskini niedaleko chaty Stevosa. Idzie po łup z ubiegłej nocy. Nie znajdzie go, a wtedy jakże mocno się spoci - w głosie Nicka zadźwięczała nutka rozbawienia. - Teraz idź schylona i ani słowa.

Po chwili Nick podciągnął ją na kolejny nawis i tam przycisnął do ziemi.

- To niedaleko. Zostań tu.

- Nie, ja...

- Nie kłóć się - rzucił szorstko. - Bez ciebie mogę iść szybciej. Nie ruszaj się.

Zanim zdążyła zaprotestować, zniknął.

Nick musiał być teraz bardzo ostrożny. Jeśli źle ocenił czas, spotka się twarzą w twarz ze swoją zwierzyną. Ale nie mógł się oprzeć pokusie, by nie dowiedzieć się, kogo tropił przez ostatnie sześć miesięcy. W pobliżu chaty

zamordowanego rybaka rosło więcej drzew i kiedy ją okrążał, dawały mu osłonę.

Nagle usłyszał ciche szuranie. Wysiłając wzrok, podpełzł do wejścia do groty. Słyszał, jak ktoś porusza się wewnątrz, cicho i pewnie. Przywarł do skały i nasłuchiwał. Soczyste przekleństwo, które odbiło się echem o ściany jaskini, przyniosło Nickowi dreszcz satysfakcji. Nick wiedział, że tamten gorączkowo szuka śladów, które potwierdzą, że sekretne miejsce zostało splądrowane. Ale nie okradzione; te białe paczuszki sprzątnięto tuż przed twoim nosem - pomyślał Nick.

Wreszcie zobaczył czarną postać wychylającą się z jaskini. Stała w cieniu, z furią rozglądając się na wszystkie strony, jak gdyby szukając czegoś lub kogoś. W tej samej chwili usłyszał szmer.

Ktoś szedł ścieżką. Nick zamarł. Zobaczył, jak zakapturzona postać wyciąga pistolet i cofa się w cień. Z sercem w gardle, Nick złapał kamień i przygotował się do skoku. Gorączkowo myślał, że rzuci się na tamtego i zyska chwilę, by krzykiem ostrzec Morgan. Krzak za ścieżką zachybotał się. Nick wstrzymał oddech. Wynędzniała, brudna koza spokojnie dreptała naprzód. Nick dygocząc osunął się na kolana. Chociaż zrobiła, co jej kazał, miotał pod adresem Morgan soczyste przekleństwa. Człowiek w czerni zaklął brzydko, po czym schował broń i ruszył ścieżką. Mijając Nicka, ściągnął maskę. Nick wiedział już wszystko.

Morgan przycupnęła za skałą, w miejscu, gdzie zostawił ją Nick. Zdawało jej się, że czeka całą wieczność.

Każdy najdrobniejszy dźwięk sprawiał, że podskakiwała. Serce boleśnie tłukło się w piersi. Nigdy więcej nie będzie siedzieć i czekać, bezsilna i drżąca,

walcząca z palącymi, niepotrzebnymi łzami. Gdyby coś się stało... nie dokończyła. Nickowi nic się nie stanie, za chwilę wróci. Jednak chwila ciągnęła się w nieskończoność. Kiedy Nick raptownie się zjawił, musiała zdławić okrzyk. Sądziła, że dosłyszysz najbliższy powiew wiatru, a nie usłyszała, że się zbliża. Bez słowa rzuciła mu się w ramiona.

- Poszedł - powiedział. Wtedy wróciło wspomnienie tamtego koszmarnego momentu. Rozpaczliwie przycisnął usta do jej ust, jak gdyby konał z pragnienia. Wszystkie strachy powoli ulatywały, jeden po drugim, aż w końcu nie było nic poza morzem miłości.

- Nick, tak bardzo się o ciebie bałam! Co się działo?

- Nie był zadowolony. Jutro wróci na łódź.

- Czy widziałeś, kto...

- Żadnych pytań. Byłbym zmuszony znów cię okłamać, a nie chcę. A teraz, moja uparta, odważna czarownico, zabiorę cię do domu.

Nic więcej mi nie powie - zrozumiała Morgan. W tej chwili to chyba najlepsze wyjście.

- Śpij dziś ze mną - poprosiła, a on objął ją w talii. - Zostań ze mną jeszcze godzinę.

Śmiejąc się, pogładził ją po włosach.

- Jaki facet mógłby ci się oprzeć?

Morgan zbudziło ciche pukanie do drzwi. Do środka zajrzała pokojówka.

- Przepraszam, *kyrios*, telefon z Aten.

- Och... dziękuję, Zeno, już idę - Morgan pośpieszyła do telefonu. - Halo?

- Morgan, nie obudziłam cię? Jest po dziesiątej!

- Liz? - Morgan spróbowała oprzytomnieć. Zasnęła dopiero o świcie.

- A znasz kogoś innego w Atenach?

- Jestem trochę nieprzytomna - ziewnęła, po czym uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - W nocy poszłam popływać. Było cudownie.

- Wydajesz się zadowolona - zdziwiła się Liz. - Potem o tym pogadamy. Morgan, to okropne, ale będę musiała tu zostać do jutra, Iona jest nadal w śpiączce, choć lekarze są dobrej myśli. Nie mogę zostawić Aleksa.

- Nie martw się o mnie, proszę. Tak mi przykro, kochanie, to musi być trudne dla was obojga - pomyślała o zaangażowaniu Iony w przemysł i poczuła świeżą falę współczucia. - Jak Aleks się trzyma? Kiedy stąd wyjeżdżaliście, wydawał się zdruzgotany.

- Byłoby łatwiej, gdyby cała rodzina nie oczekiwała od niego wyjaśnień. To takie okropne, Morgan. Jeśli Iona umrze... nie wyobrażam sobie, jak jej matka to zniesie. Poza tym, to było samobójstwo... to jeszcze gorsze.

Morgan ugryzła się w język. Nick mówił do niej w zaufaniu, nie może go zdradzić nawet przed Liz.

- Powiedziałaś, że rokowania są dobre.

- Tak, funkcje życiowe się wyrównują, ale...

- A co z Dorianem? Jak się czuje?

- Kiepsko - usłyszała westchnienie Liz. - Nie pojmuję, jak mogłam być taka ślepa i nie widzieć, co on do niej czuje. Prawie nie odstępował jej łóżka. Gdyby nie Aleks, pewnie spędziłyby całą noc na krześle. Sądząc po jego dzisiejszym wyglądzie, i tak nie zmrużył oka.

- Pozdrów go ode mnie. Aleksa też. Liz, czuję się taka bezsilna. Chciałabym jakoś ci pomóc.

- Po prostu bądź tam, kiedy wrócę - Liz powiedziała to lekko, ale Morgan wyczuła wysiłek. - Ciesz się plażą i szukaj swego pasterza. Skoro wypuszczasz się na nocne

plywanie, powinnaś znaleźć sobie towarzystwo. Morgan milczała, więc Liz spytała:

- A może już je znalazłaś?

- Hmm, właściwie...

- Mów zaraz, to pasterz czy poeta?

- Ani jeden, ani drugi.

- W takim razie to Nick - wywnioskowała Liz. - Niesamowite... wystarczyło tylko zaprosić go na kolację.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Życie jest wszędzie, tylko trzeba wiedzieć, gdzie szukać - przypomniała sobie.

- Hmm, jutro pogadamy. Baw się dobrze. Gdybyś mnie potrzebowała... służba ma mój numer. A, w piwnicy jest boskie wino - dodała i po raz pierwszy radość w jej głosie była autentyczna. - Gdybyś miała ochotę na romantyczny wieczór... częstuj się do woli.

- To miłe, Liz, jednak...

- I nie martw się o nas. Wszystko będzie dobrze, ja to po prostu wiem. Pozdrów Nicka.

- Pozdrowię - usłyszała swój głos.

- Tak myślałam. Do jutra.

Morgan z uśmiechem odłożyła słuchawkę.

- I tak - kończył Stefanos, strosząc węża - po kilku kieliszkach ouzo, Mikal stał się bardziej wylewny. Jego ostatnie dwa raporty pochodzą z ostatniego tygodnia lutego i z drugiego tygodnia marca. Raport nie opisuje nocy, podczas której spotkaliśmy Morgan James, ani nocy, podczas której wybrałaś się na połów w przebraniu.

Nick rzucił okiem na papiery rozrzucone na biurku.

- Od końca lutego do pierwszego tygodnia kwietnia był w Rzymie. To go wyklucza. Po ostatnim telefonie z Aten wspólnie wyeliminowaliśmy go z zabawy. Teraz wiemy, że tamten nie ma współnika. Możemy działać.

- I robisz to z lekkim sercem? Co powiedziały Ateny?

- Ta część śledztwa jest zakończona. Jest czysty; papiery, kartoteka, telefony i korespondencja. Z drugiej strony wiemy, że nie był na wyspie, by wziąć udział w którejkolwiek z wypraw. Nie mam wątpliwości, że skoro wie już, że stracił ostatnią dostawę, dziś w nocy wybierze się na połów. Nie pozwoli, aby kolejny łup wyśliznął mu się z rąk. - Bezwiednie zabębnił palcami po papierach zaścielających biurko. - Teraz, kiedy mamy już wszystkie informacje, nie każmy Atenom dłużej czekać. Złapiemy go dziś w nocy.

- Zeszłej nocy wróciłeś bardzo późno - odezwał się Stefanos, napełniając tytoniem tandetną fajkę.

- Pilnujesz mnie? Nie mam już dwunastu lat.

- Dziś rano miałeś świetny humor. Od dawna cię takim nie widziałem.

- To powinienes się cieszyć, że poprawił mi się nastrój. W każdym razie, stary byku, jesteś przyzwyczajony do moich humorów, co?

Stefanos wzruszył ramionami.

- Ta amerykańska lady uwielbia spacerować po plaży. Może w nocy spotkałeś właśnie ją?

Nick zapalił zapałkę i przytrzymał ją nad cybuchem fajki.

- Na starość robisz się cokolwiek za sprytny.

- Nie jestem na tyle stary, by nie wiedzieć, jak wygląda mężczyzna po udanej nocy - łagodnie skwitował Stefanos i zaciągnął się. - To bardzo piękna lady. Bardzo silna.

- Już to mówiłeś. I sam to zauważyłem. Słuchaj, nie jesteś czasem trochę za stary, żeby śnić o silnych, pięknych

kobietach?

Stefanos cmoknął.

- Tylko w grobie nie można śnić o kobietach, Nicholasie. A ja jeszcze się tam nie wybieram.

Nick zabawnie się skrzywił.

- Trzymaj się od niej z daleka, mój stary druhu. Jest moja.

- Ona cię kocha.

Papieros zatrzymał się w połowie drogi do ust Nicka. Uśmiech zamarł mu na ustach.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo to prawda - Stefanos z rozkoszą pyknął z fajeczki. - Czasami trudno zauważyć z bliska. Jak długo ona będzie sama?

Nick oprzytomniał.

- Nie jestem pewien. Przynajmniej jeden dzień, zależnie od stanu Iony. Kocha mnie... - wymamrotał. Wiedział, że ją pociąga, że zależy jej na nim... nawet za bardzo, dla jej własnego dobra. Ale kocha...? Nigdy nie odważyłby się tak pomyśleć.

- Dziś w nocy będzie sama. Nie powinna oddalać się od willi.

Przez kilka chwil słychać było tylko pykanie fajki.

- Jeżeli nie wszystko pójdzie gładko... chyba wolałbyś, żeby była bezpieczna za zamkniętymi drzwiami.

- Już z nią mówiłem. Rozumie na tyle, by słuchać i uważać na siebie... Chyba najwyższy czas zaprosić kapitana Tripolosa. Dzwon do Mityleny.

Morgan zastanawiała się, czy pójść na plażę. Mogłaby zadzwonić do Nicka, poprosić, by z nią poszedł. Skubiąc wargę, porzuciła tę myśl. Jeżeli dzisiejsza noc jest taka ważna, jak sądził, lepiej zostawić go w spokoju. Jeżeli

zostanie ranny lub... Morgan zadrżała na samą myśl i zapagnęła, aby już było jutro.

- *Kyrios* - cicho wezwała ją pokojówka. - Kapitan z Mityleny przyjechał porozmawiać z panią.

- Co takiego? - Ogarnęła ją panika. Wątpliwe, by Tripolos chciał się z nią widzieć po rozmowie z Nickiem. Czego zatem mógł od niej chcieć?

- Powiedz mu, że wyszłam - zdecydowała.

- Dobrze, *kyrios*. - Pokojówka przyjęła polecenie bez sprzeciwu. Patrzyła, jak Morgan zbiega z tarasu.

Już drugi raz wspinała się po stromej ścieżce nad klifem. Tym razem wiedziała, jak iść. Mijając pierwszy zakręt, zobaczyła samochód Tripolosa, zaparkowany przed wejściem do willi. Przyśpieszyła, a potem zaczęła biec, dopóki nie upewniła się, że zniknęła z pola widzenia. Mimo to została zauważona. Szerokie drzwi willi Nicka otworzyły się, zanim weszła na ostatni stopień. Nick wyszedł jej na spotkanie.

- *Yiasou*. Wspięłaś się na górę tak szybko, musisz być w niewiarygodnej formie!

- Bardzo zabawne - wydyszała, wpadając w jego ramiona.

- Coś się stało, czy po prostu nie możesz beze mnie wytrzymać? - Przytulił ją. Policzki miała zarumienione od biegu, ale w oczach nie dostrzegł lęku.

- W willi jest Tripolos. - Morgan próbowała odzyskać oddech. - Wyśliznęłam się po kryjomu; nie wiedziałam, co powinnam mu powiedzieć. Muszę usiąść, Nick.

Patrzył na nią bez słowa.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz?

- Próbuję zobaczyć, co takiego mam przed oczami.

- Mnie! - zaśmiała się. - Choć w każdej chwili mogę zemdleć z wyczerpania.

Nick zamknął ją w ramionach i pocałował.

- Co robisz? - spytała, kiedy pozwolił jej zaczerpnąć powietrza.

- Biorę, co moje.

Znów znalazł jej usta. Tym razem nie śpieszył się. Powoli, niemal leniwie drażnił jej język, aż poczuł, że cała drży. Kiedy wszystko się skończy, będę znów ją całował, rozkoszując się ciepłem słońca na jej skórze. Kiedy skończy się ta noc... Na moment usta mu stężały.

- Ciekawe... - Wszedł do domu, prowadząc ją za sobą. - Kapitan chciał się z tobą zobaczyć. Jest bardzo wytrwała.

Morgan odetchnęła głęboko, próbując oprzytomnieć.

- Mówiłeś, że będziesz dziś z nim rozmawiać, a nie wiedziałam, czy już byłeś gotowy; czy dostałeś informacje, na które czekałeś. Muszę też wyznać, choć bardzo mi wstyd, że jestem tchórzem. Bałam się stanąć z nim twarzą w twarz.

- Afrodyto! Ty tchórzem? Na pewno nie. Dzwoniłem do Mityleny i zostawiłem wiadomość dla Tripolosa. Nie powinien już się tobą interesować.

- Będę załamana. Możesz mnie puścić? - dodała, bo znów ją całował. - Nie mogę z tobą rozmawiać w takich warunkach.

Zaprowadził ją do salonu.

- Stefanos, Morgan chyba chętnie napije się czegoś zimnego. Trochę sobie pobiegała.

- To nic takiego. *Efxaristo* - lekko zażenowana spojrzała na pokerową twarz Stefanosa. Kiedy zniknął z pola widzenia, zwróciła się do Nicka: - Skoro wiesz, kto

jest przywódcą grupy przemytników, dlaczego nie powiesz tego kapitanowi? Aresztuje go.

- To nie takie proste. Chcemy go przyłapać na gorącym uczynku. Trzeba także oczyścić miejsce na wzgórzach, gdzie składował towar. Tę część zostawię kapitanowi - dodał niedbale.

- Nick, co teraz zrobisz?

- To, co konieczne.

- Nick.

- Posłuchaj. Chyba nie potrzebujesz szczegółów. Daj mi zakończyć tę sprawę, tak abym nie musiał cię więcej w nią mieszać. - Pocałował ją z niezwykłą delikatnością, przytulając do siebie jak coś niezwykle cennego.

- Masz specjalny dar do zmiany tematu - zamruczała.

- Od jutra będzie mnie interesować tylko jeden temat. Ty.

- Przepraszam... - W drzwiach pojawił się Stefanos. Nick spojrzał ze zniecierpliwieniem.

- Odejdź, starcze!

- Nick! - Morgan zgromiła go spojrzeniem i wysunęła się z jego objęć. - Czy on zawsze jest taki gburowaty?

- Niestety, proszę pani, od kiedy nauczył się chodzić.

- Słuchaj no - zaczął Nick ostrzegawczo, ale Morgan wybuchnęła śmiechem i pocałowała go.

- Panie Gregoras, przyszedł kapitan Tripolos. Prosi o parę minut pańskiego cennego czasu - z szacunkiem wygłosił uśmiechnięty Stefanos.

- Daj mi chwilę, a potem przynieś dokumenty z biura i przyślij go.

Morgan przywarła do ramienia Nicka.

- Pozwól mi zostać. Nie będę przeszkadzać.

- Nie mogę się na to zgodzić, nawet gdybym chciał.

To nie dotyczy ciebie i nie pozwolę, by dotyczyło. To ważne.

- Nie odeślesz mnie.

- Nie jestem pod takim naciskiem jak zeszłej nocy.

- Nie odejdę.

- Zrobisz dokładnie to, co mówię.

- Chyba żartujesz.

Zirytował się, ale po chwili złość rozplynęła się w śmiechu.

- Niemożliwa jesteś, Afrodyto. Gdybym miał czas, dałbym ci w skórę. Ale skoro nie mam, muszę cię prosić, byś poczekała na górze.

- Skoro prosisz.

- Panie Gregoras! A, miss James... - Do pokoju wtoczył się Tripolos - świetnie się składa. Szukałem pani w willi Theoharisów, kiedy nadeszła pańska wiadomość.

- Miss James właśnie wychodzi - powiedział Nick.

- Zgodzi się pan, że jej obecność nie jest konieczna?

Pan Adonti z Aten poprosił mnie o rozmowę z panem na pewien temat.

- Adonti? - powtórzył kapitan. Nick dostrzegł wyraz zaskoczenia na jego twarzy. - Jak rozumiem, jest pan związany z organizacją pana Adonti?

- Dość ściśle. Współpracujemy od lat.

- Rozumiem - wydał usta. - A miss James?

- Miss James wybrała niewłaściwą porę na urlop, to wszystko. Przepraszam na chwilę, odprowadzę ją. Może w tym czasie napije się pan czegoś. - Wskazał barek i wyprowadził Morgan do hallu.

- Kiedy wymówiłeś tamto nazwisko... chyba był pod wrażeniem?

- Mniejsza o nazwisko. Nigdy go nie słyszałaś.

- W porządku - powiedziała bez wahania.

- Jak zasłużyłem sobie na zaufanie, które mi okazujesz? - zapytał nagle. - Ciągle tylko cię raniłem. Nie wypłacę się za to przez całe życie.

- Nick...

- Nie. Nie ma czasu. Stefanos zaprowadzi cię na górę - przerwał.

- Jak sobie życzysz.

Stefanos wręczył Nickowi teczkę, po czym ruszył w kierunku schodów.

- Tędy, proszę pani.

Morgan usłuchała. Będziemy mieć więcej czasu dla siebie - pocieszała się. Niczego więcej nie chce. Stefanos zaprowadził ją do małego saloniku obok sypialni Nicka.

- Tu będzie pani wygodnie. Przyniosę kawę.

- Nie. Dziękuję.

Po raz drugi ujrzał w oczach Morgan całe jej serce.

- Nic mu nie będzie, prawda?

Uśmiechnął się szeroko, aż zadrgały mu wąsy.

- Pani w to wątpi?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Niewielki pokój był przytulny. W innych okolicznościach podziwiałaby figurki z porcelany. Zamiast tego pomyślała, że jest tak samo przydatna jak one. Też odstawiła ją na półkę. To bez sensu, że Nick próbuje ją chronić. Przypomniała sobie, jak śmiertelnie przełękła się i zemdląca w ramionach Nicka. Ze smętnym uśmiechem podeszła do okna. Tak czy owak, powinien wiedzieć, że jest z nim, że niczego się nie boi. Gdyby wiedział, co do niego czuje... ale czy wie? Czy ktoś, kto od dziesięciu lat igra z niebezpieczeństwem zechce związać się z kobietą i zaakceptować odpowiedzialność wynikającą z miłości? Nie będzie wywierać na niego presji. Morgan gwałtownie zaprzęgnęła powietrza i słońca, przeszła do sypialni Nicka i otworzyła drzwi prowadzące na balkon. Usłyszała znajomy pomruk morza i wychyliła się przez barierkę. Mogłaby tu żyć i bez końca napawać się tym widokiem.

- Wielkie nieba, jesteś piękna!

Nick stał oparty o framugę, z twarzą spokojną, ale wzrokiem jak lancet. Ponownie wychyliła się przez poręcz i popatrzyła na niebo. Wiatr rozwiewał jej włosy.

Poczuła, jak wzbiera w niej moc, a także isierka szaleństwa. Pragniesz mnie, widzę to. Chodź do mnie i pokaż.

Dopóki nie poznał Morgan, nie wiedział, że pożądanie może boleć. Może tak dzieje się jedynie wtedy, kiedy jest miłość. Ile razy kochał się z nią ubiegłej nocy? I za każdym razem wzbierała w nim ta sama burza. Tym razem pokażę jej coś innego. Zbliżył się powoli, wziął w ręce obie jej dłonie i długo przytulał usta do ich wnętrza. Dojrzał wzruszenie Morgan.

- Okazywałem ci za mało czułości - zamruczał.

- Nick...

- Nie szeptałem czułych słów, nie pieściłem. - Teraz całował każdy palec z osobna. Trwała nieporuszona, zdolna jedynie patrzeć. - I mimo to idziesz do mnie. Jestem twoim dłużnikiem. Jakiej ceny zażadasz?

- Nie, Nick, ja... - zaprzeczyła, niezdolna mówić.

- Chciałaś, żebym pokazał, jak bardzo cię pragnę - wziął ją na ręce i położył na łóżku.

Znów obsypał pocałunkami jej dłonie. Jak ona jest młoda - pomyślał Nick, delikatnie pieszcząc każdy palec. I jaka krucha. Już nie czarownica czy bogini, po prostu kobieta, moja kobieta. Oczy Morgan zachodziły mgłą. Pochylił się i delikatnie szczypał zębami jej wargi. Czują się jak we śnie.

Nick całował teraz jej przymknięte powieki. Usta przesuwiał po czole, skroniach, linii policzków. Słowa, które szeptał z ustami wtulonymi w jej skórę, brzmiały jak najpiękniejsza muzyka. Leżała, rozpływając się w morzu jego czułości. Usta Nicka pieściły teraz jej ucho, zadawały mu subtelne tortury koniuszkiem języka, szeptały ledwo słyszalne obietnice. Pokonana jęknęła, a on zsunął się niżej, pieszcząc jej szyję. Pocałunki były subtelne jak szept, a słowa upajające jak wino. Jego czułość była jak narkotyk.

Ledwo dotykając Morgan, rozpinął guziki jej bluzki. Czuł napór jej piersi, ale usta powędrowały do ramion. Mógłby patrzeć bez końca, jak jej twarz nabrzmiewa rozkoszą. Czuł jej uległość i pragnienie, powoli przesunął usta niżej, na miękką wypukłość. Z niewysłowioną delikatnością lizał czubek piersi, a kiedy poczuł, że jest gorąca i gotowa, zalała go fala pożądania. Krew łomotała mu w skroniach; pachniała, ach, jak pachniała, ten zapach

towarzyszył mu wszędzie. Teraz cały się w nim zanurzył i ssąc jej skórę, po raz pierwszy dotknął jej palcami.

Morgan czuła przeciągłe muśnięcia, leciutkie drapanie silnych, twardych palców, które były teraz tak subtelne, jakby grały na skrzypcach. Miętko, powoli, usta Nicka powędrowały w dół i zabawiły tam dłużej, aż natknęły się na pasek od spodni. Wygięła się w łuk, by mu pomóc, a on zsuwał je centymetr po centymetrze, pokrywając każdy nowo odkryty kawałek skóry wilgotnymi pocałunkami, więc jedyne, co mogła zrobić, to leżeć i rozplýwać się w morzu rozkoszy. Gdy była już naga, przesunął palcami po jej udach, aż zadrżały, a jej pragnienie stało się niepohamowane.

- Nick - wydyszała. - Teraz.

- Marzyłem, żeby cię taką zobaczyć, w słońcu, z włosami rozrzuconymi na mojej poduszce. Pytałaś, jak bardzo cię pragnę. Popatrz.

Nick ciasno przytulał do siebie Morgan, delikatnie głaskał po plecach. Przyłgnęła do niego z miłością i zdumieniem. Czy mogła go podejrzewać o tyle czułości?

- Dzięki tobie poczułam się piękna - zamruczała.

- Jesteś piękna. I zmęczona. Powinnaś się wyspać.

- Będzie czas na sen. Wyjedźmy na parę dni, tak jak chciałeś.

- Gdzie?

- Gdziekolwiek. Gdziekolwiek będziemy, i tak nie dam ci wyjść z łóżka.

- Naprawdę? Bo pomyślę, że chodzi ci tylko o moje ciało!

- Jest niezłe. Smukłe i muskularne... - zamilkła, bo w górnej części piersi dostrzegła małą bliznę. Nie pasowała do tej gładkiej, brązowej skóry. - Skąd to masz?

- Dawna bójka - odrzekł niedbale. W jej oczach odbiło się przerażenie.

- Morgan...

- Proszę. Nic nie mów.

Zapomniała. Subtelność i piękno miłosnego aktu wyparły z jej umysłu całą szpetotę. Łatwo było udawać, że nie ma żadnego zagrożenia. Udawanie to dziecinada. Jemu niepotrzebny jest teraz dzieciuch. Da mu przynajmniej to, co pozostało z jej siły. Pocałowała bliznę i przeturlała się na brzeg łóżka.

- Czy z kapitanem poszło tak, jak chciałeś?

- Był zadowolony z moich informacji. Bystry chłop, choć trochę drętwy.

- Przy pierwszym spotkaniu zrobił na mnie wrażenie buldoga.

Nick zachichotał i przyciągnął ją bliżej.

- Trafne porównanie, Afrodyto. Jeden z nielicznych policjantów, z którymi lubię pracować... - Zapalił papierosa.

- Dlaczego... Zapomniałam... jak mogłam zapomnieć?

- O czym zapomniałaś?

- O papierosie - usiadła, poprawiając splecione włosy.

- O niedopałku papierosa obok ciała.

Uniósł brew, ale widok jędrnych piersi najwidoczniej go rozpraszał.

- No i?

- Był świeży. To była jakaś luksusowa marka, podobna do tych, które palisz - powiedziała niecierpliwie. - Powinnam ci to była powiedzieć, ale teraz to już nie ma znaczenia. Wiesz, kto zabił Stevosa i kto kieruje przemysłem.

- Nigdy ci nie mówiłem, że wiem.
- Nie musiałeś.
- Dlaczego nie?
- Gdybyś nie zobaczył jego twarzy, powiedziałabyś mi. Ponieważ nie powiedziałaś nic, wiem, że ci się udało.
- Nick pokręcił głową z niechętnym uśmiechem.
- *Diabolo*, dobrze, że nie wpadłem na ciebie wcześniej. Szybko byłoby po mojej karierze. Sam widziałem niedopałek - dodał.
- Powinnaś się była domyślić.
- Zapewniam cię, że Tripolos też go nie przegapił.
- Ten cholerny niedopałek doprowadzał mnie do obłędu - westchnęła. - Były chwile, że podejrzewałam każdego po kolei - Doriana, Aleksa, Ionę... nawet Andrew i Liz. Prawie mi odbiło.
- Nie wymieniłaś mnie.
- Nie, już ci mówiłam, dlaczego.
- Tak... przy okazji obdarzyłaś mnie osobliwym komplementem, którego nie zapomniałem. Powiniennem wcześniej uwolnić cię od domysłów. Sypiałabyś lepiej.
- Nie martw się o mój sen. Jeszcze chwila, a pomyślę, że wyglądam jak półtora nieszczęścia.
- A odpoczniesz, jeśli potwierdzę?
- Nie, za to ci przyłożę.
- W takim razie będę kłamać, że wyglądasz bosko.
- Szturchnęła go w żebro.
- Rozumiem, że teraz chcesz zabawić się ostrzej... - Zgniółł papierosa i przeturlał się nad nią.
- Czy wiesz, ile razy tak mnie przyduśiłeś?
- Nie, ile?
- Nie jestem pewna. Chyba zaczynam to lubić.
- Może uda mi się sprawić, że jeszcze bardziej to

polubisz - pocałunkami pokrywał jej wargi. Tym razem znów był gwałtowny.

Morgan dała się ponieść namiętności. Obawa, że to może być ostatni raz, sprawiła, że reagowała i działała z pasją. Rozpaliła w nim potężny ogień.

Ręce, które przed chwilą były takie niespieszne, teraz drżały z niecierpliwości. Usta już nie muskały jej skóry, a kasały ją. Morgan bez wahania dała się nieść pożądaniu. Jej łakome usta smakowały każdy fragment jego ciała, ręce błędziły, dotykając i podniecając go. Jej ciało nigdy nie było tak zwinne. Czula jego pożądanie w krótkim, chrapliwym oddechu, w napiętych mięśniach. Kiedy jego usta powędrowały w dół, wyprężyła się w geście pragnienia.

Upojona własną mocą, wczepiła w niego palce i ponagliła go, by zabrał ją na pierwszy, zawrotny szczyt. Aż krzyczała, ale błagała o więcej. I dał jej więcej, biorąc też sam. Nie wystarczyła jej własna przyjemność. Jej ręce nigdy nie były tak zwinne, tak szybkie. Przygryzała skórę, a następnie łągodziła te miejsca muśnięciami języka. Jęk Nicka wyrwał z niej głęboki, zmysłowy śmiech. Kiedy się w niej zanurzył, Morgan uczuła, jak słońce eksploduje na milion kawałeczków.

Dużo, dużo później, kiedy Nick zrozumiał, że ich czas dobiega końca, ucałował ją czule.

- Idziesz - powiedziała Morgan, walcząc z sobą, by się go nie ucześcić.

- Niedługo. Najpierw zabiorę cię do willi. Zostaniesz w środku, zamkniesz drzwi na klucz i powiesz służbie, żeby nie wpuszczała nikogo. Absolutnie nikogo.

- Przyjdiesz, jak już będzie po wszystkim?

- Chyba dam radę przez twój balkon.

- Poczekam na ciebie i wpuszczę cię przez frontowe drzwi.

- Afrodyto. Gdzie twój romantyzm?

Morgan przywarła do niego.

- O Boże, miałam tego nie mówić, obiecałam to sobie, ale... bądź ostrożny! Tak bardzo się o ciebie boję!

- Proszę, nie płacz przeze mnie.

- Przepraszam. - Desperackim wysiłkiem odegnała łzy. - Nie pomagam ci.

- Nie proś mnie, abym został, Morgan.

- Nie - przełknęła. - Nie będę. Ale nie proś, żebym się nie martwiła.

- To ostatni raz - powiedział z żarem. Zadrżała na te słowa, ale nie spuściła wzroku.

- Wiem.

- Po prostu czekaj na mnie.

- Z butelką najprzedniejszego szampana z piwnicy Aleksa - obiecała raźniejszym głosem.

- Zanim cię odprowadzę, napijemy się mojego szampana. Wzniesiemy toast za jutro.

- Dobrze - uśmiechnęła się niemal radośnie.

- Odpocznij chwilę. Zaraz go przyniosę.

Morgan poczekała, aż drzwi się za nim zamkną, po czym ukryła twarz w poduszce.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy się obudziła, było ciemno. Nick - pomyślała w panice. Usnęła, a on poszedł. Od jak dawna go nie ma? Drżącymi palcami sięgnęła do lampy. *Wracaj do łóżka* - głosiła dużymi literami kartka leżąca obok. Cały on - pomyślała. Rozejrzała się, szukając ubrania, ale nigdzie go nie znalazła.

- A to łotr! - wykrzyknęła na głos.

Co ten łobuz sobie myśli? Nie mam pojęcia, gdzie jest, ani... co robi - zalała ją kolejna fala lęku. Poczowała chłód, zdjęła z łóżka narzutę i owinęła się nią. Mogę tylko czekać. Minuty dłużyły się w nieskończoność. Czy ranek nigdy nie przyjdzie? Ze złością odrzuciła okrycie. Maszerując do szafy Nicka myślała ponuro, że czekać musi, ale za nic nie będzie czekać nago.

Zatoczka skąpana była w blasku księżyca. Nick patrzył na morze przez lornetkę.

- Widzisz pan coś? - Tripolos przykucnął za skałą. Nick zaprzeczył i wręczył lornetkę Stefanosowi.

- Trzydzieści minut - stwierdził Stefanos. - Wiatr niesie dźwięk silnika.

- Nic nie słyszę - z powątpiewaniem odezwał się Tripolos.

- Stefanos słyszy to, czego inni nie słyszą. Proszę powiedzieć swoim ludziom, żeby byli gotowi.

- Moi ludzie są gotowi. Widzę, że lubi pan swoją pracę.

- Czasami - mruknął Nick.

Pomyślał o Morgan. Miał nadzieję, że śpi. Przy odrobinie szczęścia nie obudzi się, dopóki on nie wróci i oszczędzi sobie kilku godzin zamartwiania się. Jeżeli

obudzi się, będzie złorzeczyć. Ta myśl sprawiła mu frajdę. Niemal widział, jak naga stoi na środku pokoju i przeklina. Poczł ukłucie w okolicy żołądka i obiecał sobie, że nie pozwoli jej się ubrać, dopóki słońce znów nie zajdzie.

- Płyną.

Kilkunastu mężczyzn ukrytych w cieniu patrzyło na łódź. Przycumowano ją kilkoma zręcznymi rzutami sznura w niemal całkowitej ciszy. Załoga zeszła na ląd i skryła się w cieniu. Po chwili dołączyła do niej zakapturzona postać. Na sygnał Nicka zapłonęły światła i skały zmieniły się w policjantów.

- Mamy rozkaz przeszukania kutra - zagrzmiął Tripolos. - Odłóżcie broń i poddajcie się.

Krzyki i huk wystrzałów zakłóciły ciszę. Mężczyźni rzucili się do ucieczki, ale otoczono ich. Nick zobaczył, jak postać w kapturze ucieka z zatoczki. Popędził za nią.

Krzyki i hałas sprawiły, że Morgan zadrżała. Spojrzała w ciemność i usłyszała kolejny wystrzał. Zamarła. Nic mu nie będzie, uspokajała się. Zaraz wróci i będzie po wszystkim. Jeszcze nie dokończyła myśli, a już biegła po schodach. Dzinsy Nicka zsuwały jej się z bioder, kiedy biegła ścieżką prowadzącą w dół urwiska. Szła cicho po twardym podłożu, słychać było jedynie szybki oddech.

Naraz, kiedy stanęła na szczycie schodków wiodących na plażę, zobaczyła go. Z łkaniem nagłej ulgi pofrunęła na dół. Chciała go zawołać, ale słowa uwieźły jej w gardle. To nie Nick - zrozumiała. Spanikowała, a on w tym momencie zerwał z głowy kaptur. Blask księżyca oświetlił jego jasne włosy. Mój Boże, dlaczego byłam tak głupia? Te spokojne oczy. Cofnęła się, desperacko szukając schronienia. W tym momencie odwrócił się.

- Co ty tu robisz?

- Ja... wyszłam na spacer - starała się nadać głosowi obojętne brzmienie. Nie było jak uciec. - Taka piękna noc, właściwie już świt. Nie spodziewałam się ciebie. Zaskoczyłeś mnie. Myślałam...

- Że jestem w Atenach? - dokończył z uśmiechem Dorian. - Jak widzisz, nie jestem. I obawiam się, że widziałas za dużo. Szkoda. Mogłabyś się przydać.

Chwycił ją za ramię i zaczął wlec po piasku.

- Nie pójdę z tobą!

- Nie masz wyboru. Chyba, że wolisz skończyć jak Stevos.

- Próbowales też zabić Ionę.

- Stała się uciążliwa.

- Gdybym jej pierwsza nie znalazła, dokończyłbyś dzieła już wtedy, rano.

- Zawsze pchasz się, gdzie nie trzeba.

- Straciłeś ostatnią dostawę - wyrwało się Morgan. Rozpaczliwie chciała opóźnić szybki marsz. Jeżeli dorwie ją tam, na skałach...

Dorian zastygł bez ruchu i odwrócił się do niej.

- Skąd wiesz?

- Pomogłam ją ukraść.

Chwycił ją za gardło.

- Gdzie to jest?

Potrząsnęła głową.

- Gdzie? - ścisnął mocniej. Złapała jego nadgarstki, w geście poddania. Poluzował palce.

- Idź do diabła!

Uderzenie w twarz powaliło ją na piasek.

- Powiesz mi, zanim z tobą skończę. Będziesz błagała, bym dał ci powiedzieć.

- Nic ci nie powiem! A policja wie, kim jesteś!

- Skoro wolisz umrzeć...

Nagle uderzenie powaliło go na piasek.

- Nick - Dorian otarł usta z krwi. - Co za niespodzianka.

- Nick! - Morgan z krzykiem podbiegła do ukochanego, ale nie spojrzał na nią. - Myślałam... bałam się, że nie żyjesz.

- Wstawaj, albo wpakuję ci kulę w łeb na leżąco - polecił Dorianowi.

- Jesteś ranny? - Morgan potrząsnęła go za ramię, prosząc o jakiś znak. Już widziała kiedyś to zimne, twarde spojrzenie. - Kiedy usłyszałam strzały...

- Tylko spóźniony - Nick odepchnął ją na bok, ze wzrokiem wbitym w Doriana. - Rzuć broń. Jeden fałszywy ruch, a koniec z tobą.

Dorian powoli wyciągnął swój rewolwer i odrzucił na bok.

- Muszę przyznać, że mnie zadziwiasz. To ty tropiłeś mnie od miesiący. Mógłbym przysiąc, że interesuje cię tylko forsa i twoje zbiory. Chyba nie zdawałem sobie sprawy z wszystkich twoich interesów. Policjant?

- Odpowiadam tylko przed jednym człowiekiem.

- Adontim. - Nagły błysk strachu w oczach Doriana ucieszył go. - Mogliśmy wcześniej do tego dojść. Prawie nam się udało zeszłej nocy.

- Wczoraj?

- Sądziłeś, że tylko koza cię obserwuje? Zrobiłeś się nieostrożny, Dorianie. Podszylłem się pod ciebie podczas poprzedniej wyprawy. Twój ludzie trzęśli się ze strachu.

- Ty! - wydyszał Dorian.

- Niezły łup. Tak twierdzą moi koledzy z Aten. Już wtedy mogliśmy z tobą skończyć, ale chciałem się

upewnić, że Aleks nie ma z tym nic wspólnego. Warto było poczekać.

- Aleks? - Po raz pierwszy Dorian się roześmiał.

- Aleks ma za słabe nerwy. Ale ciebie nie doceniłem. Gratulacje, masz talent i - tu jego wzrok spoczął na Morgan - gust.

- *Efxaristo.*

Morgan patrzyła zdumiona i przerażona, jak Nick odrzuca swój rewolwer. Leżał teraz obok broni Dorian.

- Mam obowiązek doprowadzić cię do kapitana Tripolosa i władz - spokojnie, powoli Nick wyciągnął nóż.

- Ale z przyjemnością poderżnę ci gardło za to, że dotknąłeś mojej kobiety.

- Nie! Nick, nie!

- Wracaj do willi i zostań tam!

- Proszę - przerwał Dorian z uśmiechem i podniósł się. - Morgan musi zostać. Taki nieoczekiwany zwrot akcji!

Teatralnym gestem wyjął nóż.

- Co za nagroda dla tego, który przeżyje.

- Idź - powtórzył Nick. Nie mógł puścić mu płazem tego, że uderzył Morgan. Widziała to w jego oczach.

- Nick, proszę. On nic mi nie zrobił.

- Masz ślad na twarzy - powiedział miękko. - Odsuń się.

Przy pierwszym pchnięciu Dorian Morgan zakryła ręką usta, żeby powstrzymać krzyk. To była prawdziwa walka na śmierć i życie. Księżyc rzucał nieregularne światło na twarze, nadając im niesamowity wygląd. Nick starał się zbliżyć przeciwnika do krawędzi klifu, jednocześnie oddalając go od Morgan.

- Zanim skończy się noc, zabawię się z twoją kobietą - rzekł Dorian.

Kąćki ust uniosły mu się na widok nagłej furii w oczach przeciwnika. Morgan patrzyła ze zgrozą na plamę krwi, spływającą z rękawa Nicka. Szybkość, z jaką walczyli, oszołomiła ją. To oddalali się, to zbijali w jedno kłębowisko ciał, toczące się po piasku. Naraz Dorian znalazł się na brzuchu Nicka. Morgan patrzyła, jak wydobywa nóż. Wbił się w piasek, o włos od twarzy Nicka. Niewiele myśląc, rzuciła się ku pistoletom. Powietrze rozdarł krzyk. Morgan chwyciła pistolet obiema rękami i skierowała na znieruchomiały kształt na piasku. Cień poruszył się.

- Odłóż ten cholerny pistolet zanim mnie zabijesz.

- Nick! - Rewolwer wysunął się jej z ręki.

- Na co ci ta pukawka, Afrodyto? Nie pociągnęłabyś za spust.

- Owszem. Zrobiłabym to.

- Do licha ciężkiego, dlaczego nie zostałaś w willi? Chciałem ci tego oszczędzić.

- Nie mogłam...

Nick otworzył usta, chcąc odruchowo zakląć, po czym zamknął je.

- Ukradłaś moje ubranie - powiedział łagodnie. - Już nie będę się na nią złościć, obiecał sobie, gładząc ją po włosach. Nie, kiedy trzęsie się jak listek. Ale potem, na Boga, potem...

- Ty najpierw zabrałeś moje. Myślałam... Nagle zobaczyła krew.

- O Boże, Nick, jesteś ranny!

- To nic, to tylko...

- Nie zachowuj się jak jakiś głupi macho.

- Nie jestem macho ani głupi, Afrodyto, ale jeżeli to cię uszczęśliwi, będziesz mogła potem opatrzeć mi rany.

Teraz potrzeba mi innego lekarstwa.

Pocałował ją, zanim zdążyła zaprotestować.

- Będę potrzebował teraz mnóstwo troski - wymruczał prosto w jej usta. - To może być dużo poważniejsze, niż sądziłem. Proszę, nie - odsunął ją, bo poczuł łyzy na swoich policzkach. - Tylko nie płacz. To jedyna rzecz, której dziś nie zniosę.

- Nie będę. Tylko nie przestawaj mnie całować.

Błagam.

Przycisnęła usta do jego warg.

- Jak widzę, udało się panu w końcu zatrzymać pana Zoulasa.

Nick zaklął, ale bez złości. Trzymając Morgan przy sobie, spojrzał na Tripolosa.

- Pańscy ludzie złapali załogę?

- Tak.

Schylił się i pobieżnie przyjrzał się ciału. Nie skomentował, że miało złamaną rękę i ranę kłutą.

- Chyba miał pan tu kłopoty. - Wzrok zatrzymał się na broni leżącej na piasku. Wyciągnął własne wnioski. - Szkoda, że nie stanie przed sądem.

- Szkoda - zgodził się Nick.

- Widzę, że upuścił pan broń podczas próby zatrzymania.

- Tak to mniej więcej było.

- Pańskie zadanie jest zakończone?

- Zgadza się.

- Proszę przyjąć wyrazy wdzięczności, panie Gregoras. I gratulacje - uśmiechnął się, patrząc na Morgan.

- Zabiorę teraz miss James do domu. Dobranoc, panie kapitanie.

Morgan oparła głowę na ramieniu Nicka i tak szli w

kierunku kamiennych schodków.

- Tylko popatrz, gwiazdy bledną - westchnęła. Cały lęk i niepokój zniknęły bez śladu, podobnie jak wątpliwości. - Mam wrażenie, że całe życie czekałam na ten jeden wschód słońca.

- Mówiono mi, że chcesz pojechać do Wenecji i pływać gondolą.

- To Andrew ci powiedział.

- Mówił też o Kornwalii i Polach Elizejskich.

- Muszę też się nauczyć, jak walczyć ze słabościami
- mruknęła.

- Nie mam łatwego charakteru, Morgan.

- Nie masz.

Niełatwo było mu wyrzucić z siebie te słowa. Dziwił się, iż sądził, że to będzie łatwe.

- Wiesz już o mnie to, co najgorsze. Często jestem niedelikatny i wymagający.

- Jestem ostatnią osobą, która mogłaby się z tym nie zgodzić.

Czuł się niezręcznie. I bał się. Czy kobieta może przyjąć wyrazy miłości po tym, jak zobaczyła, że zabił?

- Morgan...

- O co chodzi, Nick? Twoje ramię...

- Nie! *Diabolos*, posłuchaj mnie!

- Nick, jeżeli pozwolisz mi zaprowadzić się do domu i obejrzeć twoje ramię...

- Moje ramię to drobiazg, Afrodyto.

- Nie dla mnie.

Zatrzymał się przed wejściem na schodki.

- Morgan... Będę trudnym i nieznośnym mężem, ale nie będziesz się nudzić. Kocham cię dostatecznie mocno, by pozwolić ci się wspinać po górach. Dostatecznie mocno,

by wspinać się po nich razem z tobą, jeżeli to jest to, czego pragniesz.

Otrzeźwiała w jednej chwili. Otworzyła usta, ale nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

- Do cholery, Morgan, powiedz coś! Na miłość boską, powiedz tak!

Ścisnął ją za ramiona. Wiedziała, że za chwilę zacznie nią potrząsać. Ale w oczach obok złości miał coś jeszcze. Zobaczyła wątpliwości, lęk, zmęczenie.

- Nie dasz? - szepnęła.

- Nie - wzmocnił uścisk. - Nie dam. Zabrałaś mi serce. Nie wyjedziesz bez niego.

- Sądzisz, że mogłabym chodzić po górach bez ciebie? - Przytuliła się do niego, czując jak zadrżał. - Chodźmy do domu.